

Małgorzata

KOCHANOWICZ

Piramida śmierci

POWIEŚĆ KRYMINALNA

Finansowe spekulacje
mogą być naprawdę
niebezpieczne...



VIDEOGRAF

Małgorzata
KOCHANOWICZ
Piramida śmierci

V I D E O G R A F

Redakcja

Dariusz Pohl

Zdjęcie na okładce

© *Rick Schiller*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociak

Korekta

Joanna Szewczyk

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Chorzów 2012

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35

fax 32-348-31-25

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© text Małgorzata Kochanowicz, 2012

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2012

ISBN 978-83-7835-064-4

1.

Na klatce schodowej było ciemno.

Roman Gwadera, szczupły czterdziestolatek o czarnych jak noc włosach, westchnął cicho. Przed zaledwie kilkoma sekundami w dobrym humorze opuścił mieszkanie Andrzeja Tkaczyka, znajomego z lat dzieciństwa, i wyszedł na oświetloną stylizowanymi na lata trzydzieste lampami klatkę schodową. Nie spodziewał się, że za chwilę napotka na przeszkodę, która w pierwszym momencie wydawała mu się nie do pokonania.

Korytarz i schody pomiędzy trzecim i drugim piętnem tonęły w absolutnej ciemności.

Gwadera zatrzymał się niezdecydowany.

Ta sytuacja przypominała mu lata osiemdziesiąte i występujące wtedy przerwy w dostawie prądu. Szara codzienność. Na wspomnienie tamtych czasów uśmiechnął się. Było, minęło. Miał nadzieję, że już nie wróci. — *To se nevrati* — mruknął pod nosem, przypominając sobie słowa dawno zapomnianej piosenki sąsiadów zza południowej granicy. Dopisywał mu tego wieczora humor. Nic nie było w stanie popsuć mu dobrego nastroju. Nawet jak cień błakająca się myśl, że już jutro po długiej, kilkumiesięcznej przerwie wraca do pracy.

Andrzej Tkaczyk, u którego Gwadera spędził ostatnich kilka godzin na przysłowiowych długich Polaków rozmowach o wszystkim i o niczym, zapewniał, że położona przy Smulikowskiego kamienica należy do jednej z najbardziej zadbanej w Warszawie, a właściciel robi wszystko, aby panował tu idealny porządek. Drobną rzecz, której żaden z nich nie był w stanie przewidzieć, zburzyła ten namalowany przez Tkaczyka obraz.

Gwadera, który od blisko dwudziestu lat mieszkał na Powiślu, w kamienicy zarządzanej przez administratora, przywykł do tak drobnych niedogodności. Wykręcona żarówka, zbita szyba na klatce schodowej — po co przejmować się takimi drobiazgami. „Życie nie jest tego warte” — mawiał filozoficznie, z tak charakterystycznym dla niego spokojem pan Zbigniew, reprezentant bardzo ważnego z punktu widzenia lokatorów, zanikającego zawodu stróża.

O ile tam, na Powiślu, takie zdarzenia stanowiły nieodłączny element codzienności, tutaj, w kamienicy, do której dostępu bronił domofon, a lokatorzy legitymowali się zarobkami dużo powyżej średniej krajowej, coś takiego nie miało prawa się zdarzyć.

Gwadera stał w miejscu, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Nie chciał ryzykować. Wypił tego wieczora za dużo. W pewnym momencie zaczęły mylić mu się wydarzenia. Był to sygnał do odwrotu. Mocna kawa, którą na pożegnanie

uraczyła go sympatyczna gospodyni, przywróciła mu jasność myślenia. Podziękował za mile spędzony wieczór i kilka minut po dziewiątej opuścił mieszkanie z twardym postanowieniem, że do końca weekendu nie tknie nawet kropli alkoholu. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z konsekwencji dalszego picia. Wiedział, że i tak następny dzień nie będzie należał do udanych. Cekał go kac i miał wątpliwości, czy wyleczy go do poniedziałkowego ranka.

Trzymając się poręczy, zaczął ostrożnie schodzić po marmurowych schodach. Na drugim piętrze wymacał dłonią włącznik. Nacisnął raz, drugi. Bez skutku. Pocieszające było to, że nie musiał schodzić na przykład z dziesiątego piętra albo że nie utknął w windzie. Uśmiechnął się do tych myśli.

Był pomiędzy drugim i pierwszym piętrem, gdy drzwi jednego z mieszkań otworzyły się. Chwilę później usłyszał pełen niepokoju kobiecy głos.

— Proszę pana, dobrze się pan czuje? — pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Gwadera w padającym z mieszkania świetle dostrzegł jakiś kształt. Jeszcze dwa stopnie. Przy ścianie siedział, a właściwie pólleżał jakiś mężczyzna. Nie poruszał się. Kilka kroków dalej stała szczupła kobieta.

Kobieta zadrżała, gdy dostrzegła wyłaniającego się z półmroku Gwaderę.

— Wystraszył mnie pan — powiedziała cicho.

— To pani znajomy? — wskazał na leżącego.

Gwałtownie zaprzeczyła ruchem głowy.

— Skądże.

— Sąsiad?

Odpowiedziała tym samym gestem.

— Trzeba wezwać pogotowie. Pewnie zasłabł — szybko rzuciła słowa.

Gwadera pochylił się nad mężczyzną. Sprawdził puls. Przez chwilę patrzył na nienaturalnie ułożone ciało.

— Przydałoby się jakieś światło — mruknął.

Nie musiał powtarzać. Kobieta zniknęła w mieszkaniu. Wykorzystał jej nieobecność i zadzwonił pod 112.

Kobieta wróciła po kilku minutach z solidną latarką, którą dosłownie wcisnęła w rękę Gwaderze, łamiąc mu prawie serdeczny palec. Syknął, ale nic nie powiedział. Oświetlił leżącego. Przyglądał mu się przez kilka długich chwil. Nie miał wątpliwości. Mężczyzna nie żył. W tej chwili mógł powiedzieć tylko jedno — na pewno nie spadł ze schodów. Przyczyna jego zgonu była zupełnie inna. Wiedział to od chwili, gdy na koszuli nieznanego dostrzegł dwie czerwone, rosnące z każdą chwilą plamy.

Wziął się za przeszukiwanie kieszeni, delikatnie, tak aby nie poruszyć ciała. Na krótką chwilę zapomniał, że nie jest tu sam.

— Co pan robi? — cichy głos przywrócił go do rzeczywistości.

Zerknął przez ramię.

— Sprawdzam, kim jest — wyjaśnił krótko. Po chwili zdał sobie sprawę, jak musiało to wyglądać w jej oczach.

— Skąd mogę wiedzieć, że przy okazji nie chce pan obrobić mu kieszeni?

— Patrz pani, że też na to nie wpadłem — mruknął rozdrażniony, naśladowując sposób mówienia wystających na rogach meneli.

— Dzwonię na pogotowie — oznajmiła. — I na policję — dodała szybko. Wstał.

— Proponuję zrobić to w odwrotnej kolejności.

Nie zrozumiała.

— Słucham?

— Obawiam się, że pogotowie nic tu nie pomoże... — Starał się, by jego głos brzmiał spokojnie.

Zrobił krok w stronę kobiety.

Dopiero teraz, gdy stał tak blisko niej, poczuła od niego zapach alkoholu.

Cofnęła się.

— Pogotowie nie będzie potrzebne — powtórzył dobitnie.

Spodziewał się ataku hysterii, krzyku, być może nawet łez. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, skierował światło latarki na kobietę.

Trudno było określić jej wiek. Miała delikatne rysy twarzy, lekko zadarty nos i piękne oczy ukryte za metalowymi oprawkami okularów.

— Nie żyje? — spytała rzeczowo.

— Zgadza się.

Zasłoniła usta dłonią.

— A pan? — spytała ostrym tonem, kiedy minęło pierwsze zaskoczenie.

— Co pan właściwie tu robi? Nie przypominam sobie, abym tu pana kiedykolwiek widziała... — zamilkła.

— Ma pani taką świetną pamięć do twarzy?

— Żeby pan wiedział... — odgryzła się. — Dzwonię na policję...

Złapał ją za ramię. Spiorunowała go wzrokiem. Szybko cofnął dłoń.

— Już to zrobiłem.

— Kiedy? — Pomimo niecodzienności tej całej sytuacji zachowała jasność myślenia.

— Kiedy poszła pani po latarkę — wyjaśnił cierpliwie jak dziecku.

W ciszy, która zapanowała, słychać było tylko ich oddechy.

— Proszę wrócić do mieszkania i tam poczekać — odezwał się w końcu.

W obecnej sytuacji wydawało mu się to najlepszym rozwiązaniem. Kobieta miała inne zdanie na ten temat, gdyż nie poruszyła się.

Długo, bardzo długo patrzyła na Gwaderę. Nie ufała mu. Nie dziwił się. Przecież nie знаła go, nie wiedziała, kim jest. Mógł odejść i zostawić ją samą.

— Zejdę na dół — wyjaśnił krótko. Po chwili dodał: — Sprowadzę ich tutaj.

— Na pewno? — miała wątpliwości.

— Proszę się nie obawiać, nie ucieknę. Pani okna wychodzą na ulicę? — chciał ją uspokoić.

Skinęła głową.

— Dobrze. Stanę po drugiej stronie ulicy, tak aby mogła mnie pani widzieć.

Znow skinęła głową. Nie wiedział, czy na tak, czy na nie.

Powoli tracił cierpliwość.

— Więc jak? Idzie pani ze mną czy zostaje? — spytał, nie kryjąc rozdrażnienia.

— Zostanę — powiedziała cicho, niepewnie.

Gwadera poczekał, aż zamknęła za sobą drzwi. Dopiero wtedy zszedł na dół. Stał dokładnie w tym miejscu, o którym mówił.

W oknie na pierwszym piętrze, nieco na prawo od wejścia do kamienicy, zapaliło się światło. Na znak, że jest tutaj, nigdzie nie odszedł, pomachał ręką do kobiety, która uważnie obserwowała jego sylwetkę. Wydawało mu się, że na jej twarzy zagościł uśmiech. Może była to gra światła i cienia. Może nie.

Przyglądał się budynkowi. Kamienica wyglądała na wymarłą.

Wokół panowała niezmacona cisza. Warszawa po raz kolejny zapadła w tak charakterystyczny dla długich weekendów stan pustki. Czarna dziura na kilka dni pochłonęła mieszkańców stolicy. Ten, kto mógł, opuszczał miasto, odwiedzał rodzinę, wyjeżdżał w góry lub nad morze.

Gwadera przypomniał sobie, jak przed kilkoma laty dał się ponieść szaleństwu wyjazdów. Pojechał do Zakopanego. Wrócił po dwóch dniach, zły i zmęczony. Korek na Zakopiance, tłum na Krupówkach, kolejki, gwar i ścisk zniechęciły go do weekendowych wypadów.

Rozważania Gwadery przerwał odgłos policyjnej syreny. Zerknął na zegarek. Przyjechali dokładnie dwanaście minut od zgłoszenia.

Samochód zatrzymał się przy bramie, parę metrów od Gwadery. Pierwszy wysiadł młody aspirant. Mężczyzna zdecydowanym krokiem podszedł do Gwadery i obdarzył go przenikliwym spojrzeniem.

— To pan dzwonił? — spytał.

Zapytany skinął tylko głową.

— Co się stało? — Dyżurny, który przyjął zgłoszenie, najwyraźniej nie poinformował aspiranta o szczegółach.

Gwadera uśmiechnął się.

— Co pana tak śmieszy? — głos policjanta był szorstki. Mężczyzna nie czekał na odpowiedź. Szybko zadał następne pytanie: — Ma pan jakieś dokumenty? — Postąpił krok naprzód.

Gwadera milczał.

— Ogłuchł pan? — Policjant stracił cierpliwość. Obejrzał się na kolegę

z patrolu w stopniu sierżanta, który stał obok radiowozu i w milczeniu przyglądał się całej scenie.

— Daj spokój, Jacek — powiedział ten spokojnym głosem i wolno podszedł do mężczyzn. — Nie poznajesz?

Sierżant przywitał się z Gwaderą mocnym uściskiem dłoni.

— Co jest? — Młody policjant stracił pewność siebie.

— To komisarz Gwadera. — Sierżant zrezygnowany machnął ręką. — No tak, przecież przyszedłeś do nas przed dwoma miesiącami. Masz prawo nie znać pana komisarza.

Odwrócił się do Gwadery.

— To prawda, co mówią?

— A co mówią?

— Że pan komisarz wraca.

— Tak. Od poniedziałku.

— To dobrze. Brakowało nam pana.

Słowa płynęły z czystej sympatii, a nie z chęci przypodobania się wyższemu stopniem. Sierżant Terlecki należał do wymierającego gatunku ludzi, którzy we wszystkim szukali dobrych stron. Sam mówił o sobie, że napatrzył się przez te wszystkie lata pracy w policji na wiele okropności, a mimo to nadal wierzy w drugiego człowieka. Po chwili dodawał, że kiedy nadejdzie taki moment, że straci tę wiarę, wtedy odejdzie ze służby.

Sierżant był doświadczonym policjantem z wieloletnim stażem. Gwadera kilka razy pracował z nim przy trudnych sprawach. Bardzo chwalił sobie tę współpracę. Był pewien, że na pierwszym etapie śledztwa nie będzie zaniedbań. Sierżant znany był z dokładności.

— Co tam mamy, panie komisarzu?

— Na pierwszym piętrze leży mężczyzna. Dwa strzały.

— Żyje?

Komisarz nie musiał odpowiadać.

— Nieźle.

Sierżant obejrzał się na kolegę z patrolu.

— Chodź, Jacek, zabezpieczymy teren.

Policjanci zniknęli w bramie.

Komisarz zerknął w górę.

Na balkonie trzeciego piętra stał wysoki mężczyzna i obserwował radiowóz. W chwili, gdy wyczuł na sobie wzrok komisarza, cofnął się do mieszkania, starannie zamykając okno. W ten sposób odgradzał się od świata i spraw, które jego bezpośrednio nie dotyczyły.

Gwadera czekał na techników i ekipę dochodzeniową.

O wpół do dziesiątej na ulicy pojawił się jakiś samochód. Komisarz spojrzął

na zegarek zdziwiony, że technicy przyjechali tak szybko. Zrozumiał swoją pomyłkę w chwili, kiedy samochód, nie zatrzymując się, przejechał wolno obok i kilka metrów dalej przyspieszył. „Kolejny ciekawski” — pomyślał o kierowcy Gwadera, stawiając go w jednym szeregu z mężczyzną, który kilka minut wcześniej obserwował policjantów do czasu, aż sam nie stał się obiektem obserwacji.

Technicy zjawili się dziesięć minut później. Obyło się bez zbędnych słów. Skierował ich na górę. Rozpoczęła się żmudna praca.

Pół godziny po technikach przyjechał komisarz Grzegorz Marciniak, który tego wieczora pełnił dyżur. Był to korpulentny mężczyzna o podwójnym podbródku i przerzedzonych włosach. Wyglądał na więcej niż swoje pięćdziesiąt lat. Marciniak znany był z gwałtownych zachowań. Gwadera przypomniał sobie, że mężczyzna raz miał z tego tytułu nieprzyjemności. W czasie zatrzymania pobił podejrzanego. Sprawa obita się o wydział wewnętrzny. Marciniakowi groziło wyrzucenie z policji; szło nowe i w demokratycznym państwie nie można było tolerować zachowań z dawnej epoki. Skończyło się wówczas tylko na naganie — za Marciniakiem wstawił się ówczesny komendant.

Marciniak skinął na przywitanie głową. Gwadera w kilku zwięzłych zdaniach opowiedział o wydarzeniach sprzed prawie godziny. Marciniak wysłuchał go w milczeniu. Nie zadawał żadnych pytań. Skinął tylko głową na znak, że wszystko zrozumiał. Tak jak wcześniej przed nim technicy poszedł obejrzeć miejsce zbrodni.

Po kilku zaledwie minutach był z powrotem.

— Niezły burdel — mruknął. Zapalił papierosa. — Co o tym myślisz? — spytał.

Gwadera uśmiechnął się.

Marciniak odebrał to na swój sposób.

— Śmieję się, śmieję. Mam cholernego pecha. Zawsze, kiedy przydarza się coś takiego — wskazał papierosem na klatkę schodową — to akurat ja mam dyżur. Od dwudziestu lat grzebię się w tym gównie... — zrezygnowany machnął ręką.

Marciniak z każdym przepracowanym rokiem popadał w coraz większe zniechęcenie. Często dzielił się z kolegami swoimi życiowymi przemyśleniami, nie zauważając nawet, że jest coraz mniej osób, które chcą go jeszcze słuchać. Gwadera zastanawiał się, czy za parę lat będzie tak samo zgorz-kniały. Pozbawiony złudzeń i bez wiary w to, co robi.

Może rzeczywiście Marciniak ma rację? Jaki sens ma ich praca? Świata nie da się naprawić, wsadzając do więzienia jedną kanię więcej. Świadomość, że w sześciu przypadkach na dziesięć taka osoba po odbyciu kary powróci do wcześniejszego zajęcia, nie była budująca. „I znów od nowa Polska Ludowa” — zakpił w duchu.

Wiedział, że takie myśli prowadzą donikąd. Gdyby każdy w ten sposób patrzył na otaczającą go rzeczywistość, dawno już świat powinien stoczyć się na dno. Na razie zarówno ludzie, jak i świat mieli się dobrze. Oczywiście z małymi wyjątkami.

— Co tam u ciebie? — proste pytanie wyrwało Gwaderę z zamyślenia.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Mam rozumieć, że wszystko już w porządku?

Skinął tylko głową.

— Wracasz?

— Tak. — Był ciekaw, ile jeszcze razy będzie musiał odpowiadać na to pytanie.

— Sporo się zmieniło — Marciniak ściszył głos. — Mam nadzieję, że dokładnie wszystko przemyślałeś. Nadchodzą czasy młodych, mają zapał i energię, ale brak im doświadczenia. Tacy jak ja i ty niedługo będą musieli odejść, ustąpić miejsca tym, którzy patrzą na świat inaczej.

„Nigdzie się nie wybieram” — pomyślał Gwadera.

Marciniak westchnął. Zgasił niedopałek.

Gwadera nie miał ochoty wysłuchiwać jego utyskiwań. Spojrzał uważnie na kolegę.

— Pytasz, co o tym wszystkim myślę? Powiem ci jutro — mruknął i bez słowa wyjaśnienia odwrócił się.

Marciniak odprowadził komisarza wzrokiem. Nawet nie próbował go zatrzymać. Nie był zdziwiony. Tak naprawdę niczemu już się nie dziwił. Wzruszył ramionami. Gwadera był pewien, że inne zdanie na temat jego zachowania będzie miał naczelnik wydziału.

Stanisław Kawecki, postawny czterdziestokilkulatek o siwej czuprynie, przy każdej okazji powtarzał swoim ludziom, że policjantem jest się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dodawał: „Wybierając ten zawód, dobrze wiedziałeś, na co się pieszysz”.

W tej chwili komisarzowi było wszystko jedno, co pomyśli i powie Kawecki. Był zmęczony i zły. Bezosobowa postać popsuła mu ostatni dzień urlopu, przyjemny wieczór. Brutalna rzeczywistość po raz kolejny wtargnęła w jego prywatny świat.

Marzył o jednym. Chciał szybko znaleźć się w domu, nawet jeżeli były to tylko cztery ściany, gdzie zamarło życie. To był jego mały azyl. Ci sami sąsiedzi od lat. Te same mijane w pośpiechu twarze. Ten sam porządek dnia. Z pozoru błahe sprawy w oczach starych mieszkańców kamienicy urastały do ważnych wydarzeń.

Przez ostatnie trzy miesiące przekonał się, że tak naprawdę nie znał ludzi, którzy żyli obok niego. Urlop, a wcześniej chorobowe okazały się w jego przypadku zbawienne. Zbliżył się z sąsiadami, dostrzegł w nich ludzi, nie tylko

przemykające pod ścianami, bezimienne cienie.

Szczególnie cenił sobie sąsiada z drugiego piętra. Był to emerytowany nauczyciel historii Jan Kurski. Mężczyzna miał ciekawą pasję. Były nią podróże, jak sam poetycznie mówił, podróże śladami przeszłości.

Panowie poznali się w zupełnie banalnej sytuacji. W trakcie zakupów w osiedlowym sklepie komisarzowi zabrakło kilku złotych. Zapomniał portfela, a to, co miał w kieszeni, nie wystarczało na zapłacenie rachunku. Kiedy już miał zrezygnować z paru drobiazgów, z pomocą przyszedł mu właśnie Kurski. Szybko okazało się, że panowie mieszkają w tej samej kamienicy. O ile jednak Kurski kojarzył twarz komisarza, ten za nic nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miał okazję go spotkać. W drodze rewanżu za wybawienie z kłopotliwej sytuacji komisarz zaprosił Kurskiego do siebie na kawę. Pierwsze spotkanie przedłużyło się do kilku godzin. Emerytowany historyk tak barwnie opowiadał o swoich licznych podróżach, że czas minął szybko i niezauważalnie.

Od tej pory panowie raz w tygodniu spotykali się na partyjce szachów. Ponieważ żaden z nich nie był dobrym graczem, obaj popełniali masę karygodnych błędów, gra na ogół kończyła się po godzinie. Często remisem. Potem długo przy lampce wina prowadzili rozmowy o wszystkim i niczym. Trafne spostrzeżenia Kurskiego otworzyły komisarzowi oczy na pewne sprawy. Mężczyzna patrzył na otaczający go świat z dystansem. Z filozoficznym spokojem przyjmował to, co przynosiło mu życie, we wszystkim szukając pozytywnych stron.

Dzięki tej znajomości Gwadera odkrył, że dotąd żył jak w kokonie, powoli przesiąkając duszną atmosferą zbrodni, ludzkich małych i większych występków, zatracając kontakt z rzeczywistością. Teraz powoli wracał do równowagi. Tego utraconego po wydarzeniach sprzed niespełna trzech miesięcy, wewnętrznego spokoju. Chciał zapomnieć o tym, co było, ale nie potrafił.

Bardzo długo nie mógł pogodzić się z myślą, że Janusz Wolny, policjant, z którym współpracował przez kilka lat, oszukał go. Z dnia na dzień okazało się, że tak naprawdę nic o nim nie wie. Nie umiał odnaleźć się w tej sytuacji. Janusz Wolny był ostatnią osobą, którą podejrzewałby o współpracę ze światkiem przestępczym.

Dobrze zapamiętał tamten dzień, kiedy zupełnie przypadkowo odkrył, że jego partner gra do dwóch bramek. Rozmawiali o banalnych sprawach, starannie omijając temat prowadzonego akurat śledztwa. Wolny, zamroczony wypitym alkoholem, na krótką chwilę stracił kontrolę nad tym, co mówi i robi. Powiedział kilka słów, na które Gwadera zwrócił uwagę, mimo że tego wieczora także wypił zbyt dużo.

To dało mu do myślenia. Uważniej zaczął obserwować poczynania swojego partnera. Postanowił o niczym nie informować swoich przełożonych do chwili, aż sam nie nabierze przekonania, że jego podejrzenia są słuszne. W miarę upływu

czasu wszystko zaczęło układać się w całość. Pomimo tego nadal miał wątpliwości.

Gwadera zdecydował się rozegrać to po swojemu. W lutowy wieczór pojechał do mieszkania Wolnego. Kiedy było po wszystkim, zrozumiał, że jego największym błędem było to, że działał w pojedynkę.

Wcześniej musiał w jakiś sposób zdradzić się przed Wolnym, gdyż ten wprost powiedział, że wie o jego prywatnym śledztwie i podejrzeniach. Nie miał żadnego oporu. Przyznał się do wszystkiego. Potem wykrzyczał, że nie pozwoli, aby ktoś taki jak Gwadera zniszczył mu życie i przekreślił jego plany.

Gwadera nie spodziewał się tego, co wydarzyło się chwilę później. Dopiero dwa tygodnie po tym, gdy opuścił szpital, koledzy z wydziału opowiedzieli mu o wszystkim. I wtedy zrozumiał, że miał wielkie szczęście. Wolny postrzelił komisarza w ramię. Potem opuścił mieszkanie, wsiadł do samochodu i odjechał. Policja zatrzymała go za Warszawą, na drodze prowadzącej do Łodzi.

Gwadera tylko raz odwiedził Wolnego w areszcie. Zadane wówczas przez niego pytanie pozostało bez jakiegokolwiek odpowiedzi.

Dlaczego?

2.

Budzik zadzwonił o siódmej. Gwadera wyłączył go i pomyślał: „Jeszcze kwadrans”. Drugi raz obudził się kilka minut po ósmej. Przetarł oczy dłonią, próbując pozbyć się resztek snu. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nie dotrze do komendy na czas.

Źle spał. Najpierw długo nie mógł zasnąć. Sen zmorzył go dopiero po trzeciej. Tej nocy Morfeusz nie był dla niego zbyt łaskawy. Obdarzył go koszmarami, z których niewiele zapamiętał. Na dłużej utkwił mu w pamięci obraz zakrwawionych dłoni i mężczyzn z wylupionymi oczyma. Ciekawe, co na to interpretatorzy snów?

Zwłókł się z łóżka i poszedł do łazienki.

Strumień zimnej wody obudził go.

Nie zdążył zjeść śniadania, wypił tylko gorzką herbatę. Oczywiście poprzedniego dnia nie kupił cukru, kawy, brakowało także chleba i masła. Tak naprawdę, poza kilkoma plasterkami obślizgłej kiełbasy i przesuszonego sera, nie miał w lodówce dosłownie nic.

— Ładnie zaczynam tydzień — mruknął sam do siebie, rezygnując z dojadania resztek z lodówki.

Następnych pięć minut stracił na poszukiwaniu kluczyków od samochodu. Był przekonany, że zostawił je w przedpokoju, na szafce. Pamięć płatała mu tego poranka figle. Klucze były, ale zupełnie gdzie indziej, w kurtce.

Zły na siebie, a przy okazji i na cały świat, ruszył zbyt ostro. Samochodem lekko zarzuciło. Zreflektował się. W obecnej sytuacji pośpiech niczemu nie służył.

Nie miało znaczenia, czy spóźni się kwadrans czy pół godziny.

— Cieszę się, że raczyłeś zaszczyścić nas swoją obecnością. — Podinspektor Kawecki odwrócił się od okna i obdarzył Gwaderę niezbyt przyjemnym spojrzeniem.

— Siadaj. — Wskazał na krzesło przy konferencyjnym stole.

Zajął miejsce naprzeciw swego podwładnego i splótł dłonie. Przez kilka chwil milczał.

— Byli tacy, którzy mówili, że już nie wrócisz — rzucił. — Chciałbym, abyś wiedział, że nigdy nie miałem co do tego wątpliwości.

— Robili zakłady? — spytał Gwadera, znając skłonność swoich kolegów do hazardu.

Kawecki nie powiedział tak, nie powiedział nie. Uśmiechnął się tylko lekko.

— Nie chciałem cię na początku zbyt angażować, ale tak naprawdę nie mam wyjścia. Ostatnio zważyło się na nas parę ciężkich spraw. Musisz z marszu wziąć się do roboty.

Gwadera nie miał nic przeciwko temu.

— Porozmawiasz jeszcze tylko z psychologiem, przyniesiesz mi od niego paperek i możesz zająć się swoim morderstwem.

— Swoim?

— Mówię o tym trupie, którego znalazłeś na Smulikowskiego.

Gwadera skinął głową.

Do wyjaśnienia pozostała jeszcze jedna kwestia.

— Z kim będę pracował? — spytał komisarz.

Kawecki potarł w zamyśleniu brodę. Wstał. Podszedł do biurka, przez chwilę szukał czegoś w szufladzie.

Położył przed Gwaderą dwie teczki z wypisanymi na wierzchu drukowanymi literami wyrazami: Akta osobowe. Zanim je otworzył, z ust naczelnika padły dwa nazwiska.

— Katarzyna Wejner.

— Katarzyna — powtórzył imię.

Nigdy jeszcze nie pracował z kobietą, miał wątpliwości, czy będzie umiał znaleźć z nią wspólny język.

— Pani podkomisarz trafiła do nas zaledwie przed dwoma miesiącami.

— Kawecki, widząc niezbyt pewną minę Gwadery, pospieszył z wyjaśnieniem.

— Dotąd zajmowała się drobnymi sprawami, typu kradzieże — przerwał. — Druga osoba to Jakub Osmałek. Miałeś okazję poznać przy sprawie gwałciela z Hożej.

Gwadera wykrzywił twarz w grymasie. Dobrze pamiętał tamte wydarzenia sprzed kilku lat. Dobrze zapamiętał też Osmałka. Mężczyzna przyszedł do policji zaraz po szkole, siedem lat temu. Zapowiadał się na dobrego gliniarza. Potem zatrzymał się i został tylko zwykłym wyrobnikiem, brakowało mu tego błysku,

który pozwoliłby mu wspinać się po szczeblach kariery. Osmałek początkowo prowadził śledztwo sam. Kawecki szybko zorientował się, że podkomisarz nie radzi sobie z tą sprawą, i pod pretekstem wymiany doświadczeń przydzielił mu do pomocy właśnie Gwaderę. To dzięki niemu wpadli na trop sprawcy, który do czasu, zanim komisarz włączył się do śledztwa, nie był nawet w grupie podejrzanych, choć tak naprawdę wszystkie ślady prowadziły prosto do niego. Kiedy było już po wszystkim, Osmałek całą winę za swą nonszalancję i brak zaangażowania w śledztwo zrzucił na problemy natury osobistej. Tłumaczył, że wybierał się na urlop, aby uporządkować swoje prywatne życie, gdy został zupełnie nieoczekiwanie wyznaczony do prowadzenia tego zawilego śledztwa. Myślni był zupełnie gdzie indziej. Samo to, że tłumaczył się w taki sposób, w oczach Gwadery dyskwalifikowało go jako policjanta. Widocznie innego zdania był naczelnik, gdyż Osmałek pomimo tej oczywistej wpadki pozostał w wydziale. I, jak widać, miał się zupełnie dobrze.

Gwadera zastanawiał się przez chwilę, co jeszcze wie o tym człowieku. Dochodziły do niego informacje, że Osmałek w latach studenckich otarł się o koszykarską kadrę reprezentacji uniwersytetu. Z tamtych czasów pozostało mu zainteresowanie tą dyscypliną sportu. Co prawda, jego ukochana drużyna Polonia Warszawa nie odnosiła sukcesów, ale, jak przystało na prawdziwego fana, był z nią na dobre i na złe.

— Wydawało mi się, że wyjechał z Warszawy...

— Tak. Przez ostatnie dwa lata pracował w Trójmieście, niedawno wrócił.

— A ty postanowiłeś przyjąć go z otwartymi ramionami — zauważył złośliwie.

— Sprawa zespołu nie podlega dyskusji — Kawecki tym stwierdzeniem zamknął komisarzowi usta.

Gwadera otworzył pierwszą teczkę.

Katarzyna Wejner okazała się krótkowłosą blondynką o delikatnych rysach twarzy. Przeczytał, że wyróżniała się analitycznym umysłem, co czyniło z niej bardzo cennego pracownika. Przeczytał też, że dobrze strzelała. W głębi duszy życzył jej, aby jak najdłużej nie musiała robić użytku z broni służbowej.

— To dobrzy policjanci — Kawecki przerwał jego rozważania.

— Osmałek też? — komisarz nie mógł powstrzymać się od tej kąśliwej uwagi.

Kawecki machnął zniecierpliwiony dłonią.

— Jakub zna się na swojej pracy.

— Tak, rzeczywiście, pokazał to pięć lat temu.

Inspektor spojrział groźnie na Gwaderę.

— Było, minęło... — skwitował. — Spróbuj im zaufać.

— Nie będzie to łatwe — mruknął.

— Wiem, ale... do jasnej cholery — uniósł się — nie jesteśmy na pieprzonym Dzikim Zachodzie, a ty nie jesteś szeryfem, by samodzielnie wymierzać sprawiedliwość. To praca zespołowa.

Kawecki wstał. Był poirytowany. Miał dosyć tej rozmowy. Podeszedł do okna.

— Marciniak przesłuchał świadków na miejscu, a właściwie jednego — podjął. — Małgorzatę Wolańską, tę kobietę spod trójki, z którą miałeś okazję rozmawiać. Jako świadka wydarzeń wskazała oczywiście ciebie. I od tego momentu wszystko się zgadza. Tak naprawdę interesuje nas to, co się działo wcześniej. Tu masz akta sprawy. — Podał komisarzowi teczkę.

Nie było tego dużo. Protokół z przesłuchania, raport mundurowych, notatki Marciniaka. Gwadera zastanawiał się, od czego powinien zacząć.

— Wolańska została wezwana na dziesiątą — w świat jego myśli wtargnął głos naczelnika. — Trzeba jeszcze raz ją przesłuchać. Może coś pominęła. — Machnął ręką. — Po co ja ci to mówię?

— To wszystko?

Nie odpowiedział.

Czyli wszystko. Sam miał tylko jedno pytanie:

— Kto z prokuratury nadzoruje śledztwo?

— Czapski...

Była to dobra wiadomość. Gwadera miał okazję współpracować z Czapskim przy kilku poważnych sprawach. Prokurator zbyt nie wtrącał się do prowadzonego śledztwa, pozostawiając policjantom dużo swobody. Interesowały go tylko efekty. Miał nadzieję, że tak samo będzie i tym razem.

Gwadera był już przy drzwiach, gdy zatrzymał go głos Kaweckiego:

— Poczekaj.

Kawecki popatrzył ciężko na swego podwładnego.

— Dla mnie tamta sprawa sprzed trzech miesięcy już nie istnieje. Zatarła się.

To dlaczego do tego wracasz? — chciał spytać, ale nie zrobił tego. Szef był tego dnia wyraźnie w nie najlepszym humorze.

— Mam do ciebie pełne zaufanie — powiedział naczelnik.

Gwadera w odpowiedzi skinął tylko głową. W tym wypadku słowa były niepotrzebne.

Dochodziła dziewiąta, gdy stanął przed drzwiami swojego dawnego pokoju. Zawahał się. Jego nazwisko ciągle widniało na plakietce. Odetchnął z ulgą.

Otworzył drzwi i rozejrzał się po pokoju. Niewiele się zmieniło. Z wyjątkiem liczby biurek, wszystko było dokładnie tak jak przed paroma miesiącami. Ten sam zapach kurzu. Te same szafy, które od dawna straszły starością. Ten sam ponury widok za oknem, na dachy policyjnych garaży.

Wolno podeszedł do biurka. Usiadł na swoim starym miejscu i otworzył

teczkę. Przebiegł wzrokiem notatki Marciniaka dotyczące rozmowy z Małgorzatą Wolańską. Kobieta zachowała wobec stróża prawa powściągliwość. Nie powiedziała zbyt wiele. Właściwie nie powiedziała nic ponad to, co sam wiedział.

„Zaniepokojona dziwnym dźwiękiem wyszłam na korytarz” — przeczytał. I dalej: „Na klatce pojawił się szczupły mężczyzna o smutnych oczach. To on zadzwonił po policję. Potem zniknął”.

Odłożył notatki i sięgnął po protokoły z przesłuchań mieszkańców kamienicy. Dotąd policjanci dotarli zaledwie do siedmiu osób. Pozostali lokatorzy byli nieobecni lub po prostu najzwyczajniej w świecie udawali, że nie ma ich w domu. Był weekend, czas, kiedy warszawiacy wyjeżdżali z miasta.

W protokołach powtarzało się to samo stwierdzenie. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

„Cholera, jak w czeskim filmie” — pomyślał. Po zapadnięciu zmroku ludzie zamykają się w swoich czterech ścianach i nie obchodzi ich to, co dzieje się na zewnątrz, za drzwiami.

Gwadera przejrzał pozostałe dokumenty i stwierdził, że śledztwo już na samym początku utknęło w martwym punkcie.

Ze sporządzonych notatek wynikało, że Osmałek jeszcze w niedzielę sprawdził w policyjnej bazie danych odciski palców denata. Niestety, czynność ta nie rozstrzygnęła podstawowej kwestii. Bez odpowiedzi pozostało pytanie — kim jest zamordowany. Jego tożsamość pozostała tajemnicą. Dla policji po prostu nie istniał. W swym niezbyt długim życiu nie zrobił absolutnie nic, co zwróciłoby na niego uwagę stróżów prawa.

Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Na tym etapie śledztwa najważniejsze stało się ustalenie, kim jest ofiara. Zapowiadała się żmudna praca.

Gwadera zerknął na dołączone do akt zdjęcia. Jego uwagę przyciągnęło to, które przedstawiało twarz denata. Flesz policyjnego aparatu wyłapał na niej to, czego komisarz nie dostrzegł w ciemności tamtego wieczoru. Nie miał wątpliwości. Na twarzy mężczyzny zastygł uśmiech. To mogło oznaczać jedno — nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Być może znał osobę, która do niego strzelała. Gwadera zapisał to spostrzeżenie, zdanie podkreślił podwójną kreską.

Pogrążony we własnych myślach nie zauważył, że od kilku chwil nie jest już w pokoju sam. W drzwiach stał Jakub Osmałek.

— Witam, komisarzu — rzucił.

Gwadera uniósł głowę i spojrzał na policjanta.

Zapamiętał Osmałka jako szczupłego blondyna o lekko przygarbionej sylwetce. Patrzył na jego twarz, której charakterystyczny element stanowiły wiecznie podkrążone oczy, i doszedł do wniosku, że przez tych kilka lat w wyglądzie mężczyzny zaszły niewielkie zmiany. Może tylko lekko przytył.

Osmałek podszedł i wyciągnął na przywitanie rękę. Na kilka długich sekund

zawisła w powietrzu.

— Cieszę się, że będziemy razem pracować — oznajmił.

Komisarz ugryzł się w język, aby nie powiedzieć: niestety.

Osmalek spojrzał wyczekująco na Gwaderę. Teraz ruch należał do niego.

— Uhm — to wszystko, na co było w tej chwili stać komisarza.

Policjant zajął miejsce za biurkiem. Rozparł się wygodnie na krześle, wyciągając przed siebie nogi, i czekał. Wcześniej czy później komisarz musiał podjąć z nim rozmowę. Cisza przedłużała się.

— Panie komisarzu — pierwszy nie wytrzymał Osmalek.

Gwadera oderwał wzrok od papierów. Był zdziwiony, że Osmalek zwrócił się do niego w tak oficjalny sposób. Dobrze pamiętał, że kiedy pracowali razem przy sprawie mordercy z Hożej, szybko zaproponował przejście na ty. Nie wierzył, że Osmalek zapomniał o tym.

— Po prostu Roman — rzucił.

— Jeżeli masz jakieś pytania — Osmalek wskazał głową na leżące przed komisarzem dokumenty.

— Wiemy, że nic nie wiemy — Gwadera podsumował dotychczasowe ustalenia.

Tym krótkim, niepozornym zdaniem wprowadził swojego młodszego kolegę w konsternację. Osmalek podrapał się za uchem.

— No tak... Można tak powiedzieć — przyznał. — Ale... zauważyłeś, że nie wszystkich lokatorów udało się przesłuchać. Kiedy wróci Kasia, pojedziemy tam jeszcze raz. Może ktoś sobie coś przypomni.

Komisarz spojrzał na puste biurko.

— Właśnie, a gdzie podkomisarz Wejner? — zadał pytanie, które, jak przystało na dobrego szefa, dawno już powinien zadać. Zgromił się w myślach za to zaniedbanie.

— Ma spotkanie z patologiem.

Gwadera nic nie powiedział. Zbyt dobrze pamiętał, jak sam w pierwszych miesiącach pracy w wydziale musiał wziąć udział w przeprowadzanej sekcji zwłok. Nie były to dobre wspomnienia, ale, jak to w takich wypadkach bywa, tkwiły w umyśle niczym zadra.

Później wrażliwość zastąpiła rutyna.

— Jeszcze jedno — myśli przerwał głos Osmalka. — Przy denacie znaleźliśmy kluczyki samochodowe.

— Dopiero teraz mi to mówisz?

Komisarz patrzył na Osmalka zamyślonym wzrokiem. Dokładnie przeszukał zamordowanego, jak to możliwe, że niczego nie znalazł?

— Gdzie?

— Leżały parę kroków dalej — te słowa wszystko wyjaśniały.

— W ciemności prawie niewidoczne. Mogłeś ich nie zauważyć.

Gwadera zerknął do akt sprawy.

— Dlaczego nikt tego nie odnotował? — spytał z lekkim wyrzutem w głosie. Osmalek nie odpowiedział. To nie on sporządzał notatki.

— Co z samochodem?

— Żaden ford nie parkuje na ulicy.

— Nie musiał zaparkować akurat na Smulikowskiego. Sprawdziłeś okolicę? Wyraz twarzy Osmalka wystarczył za odpowiedź.

— Nie czekaj na Wejner. Jedź tam teraz, rozejrzyj się.

— Spróbuję coś ustalić — mruknął. Był zły, że sam nie wpadł na ten pomysł.

„Szukajcie, a znajdziecie, pukajcie, a będzie wam otworzone” — pomyślał komisarz.

Osmalek wstał.

Kiedy podkomisarz wyszedł, Gwadera powrócił do analizowania zebranych dokumentów.

Na pustej kartce wypisał kilka pytań. Dlaczego mężczyzna zginął?

Odpowiedź nasuwała się sama. Napad na tle rabunkowym. Przemawiał za tym brak przy denacie portfela, telefonu, pieniędzy, kluczy od domu, dokumentów, w tym prawa jazdy. Gwadera miał wątpliwości. Złodzieje nie działali w taki sposób. Oni zabijali jedynie w ostateczności. Wyglądało to raczej na wyrok. Dwa strzały. Prawdopodobnie morderca strzelał z pistoletu wyposażonego w tłumik. Morderstwo na zlecenie? Wszystko było możliwe.

Następne pytanie — dlaczego akurat w tym miejscu? Gwadera założył, że mężczyzna pojawił się w kamienicy w określonym celu. Możliwe, że przyszedł do kogoś w odwiedzin. Pozostało pytanie — do kogo?

Potarł skronie. Od pewnego czasu zastanawiał się, co ma zrobić z ludzikami, które wierciły mu dziurę w głowie. Filiżanka mocnej kawy powinna przywrócić mu jasność myślenia.

Wyszedł na korytarz. Obok przeszedł mundurowy w stopniu sierżanta i obdarzył Gwaderę badawczym spojrzeniem. Zatrzymał się.

— Pan kogoś szuka? — spytał.

— Kawy — rzucił zamyślony.

— To nie kawiarnia — zauważył policjant niegrzecznym tonem.

Gwadera w pierwszym momencie zaniemówił.

— Słuszna uwaga, sierżancie. Komisarz Gwadera — przedstawił się.

Sierżant wcześniej musiał słyszeć to nazwisko. Na jego kamiennej twarzy pojawił się grymas, który zapewne miał być uśmiechem.

— Pomylił pan drogę, komisarzu.

Gwadera dopiero teraz zauważył, że skierował się nie w tę stronę.

— Pięknie — mruknął do siebie.

Nie miał ochoty na następne spotkanie z kolegami i prowadzenie pustych rozmów na temat swojego powrotu. Ucieszył się, gdy w kuchni nikogo nie zastał. Miało to swoje dobre i złe strony.

Nieco zagubiony stał przy kuchennym blacie. Zajrzał do wiszącej szafki. Na półce stało kilka puszek z kawą i herbatą. Sięgnął po pierwszą z brzegu. Kiedy otworzył wieczko, poczuł przyjemny zapach.

Wybrał jeden ze stojących na suszarce kubków. Dopiero po chwili spostrzegł na nim zabawny rysunek Mleczki. Uśmiechnął się pod nosem.

— Siódme: nie kradnij — usłyszał za sobą kobiecy głos.

Odwrócił się.

Przed nim stała młoda kobieta. Rozpoznał w niej Katarzynę Wejner.

— To moje — żartobliwemu tonowi, jakim wypowiedziała te słowa, nie towarzyszył uśmiech.

— Przepraszam. — Odstawił kubek na miejsce.

Kobieta była nienaturalnie blada, usta miała nerwowo zaciśnięte.

— Jak w prosektorium?

Wejner popatrzyła na niego uważnie.

— Komisarz Gwadera — nie pytała, stwierdzała fakty.

— We własnej osobie... Mam nadzieję, że nie powie pani za chwilę: królestwo za kubek — pozwolił sobie na żart.

— Podkomisarz Katarzyna Wejner — utrzymując lekki ton rozmowy, stanęła na baczność.

Prezentację mieli już za sobą.

Po chwili siedzieli przy stole i pili kawę.

Gwadera patrzył na kobietę i zastanawiał się, co w tej chwili czuje.

Odstawił kubek.

— Pierwsza sekcja? — spytał.

Skinęła głową.

— Prawie się porzygałam — mruknęła wpatrzona w okno.

Przyznała się do chwili słabości.

Gwadera docenił jej szczerłość.

Odetchnął z ulgą. Obawiał się, że będzie grała twardziela, kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. Nic z tych rzeczy.

Była naturalna i to mu się w niej podobało.

— To są aspekty naszego zawodu, których nigdy nie brałam pod uwagę... — dodała. Uniosła wzrok.

— Nie musiała pani tam iść.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

— Chciałam mieć swój pierwszy raz za sobą. A pan, komisarzu? Jak

pierwszy dzień w pracy? — szybko zmieniła temat.

— Mężący — odpowiedział zgodnie z prawdą.

Milczeli.

— Czego się tam pani dowiedziała? — zagadnął, gdy cisza niebezpiecznie przedłużyła się.

— Doktor używał naukowego żargonu.

— Mam nadzieję, że jednak coś pani od niego wydobyła?

— Oczywiście. Powiedziałam mu po prostu, żeby przestał pieprzyć głupoty i przeszedł do rzeczy.

Chciał widzieć jego minę.

— I co on na to? — Spojrzał na nią lekko rozbawiony. Znał lekarza bardzo dobrze, wiedział, że zawsze tak postępował z młodymi policjantami.

Ponad wszystko Prawica cenił sobie bezpośredniość, dlatego jej słowa musiały zrobić na nim wrażenie.

— Patrzył na mnie dokładnie tak samo jak pan teraz.

Spoważniał.

— To znaczy jak? — spytał niewinnie.

— Tak jak mężczyźni patrzą na kobiety, gdy te radzą sobie w sytuacjach, w których nie powinny sobie poradzić...

— Na przykład?

— Na przykład, gdy wbijamy gwoździe lub malujemy mieszkanie.

„Pora zmienić temat” — pomyślał. Dyskusja zmierzała w niebezpieczną stronę.

— Wracając do sprawy.

Zrozumiała.

— Padły dwa strzały.

To już wiedział.

— Najpierw w klatkę piersiową, a potem w skroń. Wszystko wskazuje na to, że strzelał ktoś, kto potrafi posługiwać się bronią.

— Jaka to broń?

— Będą wiedzieć najwcześniej jutro, ale raczej po południu, nie rano.

Zerknął na zegarek.

Wpół do dziesiątej.

Wstał. Odstawił kubek do zlewu.

— Wracajmy do pokoju — zaproponował.

Skinęła tylko głową.

— Co zdecydowało, że tak delikatna i... piękna kobieta jak pani wybrała typowo męski zawód? — spytał, gdy zajęli swoje miejsca.

— Zapomina pan, że mamy równouprawnienie.

„Zostawmy tę odwieczną walkę płci” — pomyślał.

— Zawód dobry jak każdy inny — próbowała go zbyć.

— Ktoś w rodzinie był policjantem? — drążył temat.

— Dlaczego pana komisarza to tak bardzo interesuje?

— Pytam z ciekawości.

— Nie. Nikt w rodzinie nie był związany z policją. Podjęłam służbę nie ze względu na tradycje rodzinne, bo takowych w rodzinie nie było. To było moim marzeniem. Gdy tak dłużej zastanawiam się nad tym, to jednak muszę stwierdzić, że o mojej decyzji zaważyło raczej miejsce.

— Miejsce?

— Wychowywałam się w tak zwanej trudnej dzielnicy.

— Praga?

— Tak. Praga.

— Chce pani zwalczać zło w każdej jego postaci?

— Nie — uśmiechnęła się — chcę po prostu pomagać innym

Zastanawiał się, na ile ta banalna odpowiedź była zgodna z prawdą.

— Na razie żadnych rozczarowań?

— Nie wydaje się panu, że na to jest zbyt wcześnie?

Przyznał jej rację. Na rozczarowania przyjdzie czas. A może Wejner uda się uniknąć tej pułapki zniechęcenia, w jaką wpadali po jakimś czasie jej koledzy. Może zanim dopadną ją wątpliwości, czy dokonała właściwego wyboru, odejdzie ze służby, poświęcając się wychowywaniu dzieci.

Jednego był pewien, Wejner twardo stąpała po ziemi. Tych kilka minut rozmowy wystarczyło mu do stwierdzenia, że kobieta przytomnie patrzyła na otaczającą ją rzeczywistość. Zdawała sobie sprawę, że nie ma prostych śledztw, każde to długa i żmudna praca, która nie zawsze przynosi satysfakcję.

— Zrobimy pani Kasiu tak — znów spojrzął na zegarek — o dziesiątej przyjdzie Małgorzata Wolańska, przesłucham ją, pani w tym czasie...

To, co chciał jej zlecić, nie było na pewno zbyt pasjonującym zajęciem, ale ktoś musiał to zrobić.

— Ja w tym czasie... — powtórzyła jego ostatnie słowa.

— Poszuka pani w naszych bazach podobnych historii...

Przez twarz Wejner przebiegł lekki uśmiech, który prawdopodobnie miał ukryć rozczarowanie.

— Nie dziwię się...

— Słucham?

— Dla siebie zostawia pan lepsze kąski...

— To, niestety, przywilej szefów... — uciął wszelkie dyskusje.

Wstała.

— Rozumiem. Muszę zapłacić frycove — mruknęła.

— Może to pani nazywać, jak chce, ale... — zawiesił głos.

Zrobiła minę na temat: I tak wiem swoje.

— Powodzenia — rzucił.

Czas mijał szybko. Za dwie dziesiąta Gwadera usłyszał pukanie.

Do pokoju w towarzystwie mundurowego weszła Małgorzata Wolańska. W jej wyglądzie zaszły pewne zmiany. Przede wszystkim kobieta nie miała okularów. Dzięki temu jej twarz stała się bardziej subtelna. Całości dopełniał delikatny makijaż, podkreślający piękną oprawę oczu. Tego dnia Wolańska ubrana była w fioletową bluzkę, zapinaną na drobne guziczki, i nieznacznie zakrywającą kolana, jasną spódniczkę.

Wzrok Gwadera zatrzymał się na zgrabnych nogach. „Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach” — pomyślał. Kobieta reprezentowała ten typ urody, który zawsze mu się podobał.

Zauważył, że Wolańska nie ma na palcu obrączki. Oczywiście o niczym to nie przesądzało. Znał wiele osób, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, które nie nosiły obrączek, pomimo że od wielu lat pozostawały w związkach małżeńskich.

Wolańska przystanęła w drzwiach. Patrzyła na komisarza z zaciekawiona.

— Co za spotkanie — w jej głosie wyczuł ironię.

Uśmiechnął się lekko.

— Życie umie płać różne figle — skwitował nieco filozoficznie.
— Proszę — wskazał krzesło.

Usiadła.

— A ja zastanawiałam się, gdzie pan zniknął i dlaczego policja pozwoliła panu odejść.

— Możemy zacząć? — spytał.

— Oczywiście. Jestem tu przecież po to, aby po raz kolejny odpowiadać na te same pytania — w głosie kobiety zabrzmiał sarkazm.

— Skąd pani wie, że te same?

— O co może mnie pan jeszcze spytać? Przecież był pan tam razem ze mną i dokładnie wie, jak było.

— Niezupełnie, droga pani. Byłem tam, ale to pani pierwsza znalazła ciało.

Zerknął do notatek sporządzonych przez Marciniaka.

— Małgorzata Wolańska — odczytał imię i nazwisko.

Skinęła tylko głową.

— Ma pani dowód?

— Przecież ma pan przed sobą wszystkie moje dane. Po co jeszcze raz...

— Dowód poproszę — powiedział już mniej grzecznym tonem.

Spisał informacje, które były mu potrzebne, i oddał dokument. Schowała go do bocznej kieszonki torebki. Wyprostowała się na krześle.

Miał zadać pierwsze pytanie, gdy zadzwonił telefon. Rozbrzmiała melodyjka z *Mission Impossible*. Dobrze, że nie rzenie konia lub gdakanie kury. Wolańska

niepewnie spojrzała na komisarza.

— Mogę odebrać?

— Oczywiście.

Odwróciła się bokiem i cichym, nieco zirytowanym głosem powiedziała: — Mówiłam, że nie teraz. Gdzie jestem? Zadzwoń później. — Zdecydowanym gestem zamknęła klapkę telefonu. Boczny przyciskiem wyciszyła głos.

— Zacznijmy od początku. Zeznała pani, że jest w Warszawie od miesiąca — podjął.

— Zgadza się.

— Nie zna pani denata i w sobotę widziała go po raz pierwszy.

Skinęła głową.

— Długo ma pani zamiar zabawić w Warszawie?

— Póki nie uporządkuję swoich spraw.

— To znaczy?

— Chcę sprzedać mieszkanie. Otrzymałam je w spadku po dalekiej krewnej.

— Potem pani wraca?

— Tak.

— Do swojego uporządkowanego świata? — kontynuował.

Spojrzała na niego lekko zdziwiona. Pytanie odbiegało od głównego tematu.

— Nie jest on tak uporządkowany, jak się panu wydaje.

— Do męża i dzieci? — spytał niewinnie.

Zreflektował się. Posunął się o jeden krok za daleko.

— Przepraszam — powiedział.

Znów posiłkował się spisany przez Marciniaka notatkami.

— Wracając do sprawy. Oglądała pani telewizję, gdy z korytarza dobiegł dziwny odgłos... — zerknął do notatek — „jakby ktoś upadał” — przeczytał jej słowa.

— Tak mi się wydawało.

— Która była godzina?

— Już mówiłam, oglądałam film.

— Na jedyńce?

— Tak.

— Między wpół do dziewiątej a dziewiątą?

— Bliżej dziewiątej.

Szybko dokonał obliczeń. Od Tkaczyka wyszedł pięć po dziewiątej. Dokładnie zapamiętał tę godzinę. Zanim opuścił mieszkanie, zerknął na ustawiony w przedpokoju stylowy zegar. Wskazywał, co prawda, kwadrans po dziewiątej, ale gospodyni, która zauważyła jego zainteresowanie antykiem, szybko wyjaśniła, że zegar spieszy się dziesięć minut.

— Postanowiła pani sprawdzić, co się stało.

— Tak.

— Dlaczego po prostu nie zadzwoniła pani pod sto dwanaście? — zadał pytanie, które nurtowało go od dłuższego czasu.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Działałam instynktownie.

„Instynkt kazałby pozostać pani w domu” — pomyślał.

— Wydaje mi się, że każdy, będąc na moim miejscu, postąpiłby podobnie... — nie dokończyła.

Wyraz twarzy komisarza wystarczył za całą odpowiedź.

— Ma pan rację. Powinam tak jak inni mieszkańcy kamienicy udawać, że nic się nie dzieje. Głucha i ślepa na dźwięki dochodzące z zewnątrz. — Sprawiała wrażenie lekko zdenerwowanej. — Gdybym tak zrobiła, miałabym dzisiaj święty spokój, nie musiałabym tutaj siedzieć i odpowiadać na głupie i mniej głupie pytania.

Nie przerywał jej. Pozwolił, aby płynęły słowa, z którymi, nie zgadzał się do końca. Zwłaszcza z tymi, które dotyczyły jego pytań.

Zamilkła.

— Postąpiła pani słusznie — powiedział.

— Mam chociaż spokojne sumienie... — mruknęła.

„Miło, że ktoś na tym popieprzonym świecie ma jeszcze jakieś zasady” — pomyślał Gwadera z goryczą.

Kobieta coraz bardziej intrygowała go.

Szukał w myślach odpowiedniego słowa, by określić jej osobowość.

Była...

Na chwilę zawahał się.

Niedzisiejsza.

— Proszę mówić dalej — zachęcił.

— Najpierw zerknęłam przez wizjer, ale było ciemno.

— Zaniepokoiło to panią?

— Tak. Otworzyłam drzwi i wtedy go zobaczyłam. Chwilę później pojawił się pan. Tak naprawdę, to bardziej wystraszyłam się pana niż tego leżącego mężczyzny.

— Może dlatego, że wówczas jeszcze pani nie wiedziała, że ten mężczyzna nie żyje — podsunął.

— Dosyć szybko uświadomił mi pan to — zauważyła.

Zastanawiał się nad następnym pytaniem.

— Ten mężczyzna jakoś się nazywa? — ubiegła go.

— Jeszcze nie... — od razu pożałował, że w ogóle wypowiedział te słowa.

— Chce pan powiedzieć, że nie znacie jego tożsamości? — Była zdziwiona.

Na kilka chwil role odwróciły się. Teraz to ona zadawała pytania.

— To kwestia czasu.

— Tak?

Komisarz uśmiechnął się.

Wolańska odebrała to na swój sposób.

— Czyżby tak rozbawiła pana indolencja policji?

Uśmiech szybko znikł z jego twarzy. Kobieta po raz kolejny zaskoczyła go.

— Mogę już iść?

Nie miał więcej pytań, ale nie chciał, aby rozmowa skończyła się w ten sposób.

— Tak, oczywiście — powiedział zamyślony. Wstał.

— Przepustka — wskazała na leżący na biurku dokument.

W momencie, gdy stawiał pieczętkę, do pokoju zajrzał Osmałek. Gestem dłoni dał znak, że chce porozmawiać. Gwadera odczytał z jego twarzy, że coś się stało. Wyszedł bez słowa, pozostawiając kobietę samą.

— Mam dobre wieści — oznajmił podkomisarz.

— Mów.

— Znaleźliśmy samochód. Miałeś rację. Facet zaparkował kawałek dalej, obok kościoła świętej Teresy. W środku był pełen zestaw dokumentów. Prawko, dowód osobisty, jego wizytówki — odwlekał przekazanie informacji, które były najistotniejsze.

— Tak?

— Zamordowany nazywa się Andrzej Babicz.

— Coś jeszcze?

— Tak, pracuje w Eastern European Instrument, jest wiceprezesem tej firmy.

— Komórka?

— W schowku.

Zrobili mały krok do przodu. Informacje, które przekazał Osmałek, znacznie poprawiły Gwaderze humor.

— Znaleźliśmy jeszcze coś — Osmałek zawiesił głos dla spotęgowania napięcia

— Tak?

— Na podłodze leżało kilka tabletek amfy...

Gwadera wrócił do pokoju.

— Dobre wiadomości? — spytała Wolańska, obserwując jego twarz.

W odpowiedzi skinął głową.

— Czy mówi pani coś nazwisko Babicz? Andrzej Babicz? — doprecyzował.

Nie zastanawiała się nawet sekundy.

— Nie.

Tak, to byłoby na tyle.

— Dziękuję. To wszystko.

Sięgnął po wizytówkę i podał Wolańskiej.

— Proszę się odezwać, gdyby sobie coś pani przypomniała.

Schowała wizytówkę do torebki.

— Odprowadzę panią — zaoferował się.

3.

Pierwszą naradę odbyli po dwunastej. Siedzieli w sali konferencyjnej, analizując wszystkie zebrane informacje.

Gwadera streścił rozmowę z Wolańską. Podzielił się swoimi przypuszczeniami, że kobieta rzeczywiście powiedziała wszystko już podczas pierwszego przesłuchania. Zgodzili się co do tego. Nie było żadnych podstaw, aby kwestionować jej słowa.

Potem głos zabrał Osmalek. W kilku suchych zdaniach powiedział, co ustalił. Na dłużej zatrzymał się przy znalezionych w samochodzie tabletkach.

— Czy ktoś taki jak on brał? — Gwadera rzucił pytanie.

Pierwszy odpowiedział Osmalek.

— Sądzę, że tak — mężczyzna nie miał żadnych wątpliwości.

— Pani Kasiu? — Gwadera chciał wysłuchać opinii obojga policjantów.

— Nie mogę zgodzić się z tym stwierdzeniem — zaczęła ostrożnie. — Masa ludzi bierze, ale to, że znaleźliśmy amfę w jego samochodzie, jeszcze o niczym nie przesądza. Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Mógł przecież jechać z kimś, kto ma tego rodzaju problemy.

Komisarz pokiwał głową na znak, że zgadza się z jej zdaniem. Istniało ryzyko, że przyjmując tylko jeden punkt widzenia mogą zabrnąć w ślepią uliczkę.

— Nie możemy odrzucać żadnej ewentualności — zauważył spokojnie. — Twoje przypuszczenia — zwrócił się bezpośrednio do Osmalka — mogą skierować śledztwo na określone tory, ale powiedz mi, co będzie w przypadku, gdy nasze założenia okażą się błędne?

Tym prostym pytaniem chciał zmusić ich do analizy wszystkich możliwości. Interesowały go argumenty, jakich użyją do obrony swoich racji.

— Zaczniemy od nowa — powiedział Osmalek lekko.

Wejner spiorunowała go wzrokiem. Naczelnik, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, spojrział zdziwiony na podkomisarza.

— Tak po prostu? — spytał.

Osmalek nie odpowiedział.

— Rozumiem, że dla pana czynnik czasu nie ma żadnego znaczenia? — głos Kaweckiego był stanowczy. Potarł dłonią brodę. Był to nieomylny znak, że jest poirytowany. — Dobrze pan wie, że najważniejsze są pierwsze ustalenia. Zmarnowaliście jeden dzień, a pan mi mówi, że śledztwo będzie można w każdym momencie rozpocząć od nowa.

Gwadera, który w milczeniu obserwował Katarzynę Wejner, dostrzegł na jej twarzy oznaki zdenerwowania. Posłał kobiecie uśmiech, chcąc w ten sposób dodać jej otuchy. Nie była niczemu winna, dopiero zaczynała swoją drogę w policji.

— Nie mieliśmy nic — Osmalek bronił się. — Żadnego punktu zaczepienia. Przesłuchaliśmy wszystkich, których udało nam się złapać...

— I co, podkomisarzu? — Kawecki uciął zimno. — I gównu — sam odpowiedział na pytanie.

— Był weekend... — Osmalek jeszcze próbował ratować sytuację.

Naczelnik lekceważąco machnął dłonią. Zdecydowanym ruchem zebrał papiery. Przeniósł wzrok na Gwaderę.

— Najpóźniej przed trzecią chcę mieć plan śledztwa — powiedział twardo.

Gwadera skinął głową. Nie miał zamiaru toczyć sporu ze swoim szefem. Nie pierwszego dnia. Pan każe, sługa musi.

Byli już przy drzwiach, kiedy Kawecki przypomniał sobie jeszcze o czymś.

— Wokół sprawy może węszyć prasa. Dziennikarzy biorę na siebie.

Dla Gwadery, który nie krył swojej niechęci do dziennikarzy, była to dobra wiadomość.

Kiedy wrócili do pokoju, Gwadera dostrzegł na biurku papierową torbę ze znalezionymi w samochodzie Babicza rzeczami, którymi w pierwszej kolejności zajęli się technicy, zdejmując ślady linii papilarnych. Nie sądził, aby znaleźli coś szczególnego.

Zdecydowanym ruchem wyrzucił wszystko na biurko. Dowód osobisty, prawo jazdy, skórzany portfel, notes i parę innych drobiazków, wśród nich wizytownik.

Gwadera wziął do ręki dowód i zerknął na zawarte na nim dane. Andrzej Babicz urodził się ósmego marca 1971 roku. Zbyt wcześnie, by wejść w dorosłe życie bez bagażu doświadczeń lat osiemdziesiątych, zbyt późno, aby znaleźć się w szeregach tych, którzy tak głośno rozmawiali o swoich zasługach w walce z komuną. Mieszkał przy Cybulskiego 23.

Na kilka chwil komisarz wyłączył się z prowadzonej między młodymi policjantami dyskusji. Ich lekko podniesione głosy przywróciły go do rzeczywistości.

Zerknął na Osmalka, który nie wyglądał na kogoś, kto przejął się reprimendą naczelnika.

— Facet znalazł się w nieodpowiednim czasie i miejscu, może rzeczywiście to przypadek, wychodził od kochanki, tutejsi żule wyczuli pieniądze i bach... — przedstawiał swoją teorię.

— Upraszczasz. Tutejsze żule nie działają w ten sposób. I nie w tym miejscu — weszła mu w słowo Wejner.

— A może to zazdrosny mąż nie mógł żyć dalej z myślą, że żona przyprawia

mu rogi?

— Jesteś dziś szalenie twórczy — zauważyła z przekąsem Wejner.

— Nie możemy odrzucać żadnego wątku — bronił się.

— To już nie narkotyki?

— Szukam alternatywnych rozwiązań.

Gwadera na razie nie chciał mieszać się w tę wymianę zdań. „Dobrze, że główkują — pomyślał. — Gorzej gdyby nie mieli żadnych pomysłów czy teorii”.

Zastanawiał się nad dalszymi posunięciami. Widział przed sobą kilka ścieżek. Na podstawie tego, co do tej pory udało im się ustalić, musiał wybrać jedną z nich, nie mając jednak pewności, że będzie to właściwa droga.

Przed nimi było trudne zadanie. Należało wypełnić książkę życia Andrzeja Babicza. Gwadera chciał wiedzieć o nim jak najwięcej. Z kim się spotykał. Gdzie mieszkał. W jaki sposób spędzał wolny czas. Czy miał przyjaciół, rodzinę.

Dłużej zatrzymał się przy tej ostatniej myśli. No tak, trzeba ich odnaleźć i powiadomić.

Spojrzał wymownie na Wejner.

— Zbierze pani wszystkie możliwe dane na temat zamordowanego. Potem... — przerwał. Zastanawiał się, czy nie obarcza jej zbyt trudnym zadaniem.

Wejner patrzyła na niego z wyczekiwaniem.

— Mam powiadomić rodzinę? — spytała, odgadując jego myśli.

— Tak.

Wstała.

— Chwileczkę — powstrzymał ją. Wskazał na trzymany w dłoni dowód. Uśmiechnął się. — Proszę zacząć od tego.

Przeniósł wzrok na Osmalka.

— Chcę jak najwięcej wiedzieć o firmie, w której Babicz był wiceprezesem.

Kiedy wyszli, Gwadera powrócił do przeglądania rzeczy zamordowanego.

Uwagę skupił na skórzanym portfelu z aplikacją A.B. Drogie cacko. W środku było sporo gotówki i trzy karty kredytowe, Millennium American Express, złota Citibank MasterCard i PKO Bank Polski. W bocznej przegródce znalazł eleganckie wizytówki. Dokładnie przejrzał każdą kieszonkę. Nie znalazł żadnych zdjęć, co mogło, ale nie musiało oznaczać, że mężczyzna był kawalerem. Komisarz sięgnął po gruby notes, który wyglądał na typowy organizator. Otworzył. Przerzucił kilka kartek. Kilka nazwisk, a obok nich rzędy cyfr. Żadnych adresów, telefonów. Wydawało mu się to dziwne. Był wiceprezesem jakiejś firmy, której nazwa na razie nic mu nie mówiła. Pełniąc tę funkcję, musiał spotykać się z wieloma osobami. Jeżeli nie w notesie, to gdzie zapisywał wszystkie dane? Odpowiedź wydawała się prosta — w komórce, na karcie lub w pamięci wewnętrznej. Nowoczesny człowiek, w pełni korzystający z dobrodziejstw techniki.

Zamyślił się. Ktoś taki jak on powinien mieć laptopa. Był to w dzisiejszych czasach nieodłączny element wyposażenia kadry kierowniczej. Spojrzał na spis znalezionych rzeczy. Nie było wzmianki o laptopie. Dziwne.

Sięgnął po komórkę denata. Była wyłączona. Zatem potrzebna będzie pomoc techników.

Do sprawdzenia pozostał mu wizytownik. Po chwili stwierdził, że wewnątrz były tylko wizytówki samego Babicza. Nic ponadto. Nie krył rozczarowania.

Znalezione w samochodzie rzeczy wrzucił z powrotem do papierowej torby.

Rozparł się wygodnie na krześle. Teraz najważniejszy był plan śledztwa. Musiał nakreślić kierunek działań. Wszystko zależało od zdobytych przez jego zespół informacji.

Pierwsza wróciła Wejner.

Andrzej Babicz był rozwodnikiem, żona krótko po rozstaniu wyjechała zagranicę, brak danych o miejscu jej pobytu. Matka, Alicja, od trzydziestu lat wdowa, mieszkała we Włocławku. Wejner skontaktowała się z tamtejszą policją. Obiecali, że jak najszybciej w delikatny sposób poinformują Alicję Babicz o śmierci syna. Gwadera ucieszył się, że sam nie musi tego robić. Nigdy nie lubił takich sytuacji. Przekazywanie informacji o śmierci kogoś bliskiego nigdy nie przychodziło mu łatwo. Rozmówcy reagowali na wiele sposobów. Płaczem. Czasami złością. Kobiety histerią. W przypadku, gdy denata z rozmówcą nie łączyły żadne więzy pokrewieństwa, na ogół padały słowa: „To dla mnie przykra wiadomość”.

Wejner, zapytana o dane na temat Babicza zawarte w policyjnych bazach, odpowiedziała krótko:

— Nic.

Gwadera nie był zdziwiony. Tego się spodziewał. Blisko dwie godziny czekali na Osmałka.

Mężczyzna w przeciwieństwie do swojej koleżanki tryskał dobrym humorem.

Komisarz dał mu znak, aby mówił, czego się dowiedział.

— Eastern European Investment jest spółką córką zarejestrowanej w Londynie firmy inwestycyjnej o nazwie Capital Management SA Limited Eastern. — Zerknął do notatek. — Są to firmy, które zajmują się pomnażaniem kapitału. W każdej pracuje wielu analityków, na ogół ludzi młodych, parę lat po studiach, oraz kilku zarządzających. To sztab dobrze opłacanych specjalistów od tak zwanej inżynierii finansowej... — Zastanowił się. — Nie pytaj mnie, co to jest... W pewnym sensie to taka arystokracja finansowa. Oczywiście wszystkim w tej grze chodzi o osiągnięcie jak największego zysku. Doradcom, bo są wynagradzani w systemie prowizyjnym, klientom z wiadomych względów. Dyrektor zarządzający...

— Kto?

— Odpowiednik prezesa — pośpieszył z wyjaśnieniami. — Christopher Kondracki uchodzi w środowisku za jednego z najlepszych w branży.

— Anglik?

— Tak. Obywatel Jej Królewskiej Mości.

— Pięknie powiedziane. Będzie w takim razie potrzebny tłumacz.

— Raczej nie. Pan Kondracki podobno świetnie zna polski.

— Podwójne obywatelstwo?

— Tak jak Sikorski? Nie. Jego dziadek był Polakiem. Tutaj, w Polsce, prezes Eastern European Investment używa spolszczonej wersji imienia i nazwiska, występuje po prostu jako Krzysztof Kondracki. Ma tytuł MBA, Master of Business Administration, zdobyty w Oksfordzie.

— Jaki tytuł? — przerwał Osmalkowi.

— MBA to takie magisterskie studia menedżerskie, najwyższy stopień wtajemniczenia biznesowego. Kondracki jest w Polsce od trzech lat. Rodzina — żona i córka.

Gwadera spojrzał na kolegę zniecierpliwiony.

— Coś jeszcze?

— Siedziba firmy znajduje się w kompleksie biurowym Empark, w samym centrum Służewca Przemysłowego, w biurowcu Saturn. Sam Empark Mokotów Business Park to osiem biurowców, dziewięć tysięcy ludzi — recytował — sto pięćdziesiąt firm, w większości międzynarodowych, dziewięć tysięcy numerów telefonicznych.

— Byłeś tam kiedyś?

— Po drugiej stronie ulicy, w centrum handlowym, na zakupach.

Gwadera przez chwilę analizował uzyskane informacje.

Podjął decyzję.

Najpierw wizyta na Mokotowie, potem kierunek Służewiec. Chciał w pierwszej kolejności przeszukać mieszkanie denata. Pokaż mi, jak mieszkasz, a powiem ci, jakim jesteś człowiekiem.

Potrzebował zgody prokuratora. W przypadku, gdy śledztwo nadzorował prokurator Czapski, zdobycie odpowiedniego papierka wydawało się zwykłą formalnością.

Gwadera zdecydował, że zarówno na Mokotów, jak i Służewiec pojedzie z Osmalkiem. Wejner, która nie była zadowolona z jego decyzji, choć starała się bardzo to ukryć, miała w tym czasie od operatora sieci komórkowej zdobyć billingi rozmów.

4.

Apartamentowiec, w którym mieszkał Babicz, wyposażony był we wszystkie

udogodnienia. Basen ze szklanym dachem, sauna, fitness club. Wszystko w zasięgu ręki, bez wychodzenia na zewnątrz. Do tego dwudziestoczerogodzinna ochrona, ogród na dachu, czyste i przestronne korytarze, ręcznie kute balustrady. I na każde skinienie recepcjonista, który spełni wszystkie zachcianki. Rezerwacja stolika w dobrej restauracji, wynajęcie samochodu, zakup biletu na samolot, zdobycie biletów na spektakl teatralny, a także wyprowadzenie na spacer psa czy drobne zakupy.

Plus kamera przed wejściem. Pełen monitoring w dzień i w nocy. Każde wejście i wyjście było rejestrowane. Wszystko dla zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańców bloku. Czasami posunięte do granic absurdu.

Rozmyślania Gwadera przerwało grzeczne: — Słucham panów?

Naprzeciw nich stał szczupły mężczyzna ubrany w bordowy uniform. Komisarz zerknął na zawieszony na jego szyi identyfikator. „Concierge Rafał”, brzmiał dumnie napis.

W odpowiedzi na pytanie Gwadera pokazał legitymację i prokuratorski nakaz.

Mężczyzna, chociaż bardzo się starał, nie był w stanie ukryć zdziwienia. Spełnianie życzeń policji na pewno nie mieściło się w zakresie jego obowiązków.

Osmalek wyjaśnił, co ich sprowadza.

— Czy mógłby pan zaprowadzić nas do mieszkania Andrzeja Babicza... — w grzeczne słowa ubrał przysługujące im prawo.

— Chwileczkę. — Concierge szybko odzyskał pewność siebie. Wskazał na telefon. — Muszę spytać szefa o zgodę. Rozumie pan...

„Nic nie jest proste” — pomyślał komisarz i uzbroił się w cierpliwość. Mężczyzna szybko uzyskał połączenie. W kilku słowach przedstawił sytuację. Zamilkł, słuchając wskazówek podawanych przez szefa.

W końcu decyzja została podjęta. Mężczyzna uśmiechnął się grzecznie jak sprzedawca w ekskluzywnym sklepie.

— Panowie pozwolą ze mną.

— Pozwolimy — mruknął komisarz.

Concierge obdarzył go zagadkowym spojrzeniem, ale nie skomentował słów komisarza. Uniwersalnym kluczem otworzył drzwi i gestem dłoni zaprosił ich do środka.

— Będę na dole, gdyby panowie chcieli o coś spytać — oznajmił i zniknął.

Mieszkanie składało się z czterech pomieszczeń: urządzonej na biało kuchni, przestronnego, utrzymanego w pastelowych barwach salonu, przytulnej sypialni i pokoju, który, sądząc po wyposażeniu, pełnił funkcję gabinetu.

Komisarz założył lateksowe rękawiczki. Jak zwykle męczył się, aby je dopasować do dłoni. Osmalek, który uporał się z tym szybciej, przeszedł do kuchni. Gwadera zajął się salonem, w którym uwagę przyciągał zawieszony na

ścianie plazmowy telewizor wyposażony w wysokiej klasy kino domowe. Zerknął na ustawione na półce płyty DVD. Andrzej Babicz zgromadził niezłą kolekcję. *Ojciec chrzestny*, *Dwunastu gniewnych ludzi*, *Gladiator*. Klasyka. Dotykał palcem pudełek, czytając tytuły filmów. Większość znał. Z kilkoma wiązały się jakieś mgliste wspomnienia.

Komisarz po kilku minutach, gdy nie znalazł nic ciekawego, przeniósł się do gabinetu. Stojąc w progu, miał wrażenie, że cofnął się w czasie. Gabinet swoim wystrojem przypominał lata międzywojenne. Na prawo, przy oknie stało solidne biurko z efektownymi okuciami. Nie był w stanie stwierdzić, czy jest to antyk czy podróbka. Tak samo jak pozostałe meble, lampa, regał z książkami, barek.

Jeszcze przez chwilę w bezruchu kontemplował wystrój pomieszczenia. Usiadł za biurkiem. Pod blatem znajdowały się trzy szuflady. Próbował je otworzyć. Były zamknięte. Tak samo drzwi po bokach. Szarpnął mocniej. Nic. Zamek nie puścił.

Gdzie można przechowywać klucze? Zerknął na biblioteczkę. Szybko wstał. Na jednej z półek leżał mały kluczyk. Pasował do wszystkich szuflad. Otworzył pierwszą od lewej. Na dnie leżał rachunek za energię i telefon komórkowy. Dwie pozostałe szuflady były puste. Nie było tam nic. Żadnych papierów, dokumentów, notatek. Nigdzie też nie dostrzegł zdjęć. Wydawało mu się to dziwne, tym bardziej, że w swoim biurku przechowywał różne potrzebne i niepotrzebne rzeczy, stare rachunki, puste, niezapisane kartki, małe kalendarzyki, od dawna obiecując sobie, że zrobi z nimi porządek.

Zastanawiał się nad sensownym wyjaśnieniem. Nic nie przychodziło mu do głowy. Rozważał różne możliwości. Przypomniał sobie coś, na co od razu powinien zwrócić uwagę. Przy denacie nie znaleziono kluczy, nawet tych od mieszkania. Nie było ich też w samochodzie.

„Jak mogłem to przeoczyć” — wyrzucił sobie.

„Co się z nimi stało? Odpowiedzi było wiele. Babicz mógł je po prostu zgubić, mogły wypaść mu na korytarzu lub...” — zawahał się. Nie chciał wyciągać zbyt pochopnych wniosków. „Lub ktoś je zabrał celowo” — dokończył przerwana myśl. Kto? Morderca? Zastanowił się nad tą ostatnią możliwością. Jeżeli tak rzeczywiście było, nie mieli tutaj czego szukać. Morderca lub ktoś inny związany ze sprawą był w mieszkaniu przed nimi, zatarł wszelkie ślady, które skierowałyby policję na właściwy trop.

Wydawało się to nawet logiczne.

Przeszedł do sypialni. Na zaścielonym równo łóżku stały kartony. Dwa z nich były wypełnione ubraniami.

Babicz planował przeprowadzkę? Uciekał przed kimś?

Nie zdążył.

Komisarz uśmiechnął się smutno.

Z ciekawości przeszukał jeszcze szafę. Na wieszakach wisiały garnitury markowych firm, kilkanaście koszul, przede wszystkim białych i niebieskich, na niektórych były jeszcze metki, na dole w równym rzędzie stały buty.

Zajrzał do szafki przy łóżku. Na dnie szuflady leżała Biblia. Przez chwilę trzymał ją w dłoniach. Róg jednej z kartek był zagięty. Otworzył w tym miejscu. Ktoś, zapewne sam Babicz, czerwonym pisakiem podkreślił kilka wersów z Apokalipsy św. Jana.

*A gdy otworzył pieczęć drugą,
usłyszałem drugie Zwierzę mówiące:*

„Przyjdź!”

*I wyszedł inny koń barwy ognia,
a siedzącemu na nim dano odebrać ziemi pokój,
by się wzajemnie ludzie zabijali
i dano mu wielki miecz.*

*A gdy otworzył pieczęć czwartą,
usłyszałem głos czwartego Zwierzęcia mówiącego:*

„Przyjdź!”

I ujrzałem:

*oto koń trupio blady,
a imię siedzącego na nim Śmierć...*

Na tych słowach kończył się zaznaczony fragment.

A imię siedzącego na nim Śmierć...

Jeszcze raz przeczytał ostatnie zdanie. Dlaczego Babicz wybrał akurat te wersy? *Śmierć*? Czyżby przeczuwał zbliżający się koniec?

Już miał zamknąć Biblię, gdy na dole strony dostrzegł coś, co chwilę wcześniej umknęło jego uwadze. Ktoś, prawdopodobnie sam Babicz, wyraźnym charakterem pisma napisał nazwisko i imię. Gwadera zanotował w pamięci. Ksiądz Remigiusz Zacharek.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Wejner. Podał jej nazwisko księdza i polecił, aby ustaliła, w jakiej parafii służył.

Pogrążony we własnych myślach nie zauważył Osmałka, który z zainteresowaniem patrzył na ustawione na łóżku kartony.

— Znalazłeś coś? — spytał.

Gwadera wolno przeniósł na niego wzrok. Podał Osmałkowi Biblię, powiedział o zaznaczonym fragmencie i nazwisku.

— A co u ciebie? — wskazał głową na tę część mieszkania, którą sprawdzał Osmałek.

— Nic.

— Co o tym wszystkim myślisz?

— Mam wrażenie, że ktoś nas uprzedził.

Gwadera uśmiechnął się. W pełni podzielał jego zdanie.

Concierge Rafał wyglądał na znużonego. Na widok policjantów mężczyzna ożywił się.

— Andrzej Babicz miał dużo gości? — spytał komisarz.

— Niewiele panom pomogę. Nawet nie wiem, jak wyglądał. Zastępuję kolegę, tak naprawdę jestem tutaj dopiero pierwszy dzień...

Gwadera teraz rozumiał początkową ostrożność Rafała.

Mężczyzna wyjaśnił im system pracy. Budynek obsługiwały cztery osoby pracujące na dwie zmiany. Po każdej zmianie przysługiwał dzień wolny.

— Kogo pan zastępuje?

— Tomka Borysiuka... musiał wyjechać, jakieś rodzinne sprawy.

— Kiedy wróci?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Kto pracował w dzień?

— Z tymi pytaniami proszę do szefa. — Spojrzał na zegarek. — Będzie mniej więcej za kwadrans, jeżeli nie utknął w korku.

Mężczyzna nie pomylił się. Prezes firmy, która obsługiwała apartamentowiec, pojawił się dokładnie po trzynastu minutach.

Był to lekko łysiejący szatyn w bliżej nieokreślonym wieku. Mężczyzna ubrany był w jasny garnitur w prążki. Jego buty lśniły czystością. Na przywitanie skinął tylko głową, nie zniżając się do podania policjantom dłoni. Mruknął niewyraźnie imię i nazwisko: — Grzegorz Pawlak.

— Wszystko w porządku? — rzucił do Rafała.

— Chodzi panu o to, czy nie narobiliśmy bałaganu? — spytał Gwadera, wylapując na twarzy młodego concierge'a wyraz zdenerwowania.

— Między innymi — mruknął Pawlak. — Chodzi mi przede wszystkim o to, czy lokatorzy zauważyli panów przybycie — powiedział i spojrzał na komisarza. — Niepotrzebna nam tutaj sensacja, wystarczy, że dziennikarze karmią nas tym na co dzień. Chciałbym, aby wszystko odbywało się z zachowaniem należytej dyskrecji.

— Obawiam się, że to niemożliwe — Gwadera przerwał tę listę życzeń. — Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Za chwilę przyjedzie ekipa techników. Nikt nie będzie się bawił w konspirację — powiedział podniesionym głosem.

Jego słowa odniosły skutek. Pawlak po długiej chwili milczenia skinął głową.

— Panowie najlepiej wiecie, jak w takich sytuacjach należy postępować — gdzieś zniknęła jego szorstkość. Ostra wypowiedź komisarza przywróciła mu jasność myślenia. Mężczyzna dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co się stało.

Wskazał głową na wypoczynkowy kącik w głębi korytarza.

Usiedli.

— To był miły człowiek — zaczął Pawlak cicho.

— Znał go pan?

— Nie lepiej niż innych... — zawahał się. — Rozmawiałem z nim może z trzy razy... ale nikt się na niego nie skarżył.

— Kto pracował tutaj dziesiątego i jedenastego maja? — Gwadera spróbował od innej strony.

— W sobotę i niedzielę?

— Tak.

— W dzień czy w nocy?

Nie ma prostych odpowiedzi. Więcej precyzji, komisarzy.

— W dzień.

— Borysiuk. W nocy Tuszyński.

— Chciałbym z nimi porozmawiać.

Pawlak podrapał się za uchem.

— Borysiuk wczoraj wyjechał do Anglii. Będzie dopiero za dwa dni. Oczywiście powiem mu, aby zaraz po powrocie skontaktował się z panem. Tuszyński mieszka gdzieś na Ursynowie... Sprawdzę w biurze i podam panu adres.

Gwadera skinął głową.

— Kamery przed wejściem działają?

— Oczywiście.

— Chciałbym obejrzeć zapisy.

— Potrzebuje pan nowego nakazu — zauważył Pawlak.

Warto było spróbować. Następny papierek do kolekcji.

— Czy wczoraj lub w sobotę pojawił się w budynku ktoś obcy?

— Obcy? — Pawlakowi pytanie wydawało się dziwne. — Zależy, co pan przez to rozumie.

— Wszystkich poza lokatorami.

— Goście, rodzina, znajomi lokatorów. Jak wszędzie. To nie jest zamknięta klatka, do której wstęp mają tylko mieszkańcy. Są jeszcze ekipy remontowe lub porządkowe, gosposie...

— Ekipy remontowe? — Gwadera przerwał te wyliczenia.

— Tak.

— W niedzielę?

— Pan nie robi nigdy porządków lub remontów w niedzielę?

„Zdarza się” — pomyślał komisarz.

— Jest to jakoś odnotowywane?

Małymi krokami zbliżali się do celu.

— Tak. Lokatorzy na ogół do nas zwracają się z prośbą o sprowadzenie

odpowiedniej ekipy. Czasami sami zamawiają specjalistów. W takim wypadku muszą nas powiadamiać. Mamy rejestr.

Gwadera odetchnął. Pochylił się w stronę Pawlaka.

— Chciałbym obejrzeć ten rejestr.

Mężczyzna zawahał się.

— No nie wiem... — powiedział niepewnie.

Pawlak miał proste zadanie, płacono mu za to, aby zapewnił mieszkańcom apartamentowca całkowity spokój. Nagabywanie ich przez policję trudnymi pytaniami stanowiło naruszenie tej zasady.

Gwadera zastanawiał się, w jaki sposób ma przekonać mężczyznę do współpracy. Przypomnienie mu, że udzielanie pomocy organom ścigania stanowi obowiązek każdego obywatela, mogło zaprowadzić go w ślepią uliczkę. Potrzebował odpowiednich argumentów.

Nie zdążył nic powiedzieć, Pawlak wstał. Bez słowa podszedł do concierge'a Rafała. Mężczyźni rozmawiali cicho. Concierge skinął głową i szybkim krokiem skierował się w stronę windy. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Pawlak przeszedł za kontuar.

Po kilku chwilach stanął przed policjantami, trzymając w rękach opasy tom. Porozumiewali się bez słów. Gwadera przejął od niego rejestr. Otworzył na ostatniej stronie. Zerknął na datę. W ostatnim tygodniu od piątku były tylko dwa wpisy. Pierwszy dotyczył przesyłki pocztowej dostarczonej w sobotę o godzinie dziesiątej pięć. Drugi był znacznie ciekawszy. W niedzielę kilka minut przed pierwszą w apartamentowcu gościła ekipa, która, jak wynikało z wpisu, miała wyczyścić dywany. Zarówno podpis, jak i pieczętka były na tyle niewyraźne, że komisarz nie był w stanie odczytać nazwy firmy.

Przesunął księgę w stronę Pawlaka.

— Co tu jest napisane?

Mężczyzna niezadowolony pokręcił głową. Komisarz przesunął palec na rubrykę, w której wpisywano nazwisko i imię zamawiającego usługę. Ten zapis, sporządzony innym charakterem pisma, był czytelny.

— Sosnowscy spod piątki — przeczytał Pawlak. — Dziwne — dodał po chwili.

— Tak?

— Tu musi być jakaś pomyłka.

— Dlaczego?

— Oboje wyjechali. — Mężczyzna powoli wciągał się w śledztwo. Przez kilka sekund uważnie studiował zapisy w rejestrze. — To charakter pisma Borysiuka. — Podrapał się za uchem. Gwadera zauważył, że mężczyzna wykonywał ten gest w chwili podenerwowania.

— Chwileczkę. — Pawlak znów zostawił ich samych. Kiedy wrócił, nie miał

zbyt pewnej miny.

Usiadł, splatając przed sobą dłonie.

— Na ogół, a właściwie zawsze jest tak — zaczął — że po wykonaniu usługi ekipa zostawia druk potwierdzenia, który podpisuje zleceniobiorca. W tym wypadku nic nie znalazłem. Jest to na tyle dziwne, że Borysiuk jest bardzo dokładny, niemożliwe, aby zapomniał o czymś takim... — zamilkł. — To do niego niepodobne. — Wyglądał na zaniepokojonego.

Milczeli.

— Chcecie panowie przesłuchać Sosnowskich?

— Raczej będzie to tylko rozmowa.

— Teraz i tak ich nie ma.

— O której będą?

— Przyjdźcie przed szóstą.

„Proszę, jak ładnie układa się współpraca obywateli z policją” — pomyślał komisarz.

Dochodziła jedenasta, gdy przed blokiem zatrzymała się oznakowana policyjna furgonetka. Po chwili do holu weszli technicy na czele ze Stanisławem Zasadą.

Zasada był jednym z najlepszych w branży. W komisariacie krążyły o nim różne historie. Podobno nie było rzeczy, która uszłaby jego uwadze. Swoją pracę traktował jak układankę. Puzzle, na które składa się wiele elementów, które często na początku nie wiadomo, gdzie ułożyć. Do każdej sprawy podchodził indywidualnie, ale zawsze zaczynał od jednego. Zanim rozpoczynało się żmudne zbieranie śladów, analizował miejsce, które miał zbadać. Koledzy cierpliwie czekali na sygnał. Bez względu na to, jak długo to trwało, nikt go nie ponaglał. Dziadek, jak żartobliwie mówili o nim młodszy stażem, wiedział, co robi.

Gwadera sięgnął pamięcią wstecz. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek rozmawiał z Zasadą. Oczywiście znali się z widzenia, ale, o ile komisarz wiedział, kim jest Zasada, ten prawdopodobnie nie potrafiłby dopasować nazwiska komisarza do odpowiedniej twarzy.

Zasada wyciągnął rękę na przywitanie. Miał zadziwiająco lekki uścisk dłoni. Jak kobieta.

— I jak komisarzu, jednak wróciliśmy — mruknął. Tymi kilkoma słowami udowodnił, że postać Gwadery nie jest mu obca.

— Jak widać, siedzimy w domu — odpowiedział komisarz w tym samym tonie.

Zasada spojrzał na Gwaderę uważnie. Spodobał mu się sposób, w jaki odpowiedział.

— Wiele o panu słyszałem...

— Złego czy dobrego?

Technik zaśmiał się szczerze.

— Przeważają te dobre oceny. Co tutaj mamy? — przeszedł do sprawy.

Gwadera w paru zdaniach wprowadził Zasadę w śledztwo. Mężczyzna słuchał go w milczeniu. O nic nie pytał, nie było takiej potrzeby. Wystarczyły mu otrzymane od komisarza wskazówki. Na dany znak ekipa ruszyła za nim na spotkanie z tajemnicą.

5.

Tego dnia mieli wyjątkowe szczęście. Na Służewiec dojechali bez większych kłopotów. Ominęły ich kilometrowe korki, nieodłączny element warszawskich ulic.

Zaparkowali na miejscu dla gości, pomiędzy czarnym mercedesem a granatowym BMW. „Odpowiednie sąsiedztwo dla mojego wysłużonego opla” — pomyślał Gwadera, włączając alarm.

Wnętrze biurowca lśniło czystością. Pracował na to sztab słabo opłacanych konserwatorów powierzchni płaskich lub, bardziej swojsko, po prostu sprzątaczek.

Policjanci skierowali się do umieszczonej naprzeciw wejścia recepcji. Ubrana w szary uniform kobieta posłała im profesjonalny uśmiech.

— Eastern European Investment — rzucił komisarz.

— Drugie piętro — wyjaśniła krótko.

Ruszyli w stronę windy. Dostępu do niej bronił wykrywacz metalu. Zabrzmiał ostrzegawczy dźwięk.

Jak spod ziemi wyrósł przed nimi ponury ochroniarz. Bardzo długo i uważnie patrzył na legitymacje, porównując zdjęcia z twarzami.

Gwadera zastanawiał się, czy ochroniarz za chwilę nie zadzwoni na komendę, aby sprawdzić ich tożsamość. Podejmowane środki ostrożności w niektórych przypadkach ocierały się o śmieszność. Komisarzowi nie było wcale do śmiechu. Sytuacja zaczynała go powoli irytować. Chciał powiedzieć kilka ostrych słów, ale nie zrobił tego. Ochroniarz bezbłędnie wyczuł jego zły nastrój i wskazał głową windę.

— Drugie piętro — powtórzył informację, którą wcześniej uzyskali od recepcjonistki.

Mężczyźni wyminęli go bez słowa. Klimatyzowana winda zawiozła ich bezszelestnie na wskazane piętro. Znaleźli się w przestronnym holu, którego wystrój utrzymany był w pastelowych barwach. Wokół było czysto i schludnie. Z tablicy informacyjnej umieszczonej naprzeciw windy wynikało, że biura Eastern European Investment zajmują całe lewe skrzydło.

Długim korytarzem, mijając pokoje o przeszklonych drzwiach, doszli do sekretariatu. Ciemnowłosa kobieta o smutnych oczach posłała im uśmiech, który przyjemnie rozświetlił jej twarz. Gwadera zerknął na identyfikator. Kobieta nazywała się Joanna Bartczak i była asystentką prezesa.

— Słucham panów? — spytała, patrząc na nich z uwagą.

Wymienili szybkie spojrzenia.

— Komenda Stołeczna Policji, komisarz Gwadera, podkomisarz Osmalek — przedstawili się.

Chwila ciszy. Uśmiech zgasł.

— W czym mogę pomóc? — spytała.

— Chcielibyśmy porozmawiać z panem Kondrackim.

— Był pan umówiony? — zwróciła się bezpośrednio do komisarza, ignorując całkowicie Osmalka.

— Nie.

Tego brakowało, aby policja anonsowała swoje przybycie.

Asystentka otworzyła kalendarz.

— Pan prezes jest zajęty — powiedziała spokojnym głosem. — Mogę panów umówić na czwartek.

— Nie możemy czekać do czwartku. — Cierpliwość komisarza po raz drugi w ciągu krótkiego czasu została wystawiona na ciężką próbę.

— Nie?

Gwadera zdawał sobie sprawę, że zadanie Joanny Bartczak było proste, miała dopuszczać do szefa jak najmniej osób. Na pewno na specjalne względy nie zasługiwali oficerowie policji.

— Pani Joanno — komisarz pozwolił sobie na poufałość. — To bardzo ważne — powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

— Mogę zobaczyć panów legitymacje?

Spełnili jej prośbę. Wbrew oczekiwaniom niewiele to pomogło. Nadal broniła gabinetu szefa jak twierdzy.

— Proszę przybliżyć cel swojej wizyty.

Komisarz miał dosyć.

— Andrzej Babicz — rzucił oschle.

— Wiceprezes jest od dwóch miesięcy na urlopie... — powiedziała szybko i zamilkła.

Komisarz, który uważnie obserwował twarz Joanny Bartczak, dostrzegł, że w jej zielonych oczach pojawił się niepokój.

— Czy coś się stało? — spytała niepewnie.

— Chcielibyśmy porozmawiać z prezesem — powtórzył.

— Oczywiście. — Nie pytała już o nic więcej. Na chwilę zniknęła w gabinecie, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Nie minęły nawet trzy minuty i była z powrotem.

— Proszę wejść — zaprosiła gestem dłoni.

Znaleźli się w jasnym pomieszczeniu urządzonym prosto, ale funkcjonalnie. Nie było tutaj żadnego zbędnego elementu, który zakłócałby harmonię.

Konferencyjny stół, przeszklona szafa, w rogu barek z markowymi alkoholami, na które nie było stać przeciętnego Polaka.

Szczupły mężczyzna, który siedział za biurkiem, oderwał wzrok od ekranu. Przez chwilę zza okularów patrzył na komisarza. W końcu zdecydowanym ruchem zamknął laptopa, zdjął okulary; widocznie używał ich tylko do czytania. Wstał.

Miał przyjemną twarz, której charakterystyczny element stanowiły oczy, niebieskie i przenikliwe. Ubrany był w elegancki garnitur, który kosztował tyle, ile miesięczna pensja policjanta.

— Proszę nie łączyć żadnych rozmów — tych kilka słów, które rzucił asystentce, wypowiedział najczystszą polszczyzną, bez cienia obcego akcentu. Mężczyzna miał bardzo spokojny głos.

Z każdego jego ruchu i słów przebijała pewność siebie, tak charakterystyczna dla tych, którzy znają swoją wartość. Wiedział, czego chce od życia i jak to osiągnąć.

Przywitał policjantów mocnym uściskiem dłoni i wskazał na krzesła po drugiej stronie biurka. Był w tym budynku pierwszą osobą, której nie musieli pokazywać legitymacji.

— Słucham?

Gwadera zawahał się.

„Rób, człowieku, co do ciebie należy. Taka praca” — zganił się w myślach. I zaczął mówić. Nie wdawał się w szczegóły. Przekazał minimum informacji, tyle, ile było trzeba, niezbyt dużo, ale i niezbyt mało.

Kondracki w milczeniu wysłuchał komisarza. Nie przerwał mu ani razu. Nie zadał żadnych pytań. Jego twarz nawet nie drgnęła, gdy komisarz przedstawił okoliczności śmierci Andrzeja Babicza.

Ten brak reakcji z jego strony zaskoczył Gwaderę. To niemożliwe, aby wiadomość nie wywarła na Krzysztofie Kondrackim żadnego wrażenia. Jak można być tak obojętnym wobec śmierci? Szybko odpowiedział sobie na to pytanie. Widocznie w jego świecie najmniejszy przejaw uczuć uchodził za słabość, na którą nie mógł sobie w żadnym wypadku pozwolić.

— W jaki sposób mogę panom pomóc? — spytał Kondracki rzeczowo.

— Chcemy zadać panu kilka pytań — wypowiedział utartą w takich sytuacjach formułkę.

— To zrozumiałe. Postaram się odpowiedzieć na wszystkie pytania — zapewnił.

— Dobrze pan znał Andrzeja Babicza? — zadał pierwsze z długiej listy.

— Współpracowaliśmy od ponad trzech lat. Świetny specjalista. Najlepszy na waszym rynku.

Powiedział „waszym”. W tym stwierdzeniu nie było nic dziwnego. Prawdopodobnie Polskę traktował jako przystanek, obcy kraj. Dlaczego miał

utożsamiać się z miejscem, w którym robił tylko interesy. Rodzina, znajomi, przyjaciele, jeżeli takich miał, pozostali w Londynie.

Za kilka lat, a może już za kilka miesięcy wróci do Anglii, pobyt w Warszawie będzie dla niego nic nieznaczącym epizodem.

— Czy Andrzej Babicz miał jakieś problemy natury osobistej? — rzucił Gwadera szybko.

Również szybko otrzymał odpowiedź.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A zawodowej?

— Nie — padło jedno tylko słowo.

Komisarz spojrzał uważnie na Kondrackiego.

— Jest pan pewien?

— Wszystko to kwestia zaufania...

— Mam rozumieć, że pan mu ufał? — komisarz nie pozwolił mu skończyć.

Kondracki skinął głową. Był bardzo powściągliwy w gestach i słowach.

— Bezgranicznie?

Znów skinął głową.

Gwadera zerknął do notatek. Chciał jak najlepiej poznać Babicza. Jakim był człowiekiem? Z kim się spotykał? Przyjaciele, żona, dzieci. Na tym etapie śledztwa wszystko było ważne. Nawet z pozoru nieistotne szczegóły.

— Czy miał rodzinę?

Kondracki przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Rozwiódł się z żoną dwa lata temu.

— Utrzymywał z nią jakiś kontakt?

— Nie wiem.

— Jak to pan nie wie? — Komisarz nie ukrywał zdziwienia. — Pracowaliście ze sobą ponad trzy lata, a pan nic nie wie o swoim bliskim współpracowniku, z którym zapewne nieraz podejmował trudne decyzje?

— Nasza znajomość ograniczała się do płaszczyzny zawodowej — powiedział z niezmaconym spokojem.

— To znaczy co? Nie bywaliście u siebie? Dom to moja twierdza? — nie wytrzymał.

Kondracki po raz pierwszy uśmiechnął się.

— Nie jestem aż takim zimnym Anglikiem, za jakiego mnie pan uważa. Oczywiście, że zdarzało się omawianie pewnych spraw w domu u mnie lub u Andrzeja. Chciałem tylko powiedzieć, że raczej nie rozmawialiśmy o życiu osobistym.

— Raczej?

— Nigdy nie pytałem, czy spotyka się z kimś — doprecyzował swoją wypowiedź. — Nie interesuje mnie prywatne życie pracowników, a także to, co

robią po godzinach.

— Tylko to co dzieje się w firmie? Nic więcej?

Nie skomentował tej uwagi.

Gwadera przypomniał sobie artykuł, który stosunkowo niedawno przeczytał w „Wyborczej”. Tematem były wielkie firmy, korporacje i panujące tam stosunki. Nie przypuszczał, że tak szybko będzie miał możliwość skonfrontowania przedstawionego w gazecie obrazu z rzeczywistością.

— Proszę mi powiedzieć, czy „wyścig szczurów” naprawdę istnieje, czy to tylko legendy wymyślone przez pracowników, którzy sobie nie radzą?

— To zależy, co rozumie pan przez to określenie? — spytał Kondracki ostrożnie.

— Praca po dwanaście godzin dziennie lub nawet dłużej... — podpowiedział. — Narkotyki, dopalacze jako środki wspomagające.

Kondracki długo, bardzo długo patrzył na komisarza.

— Nie będę ukrywał, że zdarza się siedzenie od rana do nocy — zaczął — ale takie sytuacje mają miejsce bardzo rzadko. Na co dzień nie ma zazwyczaj takiej konieczności.

Odpowiedź była jasna.

Gwadera czekał na dalsze słowa, które wyjaśniłyby stosunek prezesa do tego kontrowersyjnego zagadnienia. Kondracki zamilkł i najwyraźniej nie miał zamiaru kontynuować swojej wypowiedzi. Powiedział to, co uważał za stosowne.

— Zagrzewał pan kiedyś do takiego wyścigu w swojej firmie? — spytał komisarz.

Kondracki przez chwilę zastanawiał się.

— Nie widzę związku pomiędzy tymi pytaniami a Andrzejem Babiczem, ale... skoro tak bardzo interesuje pana to zagadnienie — w pełni kontrolował słowa. — Widzi pan, są rzeczy ważne i ważniejsze. To jest ich wybór. Cel, do którego chcą dobiec. Niech się ścigają, jeżeli naprawdę potrzebują tego do szczęścia. Jeśli ktoś mi mówi, że dla niego nie ma w życiu nic ważniejszego niż praca, to szanuję ten wybór, ale jestem zdziwiony — pozwolił sobie na dłuższą wypowiedź.

Komisarz wyczuł w jego głosie szczerłość. Zrozumiał, że Kondrackiemu nie podobał się sposób, w jaki młodzi ludzie pięli się na szczyt kariery. Nie zrobił jednak nic, by wyeliminować to zjawisko w swojej firmie.

— Mam tylko nadzieję, że ktoś w domu będzie na nich czekał. Zbyt wielu widziałem przegranych zwycięzców... — urwał.

Komisarz pochylił się w stronę prezesa.

— A pan?

— Co ja? — spytał automatycznie.

— Ma pan rodzinę?

Gwadera próbował przebić się przez tę jego uprzejmość, zburzyć niezmacony spokój, z którym mężczyzna odpowiadał dotąd na wszystkie pytania. Udało mu się.

Na twarzy Kondrackiego pojawił się cień niepokoju. Mężczyzna lekko zmrużył oczy, prawa powieka zadrżała mu nerwowo. Trwało to tylko krótką chwilę, ale nie umknęło uwadze komisarza. Strzał w dziesiątkę? Tak. Zdecydowanie tak.

— Jakie to ma znaczenie? — w głosie Kondrackiego zabrzmiała irytacja.

Nie miało żadnego.

Komisarz patrzył uważnie na swego rozmówcę. Z wielką przyjemnością pomyślał, że jednak są chwile, kiedy Kondracki przejawia zwykłe, ludzkie uczucia. Są rzeczy, które potrafią go poruszyć. W murze, którym wokół siebie zbudował, pojawił się wyłom.

Tych kilka słów powiedziało komisarzowi wystarczająco dużo o rozmówcy. Kondracki unikał pewnych tematów, zwłaszcza tych, które dotyczyły jego najbliższych. Ostatecznie każdy ma prawo do prywatności.

Gwadera doszedł do wniosku, że skoro znał już słabości prezesa Eastern European Investment, nie było sensu ciągnąć tematu rodziny.

Uśmiechnął się przepraszająco.

— Czy pana pracownicy mają jakieś problemy z narkotykami? — swobodnie przeszedł do nowego zagadnienia.

— Nie toleruję żadnych używek w pracy — krótka, zdecydowana odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości.

Przez kilka chwil milczeli.

— Znał pan żonę Babicza? — następnym pytaniem komisarz wrócił do głównego wątku.

Kondracki nie od razu odpowiedział. Wyglądał na zamyślonego. Gwadera powtórzył pytanie.

— Nie... nie znałem.

— Po rozwodzie wróciła do panieńskiego nazwiska?

Cisza. Po chwili zabrzmiały słowa:

— Chyba wyraziłem się jasno, nie znałem jej, nie wiem, gdzie obecnie mieszka i czym się zajmuje...

Komisarz zostawił kwestię małżeństwa Andrzeja Babicza. Postanowił dalej tego nie drażnić. Wróci do tematu później.

— Kiedy widział pan Andrzeja Babicza po raz ostatni? — rzucił.

— Może dwa miesiące temu.

— Dwa miesiące?

Denerwowało go, że nie mógł rozpoznać, czy Kondracki kłamie czy mówi prawdę. Na ogół nie miał z tym problemu. W przypadku Kondrackiego było

inaczej. „Nieprzemakalny, zasłonił firanki” — pomyślał i w duchu uśmiechnął się do tej analogii, która wydawała mu się w obecnej chwili trafna.

— Andrzej jest... — Kondracki zamilkł. — Był na urlopie... — dodał.

Potwierdził słowa asystentki.

Gwadera zastanawiał się nad następnym pytaniem. Ubiegł go Osmalek, który do tej pory milczał, pracowicie zapisując przebieg rozmowy.

— Czym się zajmuje firma, którą pan kieruje? — Wkraczał na zupełnie obcy mu teren.

— Eastern European Investment jest instytucją finansową, której przedmiotem działania są między innymi operacje na funduszach hedgingowych — prezes rzucił kilka słów, które zarówno dla Osmalka, jak i komisarza nic nie znaczyły.

— Fundusze hedgingowe — powtórzył komisarz użyte przez Kondrackiego określenie. W jego ustach zabrzmiało jak czarodziejska formułka.

— Tak. Wysoko zaawansowana inżynieria finansowa. Głównie zajmujemy się inwestowaniem w instrumenty pochodne — dodał Kondracki. — Akcje, obligacje, handel papierami wartościowymi na dużą skalę.

Zamilkł.

— Nie sądzę, abym mógł to panom wytłumaczyć, jeżeli nie macie podstawowej wiedzy o działaniu rynku finansowego.

Niewątpliwie było w tym stwierdzeniu dużo prawdy. Pomimo to Gwadera poczuł się jak ktoś, komu wymierzono policzek. Zdecydował o tym ton głosu, jakim zostały wypowiedziane słowa.

— Proszę spróbować...

Kondracki patrzył na niego zaintrygowany. Wolno przeniósł wzrok na Osmalka.

— Obawiam się, że nie mam aż tak dużo czasu. — W kącikach ust pojawił się kpiący uśmiech.

Komisarz odniósł wrażenie, że od momentu, kiedy Osmalek zadał pytanie o firmę, Kondrackiego zaczęła bawić ta rozmowa. Wkroczyli w zupełnie obcy dla policjantów świat wielkich pieniędzy, skomplikowanych operacji finansowych. Temat, który poruszył Osmalek, daleko odbiegał od tego, z czym mieli do czynienia na co dzień. Kroczyli po cienkim lodzie, który mógł w każdej chwili pęknąć pod ich ciężarem.

— Nie jest pan zaniepokojony spadkami na giełdach? — spytał.

— Czy się niepokoję?

— Tak.

— O co miałbym się niepokoić?

— O pieniądze klientów.

— Nie.

— Obraca pan milionami.

— To nie ma znaczenia.

— Mam rozumieć, że wszyscy idą na dno, a pana firma nieźle sobie radzi w tej sytuacji?

— Tak. Mamy się dobrze i nie grożą nam żadne krótkotrwałe zawirowania.

— Magia?

Uśmiechnął się.

— Nie. Dywersyfikacja aktywów...

„Jednak magia — pomyślał komisarz. — Wiedza tylko dla wtajemniczonych”.

— Inwestujemy we wszystko, co się rusza — rzucił lekkim tonem Kondracki. — Mówiąc jednak poważnie, stosujemy szeroki zakres instrumentów i technik finansowych, arbitraż, akcje, opcje. Nie zapominamy także o inwestowaniu w surowce. Interesuje nas ropa, złoto, srebro, miedź, diamenty, spółki z problemami finansowymi, także o tak zwanych trudnych wierzytelnościach. Wykorzystujemy potencjał rynków wschodzących.

Wyłapał spojrzenie komisarza.

— Mam tu na myśli kraje Europy Wschodniej — wyjaśnił.

— Dzięki, jak pan to pięknie powiedział, dywersyfikacji aktywów pana firma może spać spokojnie — zauważył Gwadera.

Kondracki zaśmiał się.

— W uproszczeniu można tak to określić. Ale podkreślam, jest to wielkie uproszczenie

— Niemożliwe, że nic nie straciliście.

— Oczywiście, że straciliśmy, ale w porównaniu z innymi niewiele.

— Co na to klienci, którym obiecywaliście duże zyski?

— Informowaliśmy ich o ewentualnych stratach. Już na starcie znali zasady gry — powiedział i znów zerknął na zegarek.

Wbrew oczekiwaniom nie kończył jeszcze rozmowy.

— Słyszeliście panowie o Alanie Greenspanie? — rzucił po dłuższej chwili milczenia.

Gwadera zerknął na Osmalka. Z jego miny wywnioskował, że ich wiedza w zakresie ekonomii jest na jednakowym poziomie.

— Nie. A powinienem?

— To obecnie jedno z gorących nazwisk. Ciekawa postać na światowym rynku finansowym. Kapłan wolnorynkowej filozofii, przeciwnik wprowadzania ściślejszej kontroli rynku finansowego, uznawany przez niektórych za symbolicznego winowajcę obecnego kryzysu. Jedni go przeklinają, inni uznają za idola.

— A pan?

— Sukces ma wielu ojców, natomiast porażka jest sierotą. Greenspan stał się tylko kozłem ofiarnym. Jest w tym i jego wina. Wie pan, jak już tak o tym rozmawiamy, to wydaje mi się, że zgubił go grzech pychy. Skupiał w swym rękach zbyt dużo uprawnień. Wstawał rano i mówił sobie: „Jestem genialny”. To najprostsza droga do piekła. Nikt nie jest idealny. Tak jak wszędzie zdarzają się wypadki.

— Jednym słowem, nie ma pewnych inwestycji?

Nic nie powiedział.

— W co radziłby pan zatem zainwestować?

— Oczywiście w fundusze hedgingowe — powiedział szybko — i to nie dlatego, że zarządzam jednym z nich.

— Ach tak.

— Wasz rynek daje wielkie możliwości. Polacy szukają sprawdzonych na świecie sposobów pomnażania pieniędzy i poszukują specjalisty, doradcy i opiekuna, który zapewni maksymalny wzrost przy optymalnym stopniu ryzyka inwestycyjnego, oferując spektrum narzędzi i możliwości. My wypełniamy te luki.

Skromny to on nie jest.

— Ale jest jedna rzecz, o której przy tego rodzaju funduszach należy pamiętać. Mianowicie jest to produkt elitarny, tylko dla wybranych, o najwyższych możliwościach finansowych, skierowany do wyselekcjonowanej grupy inwestorów.

— Jak dużych możliwościach? — musiał zadać to pytanie, nawet jeżeli prezesowi mogło wydawać się śmieszne.

— Bardzo. Nie zbieramy depozytów i nie udzielamy kredytów, interesują nas wyłącznie wielkie transakcje i wielcy inwestorzy.

— Czyli ktoś taki jak ja nie mógłby korzystać z państwa usług?

Krzysztof Kondracki długo patrzył na komisarza.

— Jeżeli pan albo pana kolega ma wolne środki rzędu miliona złotych, to zapraszam do naszych biur.

Gwadera wyczuł ironię w jego głosie. Byli z dwóch różnych światów.

— Ryzykowna gra porównywalna z hazardem czy nowatorska forma inwestowania? — drażnił go.

— Zdecydowanie to drugie.

— Wszystko zależy od punktu widzenia — skwitował Gwadera. — Czy wszystkie operacje, jakimi zajmuje się firma, są legalne?

Pytanie, które miało sprowokować Kondrackiego, obróciło się przeciwko niemu. Zrozumiał to chwilę później.

— Dla kogoś takiego jak pan, którego wiedza w zakresie ekonomii nie jest aż tak szeroka, może wydawać się to dosyć skomplikowane — zauważył Kondracki spokojnie. — Rzeczywiście, nasza strategia jest często agresywna

i ryzykowna. Zapewniam pana, że podlegamy tym samym przepisom prawa co fundusze klasyczne. Obowiązuje nas to samo prawo, prawo ustanowione przez parlament — położył akcent na ostatnie słowa.

Rozmowa wyraźnie zaczynała go męczyć. Mężczyzna zerknął na zegarek. Zrozumieli się bez słów. Czas przeznaczony na spotkanie powoli dobiegał końca. Uśmiechnął się grzecznie.

— W jaki sposób mogę jeszcze panom pomóc?

Gwadera nie odpowiedział od razu.

— Chciałbym porozmawiać z pracownikami.

— To zrozumiałe.

— I obejrzeć gabinet pana Babicza — dodał.

— Oczywiście.

Krzysztof Kondracki był bardzo zgodny.

— Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania dotyczące bezpośrednio pana Babicza... — zawiesił głos.

— Nie omieszkać ich zadać.

— Jestem w każdej chwili do pana dyspozycji — powiedział i wstał.

Gwaderze nie pozostało nic innego, jak pójść w jego ślady.

Kondracki, jak przystało na dżentelmena, odprowadził policjantów do drzwi.

— Pani Asiu... — zwrócił się do asystentki.

— Tak?

— Zaprowadzi pani komisarza do Małgorzaty Szafran.

Skinęła tylko głową.

— To nasza dyrektor personalna. Od niej uzyska pan wszelkie informacje — wyjaśnił krótko Kondracki i pożegnał się z policjantami uściskiem dłoni.

Po wyjściu z gabinetu Gwadera poczuł ulgę. Wrócił do swojego świata, z Anglii zasnutego mgłą i tonącej w deszczu.

Odtworzył w myślach przebieg rozmowy. Niewiele mógł powiedzieć o Kondrackim. Mężczyzna był potwierdzeniem stereotypów krążących o Anglikach. Zimny i niedostępny. Jednocześnie grzeczny aż do bólu. Zbudował wokół siebie niewidzialną ścianę, kurtynę, za którą wpuszczał tylko znajomych i przyjaciół.

Komisarz nie mógł zarzucić mu braku współpracy. Prezes w zasadzie odpowiedział na wszystkie pytania. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że tak naprawdę uzyskane informacje były bezwartościowe. Gdyby wszystkie słowa, które padły, przefiltrować przez specjalną maszynę, niedużo by zostało.

Kondracki jasno i wyraźnie nakreślił obszar współpracy z policją. Poza nim były sprawy związane z funkcjonowaniem firmy. Gwadera odniósł wrażenie, że Krzysztofa Kondrackiego nie obchodziło nic poza jego własnym światem. Światem, którego bronił przed tym, by nie znalazł się w nim żaden element

zakłócający normalne funkcjonowanie. Śmierć Andrzeja Babicza wprowadziła chaos.

6.

Gabinet dyrektora personalnej przypominał wystrojem pomieszczenie, które przed chwilą opuścili. Kobieta dłoń nadała jednak temu miejscu więcej ciepła, w rogu stały kwiaty, na ścianach wisiało kilka obrazów przedstawiających przyrodę.

Małgorzata Szafran, która okazała się drobną kobietą o jasnych jak len włosach, na widok mężczyzny uśmiechnęła się. Był to profesjonalny uśmiech, którym zapewne częstowała każdego, kto odwiedzał jej biuro. Oczywiście wszystko odbywało się z zachowaniem odpowiedniego dystansu.

Nadzieje komisarza, że prezes firmy wykonał stosowny telefon, prysły jak bańka mydlana. Szafran nie wiedziała o niczym.

Gdy sekretarka dokonała prezentacji, spytała:

— Panowie w sprawie włamania do samochodu?

Policjanci wymienili szybkie spojrzenia. Gwadera dał znak podkomisarzowi, że tym razem to on będzie prowadził rozmowę.

Osmalek nie był delikatny. W kilku suchych słowach bez cienia emocji przekazał informację o śmierci Babicza.

Szafran zareagowała tak jak powinien zareagować posiadający minimum wrażliwości człowiek. Błękitne oczy zaszklily się. Tak. Gwadera, który obserwował ją z boku, nie miał żadnych wątpliwości. Wiadomość wstrząsnęła nią.

Kobieta siedziała w milczeniu i oswajała się z myślą, że wiceprezesa nie ma już między nimi. Policjanci zachowywali dyskretne milczenie. W takiej chwili potrzebowała spokoju.

Cisza nie trwała długo, przerwał ją dźwięk telefonu. Szafran ocknęła się z zamyślenia. Odebrała dopiero po trzecim sygnale.

— Tak? — rzuciła lekko drżącym głosem. Pod wpływem słów, które płynęły z drugiej strony, wyraz jej twarzy zmienił się.

— Oczywiście... — powiedziała na zakończenie i odłożyła słuchawkę.

— Słucham panów — starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie. Przyszło jej to z trudem.

— Wie pani coś o jego rodzinie? — padło kluczowe pytanie. Gwadera miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

— Jego matka mieszka we Włocławku.

To już wiedział.

— Mój Boże...

Dziwnie zabrzmiały te słowa w jej ustach.

— Trzeba jej powiedzieć...

— Już się tym zajęliśmy.

Odetchnęła z ulgą.

Milczeli przez kilka chwil.

— Wie pani może, gdzie mieszka była żona Babicza?

Popatrzyła na nich zamyślona. Westchnęła.

— Przykro mi, ale nie wiem. Po rozwodzie Andrzej nie utrzymywał z nią kontaktu — powiedziała szybko.

— Chcielibyśmy obejrzeć gabinet pana Babicza. — Gwadera przypomniał o swojej obecności.

Skinęła ze zrozumieniem głową.

Wstała. Zbyt krótka spódnica odsłoniła jej nogi. Długie i zdecydowanie zgrabne.

— Proszę za mną.

Pokój znajdował się na końcu korytarza.

Komisarz zauważył, że tabliczka z nazwiskiem jest pusta. Odnotował to w pamięci.

Weszli do środka. Szafran zostawiła ich samych.

Komisarz wskazał Osmałkowi biurko.

— Zobacz, co tam jest — rzucił.

Sam podszedł do regału, który stał na prawo od wejścia. Szukał punktu zaczepienia, osobistych przedmiotów, zdjęć, notatek. Mogła to być jedna rzecz, jakiś drobiazg, który powiedziałby mu coś o denacie.

Po pięciu minutach Gwadera nie krył rozczarowania. Oprócz książek w języku angielskim nie było tu niczego godnego uwagi. Zerknął na Osmałka.

Porozumieli się bez słów.

— Nic — powiedział policjant, siadając w prezesowskim fotelu. — Pusto.

Zamyślonym wzrokiem omiółł całe pomieszczenie.

— Ktoś tu dokładnie posprzątał — podzielił się swoimi przemyśleniami.

„Dosłownie i w przenośni” — Gwadera w myślach w pełni zgodził się z tym określeniem.

— Podobno Andrzej Babicz poszedł tylko na urlop — mruknął z powątpiewaniem.

Tak wynikało ze strzępków informacji, które przekazał im Kondracki, oraz z wcześniejszej, krótkiej rozmowy z jego sekretarką.

— Zwróciłeś uwagę, że nie ma tu żadnych osobistych rzeczy — powiedział.

— Nie tylko tego. Komputer. Nie ma komputera — zauważył Osmałek.

Komisarz potrzebował chwili skupienia.

Czy ktoś, kto idzie na urlop, zabiera z biura wszystkie swoje rzeczy? Co innego w sytuacji, gdyby...

Nie chciał wyciągać zbyt pochopnych wniosków, ale wszystko wskazywało

na to, że Andrzej Babicz miał do firmy już nie wrócić.

Piętnaście minut później z powrotem znaleźli się w gabinecie Szafran.

Gwadera zadał jej kilka rutynowych pytań. Dowiedział się, że Babicz kierował zespołem do spraw tak zwanych kluczowych klientów.

„Najważniejszymi wśród ważnych” — pomyślał z przekąsem.

Poprosił o listę najbliższych współpracowników Babicza.

Lista była krótka. Składała się z trzech nazwisk. Dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy przed trzydziestką. Najmłodsza nie tylko wiekiem, ale i stażem była Ewelina Stokłosa.

Postanowił, że Stokłosa pójdzie na pierwszy ogień. Okazało się, że przesłuchanie młodej kobiety nie będzie takie łatwe. W każdym razie w tej chwili było to niemożliwe.

Stokłosa miała ważne spotkanie z klientem. Nikt, nawet Szafran, nie potrafił wskazać, gdzie to spotkanie się odbywa. To, co komisarzowi wydawało się dziwne, dla dyrektora personalnej było zupełnie normalne. Na jego pytanie, czy nie jest ryzykowne dawanie pracownikom tak dużej swobody w działaniu, odpowiedziała sucho, że firma zatrudnia najlepszych specjalistów na rynku. Są to odpowiedzialne osoby, znające swoje obowiązki i warunki, na jakich zostały zatrudnione. Nie dopytywał się, jakie są to warunki. Na wszystko przyjdzie pora.

Poprosił o poszerzenie listy.

— Chce pan porozmawiać ze wszystkimi pracownikami?

Szafran uciekała od słowa „przesłuchanie”.

Skinął głową.

— Będzie ich pan wzywał na komendę?

Znów wykonał ten sam gest.

— Wolałabym, aby odbyło się to tutaj — powiedziała szybko.

„Nie jestem, droga pani, złotą rybką, która spełnia wszystkie życzenia” — pomyślał.

Szafran zaskoczyła go. Nie samym stwierdzeniem, raczej tonem głosu, jakim wypowiedziała te słowa. Była w nim ta sama niewzruszona pewność siebie, jak u Kondrackiego. Kobieta przywykła do wydawania poleceń, które pracownicy firmy wykonywali bez szemrania. Zdecydowanie chwile słabości miała już za sobą.

Przez następnych kilka minut długo, używając mocnych argumentów, broniła swoich racji.

Komisarz odniósł wrażenie, że w tym czasie, gdy na drugim końcu korytarza przeszukiwali biuro wiceprezesa, Szafran odbyła interesującą rozmowę z prezesem. Być może otrzymała wówczas dyspozycje co do zakresu udzielanych policji informacji.

„Twardo broniła swojego zdania. Raczej woli prezesa” — szybko poprawił się w myślach. Nie miała zamiaru ustąpić, dlatego Gwadera po kilku minutach

dyskusji poddał się. Ustalili, że przesłuchania będą prowadzić w taki sposób, aby nie zakłócać pracy.

Szafran zaprowadziła ich do sali konferencyjnej, gdzie miały odbywać się rozmowy. Chciała wrócić do swojego gabinetu, ale powstrzymał ją głos komisarza.

— Proszę usiąść.

Zawahała się.

— Zajmę pani niewiele czasu.

— Nie mam go zbyt wiele.

Zrozumiał. Czas był w firmie bardzo cennym elementem jej funkcjonowania. Tu nie było miejsca na jałowe dyskusje.

— Dlaczego nie powiedziała pani, że Andrzej Babicz został zwolniony? — od razu przeszedł do tego, co budziło jego największe wątpliwości.

Na twarzy Szafran odmalowało się zaskoczenie.

— Dlaczego pan tak sądzi?

Podzielił się z nią swoimi spostrzeżeniami.

— Rzeczywiście, może to tak wyglądać, ale zapewniam pana, że Andrzej był tylko na urlopie, z którego miał wrócić w czerwcu.

— Jest pani tego pewna?

— Oczywiście. Krzysztof nie zwolnił go — położyła nacisk na ostatnie słowa

— Dwa miesiące odpoczynku — mruknął Gwadera — to dosyć dużo.

— To był zaległy urlop. Andrzej, od kiedy zaczął pracować w firmie, ani razu nie wziął wolnego. Prezes doszedł do wniosku, że najwyższa pora uporządkować te sprawy — przerwała. Na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Szafran przez kilka chwil rozważała coś w myślach. W końcu podjęła decyzję.

— Prawda jest taka, panie komisarzu — zaczęła — że niedawno mieliśmy tutaj kontrolę z inspekcji pracy. Było kilka nieprawidłowości, między innymi związanych z udzielaniem urlopów.

Sposób weryfikacji otrzymanych informacji był oczywisty.

— Chciałbym zapoznać się z protokołem.

Nie protestowała.

— Dobrze.

Zerknęła na zegarek.

— Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Jak Babicz przyjął decyzję prezesa?

— Nie wiem — odpowiedziała, patrząc prosto w oczy komisarzowi.

— Jak to pani nie wie?

— Nie było mnie przy tej rozmowie — wyjaśniła spokojnie.

Komisarzowi wydawało się to dziwne.

— Jest pani dyrektorem personalnym — zauważył.

— Zgadza się, ale nie jestem członkiem zarządu.

Szafran dała do zrozumienia, że były tematy, którymi nie powinna się interesować. Gwadera przypuszczał, że Szafran celowo została odsunięta od tej rozmowy. Nie miało to nic wspólnego z tym, czy była czy też nie była członkiem zarządu. Panowie chcieli porozmawiać w cztery oczy. Bez świadków. Prawdopodobnie była to twarda, męska rozmowa, w której Kondracki podjął decyzję o... Właśnie.

Decyzję o zwolnieniu czy wysłaniu na urlop?

— Ta długotrwała absencja wiceprezesa nie przeszkadzała w sprawnym funkcjonowaniu firmy?

— Krzysztof przejął wszystkie jego obowiązki — Szafran odpowiedziała szybko.

Sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem.

— Babicz nie interesował się tym, co dzieje się w firmie?

— Skąd to przypuszczenie?

Pytanie za pytanie, zaczęło go to drażnić.

— Nie kontaktował się z prezesem — wyjaśnił cierpliwie.

Zawahała się.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie jestem asystentką pana prezesa. Proszę ją o to spytać.

— Nie muszę pytać. Kondracki powiedział, że ostatnio widział się z wiceprezesem dwa miesiące temu, a więc jeszcze przed urlopem. Jak pani to wytłumaczy?

Szafran przez kilka chwil milczała.

— Prezes nie wspomniał panu o... — zamilkła.

— O czym? — podchwycił i spojrzał na nią uważnie.

Zrozumiała, że popełniła pierwszy błąd. Powiedziała o kilka słów za dużo. Jedno zdanie, które nie powinno paść.

— Andrzej miał pewne problemy osobiste.

Znów zamilkła.

— Jakiego rodzaju były to problemy? — drążył temat.

Cisza.

— Proszę mówić — zachęcił.

— W ostatnim czasie popełniał błędy — udzieliła wymijającej odpowiedzi.

Pomyślał, że jak zółw schowała się do skorupy.

— Błędy?

— Stracił kontrolę nad prowadzonymi sprawami.

— Może pani mówić jaśniej? — uniósł głos.

— Przez narkotyki? — po raz pierwszy do rozmowy wtrącił się Osmalek.

Szafran wolno przeniosła na niego wzrok.

— Słucham?

— Andrzej Babicz brał — powtórzył Osmalek; tym razem nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.

— Nie — odpowiedziała krótko, dobitnie.

Gwadera wyczuł, że Szafran nie kłamie. Dla niego kwestia narkotyków była zamknięta, ale nie dla Osmalka. Gwadera zerknął na swojego kolegę i stwierdził, że mężczyzny nie przekonały zapewnienia dyrektor personalnej.

Dla komisarza istotniejsze było inne zagadnienie.

Komisarz skłaniał się do wersji, że Babicz został zwolniony. Mężczyzna musiał odejść z firmy dla jej i swojego dobra. Wszystko pozostałoby tajemnicą, gdyby nie jego nagła i tragiczna śmierć. Snuł przypuszczenia. Ciekaw był, jaką cenę musiał zapłacić Kondracki za milczenie wiceprezesa. Andrzej Babicz nie miał nic do stracenia. Znał sekrety firmy. Konkurencja z otwartymi ramionami czekała na takich jak on.

Mogło być oczywiście inaczej. Mężczyźni zawarli ze sobą dżentelmeńską umowę, której elementem były tylko słowa. W to ostatnie nie wierzył. Słowa w ostatnich czasach strasznie straciły na wartości.

Chyba, że obaj należeli do wymierającego gatunku ludzi, dla których zasady zawsze stały na pierwszym miejscu.

Urlop czy zwolnienie. Pytanie powracało jak bumerang.

O tym, jak było naprawdę, wiedział tylko Kondracki.

Gwadera zamyślony patrzył na Szafran. Jaką rolę w tym wszystkim odegrała? Kobieta wyglądała na zniecierpliwioną. Denerwowało ją przedłużające się milczenie.

— Czy jest jeszcze coś, co chciałaby pani dodać na temat Babicza?

Zastanawiała się tylko chwilę.

— Był z nami trzy lata. Pomimo tego niewiele mogę o nim powiedzieć. Andrzej był typem samotnika. Nie utrzymywał kontaktu z kolegami z pracy.

— Znajomi?

Odpowiedziała po namyśle:

— Nie wiem, z kim się spotykał.

Gwadera zapisał kilka słów w notesie. Wiedział, że w tej chwili niczego więcej się od niej nie dowie.

Pozostała jeszcze jedna kwestia do wyjaśnienia.

— Czy Babicz miał służbowego laptopa?

— Tak.

Komisarz przeszedł do meritum sprawy.

— Co się stało z laptopem, kiedy Babicz poszedł na urlop?

— Zgodnie z procedurą laptopa zabezpieczają informatycy.

Skinął głową.

— Zdał?

— Na pewno. Nie mogło być inaczej.

— Dziękuję, na razie to wszystko — powiedział. Celowo użył zwrotu „na razie”. Chciał, aby Szafran jasno zdawała sobie sprawę, że jeszcze wrócą do tej rozmowy.

Kobieta uśmiechnęła się blado. Była zmęczona może nie tyle rozmową, a raczej całą sytuacją.

Gwadera zerknął na listę pracowników, na której zaznaczył wcześniej nazwiska Dawida Gmurka i Przemysława Karbowskiego, mężczyzn, którzy z Ewelina Stokłosa stanowili zespół do spraw kluczowych klientów.

— Czy pani Stokłosa wróciła już ze spotkania?

Było to głupie pytanie, nie powinien go zadawać. Ostatnie pół godziny Szafran spędziła z nimi, nie mogła tego wiedzieć.

— Sprawdzę...

Po jej wyjściu policjanci przez chwilę milczeli.

Panującą w pokoju ciszę przerwał dźwięk telefonu. Gwadera odebrał. Dzwoniła Szafran z informacją, że Ewelina Stokłosa nadal jest poza firmą.

Gwadera jeszcze raz spojrzął na leżącą przed nim listę pracowników. Rzucił do słuchawki kilka nazwisk. Kiedy ustalił już szczegóły i odłożył słuchawkę, przesunął listę w stronę Osmałka. — Przesłuchasz ich — mruknął i wstał.

Osmałek odprowadził komisarza zamyślonym wzrokiem do drzwi. Nie zadał żadnego pytania.

7.

Gwadera szybko przekonał się, że pytania, jakie miał do Kondrackiego, będą musiały jeszcze trochę poczekać. Prezes kilkanaście minut po ich rozmowie wyszedł z biura i wyłączył komórkę.

Asystentka grzecznie wyjaśniła, że prezes pojechał na lotnisko i prawdopodobnie jest teraz w samolocie lecącym do Szczecina. Nie potrafiła odpowiedzieć, kiedy szef będzie z powrotem.

Gwadera, niezadowolony z takiego obrotu sprawy, wrócił do Osmałka. Mężczyzna był sam. Dawid Gmurek nie pojawił się.

Komisarz nie krył zniecierpliwienia. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do dyrektora personalnej. Zdecydowanym tonem przypomniał o Gmurku. Szafran była zdziwiona. Zapewniła, że wszystkiego dopilnuje.

Gwadera sięgnął po telefon. Zadzwoił do Wejner. Był przekonany, że już uporała się z przydzielonym jej zadaniem. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy poinformowała go, że operator sieciowy jeszcze nie przekazał wydruku, o który wnioskowali. Na ogół trwało to kilka godzin. Rozwiązanie tej zagadki zostawił na później.

W momencie, kiedy wydawał Wejner wskazówki, co ma zrobić, do pokoju wszedł Dawid Gmurek. Komisarz szybko zakończył rozmowę.

Spojrzał na Gmurka. Był to wysoki mężczyzna o wesołych niebieskich oczach. Usiadł i splótł przed sobą dłonie. Gwadera poczuł zapach tytoniu. Na palcach mężczyzny dostrzegł tak charakterystyczne dla palaczy odbarwienia.

— Musiałem zapalić — Gmurek usprawiedliwił swoje spóźnienie. — Nie chce się wierzyć, że doszło do czegoś takiego — dodał cichym głosem.

Osmalek spojrzał z wyczekiwaniem na komisarza. Doszedł do wniosku, że skoro Gwadera wrócił, to on powinien prowadzić przesłuchanie.

— Dobrze pan znał Andrzeja Babicza? — komisarz przejął na siebie ciężar rozmowy.

Gmurek wzruszył ramionami.

— Raczej nie. Pracowałem z nim zbyt krótko. Może trzy miesiące... Pan Babicz trzymał się na uboczu.

Gwaderę zastanowiła w tej wypowiedzi forma, jakiej mężczyzna użył, opowiadając o zmarłym. „Pan Babicz”, zabrzmiało to bardzo oficjalnie.

— Jak w kilku słowach określiliby pan jego osobowość?

Mężczyzna zastanowił się.

— Był dziwny... — zamilkł.

Komisarz zerknął na niego uważnie.

— Dziwny?

— Stronił od ludzi.

Potwierdziło się to, co wcześniej o zamordowanym mówiła Szafran.

Komisarz pomyślał, że dalsze przesłuchiwanie Gmurka jest tylko stratą czasu. Musiał dotrzeć do kogoś, kto lepiej znał Babicza.

— Czy jest w firmie ktoś, kto mógłby więcej powiedzieć o zmarłym? — spytał wprost.

Gmurek potarł skronie.

— Chyba nie — zamilkł. — Chociaż... Piotrek. Był z Andrzejem dosyć blisko.

— Piotr?

— Szmajter.

Komisarz zerknął na listę pracowników.

— Nie znajdzie go pan — ściszył głos. — Piotrek już z nami nie pracuje.

— Odszedł?

Gmurek milczał.

Komisarz czuł, jak narasta w nim zniecierpliwienie. Jeżeli w taki sam lakoniczny sposób będą na jego pytania odpowiadać inni, przesłuchania mogą się ciągnąć w nieskończoność.

— Proszę mówić jaśniej.

Obdarzył Gmurka ciężkim spojrzeniem.

— No wie pan... — urwał.

„Do cholery, nie wiem”.

— Tak?

Gmurek wahał się.

Komisarz wyczuł, że mężczyzna czegoś się obawia.

— Prezes wyrzucił go z pracy — w końcu Gmurek podjął decyzję. Ściszył głos: — Podobno przez narkotyki.

Gwadera zerknął na Osmałka.

Proszę, proszę, powracał ulubiony temat podkomisarza.

— W tym wypadku prezes nie bawi się w sentymenty, nie toleruje w pracy żadnych używek — Gmurek mówił teraz szybko i zdecydowanie, tak jakby pękła w nim niewidzialna tama, która hamowała dotąd jego wypowiedzi. — Wszyscy starają się przestrzegać narzuconych zasad. Niestety, ci, którzy przekroczą pewne granice, muszą pożegnać się z firmą. Prosty wybór, zostajesz lub wylatujesz, nawet jeżeli jesteś dobry. Zero tolerancji dla osób, które nie radzą sobie ze stresem.

— I tempem pracy — podsunął komisarz.

— To też.

— Żadnych wyjątków?

— Zgadza się.

— A tak zwana druga szansa?

— Nie ma zastosowania.

W firmie w tej kwestii panowały jasne i czytelne zasady.

— Chce pan powiedzieć, że w godzinach pracy wszyscy są czyści?

Gmurek skinął głową.

— Wiedzą, ile stracą.

— A poza pracą?

Mężczyzna nabrał wody w usta.

Komisarz nie był zdziwiony, że Gmurek nie chce o tym mówić.

„Żyli za szybko i za mocno” — pomyślał Gwadera. Wielu z nich, zanim ukończy trzydzieści lat, będzie wypalonych. Zmęczeni pogonią za większą kasą, za pieniędzmi, z którymi wiązały się coraz lepsze samochody, mieszkania o wysokim standardzie, urlop w egzotycznych krajach. W zasięgu ręki mieli rzeczy, o jakich wiele osób w ich wieku mogło tylko pomarzyć.

— Wracając do Szmajtera... — Nie chciał, aby ten wątek im uciekł.

— Pracowali razem nad najważniejszymi zleceniami — Gmurek pospieszył z wyjaśnieniami tak jakby chciał uciec od poruszanego przed chwilą tematu.

— Długo?

— Od samego początku.

— Pamięta pan może, kiedy Szmajter został zwolniony?

Czuł, że odpowiedź na to pytanie jest dla przebiegu śledztwa bardzo ważna.

— Nie jestem pewien, ale... tak kilka dni po tym, jak Andrzej Babicz poszedł na urlop.

Strzał w dziesiątkę. Zbieżność dat nie była przypadkowa.

— Nie zdziwiło pana, że nagle, tak z dnia nad dzień Babicz postanowił wykorzystać zaległy urlop?

— Nie. Z tego, co wiem, była jakaś kontrola z inspekcji pracy. Prezes nie chciał mieć żadnych kłopotów — przerwał.

— Wie pan, gdzie mieszka Piotr Szmajter?

— Nie. Straciłem z nim kontakt. Zapewne Małgosia będzie miała jego dane. Jeżeli nie zmienił adresu, powinien go pan znaleźć.

Rozmowy z pracownikami firmy nie wniosły do śledztwa nic nowego. Postać Babicza nadal pozostawała ukryta we mgle.

Gwadera mógł oczywiście przepytac wszystkich, początkowo taki miał nawet zamiar. Tylko czy to miało jakikolwiek sens? Powoli nabierał przekonania, że to strata czasu.

W zeznaniach powtarzały się dwa określenia, pierwsze dotyczyło cech osobowości. Samotnik. Miał swój, jak kiedyś śpiewała Hanna Banaszak, „intymny mały świat”. Chwilę później padały słowa: świetny analityk giełdowy.

Kim naprawdę był Andrzej Babicz? Jaką w firmie odgrywał rolę?

Był wiceprezesem. Jednak z półsłówek i niedopowiedzeń, którymi karmili go pracownicy, Gwadera wywnioskował, że tak naprawdę Babicz, pomimo pełnienia tej funkcji, nie miał w Eastern European Investment wiele do powiedzenia. Ton nadawał Kondracki. W większości spraw to do niego należał decydujący głos. Reszta osób grała drugoplanowe role. Wiceprezesowi przydzielone zostały konkretne zadania, które realizował zgodnie z przyjętą polityką. Wszystkim przyświecał jeden cel — mnożenie pieniędzy i kapitału.

Gwaderę niepokoiła jedna rzecz. Zauważył, że osoby, które przesłuchał, chętnie wypowiadały się na tematy ogólne, tak naprawdę mało istotne, zaś kiedy zaczynał pytać ich o sprawy dotyczące bezpośrednio firmy, a zwłaszcza sposobu jej funkcjonowania, wszyscy nabierali przysłowiowej wody w usta, zachowując daleko posuniętą ostrożność. W ich wypowiedziach żadne słowo nie było przypadkowe. Miał do czynienia z najlepszej klasy analitykami i ta ich cecha znalazła swoje odbicie w składanych zeznaniach. Napotkał na mur, którego nie mógł sforsować. W końcu, gdy zdenerwowany po którymś z kolei pytaniu, na które nie uzyskał satysfakcjonującej odpowiedzi, ostrzejszym tonem zaatakował swego rozmówcę, ten z rozbijającą szczerością wyjaśnił, że ma zbyt wiele do stracenia.

Zrozumiał. Krzysztof Kondracki płacił im za lojalność.

Gwadera doszedł do wniosku, że przesłuchiwanie następnych osób jest bezsensowne.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia.

Zastanawiał się nad dalszymi krokami. Potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia. Wiedział o zamordowanym zbyt mało, aby mógł wyciągać jakiegokolwiek wnioski.

„Pierwszy dzień w pracy nie powinien być tak intensywny” — pomyślał ze złością.

Miał dosyć tych ludzi i ich małych i większych problemów. Chciał zarządzić odwrót, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na Osmalka, ten wzruszył tylko ramionami. Podniósł słuchawkę. Dzwoniła Szafran z wiadomością, że do biura wróciła Ewelina Stokłosa.

Gwadera nie wiedział, dlaczego z jej osobą wiązał tak duże nadzieje. Może dlatego, że kobiety były lepszymi obserwatorkami od mężczyzn? Po cichu liczył, że Stokłosa w zachowaniu wiceprezesa dostrzegła coś szczególnego. Pracowała z nim w jednym zespole. Musiała znać go lepiej od innych. Liczył, że, jak wszędzie, codzienne kontakty nie ograniczały się tylko do rozmów o pracy.

Przesłuchanie prowadził Osmalek. Zadawał pytania szybko, nie dając jej zbyt dużo czasu do namysłu. Komisarz odsunął krzesło i nieco z boku obserwował kobietę.

Na pytanie, czy Andrzej Babicz był samotnikiem, odpowiedziała twierdząco. Co robił po godzinach pracy, nie wiedziała. Nie interesowało jej to.

Czy miał przyjaciół?

Na jej twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

— Proszę odpowiedzieć — Gwadera włączył się do rozmowy.

Wolno przeniosła na niego wzrok.

— Spytajcie o to Małgosię...

— Mówi pani o Małgorzacie Szafran? — chciał się upewnić.

— Oczywiście.

— Była jakoś związana z Andrzejem Babiczem?

— Nie — odpowiedziała wymijająco.

Spojrzał na nią ciężko.

— Sugeruje pani, że ona może coś więcej powiedzieć o zamordowanym?

Uśmiech nie schodził z jej warg.

— Nie ma rzeczy, o której by nie wiedziała. To oczy i uszy prezesa. Nic w tym dziwnego... ona i... — nie dokończyła.

Gwadera spojrzał na nią uważnie.

— No wie pan...

Nie wiedział.

— Proszę mówić jaśniej.

— Pan komisarz udaje czy rzeczywiście nie orientuje się w sprawach damsko-męskich? — spytała żartobliwie. — Niektórzy awansują szybciej —

dodała ciszej.

Przez kilka chwil upajała się swoją przewagą.

— Ona i prezes — wróciła do rozpoczętego wątku — mniej więcej trzy lata temu mieli romans. — Zerknęła na niego ukradkiem.

Nie miała oporów, by dzielić się sekretami firmy. Był zaskoczony, że tak łatwo o tym mówiła.

Pozwolił, aby snuła swoją opowieść.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie rozpatrzę tego w kategoriach moralnych. Tak jest zbudowany świat. Gdybym była na jej miejscu, postąpiłabym dokładnie tak samo. Dostyc szybko się rozstali, nie wiem z czyjej winy. W każdym razie krótko po tym została dyrektorem personalnym — zamilkła.

Tymi kilkoma słowami zdradziła się. Przemawiała przez nią zwykła kobieca zawiść.

— Tajemnicą poliszynela było, że po tym wszystkim bardzo jej pomógł Babicz. Miała u niego wsparcie, dlatego tylko nie wyleciała z firmy.

— Coś ich łączyło?

Szafran nie wyglądała na kogoś, kto zmienia mężczyzn jak rękawiczki. „Pozory mogą mylić, komisarzu” — złązał się w myślach.

Na twarzy Stokłosa pojawił się dziwny uśmiech.

— Nie — powiedziała po bardzo długiej chwili milczenia.

Czy mówiła prawdę?

Wątpił.

— W każdym razie nic o tym nie wiem — dodała.

Tak, teraz jej wierzył.

Pięć minut później siedzieli w gabinecie Szafran.

— Pani Małgorzato — zaczął — nie powiedziała nam pani wszystkiego.

— Tak? — spytała ostrożnie.

Temat, który chciał poruszyć, był dla niej niewygodny.

— Pracuje pani w firmie od samego początku?

Skinęła głową.

— Cały czas na tym samym stanowisku — ubiegła jego następne pytanie. — Zgodnie z wykształceniem.

Nie miał wątpliwości, że była dobrym specjalistą. Nie śmiał nawet podważać jej przygotowania zawodowego.

Ze słów Stokłosa wynikało, że tak wysoką pozycję zawodową zawdzięczała nie swojej inteligencji, lecz kobiecym wdziękom.

— Czy to prawda, że miała pani z szefem romans? — Nie był delikatny. To nie był czas ani miejsce na bawienie się w podchody.

Nie wyglądała na zdziwioną. Spodziewała się takiego pytania.

— Na pana miejscu nie wierzyłabym w żadne słowo Eweliny — powiedziała

zimnym głosem. Potwierdziła to, czego się domyślał, panie nie darzyły się sympatią.

— Nie nazwałabym tak tego, co... — szukała odpowiednich słów — nas łączyło. Zaczęło się klasycznie. Najpierw były to miłe słowa, kwiaty, kolacja. Dopiero przy czwartym spotkaniu zaproponował wspólny wyjazd na konferencję. Proszę mi wierzyć ale... tak naprawdę to do niczego między nami nie doszło. Miałam wtedy kogoś innego, zresztą do dzisiaj jestem związana z tym człowiekiem. Pochlebiało mi, że ktoś taki jak Krzysztof Kondracki zwrócił uwagę akurat na mnie. Początkowo myślałam, że może mi to pomóc w jakiś sposób w karierze. Ale na coś więcej nie pozwoliła mi... może uznać pan to za śmieszne... zwykła, ludzka uczciwość. Nie wiedziałam, jak wybrnąć z tej sytuacji. Muszę przyznać, że szef zachował klasę. Sam stwierdził, że nie ma sensu tego ciągnąć. Pozostaliśmy przyjaciółmi.

Nie po raz pierwszy zdziwiła go łatwość, z jaką ludzie opowiadali o swoich związkach.

— Chciałabym, aby pan wiedział o jednym, bez względu na to co powiedziała pani Stokłosa. Najpierw zostałam dyrektorem personalnym, dopiero potem przytrafiła się ta historia z Krzysztofem.

Skinął głową na znak, że jej wierzy.

— I jeszcze jedno. To nie była próba rozbicia małżeństwa, nie miałam takiego zamiaru. Kiedy Krzysztof przyjechał do Polski już wówczas między nim a małżonką nie najlepiej się układało.

— To znaczy?

— Jest z żoną w separacji.

Nie drążył tego tematu.

— Po tej przygodzie chciałam nawet odejść z firmy...

— Ale nie zrobiła pani tego — zauważył.

— Tak.

— Wówczas pomógł pani Babicz... — podsunął.

Jego cierpliwość została wynagrodzona. W końcu doszli do tematu, który interesował go najbardziej.

— Tak. Przekonał mnie, abym jednak została.

Ciekawe, jakich użył argumentów.

— Nie wspomniała pani o tym — powiedział z wyrzutem w głosie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— To było trzy lata temu. Dlaczego miałam mówić panu o czymś, co tak naprawdę dotyczyło tylko mnie?

Zrozumiał. Dla niej sprawa dawno została zamknięta. Nie pozostało mu nic innego, jak przyznać jej rację.

Z biurowca wyszli kilka minut przed piątą, z twardym postanowieniem, że wrócą tutaj następnego dnia.

Gwadera podał swojemu podwładnemu kluczyki od samochodu. Potrzebował kilku chwil spokoju.

— Na komisariat? — spytał Osmalek.

Komisarz pokręcił głową.

— Odwiedzimy Piotra Szmajtera — mruknął.

Osmalek był dobrym kierowcą. Jechał szybko, ale ostrożnie.

Kiedy kwadrans później wjeżdżali na most Śląsko-Dąbrowski, Gwadera pomyślał, że pobili wszelkie rekordy szybkości w przemieszczaniu się zatłoczonymi ulicami Warszawy.

Za mostem zaczynała się Praga, przybyszom spoza Warszawy kojarząca się z ruderami i stojącymi w bramach, podpitymi lumpami.

Dzielnica z charakterem, dawniej wielokulturowy tygiel, gdzie obok siebie żyli Polacy, Żydzi i Rosjanie. Od kilku lat to zapomniane przez wszystkich miejsce powoli zmieniało swój wygląd. Obok starych kamienic wyrastały nowe budynki. Apartamentowce.

W jednym z nich, na rogu remontowanej Ząbkowskiej i Tarchomińskiej mieszkał Szmajter.

Szmajter otworzył dopiero po trzecim dzwonku.

Był to postawny mężczyzna o przerzedzonych włosach, który nie wyglądał na swoje dwadzieścia kilka lat.

Pokazali legitymacje. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Zachował się tak, jakby przywykł do tego rodzaju wizyt.

Gwadera wyrzucił sobie, że wcześniej nie sprawdził mężczyzny w policyjnych kartotekach. Kto wie, może dowiedziałby się czegoś ciekawego.

Przez kilka chwil Szmajter mierzył ich wzrokiem.

— Słucham? — spytał niezbyt grzecznym tonem. Gdyby mógł, powiedziałby zapewne: „Idźcie do diabła”. Powstrzymał go nie wrodzony szacunek do władzy, a raczej obawa przed ewentualnymi kłopotami.

— Będziemy rozmawiać na korytarzu?

— A, to zależy, w jakiej sprawie panowie przyszli — droczył się z nimi. — Jeżeli chodzi o rodzinną kłótnię, to nie ten adres. Zapraszam piętro wyżej.

— Andrzej Babicz nie żyje — powiedział komisarz, obdarzając Szmajtera badawczym spojrzeniem.

Mężczyzna był zaskoczony.

— Pan żartuje — wykrztusił po chwili.

Gwadera wskazał na drzwi.

— Wpuści nas pan?

— Tak, oczywiście.

W pokoju, do którego ich zaprowadził, panował bałagan. Szmajter pozbierał z foteli ciuchy, ze stolika zgarnął gazety i rzucił je na podłogę. Dołączyły do leżących tam papierów.

— Sprzątaczką ma wychodne — zażartował. W chwili, gdy przebrzmiały te słowa, zrozumiał, że żart w obecnej sytuacji był nie na miejscu.

— Co się stało? — przestał grać.

Gwadera powiedział. Wystarczająco dużo, by wzbudzić jego zainteresowanie. Bez szczegółów, tylko suche fakty.

— Szkoda człowieka — mruknął Szmajter. Pokiwał z niedowierzaniem głową. — Kto to mógł zrobić?

Patrzył z wyczekiwaniem na policjantów, jakby spodziewał się, że już złapali mordercę.

„Gdyby to było tak proste” — pomyślał komisarz.

— Dopiero rozpoczęliśmy śledztwo — wyjaśnił.

Szmajter pokiwał głową.

— Podobno byliście przyjaciółmi — zaczął komisarz. Nie mogli dłużej czekać.

— Kto naopowiadał panu takich bzdur?! — uniósł się. — Nic mnie z nim nie łączyło.

Gwadera nie rozumiał tego nagłego wybuchu złości. Poczekał, aż mężczyzna uspokoi się.

— Były jakieś kobiety w jego życiu?

Szmajter spojrział na niego zdziwiony. Roześmiał się nerwowo.

— Tak.

— Zna pan ich nazwiska?

— Co z was za policjanci. O niczym nie wiecie?

Policjanci wymienili szybkie spojrzenia.

— O czym mielibyśmy wiedzieć?

— To nie tak jak myślicie... z kobietami łączyła go tylko przyjaźń.

Gwadera zamarł. Długopis zawisł nad kartką papieru. Wątpił, aby przyjaźń pomiędzy mężczyzną i kobietą była możliwa. Wcześniej czy później górę brała chemia. Chyba, że... Nie dokończył myśli.

— Nie wierzy pan, że coś takiego istnieje? — spytał Szmajter, widząc niepewne miny policjantów. — I ma pan rację. Andrzej był inny... Nade wszystko cenił sobie towarzystwo panów, jednym słowem, nie interesowały go kobiety.

— Był homoseksualistą? — spytał wprost Osmałek. W jego głosie zabrzmiała pogarda. Tym jednym pytaniem zdradził się. Należał do tych osób, które nie tolerują odstępstw od normy.

Gwadera spojrział na niego poirytowany. Podkomisarz, bez względu na swoje

poglądy, w rozmowie ze świadkiem powinien zachować całkowitą bezstronność.

Komisarz zastanawiał się, dlaczego żadna z przesłuchiwanym osób nie wspomniała o tym nawet jednym słowem. Czy to możliwe, że nikt o tym nie wiedział? Pomimo otwartości społeczeństwa na tego rodzaju sprawy, nadal gdzieś w podświadomości pokutowało przeświadczenie, że o tym nie mówi się głośno.

— Miał przecież żonę...

Babicz zaczynał jawić się jako bardzo skomplikowana postać.

— W czym to przeszkadza? — Szmajter patrzył rozbawiony na komisarza. Zerknął na Osmąka. — Tak. Ma pan rację. Andrzej był homoseksualistą. Chciał ukryć swoją orientację, tak jakby się tego wstydził. Tak, był żonaty. Może sądził, że to pomoże mu zwalczyć w sobie tę inność. — Szmajter na głos snuł przypuszczenia. — Bez względu na to, co nim kierowało, zrobił tej kobiecie wielką krzywdę. Niezła laska z niej była.

— Znał ją pan?

— Widziałem raz, może dwa...

— Może pan wie, gdzie teraz mieszka?

— Podobno po rozwodzie wyjechała z Polski. Nie dziwię się. Po czymś takim zostaje w psychice ślad.

Zamyślił się.

— Pracował pan z Andrzejem w zespole? — spytał Osmąk.

— Tak.

— Jakie zlecenie ostatnio realizowaliście?

— Nie wiem — odpowiedź padła szybko, zbyt szybko.

— Jak pan skomentuje słowa — Gwadera zerknął do notatek — „Piotr Szmajter współpracował z szefem od samego początku. Prezes powierzał im najtrudniejsze zlecenia”?

— Zgadza się. Ale Andrzej nie dopuszczał mnie do wszystkiego. On w zasadzie nie potrzebował wsparcia, był przed nami kilka kroków. Kiedy włączał ten swój analityczny umysł, nikt za nim nie nadążał.

— Rzeczywiście był aż tak dobry?

— Był najlepszy. Gdy na rynku idzie wszystko po naszej myśli, są to wspaniałe chwile, odczucia bardziej upajające niż szampan, jest to zabawniejsze niż seks. Czujesz się wówczas jak Bóg, który panuje nad wszystkimi i wszystkim. Potem zaczyna iść gorzej, trzeba ukryć straty, a później odegrać się. To normalne, nie możesz powiedzieć wprost, że straciłeś, o tym nie mówi się głośno.

— Chce pan powiedzieć, że coś takiego przytrafiło się Babiczowi? — przerwał Szmajterowi. — Stracił pieniądze inwestorów?

Uśmiechnął się tajemniczo.

— Każdy popełnia błędy. Rzeczywiście, było kilka nietrafionych inwestycji.

— Jakiego rzędu były to straty?

— Nie wiem.

Komisarz spojrział na mężczyznę zdziwiony.

— Zna pan nazwiska tych osób lub instytucji, które straciły pieniądze?

Gwadera czuł, że odpowiedź na to pytanie jest bardzo ważna.

Szmajter odpowiedział dopiero po chwili.

— Niestety, ale tego też nie wiem.

— Nie rozumiem?

Szmajter potarł dłonią zarost na brodzie.

— Andrzej pod koniec odsunął mnie od wszystkich transakcji.

— Odsunął pana?

— Tak.

— Powiedział dlaczego?

— Nie musiał się tłumaczyć. Był szefem.

— Pan nie spytał go o to?

— Nie było takiej potrzeby. W tym czasie byliśmy zawałeni pracą.

Komisarz szybko dokonał w myślach podsumowania. Był zadowolony.

Nareszcie dowiedział się czegoś konkretnego. Jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

Ludzie, którzy pracowali z Babiczem od kilku lat, kompletnie go nie znali.

Zamknął notes.

— Czy chciałby pan coś jeszcze dodać? — spytał.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

— Andrzej jest takim typem człowieka, który zanim coś zrobi, musi dokładnie rozpatrzyć wszystkie za i przeciw — zamilkł. Zdał sobie sprawę, że używa czasu teraźniejszego, tak jakby Andrzej Babicz nadal żył. — No tak... — mruknął. — Jego śmierć to wielka strata...

— Czy te... — komisarz zawahał się, szukając odpowiedniego słowa — ...jego potknięcia miały jakiś wpływ na kondycję firmy?

Pytanie wydawało się Gwaderze logiczne. Nie był biegły w zagadnieniach ekonomii, pomimo to przypuszczał, że tok jego rozumowania jest słuszny. Jeżeli ktoś traci powierzone fundusze, nie może to odbyć się bez żadnych reperkusji dla samej firmy. Babicz był tylko trybikiem w maszynie, jednym z jej elementów, bez którego zapewne sama firma mogła funkcjonować. W myślach przyrównał tę sytuację do składu pociągu ciągniętego przez lokomotywę, nawet w przypadku, gdy na jednej ze stacji kilka wagonów zostanie odczepionych.

— Nie — Szmajter odpowiedział od razu.

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy komisarz poczuł, że mężczyzna nie jest wobec nich szczery.

— Pan odszedł z firmy z jakiegoś określonego powodu? — Gwadera spytał niewinnie.

— Nie podobała mi się panująca tam atmosfera — Szmajter udzielił

wymijającej odpowiedzi.

— Słyszałem zupełnie coś innego.

— Tak?

— To prawda, co mówią?

Mężczyzna pochylił się w stronę komisarza.

— A co mówią?

— Oficjalna wersja brzmi, że wyrzucili pana za narkotyki... — Komisarz patrzył uważnie na Szmajtera.

Twarz mężczyzny poczerwieniała.

— Skoro pan wie, to dlaczego, kurwa, mnie o to pyta? — Szmajter wybuchł. Łatwo dał się wyprowadzić z równowagi,

Gwadera nie był zdziwiony jego reakcją.

— Skurwiel złapał mnie tylko raz. Byłem po imprezce i ciach... po ptakach — Szmajter nie przebierał w słowach.

Komisarz domyślał się, że mężczyzna nie darzył Kondrackiego zbyt dużą sympatią.

Po tym wybuchu Szmajter bardzo długo milczał. Podeszedł do stolika i z szuflady wyjął paczkę papierosów. Zapalił. Dłoń, w której trzymał papierosa, lekko drżała.

Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był już spokojny.

— Raz mnie złapał, ale tak naprawdę to miałem z tym poważne problemy... Teraz mam to już za sobą — powiedział z ulgą. — Kiedy prezes wyrzucił mnie z firmy, to było... — zastanowił się — jak kubek zimnej wody. Ta praca była całym moim życiem... — przerwał. — Teraz jestem czysty.

— Jak niemowlak?

— Tak. Brał pan kiedyś? — spytał nagle. Patrzył na komisarza uważnie.

Gwadera w jednej chwili zrozumiał, do czego Szmajter zmierza. Szczerość za szczerość. Proszę bardzo.

— Nigdy nie ciągnęło mnie do narkotyków... — Rzeczywiście tak było. Tego rodzaju problemy były mu zupełnie obce. Co innego alkohol. Tak, przy takim pytaniu musiałby dłużej zastanawiać się nad odpowiedzią.

— Ha... ha... Nie chce mi się jakoś wierzyć, że z pana taki harcerzyk, człowiek bez skazy — pozwolił sobie na ironię.

Osmalek zerknął rozbawiony na komisarza.

— Nie interesuje mnie pana wiara — powiedział oschłym tonem Gwadera.

Szmajter uniósł dłonie w geście poddania.

— Dobrze, dobrze. Chciałem po prostu wiedzieć, czy znane są panu z autopsji te problemy... Wie pan, zupełnie inaczej rozmawia się z kimś, kto ma podobne doświadczenia.

— Co pan brał? — Gwaderze nie podobało się to zainteresowanie jego

osobą.

— Czy to ważne? — Szmajter odpowiedział pytaniem na pytanie.

Gwadera przyznał mu rację.

Wstał. Chciał zakończyć rozmowę.

— Gdyby pan sobie coś przypomniał — położył na stole wizytówkę — proszę do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Byli przy drzwiach, gdy zatrzymał ich głos Szmajtera.

— Chwileczkę...

Gwadera odwrócił się.

— Znaleźliście książkę? — padło zupełnie niezrozumiałe pytanie.

— Książkę? — spytał ostrożnie.

— Tak, z zapisem transakcji.

— To takie ważne?

Pokiwał głową.

— Tak. Spytajcie prezesa.

To było wszystko, co miał do powiedzenia.

Za pięć szóstą Gwadera zapukał do oznaczonych piątką drzwi mieszkania na Cybulskiego. Towarzyszył mu Osmalek i Pawlak, który uparł się, że pójdzie z policjantami na górę. — Znają mnie, łatwiej będzie panom rozmawiać — argumentował.

Drzwi otworzył szczupły mężczyzna o przyjemnym wyrazie twarzy. Spojrzał na Gwaderę, potem na Osmalka i zatrzymał wzrok na Pawlaku.

— Coś się stało, panie Grzegorzu? — spytał grzecznie.

Gwadera w jego oczach dostrzegł ledwo skrywany niepokój.

— Panowie są z policji...

Sosnowski uniósł lekko brwi.

— Jednak coś się stało. — Zaprosił policjantów do środka.

Znaleźli się w przestronnym pokoju, który pełnił funkcję salonu. Panował tutaj nieskazitelny porządek. Gwadera przypuszczał, że tak jak inni lokatorzy, Sosnowscy zatrudniali gosposię. Praca pochłaniała im zbyt dużo czasu, brakowało go na codzienne czynności.

Sosnowski wskazał na skórzane fotele.

— Napiją się panowie czegoś?

Podziękowali. Herbata lub kawa zmusiłaby ich do dłuższego pozostania w mieszkaniu Sosnowskich.

Gwadera przeszedł od razu do rzeczy. Spytał o niedzielę.

— Nie wzywaliśmy nikogo — Sosnowski odpowiedział krótko, lecz zdecydowanie.

— Jest pan pewien?

Sosnowski oburzył się.

— Proszę pana, czy wyglądam na stetryczalego dziadka z domu opieki społecznej? — spytał niegrzecznie.

Komisarz spojrział na Osmałka. Nie rozumiał, dlaczego pytanie aż tak wytrąciło lekarza z równowagi.

— To wszystko. Dziękujemy panu.

Wstali.

Gdy byli przy drzwiach, Sosnowski kierowany zwykłą ludzką ciekawością spytał:

— Co się właściwie stało?

— Pana sąsiad nie żyje — odpowiedział.

— Kto? — Ciekawość lekarza jeszcze bardziej wzrosła.

— Andrzej Babicz — wtrącił się Pawlak.

— Babicz... Babicz — powtórzył w zamyśleniu. Próbował skojarzyć osobę.

— Z pierwszego piętra — odpowiedział Pawlak.

Jego wskazówka nie pomogła Sosnowskiemu.

Mężczyzna nie znał swoich sąsiadów z bloku. Zajęty pracą, nie zwracał uwagi na mijających go ludzi.

Gwadera był ciekawy, czy Sosnowski pamięta nazwiska swoich obecnych pacjentów. Może byli tylko pozycją na liście płac.

Ksiądz Remigiusz Zacharek był krępy męczyzną o gęstych blond włosach.

Mieli szczęście. Kiedy zaparkowali przed plebanią, wracał akurat z kościoła po wieczornej mszy. Przedstawili się. Ponieważ patrzył na nich nieufnie, pokazali legitymacje. Dopiero wówczas zaprosił ich do urządzonej skromnie kancelarii.

Usiedli na krzesłach.

— Słucham — rzucił.

Gwadera w paru zdaniach powiedział, co ich sprowadza. Kiedy wypowiedział nazwisko Babicza, na twarzy Zacharka pojawiło się zmieszanie.

— Zna go ksiądz? — spytał wprost.

— Tak... — odpowiedział po długiej chwili milczenia.

— Prywatnie czy jako parafianina?

Zawahał się.

— Można powiedzieć, że była to prywatna znajomość. Wychowywaliśmy się na tym samym podwórku. Potem, jak to często w życiu bywa, nasze drogi rozeszły się. Parę lat temu zupełnie przypadkowo spotkałem go w Sopocie. Od słowa do słowa okazało się, że los rzucił nas do Warszawy.

Gwadera wierzył Zacharkowi. Jego szczerść nie podlegała dyskusji.

— Babicz odwiedzał księdza na plebanii?

— Tak. Wpadał raz, czasami dwa razy w miesiącu. — Uśmiechnął się.

— Próbowałem go nawrócić, ale był bardzo oporny na moje nauki. Podarowałem

mu nawet Biblię.

— Pamięta ksiądz, o czym z nim rozmawiał, oczywiście oprócz tematów związanych z wiarą.

— O życiu...

— Ksiądz wiedział, że Babicz był... — zawahał się.

— Inny — Zacharek dokończył za niego. — Tak. Wiedziałem o tym. Ale... dla mnie był to po prostu zagubiony człowiek, który ma problemy z określeniem własnej tożsamości. Te nasze rozmowy wiele dla niego znaczyły.

— Zwierzał się księdzu ze swoich kłopotów?

— Kłopotów?

— Czy mówił coś o swojej pracy?

— Nie. Nie przypominam sobie, chociaż...

— Tak?

— Pamiętam nasze ostatnie spotkanie, krótko przed świętem konstytucji. Powiedział, że zrobił coś, czego będzie prawdopodobnie żałować do końca życia. Spytałem, na czym polega jego wina, lecz nie chciał o tym rozmawiać, chyba był na siebie zły, że w ogóle podjął ten temat. Potem nieoczekiwanie wspomniał, że nie czuje się bezpieczny. Chciał, abym mu doradził, co ma w tej sytuacji zrobić.

— I co ksiądz mu powiedział?

— Aby wyjechał i w ten sposób zamknął pewien etap swojego życia.

Gwadera w domu znalazł się przed ósmą. Zrobił zakupy w osiedlowym sklepie. Podstawowe rzeczy, o jakich wcześniej zapomniał. Starał się unikać centrów handlowych. Nie lubił hałasu, który tam panował, wylewającej się z każdego sklepu muzyki, mieszaniny zapachów unoszących się z przytulonych ciasno do siebie knajpek i kawiarni.

Ponad wszystko cenił sobie małe sklepiki, zaopatrzone w towar nie gorzej od dużych sieci handlowych. Było w nich wszystko plus sympatyczne ekspedientki, które znajdowały czas na krótką pogawędkę z klientami.

Dopiero kiedy otwierał drzwi mieszkania, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Postawił pełną reklamówkę na blacie kuchennego stołu i szybko nastawił wodę.

Otworzył wszystkie okna, wpuszczając świeże powietrze. Czekał, aż woda zagotuje się, nalał sobie solidną porcję martini. Ze szklaneczką w dłoni wyszedł na balkon.

Na pamięć znał każdy zakamarek podwórka. Po prawej ukryta za ścianą zieleni stała drewniana ławeczka, umieszczona tutaj przed laty. Pierwotnie miała służyć matkom z dziećmi i starszym paniom, które uciwały sobie popołudniowe pogawędki. W ostatnim roku opanowała ją grupa wyrostków, którzy swoim głośnym zachowaniem burzyli spokój kamienicy. Od dawna obiecywał sobie, że zrobi z tym porządek. Nigdy nie miał czasu, a przecież wystarczyłaby krótka rozmowa z nastolatkami. Były to w większości dzieciaki mieszkańców tej

i sąsiedniej kamienicy. Młodzi ludzie, wywodzący się z rodzin, w których zabiegani rodzice wiecznie nie mieli dla nich czasu, wynagradzając to szeroko płynącym strumieniem pieniędzy i markowymi ciuchami. Oczywiście nie było to w stanie zastąpić zwykłej rozmowy, w trakcie której tworzyła się pokoleniowa więź. Głośna muzyka, wulgarność, brak szacunku wobec starszych i kobiet. Bunt przeciw wszystkiemu i wszystkim. W pewnym wieku normalna rzecz. Każdy przechodził w życiu taki okres, kiedy szukał swojego miejsca i tożsamości.

Gwadera przez kilka chwil zastanawiał się, czy z podobnymi problemami czasami nie boryka się jego siostra, która sama wychowywała szesnastoletniego syna. Mąż zostawił ją krótko po tym, jak Radek przyszedł na świat. Chłopak był w najgorszym dla młodego człowieka wieku. Uczył się w liceum o profilu humanistycznym.

Magda nigdy nie mówiła o jakichkolwiek kłopotach związanych z jego wychowaniem. Ostatnio widzieli się przed tygodniem. Kiedy spytał ją o siostrzeńca i jego postępy w nauce, w jej głosie wyczuł fałszywą nutę. Bąknęła coś o jego problemach w szkole i o tym, że prawdopodobnie od września zmieni liceum. Nie dociekał, dlaczego. Teraz żałował, że nie zadał takiego pytania.

Przypomniawszy sobie, że w najbliższą niedzielę Magda ma urodziny. Postanowił, że wpadnie do niej po południu, złoży życzenia, a przy okazji porozmawia z Radkiem.

Gdzieś z pierwszego piętra dobiegły odgłosy kłótni. Po chwili z sąsiedniej klatki schodowej wybiegła nastoletnia dziewczyna i ze szlochem zniknęła w bramie.

Wrócił do mieszkania.

Cztery ściany. To był jego azyl, ucieczka przed światem, bez którego nie potrafił żyć, a który wciągnął go bezgranicznie. Oczywiście zdarzały się chwile zwątpienia, w których zastanawiał się, czy po prostu tego wszystkiego nie rzucić. W takich momentach sięgał po alkohol. Dwa, czasami trzy kieliszki, wystarczająco dużo, by odgonić galopujące myśli, zbyt mało, aby się upić. Czasami, kiedy miał naprawdę ciężki dzień i ciągle wracał do tego, co widział, ta ilość nie wystarczała. Pił wówczas tak długo, póki nie zmorzył go sen.

Przez ostatnie dwa miesiące, nie licząc zakrapianej kolacji u Tkaczyka, prawie nie pił. Teraz przyłapał się, że wraca do swoich dawnych przyzwyczajień.

„Człowieku, ta praca kiedyś cię zabije” — pomyślał gorzko, dolewając wódki do pustej już szklaneczki.

9.

Następny dzień nie rozpoczął się przyjemnie ani dla Osmalka, ani dla Wejner.

Zaczęło się niepozornie. Komisarz po raz kolejny analizował zebrane

dokumenty, czytał protokoły przesłuchań, przeglądał zdjęcia. Wracał do punktu wyjścia. Od czasu do czasu zapisywał swoje przemyślenia na kartce.

Minęła godzina. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało. Spojrzał na listę przesłuchanych lokatorów. Brakowało mu jednej osoby. Dotąd nikt nie rozmawiał z gospodarzem kamienicy. Nie rozumiał, dlaczego tak się stało. Dozorca, cieć, czy jak go inaczej nazwać, był z racji pełnionej funkcji niezastąpioną skarbnicą wiedzy. To ewidentne zaniedbanie ze strony kolegów zirytowało go.

Do pokoju wszedł Osmałek, który szybko zorientował się, że zrobił to w najmniej odpowiednim dla siebie momencie. Mężczyzna nie zdążył nawet usiąść, gdy Gwadera spytał go o dozorcę. Osmałek przez kilka chwil z dziwnym spokojem patrzył na komisarza.

— Dozorca? — powtórzył.

Komisarz uderzył pięścią w teczkę z aktami.

— Tak. Na Smulikowskiego.

Osmałek zastanawiał się kilka sekund, zanim odpowiedział:

— Rzeczywiście, brakuje takiego zeznania, ale...

— Dlaczego? — warknął Gwadera.

— Pozwolisz mi dokończyć?

Komisarz zreflektował się.

Dał znak, aby Osmałek mówił dalej.

— W niedzielę nie zastaliśmy go w domu, tak samo w poniedziałek. Miałem zamiar spróbować dzisiaj...

Dla Osmałka wszystko było jasne. Nikt nie jest winien, wszystko można naprawić.

„Gdyby życie było takie proste” — westchnął Gwadera.

— Dobra, jedź tam. I pogadaj z nim...

Osmałek już nie dyskutował.

W drzwiach minął się z Wejner.

— Billingi — mruknął Gwadera na widok kobiety.

Rozłożyła bezradnie dłonie.

— Nie mam dobrych wiadomości.

Gwadera spojrzał na Wejner zdziwiony.

— Mają jakieś problemy techniczne — wyjaśniła spokojnie.

— I?

— Facet, z którym rozmawiałam, obiecał, że do jutra powinni się z tym uporać.

— Jutro... — powtórzył zamyślony.

Westchnął na myśl, że nie pozostaje mu nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość, chociaż to przychodziło mu coraz trudniej.

— Pan komisarz dzisiaj nie w humorze — zauważyła.

Gwadera posłał jej uważne spojrzenie. Nie przypuszczał, że jego zachowanie było aż tak czytelne. Pomyślał, że młoda policjantka jest nie tylko świetnym analitykiem, ale i obserwatorem. Drobne gesty, niedopowiedzenia, pojedyncze słowa, wszystko to składała w całość, wyciągając odpowiednie wnioski.

— Żeby pani wiedziała — odburknął, mając nadzieję, że ton głosu zniechęci ją do zadawania następnych pytań.

Wejner przez chwilę wpatrywała się w komisarza natarczym wzrokiem.

— Źle przespana noc?

Gwadera milczał. Nie był nastrojony towarzysko. Potrzebował kilku godzin spokoju, aby wszystko na nowo poukładać. Potrzebował jeszcze czegoś — filiżanka dobrej kawy na pewno postawiłaby go na nogi.

— Czyta pani w moich myślach? — spytał, gdy Wejner postawiła przed nim kubek z parującym napojem.

— Mniej więcej. Ale to raczej kobieca intuicja... tak naprawdę to zdradza pana wygląd. Podkrążone oczy, nieprzytomne spojrzenie.

Uśmiechnął się krzywo.

— Jakie pani studia kończyła? — spytał, cały czas obserwując kobietę uważnie. Czytał jej akta, ale zapomniał, jaki to był kierunek.

— Psychologię, panie komisarzu.

Tak, teraz wszystko było jasne.

Gwadera intensywnie przyglądał się Wejner.

— Zbieramy się, pani Kasiu — podjął decyzję.

— Na Duninowską?

— Tak...

Kiedy wsiedli do samochodu, przyznała, że poprzedniego dnia bała się, że jej udział w śledztwie ograniczy się tylko do papierkowej roboty i siedzenia za biurkiem. Nie tak wyobrażała sobie pracę w policji.

Gwadera najpierw chciał porozmawiać z prezesem. Niestety, Kondracki był nieosiągalny.

Kolejne dwie godziny spędzili na przesłuchiwanie pracowników. Początkowo zadawali pytania na zmianę. Chwilę później, kiedy Gwadera zauważył, że Wejner bardzo dobrze sobie radzi, ciężar rozmowy przesunął na nią. Sam przyjął pozycję obserwatora.

W pewnym momencie kobieta zorientowała się, że przestał zadawać pytania. Spojrzała na niego zaniepokojona.

— Coś nie tak? — spytała, gdy na kilka minut zostali sami.

— Nie. Wszystko w porządku. Świetnie pani idzie.

Uśmiechnęła się lekko. Był przekonany, że ta świeżo upieczona absolwentka szkoły oficerskiej ma zadatki na dobrą policjantkę. Mogła zajść wysoko.

Miał nadzieję, że za parę lat nie stanie się zubożniałą, wypraną z wszelkich

uczuc kobietą, która nie widzi sensu w tym, co robi. Miał także nadzieję, że kiedy pozna swoją drugą połówkę, jeżeli jeszcze to nie nastąpiło, i urodzi dziecko, nie zrezygnuje z pracy, przedkładając ponad wszystko spokój domowego ogniska.

— Dlaczego tak mi się pan przygląda? — Wyłapała jego spojrzenie.

— Zastanawiałem się... — przerwał. Nie stać go było na chwilę szczerości. Znał Wejner zbyt krótko, by dzielić się swoimi przemyśleniami.

Wątpił, czy naczelnik podjął słuszną decyzję, wyznaczając go na... Szukał odpowiedniego słowa. — Na przewodnika — dokończył.

— Tak? — przerwała jego myśli.

— Nieważne...

Katarzyna Wejner nie poddała się tak łatwo.

— Panie komisarzu, jak się powiedziało a, trzeba... — zdania nie pozwolił jej dokończyć dzwonek telefonu.

Gwadera odetchnął, sięgając po komórkę.

— Tak? — rzucił.

— Dzięki tobie mam niezłą zagadkę do rozwiązania — rozpoznał po drugiej stronie głos Zasady. Mężczyzna gładko przeszedł na ty.

— Coś ciekawego?

— Same ciekawe rzeczy. Nigdy jeszcze w mojej długoletniej pracy nie spotkałem się z czymś takim. — Mężczyzna był poruszony.

Gwadera czekał na dalsze słowa.

— Wyobraź sobie, że oprócz twojej i tego Osmalka, z którym pracujesz, radosnej twórczości — nie omieszkał wypomnieć mu w żartobliwy sposób, że przeszukali mieszkanie jeszcze przed przybyciem ekipy — nie ma absolutnie żadnych śladów. — W dziwny sposób zaakcentował słowo „absolutnie”.

— Żadnych? — Gwadera mocniej zacisnął dłoń na słuchawce. Rozumiał, że dla Zasady była to porażka.

— Co prawda, wspomniałeś o tym, że ktoś tam był przed wami, ale... Nie w takich sytuacjach znajdowałem ciekawe rzeczy. — Komisarz odniósł wrażenie, że Zasada próbuje usprawiedliwić swoje bezowocne poszukiwania. — Wiesz, co o tym wszystkim myślę? — spytał.

— Tak? — Naprawdę chciał poznać jego zdanie.

— Mamy do czynienia z wynajętym do tej sprawy, wysokiej klasy profesjonalistą.

Nie była to pocieszająca wiadomość.

— Sugerujesz, że to morderstwo na zlecenie?

— Jasne, że tak. Nie mam co do tego wątpliwości.

Na kilka chwil po obu stronach zapadła cisza.

— Jadę jeszcze raz do mieszkania denata... — Zasada nie miał zamiaru łatwo się poddać. — Sam.

Zanim Gwadera zdążył coś powiedzieć, Zasada rozłączył się.

Do biura wrócili przed dwunastą.

Gwadera zdążył usiąść za biurkiem, gdy zadzwonił telefon.

— Szef chce pana widzieć — głos sekretarki nadkomisarza Kaweckiego nie wróżył niczego dobrego.

— Przyjdę za kilka minut.

— Natychmiast — syknęła niegrzecznie.

— Coś poważnego? — próbował jeszcze dociec przyczyny tego natychmiastowego wezwania.

— Natychmiast, panie komisarzu, oznacza za minutę — powiedziała i przerwała rozmowę. Dla niej wszystko było jasne. Przekazała to, co miała przekazać, i nie miała zamiaru wdawać się w niepotrzebne dyskusje.

— Co ty wyprawiasz? — naczelnik zaatakował komisarza już w wejściu.

Gwadera zamknął za sobą drzwi.

— To znaczy? — spytał, nie wiedząc, o co Kaweckiemu chodzi. Przebiegł w myślach poprzedni dzień.

— Byłeś u psychologa? — rzucił Kaweckie i zerknął na swego podwładnego znad sterty rozłożonych bezładnie na biurku papierów.

Komisarz spojrział na naczelnika uważnie. Podkrążone oczy, blada cera świadczyły, że nie przespał tej nocy dobrze. „Tak jak ja, podsumował w myślach. Kolejna kłótnia z żoną o nic”. Po dwudziestu latach życia pod jednym dachem w małżeństwie państwa Kaweckich zaczęło się coś psuć. Normalna szara codzienność po jakimś czasie staje się nieznośna, nie każdy potrafi bezboleśnie przejść kryzys wieku średniego. Kaweckie doszedł w swym małżeństwie do takiego momentu, kiedy drobne wady u drugiej ze stron, niedostrzegane przez lata, nagle stały się wielkim problemem. Ciekawe, ile prawdy jest w tym, że pani Kaweckie miała romans. Plotki krążące po korytarzach na pewno dotarły także do samego naczelnika.

— Miałeś tę sprawę załatwić wczoraj. Nadal nie mam odpowiedniego papierka. Tak na dobrą sprawę nie powinienem dopuścić cię do pracy.

Komisarz milczał. Pochłonięty śledztwem zapomniał o tym. Poza tym rozmowę z psychologiem traktował jak zło konieczne.

— Masz czas do trzeciej...

Kaweckie spiorunował go wzrokiem.

Oznaczało to jedno — żadnych dyskusji na ten temat.

— Na jutro rano chcę mieć na biurku plan śledztwa. Tym razem potraktuj to poważnie.

Wrócił do swoich papierów.

Gwadera ostatnio rozmawiał z psychologiem, kiedy sprawdzano, czy nadaje się do pracy w policji. Kilkanaście lat temu. Kawał czasu.

Miał wielu kolegów, którzy, nie radząc sobie ze stresem, korzystali z pomocy psychologa. Sam raczej unikał kontaktu z przedstawicielami tej profesji. Nie lubił, gdy ktoś grzebał mu w umyśle.

Psychologiem okazała się kobieta o ostrych rysach twarzy i krótko obciętych włosach.

Beata Ważna przez kilka chwil patrzyła na swego rozmówcę. Zastanawiała się, od czego zacząć. Na początek spokojnym głosem, który nie pasował do jej wyglądu, zadała kilka wstępnych pytań. Odpowiadał krótko. Minimum słów i informacji. Na tej podstawie niewiele mogła o nim powiedzieć. Zapisała parę słów w notesie.

Potrzebowała więcej czasu, aby dowiedzieć się tego, co ją interesowało najbardziej.

Krok po kroku posuwali się do przodu. Po półgodzinie Beata Ważna zamknęła notes i wyjęła z biurka stosowny druk. Szybko wypełniła wszystkie rubryki.

Przesunęła formularz w stronę Gwadery. Rzucił okiem na treść. Z pozoru wszystko było w porządku. Brakowało tylko pieczętki i podpisu. Zwrócił na to uwagę.

Ważna przyglądała się komisarzowi długo, z namysłem.

— Podpiszę panu ten dokument, ale...

Zaniepokoiło go ostatnie słowo.

— Tak naprawdę nie powinnam — dokończyła. — Wie pan dlaczego?

— Odpowiedziałem na wszystkie pani pytania... — zauważył.

— Zgadza się, ale to nie były szczere odpowiedzi. Odniosłam wrażenie, że jeszcze nie uporał się pan ze swoimi problemami. Dobrze pan wie, na czym polega współpraca dwóch osób. Pan dzisiaj nie chciał mi pomóc. Był pan nieobecny myślami...

Milczał. Co mógł bowiem w takim wypadku powiedzieć? Miała rację. Dla niego spotkanie było niepotrzebną stratą czasu. Chciał jak najszybciej mieć to za sobą.

Na twarzy kobiety pojawił się ciepły uśmiech.

— Zrobimy tak. Przyjdzie pan do mnie w przyszłym tygodniu i wówczas na spokojnie porozmawiamy sobie nieco dłużej — zaproponowała.

Uzpełniła formularz o brakujące elementy.

— Może pan dalej łapać tych swoich morderców i złodziei — rzuciła, gdy był już przy drzwiach.

Siedział zamyślony przy biurku. Potrzebował kilku chwil, aby wrócić myślami do prowadzonego śledztwa. Musiał spokojnie wszystko sobie poukładać.

Zrobił szybkie podsumowanie. Andrzej Babicz, wybitnej klasy specjalista, ginie w niejasnych okolicznościach. Krótko po jego śmierci ktoś dokładnie czyści

mieszkanie ze wszystkich dokumentów i śladów.

Szukał punktu zaczepienia. Nic mu się nie zgadzało. Dlaczego morderca zastrzelił Babicza akurat na Smulikowskiego? To pytanie od samego początku nie dawało mu spokoju.

Gwadera był przekonany, że Babicz miał zginąć. Jego śmierć nie była przypadkowa. Ktoś wydał na niego wyrok. Dlaczego? Jaki był motyw? Kto?

Zapisał pytania. Tylko tyle i nic więcej.

Była jeszcze kwestia laptopa. Kiedy przeszukiwali z Osmalkiem gabinet Babicza, nie znaleźli tam przenośnego komputera. Zgodnie z informacjami uzyskanymi od Szafran, wiceprezes przed pójściem na urlop oddał komputer informatykom.

Śmierć Babicza mogła wiązać się w jakiś sposób z wykonywaną przez niego pracą. Gwadera pomyślał, że chętnie poznałby zawartość twardego dysku oraz skrzynki pocztowej. Może tam znajdzie coś ciekawego, co pozwoli nadać kierunek śledztwu.

Zadzwoił do Szafran. Kobieta odebrała szybko, po drugim sygnale.

— Małgorzata Szafran, Eastern European Investment — wypowiedziała grzecznościową formułkę.

— Witam. Komisarz Gwadera.

Miał tylko jedną sprawę.

— Chciałbym zabezpieczyć komputer Andrzeja Babicza.

Dłuższa chwila milczenia.

— Proszę poczekać, mam drugi telefon.

Cierpliwie czekał na linii. Minęło pięć minut, zanim Szafran odezwała się ponownie:

— Prezesa nie ma.

Wiedział już, z kim rozmawiała.

— Nie pytałem o prezesa, lecz o laptop pana Babicza — przypomniał grzecznie.

— Nie jestem upoważniona do udzielania informacji na ten temat.

W kwestii laptopa kobieta otrzymała jasne dyspozycje. Znów napotkał na niewidzialny mur.

— W takim razie proszę połączyć mnie z upoważnioną osobą.

— Krzysztof Kondracki będzie jutro.

Była to dla komisarza bardzo cenna informacja. W końcu dowiedział się, kiedy prezes wraca.

Następną godzinę spędził na pisaniu planu śledztwa i krótkiego podsumowania dotychczasowych ustaleń. W większości były to pytania, na które nie umiał odpowiedzieć. Zanotował wszystkie przemyślenia i wątpliwości, z przewagą tych ostatnich. Było za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek

wniosków.

Dochodziła czwarta, gdy do pokoju wszedł Osmałek.

— Mam coś ciekawego — rzucił.

Gwadera odsunął papiery na bok. Splótł przed sobą dłonie.

— Tak? — wykazał minimum zainteresowania.

— Rozmawiałem z pewnym staruchem... Facet mieszka na trzecim piętrze, pod siódmką, okna jego mieszkania wychodzą na ulicę — przerwał.

„Bogowie, czemu mnie to spotyka — pomyślał Gwadera. — Dlaczego mój szanowny kolega po prostu nie powie, co takiego istotnego odkrył, tylko bawi się w potęgowanie napięcia, niczym w filmach Hitchcocka”.

Gestem dłoni zachęcił Osmałka, aby mówił dalej.

— Facet rozpoznał naszego denata.

Komisarz wyprostował się na krześle.

— Nasz świadek nazywa się Benedykt Graczyk, emerytowany nauczyciel fizyki. Przyznał, że widział Babicza w obecności lokatora z pierwszego piętra, Jarosława Podedwornego. Oczywiście próbowałem pogadać z tym Podedwornym, ale nikt nie otwierał. Jeszcze jedno, Podedworny mieszka po sąsiedzku z tą kobitką, która odkryła zwłoki... — przerwał na chwilę. — Jak ona się nazywa?

— Małgorzata Wolańska — podrzucił Gwadera.

— Właśnie. To samo piętro, drzwi obok. Można powiedzieć, że Babicza zabito prawie na progu mieszkania jego hm... przyjaciela — powiedział z przekąsem. — Od Graczyka dowiedziałem się, że mężczyzna często wyjeżdża w sprawach służbowych. Tak na marginesie, to ten Graczyk jest nieocenionym źródłem informacji. Wie o sąsiadach wszystko lub prawie wszystko.

Gwadera pomyślał, że w każdej kamienicy czy też w bloku można napotkać na takie osoby, czasami posuwające się w swym wścibstwie do granic absurdu.

— Podedworny — powtórzył Gwadera. — Może wiesz, gdzie pracuje?

Osmałek uśmiechnął się.

— Niestety, tego nasz agent jeszcze nie ustalił — zażartował, mając na myśli Graczyka.

— Ten Podedworny jakoś wygląda?

— Jest bardzo charakterystyczny. — Osmałka nie opuszczał dobry humor.

— Jak to pięknie Graczyk określił: typowy rudzielec. Oczywiście cytuję: rudy to wredny...

Gwadera przez kilka chwil w skupieniu patrzył uważnie na Osmałka.

— A cieć? Co z nim?

Osmałek pokiwał głową.

— Zniknął — odezwał się w końcu.

— Zniknął? — spytał Gwadera z powątpiewaniem. — Jak Copperfield? — wymienił nazwisko znanego magika.

— Mówisz o tym wiecznie uśmiechniętym gościu, co wyprawiał takie dziwne sztuczki z kartami? — Osmalek wykazał się znajomością tematu.

Jednym słowem, wiara czyni cuda.

— Tak.

Osmalek w ciekawy sposób postrzegał amerykańskiego magika. Cóż, wszystko zależało od punktu widzenia.

— Wracając do naszego... ciecia. Mówisz, że zniknął.

— Lokatorzy nie widzieli go od soboty... — przerwał. — Rozmawiałem z kilkoma osobami, wszystkie twierdziły, że to do niego niepodobne...

— Może pojechał do rodziny. — Gwadera szukał sensownego wyjaśnienia.

Osmalek potrząsnął głową.

— Raczej nie.

— Dlaczego? Nie ma rodziny?

— Ma, tutaj, w Warszawie.

Gwadera nic z tego nie rozumiał.

— Dlaczego zatem sądzisz, że nie mógł ich odwiedzić?

— Rozmawiałem z jego siostrą. Jest zaniepokojona. Obdzwoiła całą rodzinę w Warszawie i okolicy. Nikt go nie widział od co najmniej trzech dni.

— A koledzy? Przyjaciele? Może gdzieś zapił i teraz trzeźwieje.

— On nie pije.

Gwadera spojrzał uważnie na Osmalka. To, co usłyszał, wydawało mu się bardzo dziwne. Polak, do tego cieć, i nie pije? Brzmiało to prawie jak bajka.

— Nie?

Osmalek skinął głową.

— Jak on się nazywa?

— Zbigniew Nowak.

Gwadera w zamyśleniu potarł brodę.

— Musimy ich znaleźć. Tego Nowaka i Podedwornego.

Osmalek rozłożył bezradnie dłonie.

— Szukaj wiatru w polu — mruknął. Nie miał żadnego pomysłu.

— Spróbuj ich namierzyć.

Milczeli przez kilka minut.

— Sądzisz, że... — podjął Osmalek. Nie dane było mu skończyć.

Gwadera nie czekał na ciąg dalszy.

— Nic nie sądzę. Ale... nikt nie znika — pstryknął palcami — ot, tak sobie.

Komisarz zastanowił się, czy to nagłe zniknięcie Zbigniewa Nowaka miało związek z morderstwem. Mogło, ale nie musiało. Nowak mógł po prostu, z bliżej nieokreślonego powodu wyjechać. Ale dlaczego nikomu o tym nie powiedział? Czy odpowiedzialny człowiek, za jakiego uważali gospodarza mieszkańcy kamienicy, tak postępuje?

Zwykły zbieg okoliczności. Sam nie bardzo w to wierzył. Bardziej skłaniał się do przypuszczenia, że Nowak coś widział. Wystraszył się i postanowił uciec.

Uciec, ale dokąd?

Pozostawał jeszcze Podedworny, rudowłosy mężczyzna, którego z zamordowanym przypuszczalnie łączyło coś więcej niż zwykła przyjaźń. Wszystko wskazywało na to, że mężczyźni byli partnerami. W takim wypadku, gdyby potwierdziły się te przypuszczenia, postać Podedwornego stawała się ważnym elementem w całej układance.

10.

Gwadera wyszedł z komisariatu około siódmej. Pomimo długiego i męczącego dnia nie pojechał od razu do domu. Ciepły dzień zachęcał do spacerów. Gwadera postanowił, że tego dnia kolację zje w którejś z przytulnych knajpek na Starym Mieście. Przez kilka miesięcy przymusowego urlopu częściej niż kiedyś pozwalał sobie na obiady poza domem. Przede wszystkim było to jedzenie na pewno smaczniejsze od tego, co sam potrafił upichcić.

Szczególnie przypadła mu do gustu restauracja położona przy Rynku Starego Miasta, o dźwięcznej nazwie Stacja. Serwowano tam smaczne i dobre posiłki. Co prawda, było drogo, ale raz na jakiś czas pozwalał sobie na takie szaleństwo. Doszedł do wniosku, że dzisiaj zadowolili się pizzą w Pizzy Hut na placu Zamkowym.

Tego wieczora miał pecha. Pół godziny krążył wokół starówki, nie mogąc znaleźć na parkingu wolnego miejsca. Był już trochę zły, a przede wszystkim głodny, gdy w końcu udało mu się zaparkować na Trębackiej.

Skręcił w Kozią, według Gwadery jedną z najbardziej malowniczych ulic Warszawy. Mijał Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego, gdy dostrzegł turystkę, która przeglądała mapę Warszawy. Jej twarz, częściowo przesłonięta sportową czapeczką, wydawała mu się znajoma. Kobieta musiała wyczuć na sobie wzrok komisarza, gdyż odwróciła się.

Dopiero teraz ją poznał. Przeszedł na drugą stronę ulicy.

— Pan tutaj? — spytała Małgorzata Wolańska.

Uśmiechnął się.

— Jak pani widzi, nie spędzam całego dnia w komisariacie... Mała wycieczka? — Wskazał na aparat fotograficzny.

— Tak. Na nowo poznaję Warszawę.

— Kiedy była pani tutaj ostatnio?

Zastanowiła się.

— Jakies dziesięć lat temu.

Rzeczywiście przez ten czas miasto zmieniło się. Użyte przez Wolańską określenie było jak najbardziej na miejscu.

— Jakie wrażenie?

— Muszę przyznać, że stolica nam w ostatnich latach wyładniała.

Nie podzielał jej entuzjazmu. Mieszkał tu od urodzenia. Z roku na rok w Warszawie żyło się szybciej. Coraz więcej ludzi i samochodów. Hałas. Tłok na drogach i kilometrowe korki.

Przez kilka chwil milczeli.

Kobieta poprawiła plecak i aparat. Posłała Gwaderze lekki uśmiech.

Wiedział, co nastąpi za chwilę. Zdawkowe „do widzenia” i każde z nich pójdzie w swoją stronę.

Nie musiało tak być.

Patrzył na Wolańską zamyślony, nie mogąc zdecydować się na wykonanie tego pierwszego kroku. W końcu podjął decyzję.

— Zapraszam na kawę — powiedział.

Wolańska zawahała się.

— W Literackiej mają świetne cappuccino... — brnął dalej.

Cierpliwie czekał na jej odpowiedź. Przettrzymała go w niepewności kilka długich chwil.

— Nie lubię cappuccino...

Przyjął jej słowa ze spokojem. Sam nie wiedział, czego się spodziewał, wychodząc z taką propozycją.

— Ale z chęcią napiję się małej czarnej... — dodała Wolańska i spojrzała na komisarza z lekkim uśmiechem.

W Literackiej zajęli stół w głębi sali. Miejsce wybrała Wolańska.

Gwadera usiadł przodem do wyjścia; dziwny nawyk, którego nie mógł się pozbyć. Stąd widział wszystkich wchodzących i wychodzących, tak jakby miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie.

Siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu.

— Chciałbym panią przeprosić — rozpoczął.

— Tak? — Uniosła wzrok.

— Tam, na komendzie zachowałem się — szukał odpowiedniego słowa.

— Impertynencko — podrzuciła.

— Tak.

— Było, minęło.

Miała rację.

— Może lampkę wina? — zaproponował.

— Chce mnie pan upić?

— Dlaczego?

— Mam słabą głowę — wyjaśniła. — Gdybym miała określić swój stosunek do trunków jednym słowem, powiedziałabym obojętny.

Ujęła Gwaderę swoim poczuciem humoru.

— Uspokoję pana, oczywiście, że piję, ale rzadko i raczej okazjonalnie. Imieniny, urodziny, święta...

Tak, teraz sytuacja była jasna.

Zamówił dla siebie martini, dla Wolańskiej sok pomarańczowy. Szybko przekonał się, że kobieta jest dobrym partnerem do rozmowy. Niepotrzebnie obawiał się, że nie będą mieli o czym rozmawiać.

Swobodnie przeskakiwali z tematu na temat, dokładnie omijając wątek śledztwa. Nie pamiętał, kiedy i z kim ostatnio rozmawiało mu się tak dobrze.

Czas płynął szybko. Gwadera nawet nie zauważył, że minęły trzy godziny. „Nieźle, jak na pierwsze spotkanie — pomyślał. — Chwilo, trwaj”.

Powoli zapadał zmierzch. Kobieta spojrzała na umieszczony nad wejściem zegar.

— Późno już — stwierdziła.

— Nigdzie się pani przecież nie spieszy — zauważył. Pozostali przy oficjalnej formie zwracania się do siebie.

— Nie znam dobrze miasta.

— Podwiozę panią. — Dla niego było to oczywiste.

Zanim wyraziła zgodę, przetrzymała komisarza w niepewności kilka chwil.

Dziesięć minut później zaparkował na Smulikowskiego. Miejsce przypomniało mu, w jaki sposób się poznali. Siedzieli kilka chwil w milczeniu. Wolańska, tak jak i komisarz, powędrowała myślami do tamtego sobotniego wieczoru.

Gwadera zerknął na nią ukradkiem. Czuł się jak uczeń na pierwszej randce, a przecież nie należał do osób, które stronią od kobiecego towarzystwa.

Wysiadł, zostawiając kluczyki w stacyjce. Otworzył drzwi od strony pasażera. Zrozumiała. Ona też nie chciała, aby czar prysł.

Przez kilka chwil w zadumie patrzył na kobietę. W sportowym ubraniu wyglądała bardzo dziewczęco.

— Dziękuję za miły wieczór — powiedziała. Zabrzmiało to szczerze.

Uśmiechnął się lekko.

— Za rzadko pan się uśmiecha, komisarzu...

Kto ma zrobić ten drugi krok?

Oczywiście, że mężczyzna.

— Może jutro obiad? — spytał.

Zauważył w jej oczach wesoły błysk.

— Podobno policjanci objadają się tylko pączkami — zażartowała.

— Jestem nietypowym policjantem.

Zaśmiała się szczerze.

Umówili się o czwartej przed pomnikiem syrenki na Rynku Starego Miasta.

Jeszcze chwilę stał przy samochodzie. Odjechał dopiero wtedy, gdy zapaliła

światło w pokoju.

To była kolejna źle przespana noc. Długo nie mógł zasnąć, wałkując w myślach przypadkowe spotkanie z Małgorzatą Wolańską. Nie ukrywał przed sobą, że kobieta zrobiła na nim duże wrażenie. Miała w sobie to coś, co powodowało, że mężczyźni nie pozostawali wobec niej obojętni.

Prawie zasypiał, gdy przez Warszawę przeszła nawałnica. Groźne błyskawice rozjaśniały niebo. Wstał i pozamykał dokładnie wszystkie okna. W mieszkanku od razu zrobiło się gorąco. Po kilkunastu minutach, gdy burza uspokoiła się, a wiatr zelżał, Gwadera otworzył okno w pokoju. Do mieszkania wpadł zapach świeżego powietrza.

Wrócił do łóżka i patrzył na poruszaną przez wiatr zasłonkę. Przewracał się z boku na bok. Zasnął, gdy dochodziła trzecia.

11.

Gwadera na nogach był przed piątą. Wziął zimny prysznic, mając nadzieję, że pozwoli mu to pozbyć się resztek snu. Wypił kawę, zjadł lekkie śniadanie, płatki kukurydziane z mlekiem.

Do biura dotarł pół godziny później.

Zrobił sobie mocną kawę. Drugą w ciągu stosunkowo krótkiego czasu. Miał nadzieję, że tego dnia nie przekroczy dziennego limitu, który podobno wynosił osiem filiżanek. Niedawno przeczytał o prowadzonych badaniach, które wykazały, że ta ilość jest bezpieczna dla zdrowia. Oczywiście nie dotyczyło to sercowców i osób mających problemy z wysokim ciśnieniem. Co się działo z człowiekiem, gdy już przekroczył tę magiczną ilość? Podobno następstwem były halucynacje. Zastanawiał się, ile wynosi jego dzienny rekord.

Z kubkiem kawy przeszedł do pokoju. Spojrzał na biurko, na którym leżała kartka papieru.

„Zostawiłam w szufladzie billing rozmów z komórki Babicza” — przeczytał. Na dole widniał podpis: „K. Wejner”.

No tak, billing, ale dlaczego trwało to tak długo?

Najbardziej interesowały go rozmowy przeprowadzone dziesiątego maja. Babicz pomiędzy szóstą a ósmą wieczorem kilkanaście razy dzwonił pod ten sam numer. Połączenia trwały trzy, cztery sekundy, co zapewne oznaczało, że po drugiej stronie włączała się sekretarka. Ten, do kogo Babicz tak uparcie chciał się dodzwonić, tego dnia najwyraźniej nie miał ochoty na jakiegokolwiek z nim rozmowy.

Wydruk kończył się o godzinie dwudziestej trzydzięci. Rozmowa trwała dokładnie dwie minuty. Był to inny numer niż ten, który Babicz wybijał całe popołudnie.

Skupiony na analizie danych nie zauważył, że do pokoju weszła Wejner.

— Coś ciekawego? — zagadnęła.

Dopiero teraz spojrział w jej stronę.

Wstał i położył przed nią wydruk.

— Sprawdzi pani, do kogo należą te numery — wskazał palcem te, które podkreślił czerwonym pisakiem.

Był przekonany, że tym razem szybciej upora się z tym zadaniem.

Kiedy wyszła, wrócił na swoje miejsce.

Dochodziła dziesiąta. Wykręcił numer do Eastern European Investment. Odebrała Joanna Bartczak. Spytał o Kondrackiego. Asystentka nie potrafiła wskazać, kiedy prezes pojawi się w biurze. Zapewniała, że jeszcze tego dnia powinien wrócić do Warszawy, bowiem po południu ma jakieś ważne spotkanie. Komisarz zasugerował asystentce, aby skontaktowała się z prezesem i przekazała mu, że policja chce się z nim spotkać. Kobieta delikatnie dała mu do zrozumienia, że w tej chwili jest to niemożliwe. Zapewniła jednak, że gdy tylko nadarzy się odpowiednia okazja, na pewno przekaże prezesowi prośbę komisarza.

Gwadera podziękował i rozłączył się.

Nie miał jednak zamiaru czekać na telefon od Bartczak. Postanowił, że o dwunastej sam zadzwoni do firmy. Ku jego zdziwieniu tym razem asystentka bez słowa sprzeciwu połączyła go z prezesem.

— Witam. Jak śledztwo, panie komisarzu? — zabrzmiało w słuchawce zdawkowe pytanie. Głos nie był wyraźny, dochodził z daleka.

— Właśnie w tej sprawie do pana dzwonię.

— Domyślam się.

Dziwny szum zakłócił połączenie.

— Jest pan w biurze? — spytał Gwadera.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Szum się nasilił.

— Proszę poczekać... — usłyszał przerywany głos Kondrackiego. — Jadę samochodem — usprawiedliwił się Kondracki. Teraz dźwięk był wyraźniejszy. Prawdopodobnie mężczyzna zjechał na pobocze lub na parking.

— Mam do pana kilka pytań — podjął Gwadera.

— Nie wiem, kiedy będę w Warszawie.

Gwadera nie miał wątpliwości, że Kondracki był bardzo zajęтым człowiekiem. Spotkania, wyjazdy służbowe, oto jego codzienność.

— Chciałbym panu pomóc, ale... — Kondracki zawahał się — sam pan widzi...

Tak. W stosunkowo krótkim czasie komisarz po raz kolejny przekonał się, że prezesa EEI trudno jest złapać w Warszawie.

— O co chodzi, komisarzu?

Gwadera przez chwilę milczał. Sprawa, z jaką dzwonił, nie mogła czekać, aż mężczyzna w końcu pojawi się w stolicy.

— Chcielibyśmy zabezpieczyć komputer Babicza i zapoznać się z książką transakcji — przeszedł do rzeczy.

— Wziął pan korepetycje z ekonomii? — spytał Kondracki spokojnym głosem.

Gwaderę zdenerwowała ta podszyta ironią uwaga.

— Przepraszam — Kondracki zreflektował się. — Macie jakiś trop?

— Jesteśmy na początku śledztwa.

— Rozumiem.

— Rozważamy wiele ewentualności — wyjaśnił. Nie miał zamiaru wdawać się w szczegóły, a tym bardziej dzielić się swoimi obawami. Od pewnego czasu miał wrażenie, że drepcze w miejscu. Potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia, drobnego śladu, który popchnąłby śledztwo na właściwe tory.

— Kiedy mogę przyjechać z naszymi technikami?

Był zdziwiony, gdy usłyszał:

— Obawiam się, że to niemożliwe...

— Słucham? — Komisarz chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał.

Kilka dni wcześniej Kondracki deklarował, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby pomóc policji. Widocznie różnili się w rozumieniu słowa „wszystko”.

— Pan chyba zapomina...

Nie dokończył.

— Dobrze pamiętam, jaką sprawę pan prowadzi. Mnie także zależy na tym, aby jak najszybciej wykryć sprawcę, ale... Andrzej używał laptopa wyłącznie do celów służbowych, wszystkie zawarte tam informacje dotyczą działalności firmy. Tak samo książka transakcji. Są tam objęte tajemnicą bankową dane klientów. Proszę także pamiętać o ustawie o ochronie danych osobowych. — Był dobrze przygotowany do tej rozmowy.

— Mogę pana zapewnić, że istotne dane związane z funkcjonowaniem banku nie wyciekną na zewnątrz. Mamy odpowiednie zabezpieczenia i świetnych techników.

— Nie wątpię, ale...

— Czy zawartość poczty też jest objęta tajemnicą? — Gwadera bezceremonialnie przerwał swojemu rozmówcy.

Po drugiej stronie przez kilka chwil panowała cisza.

— Odmawia pan współpracy. — Komisarz stracił cierpliwość.

— Przykro mi, że odbiera pan to w ten sposób. Nie jestem w stanie spełnić pana życzenia. Proszę przyjść z nakazem prokuratorskim lub sądowym — powiedział Kondracki uprzejmym głosem. Treść słów nie pozostawiała wątpliwości. — Jeżeli nie jest pan co do tego przekonany, zawsze może spytać swoich prawników.

„Niewątpliwie spytam” — pomyślał.

— Panie prezesie... — nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Krzysztof Kondracki po prostu przerwał połączenie. Gwadera przez kilka chwil patrzył na telefon. Ostatnio za często kończono z nim rozmowę w ten sposób. Zaczynało go to powoli denerwować.

Chciał po raz kolejny wykręcić numer do Eastern European Investment, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie miało to najmniejszego sensu. Telefon odbierze Bartczak, która otrzymała już na pewno stosowne instrukcje.

„Kolejny nakaz, kolejny papierek” — pomyślał gorzko.

Do pokoju wróciła Wejner. Nie miała dobrych wiadomości. Operator nadal borykał się z problemami technicznymi. Osoba, która zajmowała się tą sprawą, prosiła o wyrozumiałość.

Kwadrans później, gdy Gwadera krążył myślami wokół czekającego go spotkania z Małgorzatą Wolańską, zadzwonił dyżurny.

— Gość do pana, komisarzu — oznajmił. — Tomasz Borysiuk — uzupełnił po chwili. — Zejdzie pan po niego?

Nie odpowiedział.

Borysiuk?

Po chwili przypomniał sobie, że jest to ochroniarz z apartamentowca, w którym mieszkał Andrzej Babicz.

— Coś nie tak? — spyta zniecierpliwiony dyżurny.

— Wszystko w porządku.

Był zły. Wiedział, że nie zdąży do czwartej. Ładnie zaczynała się jego znajomość z Małgorzatą Wolańską. Powinien zadzwonić do niej i przełożyć spotkanie. Zaklął w myślach.

Nerwowo zaczął szukać numeru telefonu. Przypomniał sobie, że jest zapisany w aktach sprawy. Wertował kartki. Nic.

Katarzyna Wejner, która od blisko pół godziny przeglądała akta sprawy, dostrzegła gorączkowe poszukiwania komisarza.

— W czymś pomóc, panie komisarzu?

Nie usłyszał.

Powtórzyła. Dopiero teraz spojrzał na nią.

— Dziękuję. Wszystko w porządku. Nie mogę po prostu czegoś znaleźć.

— Moja babcia w takim wypadku mawiała, że diabeł czapką nakrył.

— Może i sam diabeł — mruknął.

Nie mieli czasu na rozmowę. Do pokoju wszedł Osmalek w towarzystwie wyglądającego jak z żurnala mody mężczyzny. Gładko zaczesane włosy, sportowe ubranie, w którym żaden element nie był przypadkowy.

Gwadera wskazał Borysiukowi krzesło. Dał znak Wejner, aby usiadła obok.

Zastanawiał się, od czego zacząć.

— Znał pan Andrzeja Babicza?

— Oczywiście, jak każdego lokatora.
— Z imienia i nazwiska? — zainteresował się.
— Tak. Mam taki niecodzienny dar. Fotograficzną pamięć — zabrzmiało to jak przechwałka.

— Sosnowscy — rzucił. Chciał sprawdzić, czy mężczyzna mówi prawdę. Dokładnie opisał, jak wyglądają. Wszystko się zgadzało.

— Nie próbował pan z... — zastanowił się — z tym darem szczęścia w teleturniejach?

— Jasne. Byłbym głupi, gdybym zrobił inaczej. Dwa razy.

— Z jakim skutkiem?

— A jak pan myśli?

— Wygrał pan.

— Tak, raz w Jednym z Dziesięciu i raz w Milionerach.

— Dużo?

— Wystarczyło na mieszkanie.

— I co, nie gra już pan dalej?

— Przestało mnie to bawić.

— Wracając od Andrzeja Babicza...

— Ciekawy gość — wszedł mu w słowo.

Gwadera zachęcił, aby mówił dalej. Borysiuk należał do tego rodzaju osób, które zarzucały policję mniej lub bardziej ważnymi informacjami. Był na swój sposób cennym świadkiem, pod warunkiem, że jego wypowiedzi nie zdominowały uboczne wątki, które mogły zaprowadzić przesłuchującego w ślepią uliczkę.

Przesłuchiwanie takich osób wymagało maksimum skupienia. Z wartkiego potoku słów należało wyławiać tylko to, co bezpośrednio dotyczyło prowadzonego śledztwa.

Gwadera w innych okolicznościach, gdyby nie gonił go czas, wysłuchałby spokojnie Borysiuka. Teraz postanowił skrócić rozmowę do minimum. Zawsze mogli przecież do niej wrócić.

Wysłuchał w milczeniu kilku zdań. Potem bezceremonialnie przerwał w połowie słowa.

— Dziesiątego maja pracował pan w dzień? — spytał.

Mężczyzna spojrzał na niego rozczarowany.

— Tak.

— A w niedzielę?

— Tak. Byłem od rana.

Gwadera wymienił szybkie spojrzenie z Wejner.

— Czy ostatnio zauważył pan coś niepokojącego w zachowaniu Andrzeja Babicza?

— Niepokojącego? Co pan ma na myśli?

— Może odwiedzał go ktoś szczególny, kto zwracał uwagę swoim wyglądem albo zachowaniem? — podsunął.

Uśmiechnął się zagadkowo.

— Tak. Przychodził taki jeden rudy... no wie pan. — Mrugnął porozumiewawczo okiem.

Gwadera drgnął. Pomyślał, że jest to ta sama osoba, na którą zwrócił uwagę Graczyk, wścibski lokator ze Smulikowskiego.

— Kilka razy został nawet u niego na noc. Babicz nie miał zbyt dużo znajomych — kontynuował Borysiuk. — Raczej wiódł nudne życie. Wie pan, praca — dom, praca — dom. Rzadko gdzieś wychodził. Może czasami w sobotę... Ale ostatnio nie widziałem go prawie wcale.

— To znaczy nie wychodził z mieszkania?

— Przeciwnie. Nie nocował w domu.

Komisarz zerknął na niego zaciekawiony.

— Jest pan pewien?

— Absolutnie.

Gwadera zapisał w notesie tę informację i podkreślił zdanie grubą linią.

— Oczywiście nie wie pan, gdzie mógł wówczas być?

— Tylko się domyślam.

— Tak?

— Możliwe, że u tego rudego — podzielił się swoimi przemyśleniami.

Gwadera i to zanotował.

Informacje w pewnym stopniu potwierdzały jego przypuszczenia, że Babicz czegoś się bał. Uciekał przed niewiadomym. Nie czuł się bezpieczny nawet w domu.

Gwadera po chwili zastanowienia nad tym, na ile cenne są te informacje, przeszedł do następnego tematu. Interesował go dokonany przez Borysiuka wpis w rejestrze usług.

Spytał o to wprost.

— Pamięta pan ekipę od dywanów, która przyszła w niedzielę dokładnie — musiał posiłkować się notatkami — o trzynastej pięć?

Po raz pierwszy mężczyzna zamyślił się.

— Tak. Byli... dziwni.

— Dziwni? — powtórzył. — W jakim sensie?

— Byli do siebie podobni.

— Bliźnięta?

— Wie pan, jak się tak teraz zastanawiam, to... Mówiłem, że mam pamięć do twarzy, ale w ich wypadku — rozłożył bezradnie dłonie — nie potrafiłbym ich rozpoznać w tłumie.

— Dlaczego?

— Byli tacy... bezosobowi.
— Wzbudzili pana podejrzenie?
— Tak.
— Nie wydawało się panu dziwne, że przyszli do Sosnowskich akurat w czasie, gdy nie było ich w domu?
— Ale była ich gosposia.
Tego nie wziął po uwagę.
— Nie sprawdził ich pan?
— Papiery mieli w porządku.
Zawahał się.
— Dziękuję — wstał.
Wyłapał zdziwione spojrzenie Wejner.
— Pani komisarz pokaże panu nasze kartoteki. Może jednak kogoś pan rozpozna.
Sam w to nie wierzył, ale warto było spróbować.
Spojrzał na zegarek. Za dziesięć czwarta. Miał nadzieję, że Małgorzata Wolańska będzie czekała przysłowiowy studencki kwadrans.
— Pani Kasiu — zatrzymał kobietę w miejscu.
Spojrzała na Gwaderę z wyczekiwaniem.
— Zdobędzie pani zgodę prokuratora na zabezpieczenie laptopa Andrzeja Babicza.
Dostrzegł w jej oczach przerażenie.
— Ale...
— Nie ma żadnego ale — uciął jej protesty. — Poradzi sobie pani.
Chwilę później, gdy kobieta zniknęła z Borysiukiem, przyszło zwątpienie. „Czy nie za wcześnie puszczam ją na głębokie wody? Musi kiedyś wszystkiego zasmakować” — uspokoił swoje myśli. Gdzieś w głębi pozostały wyrzuty sumienia.
Wyjeżdżał z parkingu, gdy zadzwonił telefon. Tego dnia wszyscy nagle chcieli z nim rozmawiać. Zerknął na wyświetlacz. Andrzej Tkaczyk. Nie miał ochoty na przyjacielskie pogaduszki, ale wypadało zamienić z Tkaczykiem chociaż kilka zdań. Od tamtych sobotnich wydarzeń nie mieli jeszcze okazji porozmawiać.
— Słucham? — rzucił. Nie udało mu się ukryć złości.
— Dzwonię nie w porę? — Tkaczyk zawsze bezbłędnie wyczuwał zły nastrój komisarza. Znali się zbyt długo.
— Nie. — Ta zdawkowa odpowiedź tylko utwierdziła mężczyznę w jego przypuszczeniach.
— Dużo pracy?
— Tak.
— Znajdziesz trochę czasu dla starego znajomego?

Gwadera domyślał się, o czym przyjaciel chce z nim porozmawiać. Gorączkowo szukał wymówki.

— Nie dzisiaj.

— W porządku. Jutro?

Uporządkował w myślach kalendarz.

— Dobrze. Wieczorem.

— Wpadniesz do mnie? Czy gdzieś na mieście?

— Zjrzę do ciebie. — Było mu to nawet na rękę. Wybierał się do kamienicy przy Smulikowskiego, aby porozmawiać z lokatorami o dozorczy. Miał okazję połączyć przyjemne z pożytecznym, ze wskazaniem oczywiście na to drugie. Najpierw praca, potem przyjemności.

— O której?

— Będę przed siódmą.

Tkaczyk nie kończył jeszcze rozmowy.

— Dlaczego coś takiego musiało wydarzyć się akurat w mojej kamienicy?

Widziałeś nagłówki w gazetach?

Gwadera myślał, że uniknie pytań o śledztwo. Pomylił się.

— „Morderstwo pod nosem radnego, przewodniczącego komisji porządku publicznego” — zacytował Tkaczyk. — Wiesz, jak to brzmi. Albo „Krwawa kamienica”.

— Uhm...

— Nie chcesz teraz o tym rozmawiać?

„Nie chcę w ogóle o tym rozmawiać” — poprawił go w myślach.

— Dobra, stary, jutro pogadamy...

Włączył radio.

— Dochodzi czwarta, moi drodzy — oznajmił głos dziennikarza — przed nami słoneczne popołudnie. Wszystkich podróżujących ulicami Warszawy uprzedzam przed utrudnieniami na drodze.

Dojeżdżał do skrzyżowania z Marszałkowską, gdy z prawego pasa sportowy mercedes bezpardonowo zajechał mu drogę. W ostatniej chwili nacisnął na hamulec. Utknęli na światłach.

„Po co ten pośpiech, kretynie”. Gwadera zrównał się z mercedesem. Wygolony na zero dresiarz uniósł środkowy palec do góry.

W tej chwili komisarz życzył mu w myślach wszystkiego najgorszego, ale nie miał zamiaru ścigać się z nim, a tym bardziej w jakikolwiek sposób reagować na zaczepkę. Mężczyzna tylko na to czekał.

Dwieście metrów za skrzyżowaniem skręcił w prawo. Mercedes pojechał prosto.

Było dziesięć po czwartej, gdy zaparkował na Świętojańskiej. Minął ulicę Zapiecek, po dwóch minutach dotarł do pomnika syrenki.

Nigdzie nie dostrzegł kobiety, z którą był umówiony.

— Kurwa mać — zaklął, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Przechodząca obok starsza pani, która, sądząc po wieku, pamiętała czasy powstania warszawskiego, posłała mu pełne nagany spojrzenie. Nie obchodziło go, co w tej chwili o nim myśli.

Rozglądał się wokół nerwowo, mając jeszcze nadzieję, że gdzieś w tłumie dostrzeże Wolańską. Nie miał do niej pretensji. Dlaczego miałyby na niego czekać?

— Przepraszam za spóźnienie — usłyszał z tyłu.

Odetchnął. W duchu dziękował wszystkim bogom świata za ten przychylny dla niego zbieg okoliczności.

Na obiad zaprowadził ją do Stacji, restauracji położonej przy Rynku Starego Miasta.

— Skąd pani pochodzi? — zagadnął, gdy kelner odszedł z zamówieniem.

— Z Lublina.

— Lublin — powtórzył machinalnie.

Był tam raz, w połowie dziewięćdziesiątych lat ubiegłego wieku. Z miastem wiązały go złe wspomnienia. Nie chciał do tego wracać.

Cóż. Sam wywołał ten temat.

— Proszę mi coś opowiedzieć o swoim rodzinnym mieście.

— Nie wiem, jak dawno pan tam był, ale w ostatnich latach wiele się zmieniło.

Chwilę później zaczęła mówić, głównie o zabytkach, o tym, jakim przeobrażeniem uległo miasto.

Początkowo słuchał jej uważnie. Później jego myśli powędrowały do wydarzeń sprzed lat. Obrazy, jakie malowała Wolańska słowami, ożywiły w jego umyśle duchy przeszłości. Myślał, że dawno już uporał się z prześladowającym go poczuciem winy. Widocznie nie do końca sobie z tym poradził.

Dobrze pamiętał kilka spędzonych w Lublinie dni. Pojechał tam z nadzieją, że jeszcze uda mu się uratować małżeństwo. Dopiero później zrozumiał, że tak naprawdę to nie miał czego ratować. Ich małżeństwo skończyło się kilka miesięcy po ślubie, gdy krótko po urodzeniu dziecka Ania stwierdziła, że nie tak wyobrażała sobie wspólne życie.

Mniej więcej w tym czasie prowadził swoje pierwsze śledztwo. Praca pochłonęła go całkowicie, zapomniał, że jako młody ojciec ma też pewne obowiązki. W domu był rzadkim gościem. Cały ciężar związany z dzieckiem spadł na jego żonę. Ania pozostawiona sama sobie nie wytrzymała tego i w pewnym momencie powiedziała pas.

Nie robił jej problemów. Dla dobra dziecka zrezygnowali z sądowej walki o prawo do opieki. Wiedział, że od samego początku stał na straconej pozycji. Pozwolił jej odejść.

Musiałoby upłynąć kilka miesięcy, zanim uporządkował swój świat. Kilka miesięcy, o których chciał za wszelką cenę zapomnieć. To nie był najlepszy okres w jego życiu.

Lublin.

Obrazy zatarły się. Wędrówka zaniedbanymi uliczkami Starego Miasta. Spotkanie z grupą meneli próbującą wyciągnąć od niego parę złotych na jabola. To wszystko. I potężny kac.

W końcu udało mu się wyrwać z tego zaklętego kręgu.

Przez te wszystkie lata w jego życiu przewinęło się wiele kobiet. Były to krótkie, przelotne znajomości. Nigdy nie zdecydował się na coś więcej.

Małgorzata Wolańska rzuciła Gwaderze zagadkowe spojrzenie. Zamilkła w połowie zdania. Zauważyła, że mężczyzna myślami jest w zupełnie innym miejscu.

Uderzyła go cisza. Gwadera zerknął na kobietę niepewnie.

— Pan mnie nie słucha — rzuciła żartobliwym tonem. Nie było w jej głosie pretensji. Odniósł wrażenie, że cała ta sytuacja rozbawiła ją.

Uśmiechnął się przeprasząco.

— Mogłaby pani powtórzyć?

— Od którego momentu?

Najlepiej od samego początku. Zatrzymał tę myśl dla siebie.

— Jakies złe wspomnienia — odgadła bezbłędnie.

Sięgnął po kieliszek.

— Mam zmienić temat?

Skinął głową.

Potem długo rozmawiali o wszystkim i niczym. Swobodnie przeskakiwali z tematu na temat. Po dwóch godzinach odniósł wrażenie, że znają się całe wieki. Zastanawiał się, czy z którąkolwiek ze znanych mu kobiet rozmawiało mu się tak dobrze jak z Wolańską.

Był taki moment, kiedy chciał, jak to było w jego zwyczaju, zaproponować, aby mówili sobie po imieniu. Kobieta, która wyczuła jego intencje, odsunęła się z krzesłem. Spojrzała na Gwaderę dziwnym, przenikliwym wzrokiem.

Zrozumiał. Jeszcze nie czas, jeszcze nie pora. Udawał, że nie dostrzegł tej zmiany w jej zachowaniu, i spytał o filmy, jakie lubi. Okazało się, że jest częstą bywalczynią sal kinowych. Opowiadała o niedawno obejrzanym filmie, gdy rozmowę przerwał im dźwięk telefonu.

Gwadera był zły na siebie, że nie wyciszył dzwonnka lub, co byłoby w obecnej sytuacji bardziej wskazane, po prostu nie wyłączył telefonu. Nie chciał odbierać, ale Wolańska zamilkła i spojrzała na niego znacząco.

— Tak? — rzucił, nie kryjąc irytacji w głosie.

— Znaleźliśmy go — powiedział Osmalek.

— Kogo? — Nie miał pojęcia, o kim mówi podkomisarz.

— Zbigniewa Nowaka.

Była to wiadomość, której nie mógł zignorować.

— Gdzie?

— Krzywe Schodki.

Nic nie powiedział.

— Wiesz, gdzie to jest?

Wiedział. Zastanawiał się tylko, dlaczego Zbigniew Nowak został zatrzymany akurat tam.

Ta jedyna w swoim rodzaju ulica na Starym Mieście zawdzięczała swą nazwę stromym schodkom biegnącym pomiędzy kamienicami od ulicy Krzywe Koło w dół do ulicy Brzozowej. Na Brzozowej należało skręcić w lewo, po chwili w prawo i wychodziło się na drugą część kamiennych schodków. Schodząc na dół, dochodziło się do parków ciągnących się wzdłuż Wisły.

Co takiego jest na ulicy Krzywe Schodki? Kawiarnia? Pub? Jaskinia hazardu? Przypomniawszy sobie, że przy Rynku była restauracja o tej samej nazwie. Może Osmalkowi chodziło właśnie o restaurację? Mniejsza z tym.

— Ściągnij go na komisariat. Będę tam za godzinę.

Po drugiej stronie słuchawki na kilka chwil zapadła cisza.

— Obawiam się, że to niemożliwe — usłyszał.

— Tak? — spytał zaniepokojony. Znał odpowiedź, zanim jeszcze padła.

— Zbigniew Nowak nie żyje.

Gwadera schował telefon do kieszeni i spojrzał zakłopotany na Wolańską. Nie wiedział, jak ma jej powiedzieć, że właśnie ich spotkanie dobiegło końca.

— Coś pilnego? — ubiegła go.

— Przepraszam — mruknął.

Miała prawo czuć się urażona.

— Odwiezie mnie pan do domu? — spytała tylko.

Skinął głową.

Przez całą drogę na Smulikowskiego milczeli. Pięc po szóstej zaparkował przed kamienicą. Nie chciał, aby rozstali się w ten sposób.

— Jeszcze raz przepraszam — były to jedyne słowa, jakie przysły mu w tej chwili na myśl.

— Nie mam o dzisiejszy wieczór do pana pretensji... — Odwróciła się w jego stronę. — Było naprawdę miło.

Wyczuł w jej głosie szczerą ulgę. Odetchnął z ulgą.

„Może to jeszcze nie koniec naszej znajomości?” — pomyślał.

Patrzył w milczeniu na jej delikatną twarz, a potem zrobił to, czego — podświadomie wiedział — nie powinien robić. W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Zrozumiała o sekundę za późno. Pochylił się w jej stronę i pocałował. Była

zaskoczona, ale odwzajemniła pocałunek.

Potem już bez słowa otworzyła drzwi i wysiadła szybko, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Koniec.

„Właśnie, człowieku, spaliłeś ostatni most” — pomyślał i włączył silnik.

— Co pan o tym myśli? — spytał Gwadera, patrząc na Prawicę, patologa z dużym doświadczeniem zawodowym.

— Jeszcze za wcześnie na wydanie opinii.

Komisarz nie chciał brać udziału w sekcji zwłok. Prawica przekonał go dopiero argumentem, że w ten sposób szybciej pozna przyczynę zgonu.

Sekcja trwała blisko godzinę. Był taki moment, kiedy Gwadera poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Podszedł wtedy do okna i kilka razy głęboko wciągnął powietrze. Pomogło.

Patolog zerknął na komisarza. Chciał swoim zwyczajem rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Na pewno nie wynikało to z jego delikatności.

Komisarz kiedyś, przed laty bardzo pomógł Prawicy w pewnej sprawie. Odtąd ten darzył Gwaderę szacunkiem. Policjant był jedną z niewielu osób, z którymi Prawica rozmawiał bez tak charakterystycznej dla niego złośliwości.

— Kiedy będzie pan wiedział? — Gwadera starał się zachować spokój.

— Za tydzień — rzucił od niechcenia.

Po chwili na twarzy patologa zagościł uśmiech. Rzecz u niego równie rzadko spotykana jak dobre słowo. Gwadera, który nie rozumiał jego dobrego humoru, zacisnął mocno zęby. Prawica bezbłędnie wyczuł jego zły nastrój.

— Żartowałem, panie Romanie — powiedział szybko.

Jego specyficzne poczucie humoru tym razem nie przypadło Gwaderze do gustu.

— W tym wypadku nie mam wątpliwości. Przyczyną zgonu był złamany kręgosłup — patolog uprzedził jego pytanie.

— Morderstwo? — podsunął komisarz.

— Myśli pan, że ktoś go popchnął? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Tak.

— Dlaczego od razu morderstwo? — udał oburzenie. — Panie komisarzu, więcej wiary w ludzi. Nie pomyślał pan, że po prostu facet poślizgnął się i spadł ze schodów? Każdemu może się to zdarzyć... Dzisiaj rozmawiamy, jutro któryś z nas wita się ze świętym Piotrem.

Gwadera nie słuchał go uważnie. Błądził myślami wokół postaci Zbigniewa Nowaka. Mężczyzna znika na kilka dni, budząc niepokój mieszkańców kamienicy, którzy twierdzą, że to do niego niepodobne. Potem znajdują go w urokliwej, ale cieszącej się złą sławą uliczce.

— Toksykologia? — rzucił.

Patolog spojrział na niego z ukosa.

— Proszę nie wymagać cudów. Te informacje dostanie pan... hm, w najlepszym wypadku za trzy tygodnie. Tym razem mówię poważnie.

— A na kiedy jest pan w stanie sprawdzić, czy denat w chwili śmierci był pijany? — doprecyzował swoje pytanie.

Prawica zamyślił się.

— A, o to panu chodziło. Jutro, jutro rano będzie miał pan odpowiedni raport.

12.

Rano w pokoju czekał na Gwaderę nakaz wystawiony przez prokuratora. Tak jak się spodziewał, Wejner załatwiła to szybko. Gwadera spojrział na zegarek. Chciał złożyć kolejną wizytę na Duninowskiej. Zdawał sobie sprawę, że życie w dużych firmach rządziło się swoimi prawami. Tam praca zaczynała się o dziewiątej i z małą przerwą na lunch trwała do osiemnastej. Wygodny rozkład dnia dla ludzi młodych, bez zobowiązań.

Spojrział w stronę Wejner. Wstał.

— Kolejna niezapowiedziana wizyta na Duninowskiej — nie pytała, stwierdzała fakty.

Gwadera spojrział na nią z uznaniem. Pracowała w policji od niedawna, pomimo tego po raz kolejny dała dowód na to, że jest osobą zdolną, która brak doświadczenia rekompensuje bystrością umysłu.

Nie miał pewności, czy tego dnia zastaną Kondrackiego w biurze. Postanowił jednak, że skoro mają już nakaz, warto spróbować. Kiedy weszli do sekretariatu, asystentka spojrziała na nich zdziwiona.

— Jesteśmy umówieni z prezesem — pospieszył Gwadera z wyjaśnieniem. Małe, niewinne kłamstwo.

Na twarzy Bartczak odmalowała się niepewność.

— Pan prezes nic mi nie wspominał o spotkaniu.

— Widocznie zapomniał — w momencie kiedy Gwadera wypowiadał te słowa, drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Krzysztof Kondracki.

Mężczyzna ze spokojem patrzył na komisarza, potem wolno przeniósł wzrok na Katarzynę Wejner.

— W czym mogę pomóc? — spytał, taksując jej zgrabną sylwetkę.

Gwadera przesunął się lekko do przodu i pokazał prezesowi EEI wystawiony przez prokuratora nakaz. Kondracki rzucił okiem na pieczętkę i nazwisko. W kącikach ust pojawił się tak charakterystyczny dla niego uśmiech.

Zerknął na swoją asystentkę.

— Ściągnie pani do mnie mecenasa Stachurę — rzucił.

Odwrócił się w stronę policjantów.

— Zapraszam.

Weszli do gabinetu i zajęli wskazane przez Kondrackiego miejsca przy konferencyjnym stole.

Nie zdążyli usiąść, kiedy zadzwonił telefon. Kondracki podniósł słuchawkę i rzucił zdawkowe:

— Tak?

Chwila ciszy.

— Nie obchodzi mnie to. Ma tu być natychmiast. — Znów cisza. — To jego problem — powiedział nieco ostrzejszym tonem i sięgnął po nakaz. Tym razem uważnie zapoznawał się z jego treścią.

— Chylę czoła przed polskim wymiarem sprawiedliwości — powiedział lekkim tonem.

— Kiedy pan wrócił? — spytał Gwadera lekko poirytowany tą ironiczną uwagą.

— Wczoraj późnym wieczorem — odpowiedział. — Miałem właśnie do pana dzwonić... — Wykonał nieokreślony ruch dłonią.

„Właśnie” — słowo-klucz, które często służyło do usprawiedliwienia pewnych spóźnionych działań.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zrobił tego, bowiem do gabinetu weszła Bartczak.

— Mecenas wkrótce będzie — oznajmiła.

Kobieta podeszła do biurka i podała Kondrackiemu czarną teczkę w wygrawerowanych trzema literami EEI. Otworzył ją, przebiegł wzrokiem treść pisma i postawił parafkę.

Spojrzał na zegarek.

— Za kwadrans ma na mnie czekać kierowca.

Asystentka skinęła głową i wyszła.

Gwadera był przekonany, że słowa te nie padły przypadkowo. Kondracki, wypowiadając je, dał policjantom wyraźnie do zrozumienia, że nie ma dla nich zbyt wiele czasu. Powoli stawało się to regułą.

— Wyjeżdża pan? — spytała Wejner.

Kondracki uśmiechnął się lekko.

— Tak. Mam umówione spotkanie.

— W Warszawie? — spytał Gwadera z ciekawości.

— W Płocku. Przepraszam, że nie mogę poświęcić panu... — zerknął na Wejner — państwu więcej czasu — zamilkł.

Ktoś zapukał do drzwi i po sekundzie do gabinetu wtoczył się postawny mężczyzna, który wyglądem przypominał znanego posła lewicy Ryszarda Kalisza.

— Pan komisarz chce zabezpieczyć laptop Andrzeja Babicza — wyjaśnił

Kondracki i przesunął w stronę prawnika pismo.

Mecenas długo patrzył na urzędowy dokument. Obejrzał go dokładnie. Gwadera przez chwilę poczuł się jak przestępca. Dla niego wszystko było proste i jasne, ze strony formalnej Kondracki nie mógł im nic zarzucić.

Gdy oględziny dobiegły końca, mecenas przetarł czoło chusteczką. Spojrzał na swego mocodawcę. Panowie doskonale się rozumieli.

Mecenas wstał, skinął na pożegnanie głową i bez słowa wyszedł.

Kondracki nacisnął przycisk interkomu.

— Proszę przysłać do mnie Piotra Czarnotę. — Zerknął na komisarza.
— To nasz główny informatyk — wyjaśnił.

Piotr Czarnota okazał się lekko łysiejącym mężczyzną po trzydziestce, o rozbieganych nerwowo oczach.

— Ta? — rzucił, polykając ostatnią literę wyrazu.

Kondracki w kilku słowach wprowadził mężczyznę w temat.

Czarnota wykrzywił twarz w dziwnym grymasie.

— Ustalcie państwo szczegóły... — Kondracki wstał.

— Co pani o nim myśli? — spytał Gwadera policjantkę, kiedy siedzieli w samochodzie.

— Interesujący człowiek — odpowiedziała zdawkowo.

— Tak? — zachęcił ją gestem ręki, aby kontynuowała wypowiedź.

— Zimny sentymentalista — rzuciła tylko dwa słowa.

„Ciekawe określenie” — pomyślał Gwadera.

— To typ mężczyzny, który podoba się kobietom. Przystojny, elegancki i do tego piekielnie inteligentny. I... — przerwała — ...niebezpieczny.

— Straciłaby pani dla niego głowę?

Dłużej zastanawiała się nad odpowiedzią.

— To zależy... od okoliczności... — zamilkła.

Po dłuższej chwili dodała:

— I wie pan, co jeszcze myślę...

Zachęcił, aby mówiła dalej.

Namyślała się chwilę.

— Mogę oczywiście się mylić, ale... Widział pan, jak Joanna Bartczak patrzy na swego szefa?

Nie dostrzegł tego.

— Odnoszę wrażenie, że... nie jest jej obojętny — kontynuowała Wejner. W jej głosie brzmiała wielka pewność siebie. — Jednym słowem, Joanna Bartczak jest w preziesie po uszy zakochana. — Spojrzała na komisarza z uśmiechem.

Zaintrygowany zerknął na podkomisarza.

W stosunkowo krótkim czasie po raz kolejny przekonał się, że Wejner jest świetnym obserwatorem. Dostrzegała rzeczy, na które jej koledzy nie zwracali

uwagi. Drobne gesty, tak zwaną mowę ciała, przypadkowo rzucone słowa składała w całość, tworząc w myślach portret psychologiczny postaci.

Zastanawiał się, na ile w tym wypadku jej obserwacje są trafne. W tej chwili nie miało to znaczenia, ale zapamiętał te słowa. Nie żałował, że wziął ją ze sobą.

Kiedy wrócili do komisariatu, na biurku czekała na Gwaderę wiadomość, że w sobotę w południe na cmentarzu komunalnym we Włocławku odbędzie się pogrzeb Babicza.

Gwadera był zdziwiony, że matce Babicza w stosunkowo krótkim czasie udało się załatwić wszelkie formalności związane z przewiezieniem ciała i przygotowaniem pogrzebu.

Włocławek. Nigdy tam nie był, ale kojarzył to miasto z dobrym zespołem koszykówki Anwil Włocławek i zupełnie niepotrzebną śmiercią księdza Popiełuszki. Morderstwem dokonany w momencie, kiedy powoli wszystko chyliło się ku upadkowi.

Gwadera szybko dokonał wyliczeń. Do Włocławka było około stu sześćdziesięciu kilometrów. Aby tam dotrzeć, potrzebował około trzech godzin, przy założeniu, że podróż przebiegnie bez żadnych zakłóceń.

Poprosił Osmąka, aby skontaktował się z tamtejszą policją.

Osmąk tym razem działał szybko. Przed drugą Gwadera odebrał telefon z Komendy Miejskiej Policji we Włocławku. Dzwonił podkomisarz Jarosław Apalczyk. Mężczyzna miał bardzo sympatyczny głos.

Gwadera wprowadził policjanta w śledztwo. Sprawę, nad którą pracował, nakreślił w ogólnych zarysach. Nie wdawał się w szczegóły. Nie było takiej potrzeby.

Apalczyk zapewnił, że udzieli mu wszelkiej możliwej pomocy. Gwadera przedstawił swoje oczekiwania. Okazało się, że nie odbiegały one od wyobrażeń komisarza. Gwadera poprosił też o umówienie spotkania z matką zmarłego.

Jeszcze tego samego dnia Apalczyk zadzwonił ponownie i przekazał informację, że Alicja Babicz wyraziła zgodę na spotkanie, ale dopiero w niedzielę po południu.

Tego dnia, pomimo usilnych starań całego zespołu, nie udało im się popchnąć sprawy do przodu.

Prawica nie odezwał się, chociaż poprzedniego dnia obiecywał, że do południa będzie miał wyniki toksykologii Nowaka. Gwadera kilkakrotnie w ciągu dnia próbował skontaktować się z patologiem. Bezskutecznie. W końcu zniecierpliwiony wysłał do niego Wejner.

Kobieta wróciła po kwadransie. W dłoni trzymała raport z sekcji.

— Prawica jest w szpitalu — powiedziała w drzwiach.

Spojrzał na Wejner pytająco.

Pospieszyła z wyjaśnieniem:

— W nocy miał atak wyrostka robaczkowego, zabrało go pogotowie.

Gwadera wiedział, że powinien odwiedzić Prawicę w szpitalu, ale obawiał się, że nie znajdzie na to czasu.

— Jak tam wyniki?

Zerknęła do kartek.

— W chwili śmierci Nowak miał we krwi co najmniej dwa promile alkoholu. Wszystko wskazuje na to, że to był zwykły wypadek — wniosek nasuwał się sam.

13.

Gwadera wyjechał do Włocławka przed ósmą. Ruch był niewielki, dlatego komisarz szybko dotarł na miejsce.

Na wysokości włocławskiej zapory skręcił w prawo. Aleja Kazimierza Wielkiego, która prowadziła do jednej z głównych ulic miasta, lata świetności dawno miała już za sobą. W pewnej chwili samochodem niebezpiecznie zarzuciło. Wtedy zwolnił.

Dochodziła jedenasta, gdy zaparkował przed Komendą Miejską Policji.

Przed wejściem czekał na niego Apalczyk. Był to młody policjant o krótko obciętych włosach.

— To dla mnie wielka przyjemność pracować z kolegą z Warszawy — powiedział, wyciągając na przywitanie dłoń.

Apalczyk urzędował na siódmym piętrze. Pół żartem zaproponował wędrownkę schodami, ale komisarz zdecydowanie odmówił.

Do pogrzebu została jeszcze prawie godzina.

Apalczyk poczęstował komisarza kawą. Była nadspodziewanie dobra. Podkomisarz wyjaśnił, że to zasługa włocławskiej wody, którą miasto czerpało nie z Wisły, ale z podziemnych źródeł.

Na cmentarzu Gwadera stanął w miejscu, skąd mógł obserwować nie tylko żałobników, ale także ludzi, którzy przechodzili alejką.

Apalczyk ustawił się pod rozłożystym drzewem. Na prośbę komisarza fotografował wszystkich, zarówno uczestników pogrzebu, jak i tych, którzy pojawili się w pobliżu.

W uroczystości brało udział zaledwie kilkanaście osób. Matka Babcza, siwy mężczyzna, który trzymał ją pod ramię, kilkoro ludzi w wieku około czterdziestu lat, domyślał się, że są to znajomi ze szkoły średniej, może towarzysze dziecięcych zabaw. Smutne, zamyślane twarze.

Z tyłu za wszystkimi stała Małgorzata Szafran. Komisarz skinął na przywitanie głową, odpowiedziała tym samym gestem.

Gwadera zastanawiał się, dlaczego na uroczystości nie pojawił się sam prezes. „Czyżby dla Kondrackiego nawet w takiej chwili ważniejsze od spraw doczesnych było pomnażanie pieniędzy?” — pomyślał z przekąsem. A może

mężczyzna doszedł do wniosku, że Babicz nie zasługiwał na uhonorowanie go minutą ciszy?

Gwadera postanowił na razie nie zaprzętać sobie tym głowy. Skupił się na słowach wypowiedzianych przez mistrza ceremonii, którym wyjątkowo była kobieta. Przemowa, krótka i zwięzła, chwytła za serce. Na twarzach pojawiły się łzy.

Ceremonia powoli zbliżała się do końca. Opuszczaniu trumny do grobu towarzyszyła grana na trąbce melodia Ave Maria. Wokół panowała cisza i należy do temu miejscu spokój.

Gwadera nigdy nie lubił pogrzebów, był na nich rzadkim gościem, naprawdę tylko wtedy, gdy nie miał już innego wyjścia.

Komisarz odrzucił ponure myśli i spojrzął przed siebie, na cmentarną alejkę. Dotąd pojawiło się na niej zaledwie kilka osób, które swoim zachowaniem nie zwróciły uwagi komisarza.

Od strony cmentarnej bramy energicznym krokiem szła w ich stronę szczupła blondynka, która trzymała w dłoniach wiązanek z lilii. W pierwszym momencie odniósł wrażenie, że ta ubrana w elegancki garnitur kobieta spieszy się na pogrzeb Babicza. Była już na tyle blisko, że widział jej niespotykane niebieskie oczy. Zerknął w prawo, tam, gdzie stał Apalczyk. Mężczyzna zrozumiał, uniósł aparat i pstryknął zdjęcie.

Kiedy Gwadera znów spojrzął na ścieżkę, kobieta zniknęła. Poszukał ją wzrokiem. Nie mogła daleko odejść. Rzeczywiście, mignęła pomiędzy nagrobkami. Skupiona przechodziła od nagrobka do nagrobka. Sprawiała wrażenie zagubionej. Prawdopodobnie czas, jaki minął od ostatnich jej odwiedzin, zatarł w pamięci obraz miejsca, w którym pogrzebano bliską jej osobę. W momencie, kiedy na dłużej zatrzymała się przy jednym z nagrobków, kładąc na nim wiązanek, stracił zainteresowanie jej osobą.

Żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Przy grobie pozostała tylko matka Babicza i siwy mężczyzna.

Gwadera podszedł do Apalczyka.

— Sfotografował pan wszystkich? — spytał cicho.

Odpowiedzią było skiniecie głową.

— Chce pan, abym je wywołał?

Gwadera uśmiechnął się. Nie spodziewał się takiego pytania. Był przekonany, że Apalczyk prześle pliki pocztą elektroniczną do Warszawy, gdzie, jeżeli będzie taka potrzeba, zostaną wywołane przez laborantów. Na biurku gotowe odbitki miałby w poniedziałkowe popołudnie, może nawet dopiero we wtorek. Laboranci ciągle narzekali na nadmiar pracy.

— Tak — odpowiedział po chwili. Nadarzyła się okazja, dlaczego miał z niej nie skorzystać.

— Poproszę, aby chłopaki wywołali je w pierwszej kolejności. Jak dobrze

pójdzie, zdjęcia będą jeszcze dzisiaj.

Gwadera spojrzął na niego zaskoczony. Był pod wrażeniem szybkości, z jaką działała tutejsza policja.

Zastanowił się. Było mu to nawet na rękę. Następnego dnia mógł wykorzystać zdjęcia w rozmowie z Alicją Babicz. Może kobieta rozpozna na nich kogoś znajomego.

Panowie ruszyli w stronę wyjścia.

Gwadera pochłonięty własnymi myślami nie spostrzegł, że blondynka, którą obserwował przed kilkanaście minutami, patrzy z wielką uwagą w stronę świeżo usypanego grobu Andrzeja Babicza.

Na jej twarzy widniał bezgraniczny smutek.

Gwadera obudził się przed piątą. Wskazówki zegarka wolno przesuwały się do przodu. Wiedział, że już nie zaśnie. Nie chciał się męczyć. Takie bezsensowne przewracanie się z boku na bok w poszukiwaniu snu w jego przypadku zawsze kończyło się ponurymi myślami.

Podszedł do okna i wyjrzał na uśpioną w niedzielny poranek ulicę.

Naprzeciwko hotelu, w którym Osmalek zarezerwował pokój, znajdował się Ratusz. Był to siedmiopiętrowy budynek o prostej architektonicznej formie, dostosowany do obecnych potrzeb. Portier wyjaśnił, że dawniej, w PRL-u mieściła się tam siedziba Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. „Jaśnie panującej nam wówczas partii” — pomyślał komisarz z przekąsem.

Wziął prysznic, ubrał się i sięgnął po kopertę ze zdjęciami, którą poprzedniego wieczoru przed ósmą podrzucił mu do hotelu Apalczyk. Przeglądał je szybko, bez zastanowienia. Twarze nic mu nie mówiły, zwykli ludzie zmierzający na groby bliskich, uchwyceni w chwili zadumy. Dłużej zatrzymał się przy zdjęciu eleganckiej blondynki. Zdjęcie nie było wyraźne. Kobieta w momencie, kiedy Apalczyk nacisnął przycisk migawki, odwróciła głowę.

Zauważyła, że jest fotografowana? Może to tylko czysty przypadek.

Wstał i znów podszedł do okna.

Gdzieś z oddali dobiegł odgłos kościelnych dzwonów. Zerknął na zegarek. Punkt szósta. O dziewiątej był umówiony z Apalczykiem. Postanowił, że czas, który dzielił go od spotkania z młodym policjantem, wykorzysta na poznanie miasta. Do wczoraj tylko punktu na mapie. Kwadrans później opuścił pokój.

Portier, sympatyczny rudzielec, na pytanie o tutejszą starówkę wzruszył ramionami. Po chwili zastanowienia jako obiekt godny zwiedzenia wskazał katedrę. Wy tłumaczył, jak tam dojść.

Gwadera miał do wyboru bardziej skomplikowaną drogę przez miasto albo brzegiem Wisły. Wybrał tę drugą opcję. Ulica doprowadziła go do nadwiślańskich bulwarów.

Zszedł nizej. W oparach porannej mgły amatorzy wędkowania w ciszy

oddawali się swojej pasji. Wyminął ich. Szedł wolno, dostosowując się do rytmu tego miejsca. Nigdzie się nie śpieszył.

Jakieś trzysta metrów dalej usiadł na ławce i patrzył na drugą stronę Wisły. Roztaczał się stąd rozległy widok na prawy, zalesiony brzeg. W oddali majaczyły dachy jednorodzinnych domków.

Zatracił poczucie czasu. Do rzeczywistości przywrócił go odgłos podskakującego na nierównościach roweru. Gwadera spojrzał w lewo, tam, gdzie stał zaniehbany mężczyzna, którego oczy pałały nienawiścią.

Komisarz zrozumiał, że prawdopodobnie zajął jego ławkę. Cóż, nie znał tutejszych zwyczajów.

Z ust mężczyzny wydobyło się kilka dźwięków. Gwadera z trudem wylapał z tego bełkotu pojedyncze słowa. Na pewno nie powtórzyłyby ich w towarzystwie kobiety. Sądził, że mężczyzna nie miałby takich obiekcji. Komisarz wstał. Nie miał ochoty wdawać się w pyskówki słowne z jakimś menelem.

Ruszył w stronę mostu, który spinał oba brzegi. Przez kilka chwil gonił go stek wyzwisk.

Od wody powiał zimny wiatr. Komisarz postawił kołnierz marynarki. Spojrzał na zegarek. Siódma.

Bulwary doprowadziły go do niewielkiego kościółka, który znajdował się przy małym rynku. Kilkadziesiąt metrów dalej wspiął się po kamiennych schodkach. Na prawo rozpościerała się zaniehbana uliczka, u wylotu której majaczyła monumentalna budowla katedry. Patrzył na brudne i zniszczone fasady kamienic i zastanawiał się, dlaczego ta urokliwa uliczka nie doczekała się jeszcze tak modnej ostatnio rewitalizacji.

Wyminął kościół i zagłębił się w zadrzewione alejki parku. Tak jak na bulwarach, panował tutaj absolutny spokój.

Gwadera rozejrzał się. W oddali dostrzegł tylko mężczyznę, który wyszedł na spacer z psem. Poza nimi o tej porze w parku nie było nikogo.

Przeszedł przez mostek i usiadł na ławce.

Myśli komisarza powędrowały w stronę śledztwa.

Od zabójstwa minął dokładnie tydzień. Zbyt wolno posuwali się do przodu. Nie mieli nic, żadnego tropu, niczego. Motyw nadal pozostawał zagadką.

Co tak naprawdę wiemy o Andrzeju Babiczu?

Zastanowił się.

Bliski współpracownik Babicza i zamknięta w sobie bizneswoman, zaplątana kiedyś w niepotrzebny romans z prezesem firmy, tak naprawdę wiedzieli o nim niewiele. Tak jak i pozostali pracownicy EEI.

Andrzej Babicz w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej tajemniczą osobą.

Gwadera miał nadzieję, że od jego matki dowie się czegoś istotnego, co

pozwole popchnąć śledztwo do przodu. Chociaż o mały krok.

Alicja Babicz mieszkała w czteropiętrowym bloku, w dzielnicy, która tonęła w zieleni. Spółdzielnia dbała o estetykę budynków. Wzrok przyciągały pastelowe fasady domów.

Kobieta wprowadziła swego gościa do przestronnego pokoju. Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, był zajmujący całą ścianę regał z książkami. Gwadera dokonał w myślach szybkiego rachunku sumienia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przeczytał jakąś książkę. Umknęły autor i tytuł. Nawet w czasie urlopu nie znalazł czasu, by nadrobić zaległości.

Z ulicy dochodził hałas, krzyki bawiących się pomiędzy blokami dzieci. Ryk motocyklowego silnika zagłuszał słowa.

Alicja Babicz zamknęła okno.

— Napije się pan herbaty? — zaproponowała.

— Poproszę.

Zniknęła w kuchni.

Wróciła po kilku minutach. Postawiła na okrągłym stole tacę z dwoma filiżankami i porcelanowym czajniczkiem akurat na dwie porcje.

W milczeniu naląła herbatę.

— Słodzi pan?

— Tak. — Dopiero gdy wypowiedział te słowa, spostrzegł, że na stole brakuje cukiernicy. Nie chciał sprawiać Alicji Babicz kłopotu. Mógł przecież obyć się bez cukru.

Gospodyni, zanim zdążył ją powstrzymać, szybko wstała i po raz drugi zniknęła w kuchni. Oprócz cukiernicy przyniosła talerz z pachnącym ciastem.

— Jaka jestem roztargniona... — Wymusiła na twarzy uśmiech. Nałożyła komisarzowi solidną porcję.

— Proszę się częstować.

Odebrał z jej drobnych dłoni talerzyk. Spróbował. Ciasto było wyśmienite.

— To pleśniak — pośpieszyła z wyjaśnieniem. — Andrzejkowi zawsze bardzo smakował.

Zamilkła porażona myślą, że już więcej nie zobaczy swojego syna. W jej oczach pojawiły się łzy.

Uśmiechnęła się przepraszająco.

— Dzieci nie powinny odchodzić przed rodzicami — powiedziała cicho.

Posłała mu smutne spojrzenie.

W jej wzroku dostrzegł jeszcze coś. Złość. Być może na los, że tak niesprawiedliwie potraktował jej syna. Może też na cały świat, za to, że jest tak podle skonstruowany. I na ludzi.

Gwadera odstawił pusty talerzyk. Zastanawiał się, w jaki sposób ma prowadzić rozmowę, aby nie zranić uczuć tej wątlej, delikatnej kobiety. Każde

słowo będzie nie na miejscu.

Alicja Babicz wyczuła wahanie komisarza.

— Proszę śmiało pytać, panie Romanie — pominęła stopień służbowy.

Upił łyk herbaty. Jeszcze odwlekał tę chwilę.

— Syn często panią odwiedzał? — spytał.

— Raz w miesiącu, czasami, kiedy miał dużo pracy, rzadziej. Ale zawsze dzwonił w niedzielę przed wiadomościami. Bardzo mi pomagał finansowo. Z nauczycielskiej emerytury na niewiele mogę sobie pozwolić. Lekarstwa kosztują tak dużo — westchnęła.

— Kiedy widziała się pani z synem po raz ostatni?

Zastanawiała się chwilę.

— Odwiedził mnie w zeszłym tygodniu... dwa dni przed... — słowo nie chciało jej przejść przez gardło. Było jeszcze za wcześnie, by mogła o tym mówić spokojnie, bez emocji. — Wspominał, że nie będzie go przez jakiś czas, wyjeżdża służbowo za granicę. — Przerwała. — Syn nie miał przede mną żadnych tajemnic — dodała pewnym siebie głosem.

„Nie znała go pani tak dobrze, jak się pani wydaje” — pomyślał Gwadera i spojrzał na kobietę uważnie. Ze słów Alicji Babicz wynikało, że nic nie wiedziała o kłopotach syna w pracy. Rzeczywiście, był bardzo zamkniętym w sobie człowiekiem, skoro nawet przed matką ukrywał swoje problemy.

Gwadera postanowił nie wyprowadzać starszej pani z błędu. W tej chwili, dla niej nie miało to żadnego znaczenia. Prawda mogła sprawić tylko niepotrzebny ból

— Czy w jego zachowaniu było coś szczególnego?

Zastanowiła się.

— Nie. Zachowywał się tak jak zawsze. Był opiekuńczy, pytał mnie, jak się czuję, czy nie potrzebuję jakieś pomocy... — Potarła skronie próbując odtworzyć te ostatnie spędzone z synem chwile. — Przed wyjazdem powiedział coś, co wówczas ścisnęło mnie za gardło. Nigdy nie używał tego słowa, po prostu wiedziałam, że tak jest, mówienie o tym było zupełnie niepotrzebne. Powiedział, że... — głos się jej załamał — że mnie kocha — dokończyła cicho.

Zapadła cisza.

Kobieta siedziała lekko pochylona do przodu, na kilka chwil uciekła myślami do wewnętrznego świata.

— Pani Alicjo — Gwadera przypomniał o swojej obecności.

Spojrzała na niego uważnie.

— Może jeszcze herbaty? — Wskazała na pustą filiżankę.

— Tak, poproszę.

Wstała i zaskakująco energicznym krokiem powędrowała do kuchni. Słyszał, jak odkręca kran i stawia czajnik na kuchence.

Nalóżył sobie na talerzyk nową porcję pleśniaka. Babicz był szczęściarzem, że miał mamę, która piekła tak wspaniałe ciasta.

Alicja Babicz wniosła tackę. Kiedy pochylała się w jego stronę, stawiając przed nim filiżankę, poczuł od niej zapach waleriany.

— Prawda, że pyszny — to nie było pytanie. Wskazała na ciasto.

Przez następne minuty słuchał opowieści o domowych wypiekach, czasami wtrącał pojedyncze słowa, zachęcając Babicz do mówienia. Nie przerywał jej, czuł, że kobieta, chociaż na kilka chwil chce oderwać myśli od tego, co ją spotkało. Pozwolił, aby mówiła, dla niej była to forma ucieczki.

Zamilkła.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Wiedział, że pomiędzy nimi nawiązała się nic porozumienia. Było to istotne z punktu widzenia pytań, jakie miał jej zadać. Za chwilę będzie musiał zburzyć z trudem odzyskany przez nią spokój.

Zrozumiała.

— Co chce pan wiedzieć, panie Romanie? — rzuciła cicho.

Nie było sensu odwlekać tego dłużej.

— Wiem, że pani syn był żonaty... — Dostrzegł w jej oczach żywe iskierki.

— To była taka dobra kobieta. — Nie musiał zachęcać Alicji Babicz do mówienia. — Andrzej rozstał się z nią, tak naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobił.

„Ale ja wiem” — pomyślał Gwadera. Nie miał zamiaru dzielić się tą wiedzą z panią Babicz. Nie teraz. To nie był odpowiedni moment. Nie był pewien, jak przyjąłaby jego słowa. Wybrał milczenie.

— Bardzo lubiałam Anię...

— Wie pani, gdzie teraz mieszka?

— Podobno wyjechała do Norwegii czy Szwecji, w każdym razie do któregoś z państw skandynawskich. Zerwała wszelkie kontakty, do dzisiaj tego nie rozumiem, tak jakbym zrobiła jej coś złego.

Gwadera nie sądził, aby kobieta cokolwiek przed nim udawała. Mówiła prawdę.

Nie dziwił się żonie Babicza, że postanowiła zniknąć. Trudno było jej pogodzić się z myślą, że ten, za którego wyszła za mąż, od samego początku okłamywał ją. I to podwójnie.

Małżeństwo położyło się cieniem na jej życiu. To zrozumiałe, że chciała o tym wszystkim zapomnieć. Kilka straconych lat.

Zastanawiał się, czy nie wyciąga zbyt pochopnie wniosków. To, co powiedział mu Szmajter o orientacji seksualnej Babicza, wcale nie musiało być prawdą. Ale było. Swoją pewność opierał nie tylko na słowach Szmajtera. Wystarczyło uzyskane informacje zebrać w całość. Dwa plus dwa zawsze jest cztery, wbrew wyborczym sloganom.

Postanowił zostawić temat Anny Babicz.

— Czy po rozstaniu z żoną pani syn miał kogoś?

Był ciekaw, czy Babicz kontynuował grę pod tytułem „normalny mężczyzna — normalne życie” i dalej szukał swojego miejsca.

— Raczej nie. Często go pytałam, jak chce ułożyć sobie życie. Odpowiadał, że drugi raz nie popełni tego samego błędu.

— Miał przyjaciół?

— Przyjaciół? To szczególne słowo, którym można określać niewiele osób. Tylko tych, którym powierzamy najskrytsze tajemnice, mając pewność, że nikomu ich nie zdradzą. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Skinął z powagą głową.

— Andrzej ostrożnie dobierał znajomych. Na studiach przyjaźnił się z dwoma lub trzema osobami. Potem, już w dorosłym życiu? Przyznam, że nie wiem, czy wśród tych, którzy go otaczali, był ktoś, kto zasługiwał na to miano.

— Gdzie syn studiował?

— W Anglii...

Szybko dokonał obliczenia. Musiało to być na początku lat dziewięćdziesiątych. Wówczas masowe wyjazdy nie były jeszcze tak popularne, a przede wszystkim proste. Utrudnienia ze strony brytyjskiego biura emigracyjnego zniechęcały do podróży na Wyspy.

— W Oksfordzie — pospieszyła z wyjaśnieniem.

Zaskoczyła go tą wiadomością.

— Oksford — powtórzył.

Przed oczyma stanęły mu stare budowle, które utożsamiał z tamtym miejscem. Obraz ukształtowany przez filmy.

— Tak — wyczuł dumę w jej głosie.

Miała do tego prawo, bądź co bądź zdobycie dyplomu na jednej z renomowanych uczelni Anglii nadal należało do rzadkości.

— Miałam go jednego, po śmierci męża było ciężko. Pewnie dziwi się pan skąd wzięłam pieniądze na naukę? W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku otrzymałam spadek za utraconą działkę w wyniku dekretu Bieruta. Stara historia, prawie zapomniana w naszej rodzinie. Początek lat dziewięćdziesiątych to były czasy, kiedy sądy w kwestiach własnościowych szybko podejmowały decyzje. Pieniądzy nie było dużo, ale wystarczyło na mieszkanie i studia Andrzeja. Skończył je z wyróżnieniem...

Jej opowieść przerwał dzwonek u drzwi.

Spojrzała na Gwaderę.

Zniknęła w przedpokoju.

Wpuściła kogoś do mieszkania, słyszał męski głos. Rozmowa przeciągała się.

Gwadera podszedł do balkonowych drzwi, chciał je otworzyć, ale nie zrobił

tęgo. Jego wzrok padł na komodę, na której leżał stary album. Otworzył na pierwszej stronie. Z czarno-białego zdjęcia patrzył na niego roześmiany niemowlak. Komisarz zerknął na podpis: „Andrzejek”.

Domyślał się, że album jest zapisem jego życia. Pierwsze kroki, potem przedszkole, szkoła podstawowa, liceum, zdjęcia klasowe. Zatrzymany w kadrze czas. Pod każdym zdjęciem starannym charakterem pisma ktoś, prawdopodobnie Alicja Babicz, napisał datę i miejsce.

Najwięcej zdjęć dotyczyło dzieciństwa. „Andrzej na bujaczkach”, „Andrzej w piaskownicy”, „Wycieczka do Torunia”, czytał podpisy.

Szybko przeszedł do tych późniejszych. Bał maturalny 1990 rok. Oksford — czerwiec 1991. Album kończył się na 1993 roku zdjęciem przedstawiającym czterech młodych ludzi w studenckich czapkach. „Andrzej, Gregor, Damian, Christopher” — głosił podpis. Uważnie przyjrzał się młodym ludziom. Twarz drugiego z lewej wydawała mu się znajoma.

— Gregor — wyszeptał. Imię nic mu nie mówiło. Niezadowolony pokręcił głową.

— To jego przyjaciele ze studiów — usłyszał z tyłu głos Alicji Babicz.

Kobieta podeszła do komisarza i wskazując palcem na poszczególne osoby, wyrecytowała imiona w innej kolejności niż wynikało to z podpisu.

— Pomyliłam się, podpisując zdjęcia — wyjaśniła, dostrzegając na twarzy Gwadery wyraz zdziwienia.

Wskazał na drugiego z lewej.

— Krzysztof — powtórzyła.

— Pamięta pani jego nazwisko? — Czuł, że jest blisko czegoś ważnego.

— Oczywiście, jakbym mogła nie pamiętać. Krzysztof był dwa lata starszy... studiował chyba finanse.

Nie słuchał Alicji Babicz zbyt uważnie, tak naprawdę interesowało go tylko nazwisko. Cierpliwie czekał, aż kobieta poda tę informację. Bardzo powoli zbliżali się do celu.

— Zawsze nienagannie ubrany, miałam okazję nawet go poznać, kiedy odwiedziłam Andrzejka w Oksfordzie. Był to chłopak bardzo grzeczny i układny, z rodziny polskich emigrantów... — Na kilka chwil zamyśliła się. — Wie pan, to ciekawa historia. Firmą, w której pracuje... pracował Andrzej, zarządzał właśnie ten jego kolega z Anglii...

Zanim padło nazwisko, Gwadera znał już odpowiedź.

— Ten kolega Andrzeja nazywa się Kondracki, Krzysztof Kondracki...

Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. Tak, teraz wszystko było jasne.

— To dobry człowiek. Załatwił wszystkie formalności związane z pogrzebem. Nie chciał nawet słyszeć o tym, abym poniosła jakiegokolwiek koszty. Przysłał...

— Mogę pożyczyć? — spytał nagle, niezbyt grzecznie przerywając kobiecie w pół słowa.

Spojrzała na niego uważnie.

— Oczywiście. — Delikatnie wyjęła zdjęcie z albumu. — Jeżeli ma to pomóc w śledztwie, proszę.

Gwadera podziękował uśmiechem, który szybko zgasł na jego twarzy, gdy padło pytanie:

— Złapie pan tego, który zamordował Andrzejka? — w głosie Alicji Babicz zabrzmiała nadzieja.

Gwadera milczał.

— Złapie go pan — powtórzyła. Tym razem nie było to pytanie, raczej prośba.

— Proszę pani, zrobię wszystko, co w mojej mocy — zapewnił.

Chwilę później, gdy opuszczał mieszkanie, żałował, że wypowiedział te słowa.

„Puste obietnice bez pokrycia” — pomyślał gorzko, zbyt dobrze zdając sobie sprawę, że na razie nie zrobili nic, co zbliżyłoby ich do wykrycia mordercy.

14.

W Warszawie był przed piątą.

Skupiony na prowadzeniu samochodu, nie myślał o śledztwie. Dopiero kiedy dojechał do Warszawy i utknął na Wisłostradzie w korku, jego myśli popłynęły w tym kierunku.

Zdobyte od Alicji Babicz informacje były na tyle cenne, że rzucały światło na pewne sprawy, zwłaszcza na postać Krzysztofa Kondrackiego.

Gwadera cofnął się do pierwszej rozmowy z Kondrackim. Podstawowe pytanie, które stanowiło dla komisarza punkt wyjścia do dalszych rozważań brzmiało — dlaczego mężczyzna nawet jednym słowem nie wspomniał, że z denatem łączyła go przyjaźń?

„Mały kłamczuszek” — pomyślał. Po chwili zweryfikował swoje uwagi. Nie. Kondracki nie kłamał, on po prostu nie mówił wszystkiego. Odpowiadał tylko na zadane pytania. Ze swojej strony nie dodał nic, co wykraczałoby poza ich zakres.

Prosta gra pytanie—odpowiedź.

Tak. Krzysztof Kondracki był osobą, której powinien lepiej się przyjrzeć.

W domu Gwadera znalazł się za kwadrans szósta.

Kiedy otwierał drzwi, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Chwilę później dał o sobie znać głód. Nic dziwnego, od rana komisarz nic nie jadł. Po drodze chciał, co prawda, zatrzymać się gdzieś na obiad, ale nie zrobił tego.

Powędrował do kuchni. Lodówka była pusta, przypomniał sobie, że przed

wyjazdem nie zrobił zakupów.

Miał dwie możliwości: wyprawę do centrum handlowego lub wypad do miasta. Nie miał ochoty dołączyć do rodaków, którzy z niedzielnych zakupów zrobili sobie rozrywkę, dlatego wybrał tę drugą opcję.

Przed wyjściem wziął szybki prysznic i zmienił ubranie.

Kolację zjadł w knajpce na osiedlu. Było jeszcze stosunkowo wcześnie. Nie chciał wracać do domu, w którym nikt na niego nie czekał.

Pojechał na Stare Miasto. Wybrał jedną z małych kawiarenek w bocznej uliczce, dokąd nie docierał gwar i hałas przelewających się przez Starówkę turystów. Usiadł w najciemniejszym miejscu i zamówił drinka. Błyskawicznie opróżnił szklaneczkę. Przywołał kelnera.

— Jeszcze raz to samo — zadysponował.

Czuł się samotny.

Myślał o Małgorzacie Wolańskiej. Od ostatniego ich spotkania minęło kilka dni. Zdawał sobie sprawę, że powinien pierwszy do niej zadzwonić. Ruch należał do niego.

Przez chwilę bawił się komórką. Nie mógł się zdecydować. Bardzo chciał się z nią zobaczyć i przeprosić za nieudaną randkę.

Tylko tyle albo aż tyle.

Zamówił trzeciego drinka. Lekko zaszumiało mu w głowie. Poczul się senny.

Zapłacił rachunek.

W drzwiach wyminął grupę młodych ludzi. Zachowywali się głośno, cały świat należał do nich. Rudowłosa dziewczyna niechcący potrąciła go, towarzyszący jej chłopak krzyknął do niej po imieniu:

— Magda, no chodź... Zostaw tego dziada...

W pierwszym momencie chciał ostro zareagować, zaczepka bolała, nie był przecież aż tak stary. Po chwili machnął na to ręką. Nie warto.

— Magda — bezgłośnie powtórzył imię.

Nie wiedział, jak to się stało, że zapomniał o urodzinach siostry, całkowicie wyleciało mu to z głowy. Miał o to do siebie pretensje. Na szczęście nie było jeszcze tak późno, mógł naprawić swój błąd.

Rodzina, ach rodzina, (...) lecz kiedy jej ni ma, samotnyś jak pies.

Droga na Kabaty zajęła Gwaderze czterdzieści minut. Jechał metrem, taksówka zrujnowałaby i tak mocno nadwerężony kolacją portfel.

Była za kwadrans dziewiąta, gdy naciskał na dzwonek mieszkania z numerem 124. Minęło kilkanaście sekund, zanim Magda otworzyła.

Wręczył siostrze kupioną po drodze bombonierkę. Kiedy składał życzenia poczuła od niego alkohol. Wykrzywiła twarz w wymuszonym uśmiechu.

Zaprowadziła go do pokoju. Na stole stał talerz z ciastem, z którego nie ukrojono jeszcze nawet kawałka. Przytłumiony alkoholem umysł Gwadery

pracował wolno. Dopiero po chwili dotarło do niego to, co powinien od razu zauważyć. W mieszkaniu panował dziwny spokój. Z sąsiedniego pokoju, który zajmował Radek, nie dochodziły żadne dźwięki.

Gwadera skupił wzrok na siostrze. Na jej twarzy widniał niepokój.

— Gdzie Radek? — spytał, domyślając się, że to właśnie on jest przyczyną zmartwienia Magdy.

Nie odpowiedziała.

— Co się stało? — pochylił się w jej stronę.

— Nie wrócił — powiedziała cicho.

— Jak to nie wrócił?

— Z kina... miał być o drugiej.

— Nie dzwonił?

Pokręciła głową.

— Sama próbowałam się z nim skontaktować, ale jego telefon milczy.

Gwadera uśmiechnął się, chcąc dodać siostrze otuchy. Był przekonany, że jej obawy są przedwczesne. Chłopak mógł po prostu zasiedzieć się u jakiegoś kolegi. Może u dziewczyny.

— Obdzwoniłam wszystkich jego znajomych — uprzedziła jego pytanie. Wskazała na notes, który leżał na stoliku obok telefonu.

— Ma dziewczynę?

— Nie — Magda odpowiedziała szybko, bez wahania, pewna swojej wiedzy.

Wszechobecne media, atakując odbiorców informacjami o brutalnych zdarzeniach, potrafiły zasiać w ludziach niepokój. Na szczęście ten obraz nie miał wiele wspólnego z rzeczywistością. Oczywiście życie było coraz bardziej brutalne, ale to nie oznaczało, że na każdego młodego człowieka czekały wokół tylko pułapki.

— Czy wcześniej zdarzały się takie sytuacje? — spytał.

Zaprzeczyła.

— Jeżeli dłużej nie wracał, to zawsze dzwonił i mówił, gdzie jest i kiedy wróci. Nie chciał, abym się martwiła... Odchodzę od zmysłów — szepnęła.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie? — Ujął jej dłoń.

Nie odpowiedziała.

— Pokłóciliście się? — Szukał przyczyny tego nagłego zniknięcia.

— Nie.

Widział, że Magda jest coraz bardziej przerażona. Przestał zadawać jej pytania a skupił się na analizowaniu sytuacji.

Nie było to łatwe. Nadal odczuwał skutki wypitych drinków.

Gwadera wstał i podszedł do okna.

Patrzył w mrok i zastanawiał się, gdzie chłopak mógł zniknąć, a przede wszystkim dlaczego nie dał znaku życia.

Zabalował i stracił poczucie czasu? Teraz nie wie, jak wytłumaczyć się ze swego zachowania. Odrzucił tę możliwość. Radek był zbyt odpowiedzialnym młodym człowiekiem.

Był? Pokręcił niezadowolony głową. Przyłapał się na myśli, że nie pamięta, kiedy ostatnio rozmawiał z chłopakiem dłużej niż kilka minut. Zdawkowa wymiana zdań, grzecznościowych formułek i głupie pytanie dorosłych: jak w szkole? To wszystko, na co było go stać.

Był chrzestnym Radka, a nic o nim nie wiedział. Nie znał jego przyjaciół, znajomych. Nie wiedział, czym się chrześniak interesuje, jakie ma plany na przyszłość.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej rosło w nim poczucie winy. Nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że zbyt mało czasu poświęcał rodzinie. Nawet kiedy miał urlop, nie potrafił tego zmienić.

Rozważania komisarza przerwał dzwonek do drzwi. Magda poderwała się i szybko wyszła do przedpokoju. Przez chwilę komisarz nasłuchiwał dochodzących z przedpokoju odgłosów rozmowy. Podniesiony, na granicy hysterii głos Magdy i wyciszony Radek.

Trzasnęły drzwi.

Magda wróciła do pokoju. Nie musiała nic mówić. Wystarczył jeden rzut oka na jej smutną twarz.

Gwadera wstał.

— Porozmawiam z nim...

Nie zdążyła go zatrzymać.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Radek, który siedział na łóżku i podpierał głowę dłońmi, spojrzał w stronę wejścia.

— Cześć, wujek — mruknął niezbyt wyraźnie.

Gwadera w milczeniu patrzył na jego poszarzałą twarz.

— Gdzie byłeś?

Radek zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Od kiedy, wujek, interesujesz się rodziną? — zakpił.

— Od dzisiaj.

— Nie sądzisz, że to za późno? — w głosie Radka zabrzmiał wyrzut.

Te słowa zabolowały.

Gwadera usiadł obok siostrzeńca.

— Mama martwi się o ciebie — zaczął.

Wzruszenie ramion.

Milczeli.

Gwadera zastanawiał się, w jaki sposób ma prowadzić rozmowę, aby trafić do chłopaka.

— Masz jakieś problemy? — spytał wprost.

Nie liczył, że od razu uzyska odpowiedź. Miał jednak nadzieję, że Radek otworzy się. Potrzebował tylko czasu i... odpowiednich słów.

— Problemy? Co ty, wujek, możesz wiedzieć o problemach kogoś takiego jak ja? — chłopak wyraźnie kpił. — Nie wiem, czy mnie zrozumiesz... Wiesz, różnica pokoleń...

— Zawsze warto spróbować.

Radek uśmiechnął się smutno.

Jeszcze się wahał.

— Byłem u ojca... — powiedział cicho.

Gwadera milczał. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Ojciec chłopca zniknął z jego życia przed wieloma laty, tłumacząc się w głupi i szczeniacki sposób, że sytuacja przerosła go, a on jest zbyt młody, aby marnować życie na pieluchy i kupki.

— Jak go znalazłeś?

— Sam się ze mną skontaktował...

Ta wiadomość zdziwiła go jeszcze bardziej. Skąd u ojca Radka wziął się nagle ten przyływ uczuć? Niepokoiło go to. Dlaczego teraz, po latach postanowił zburzyć spokój całej rodziny?

— Byłem u niego, ale żałuję, że w ogóle tam pojechałem... — przerwał. Jeszcze się wahał.

Gwadera czekał cierpliwie. Czuł, że dla Radka ta rozmowa jest bardzo ważna.

Wystarczyło tylko jedno odpowiednie słowo. Gwadera szukał tego słowa w myślach, gdy zadzwonił telefon. Zbagatelizował ten dźwięk.

Radek spojrzał na niego wymownie.

— Odbierz — rzucił, gdy po sekundzie dzwonek znów zabrzmiał.

Gwadera zerknął na wyświetlacz. Zastrzeżony numer. Znał tylko jedną osobę, która ukrywała swój numer. Jeżeli dzwonił naczelnik wydziału, sprawa musiała być naprawdę ważna.

— Słucham?

— Przeszkadzam? — kobiecy głos odpowiedział pytaniem. Głos, którego nie mógł rozpoznać.

— Skądże... — powiedział ostrożnie. Nie zabrzmiało to przekonująco. Nadal nie wiedział, z kim rozmawia.

Kobieta po drugiej stronie zrozumiała swój błąd.

— Małgorzata Wolańska.

Teraz wszystko było jasne.

Gwadera miał prawo jej nie rozpoznać, nigdy wcześniej nie rozmawiali przez telefon.

— To pani...

— Jeżeli dzwonię nie w porę...

Nie mógł powiedzieć prawdy. Rzeczywiście odezwała się w najmniej odpowiednim momencie.

— Skądże — nie zabrzmiało to przekonująco.

Wyczuła w jego głosie fałszywą nutę, gdyż milczała.

Teraz ruch należał do Gwadery. Komisarz nie wiedział, co ma powiedzieć, po raz drugi tego wieczora zabrakło mu słów.

— Jest późno, przepraszam, że... — odezwała się pierwsza.

Znów cisza.

— Chciałam tylko... — Wahanie. — Czy mógłby pan przyjechać?

— Teraz?

— Tak.

— Coś się stało?

— Nie... tak... nie wiem... — padły trzy wykluczające się odpowiedzi.

Czekał na ciąg dalszy, a gdy nie nastąpił, spytał:

— Co się dzieje, pani Małgosiu?

— Boję się...

Nie zadał jej tego najważniejszego pytania, spojrzał tylko na siostrzeńca. Ten machnął zrezygnowany ręką.

— Idź, wujek, idź — powiedział smutno.

Gwadera przez chwilę walczył ze sobą. Zdał sobie sprawę, że w chwili, kiedy opuści ten pokój, cofnie się o kilka kroków w trudnym procesie odbudowy kulejących relacji z Radkiem.

Potem po prostu wstał. Zanim wyszedł, zapewnił chłopaka, że wróca do tej rozmowy. Chwilę później żałował tych słów. Wiedział, że oszukuje nie tylko siebie.

Wziął taksówkę. O tej porze metro jeździło zbyt rzadko. Nocne autobusy jeszcze rzadziej.

Zegar w pokoju wybił jedenastą. Gwadera patrzył na siedzącą naprzeciw niego kobietę i porządkował myśli.

Kiedy pół godziny wcześniej pojawił się na Smulikowskiego, Małgorzata Wolańska wyglądała na zdenerwowaną, nie na tyle jednak, by zapomnieć o poczęstowaniu swego gościa kawą.

Usiedli w salonie, przy szklanej ławie. Gwadera poprosił, aby spokojnie, ze szczegółami opowiedziała, co się stało.

Relacja kobiety była krótka, ale treściwa. Wróciła do domu późno, przed dziesiątą. Była w kinie, potem długo spacerowała po galerii handlowej, nawet nie zauważyła, jak szybko minął czas. Przyjechała taksówką. Kiedy płaciła za kurs, zauważyła otwartą bramę. I już samo to wydało jej się dziwne i podejrzane. Niepokój wzmógł się, gdy na klatce schodowej spotkała ją ciemność. Wahała się

tylko chwilę, potem, przyświecając sobie komórką, szybko weszła po schodach. Była już przy drzwiach, męczyła się z zamkiem, kiedy usłyszała za sobą szmer, jakiś cień mignął na korytarzu, ktoś pomknął w dół. Nie wiedziała, co ma zrobić, i dlatego zadzwoniła do komisarza.

— Niepotrzebnie do pana dzwoniłam... — powiedziała zakłopotana. Emocje opadły.

Gwadera uśmiechnął się lekko.

Im dłużej zastanawiał się nad opowiedzianą przez nią historią, tym bardziej nabierał przekonania, że wydarzenie sprzed pół godziny nie miało nic wspólnego z prowadzonym śledztwem. Wyobraźnia Małgorzaty Wolańskiej pognała w złym kierunku, budząc niepotrzebne obawy i podejrzenia.

Gwadera nie dziwił się, że kobieta zareagowała w ten, a nie inny sposób. Tydzień temu na jej klatce schodowej zamordowano mężczyznę, a ten, kto to zrobił, nadal pozostawał na wolności.

Kiedy spotkał się z Wolańską przed kilkoma dniami, oboje starannie omijali ten temat. Może to był błąd. Może wówczas trzeba było o tym mówić. Tamte wydarzenia musiały w umyśle Małgorzaty Wolańskiej zostawić jakiś ślad.

Komisarz, aby uspokoić sumienie, postanowił sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wyszedł na korytarz. Obejrzał dokładnie zamek w drzwiach. Nic, żadnych zarysowań i zadrapań, czegokolwiek, co wskazywałoby, że ktoś wcześniej próbował włamać się do mieszkania.

Sprawdził włącznik. Działał bez zarzutu. Klatka schodowa była jasno oświetlona, tak samo jak wówczas, kiedy przyszedł do Wolańskiej. Był to jeszcze jeden dowód na to, że kobieta nadała przypadkowym zdarzeniom inne, niemające nic wspólnego z rzeczywistością znaczenie.

Zszedł na dół. Nacisnął włącznik. Światło zgasło, po chwili zapaliło się.

Wyszedł na podwórko. Otaczała go cisza, tylko gdzieś z pierwszego piętra dochodził dźwięk zbyt głośno włączonego telewizora. Skierował się do bramy, przez kilka minut postać na ulicy. Nic. Pusto. Nie dostrzegł nikogo, może z wyjątkiem kota, który na jego widok szybko przebiegł pod murem i skrył się w otwartej bramie sąsiedniej kamienicy.

Cóż, nocą wszystkie koty są czarne. A w ciemnościach wyobraźnia lubi płać głupie figle.

Wrócił do mieszkania Małgorzaty Wolańskiej. Potem bardzo długo rozmawiali. Tylko rozmawiali. O wszystkim i o niczym. Nic więcej.

Tych kilka godzin wystarczyło, aby poczuł, jak zawiązuje się między nimi jakaś więź. W swojej znajomości uczynili mały krok do przodu. Przed północą, kiedy opuścił mieszkanie, nie byli już panią i panem.

Gwadera obiecał, że odezwie się w tygodniu.

W poniedziałek dotarł do biura przed dziewiątą.

Osmalek i Wejner siedzieli w milczeniu przy kawie. Nie patrzyli na siebie. Czyżby nie mieli sobie nic do powiedzenia? Źle to wróżyło na przyszłość.

Pracował z nimi zaledwie od paru dni, ale zdążył zorientować się, że współpraca między tą dwójką nie będzie łatwa. Przed nim było trudne zadanie scementowania zespołu, pogodzenia dwóch jakże różnych temperamentów.

— Co jest? — rzucił.

Osmalek wzruszył ramionami.

— Mała różnica zdań — odpowiedział wymijająco.

— Jeżeli dotyczy to śledztwa, chciałbym wiedzieć, o czym rozmawialiście.

Spojrzał na Osmalka ciężko. Mężczyzna wybrał milczenie.

Gwadera przeniósł wzrok na policjantkę.

— Mam rozumieć, że to jakieś prywatne sprawy?

Skinęła głową.

Miał nadzieję, że tak rzeczywiście było.

— Czy mamy już wykaz rozmówców? — przeszedł do tego, co interesowało go najbardziej.

— Operator jeszcze nie przekazał informacji — usłyszał w odpowiedzi.

— Obiecał, że będą przed dwunastą — uzupełniła.

Był zły, ale starał się tego nie okazywać. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

Krótko, treściwie opowiedział im o spotkaniu z Alicją Babicz. Następnie podzielił się swoimi przemyśleniami na temat Kondrackiego.

Przez następne pół godziny wspólnie zastanawiali się nad dalszymi posunięciami.

Wejner zgodziła się z komisarzem, że w pierwszej kolejności powinni wyjaśnić wątpliwości związane z osobą prezesa.

Był tylko jeden sposób.

Gwaderę korciło, aby złożyć w siedzibie EEI niezapowiedzianą wizytę. Szybko zrezygnował z tego pomysłu. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu tłuc się przez pół Warszawy tylko po to, by wrócić z przysłowiowym kwitkiem.

Krzysztof Kondracki był bardzo zajętą osobą.

Komisarz wykręcił numer do EET. W słuchawce zabrzmiał znajomy głos Joanny Bartczak:

— Prezesa nie ma.

— Kiedy będzie?

— Zapraszam jutro...

Kilka minut po jedenastej zadzwonił telefon. Odebrała Wejner. W skupieniu wysłuchiwała swego rozmówcy. Spojrzała na Gwaderę triumfalnie:

— Już mamy — rzuciła.

Uniósł głowę.

— Co?

— Dane rozmówców Babcza. Zaraz je przyniosą.

Gwadera nie podzielał jej entuzjazmu. Słowo „już” powinna zastąpić „dopiero”. Wszystko trwało zbyt długo.

Czekali pięć minut.

Gwadera pozwolił policjantce, aby pierwsza zapoznała się z wydrukiem. Patrzył na jej młodą twarz, na lekko zaczerwienione z napięcia policzki, i zastanawiał się, na jak długo starczy jej zapachu i energii.

Wejner oderwała wzrok od wydruku.

— No i? — ponaglił ją. — Niech pani mówi...

— A pan komisarz nie zna czarodziejskich słówek? — droczyła się z nim.

— Szanowna pani będzie tak łaskawa i poda mi, do jasnej cholery, nazwisko — powiedział ciut za ostrym tonem.

— Dobrze, dobrze szefie. Już mówię — zawiesiła głos dla spotęgowania napięcia. — Denat dzwonił do...

— Krzysztofa Kondrackiego — powiedziała prawie jednocześnie z Osmalkiem.

Gwadera przyjął tę informację z kamiennym wyrazem twarzy, czym sprawił młodej policjantce zawód. Spodziewała się zupełnie innej reakcji.

— Drugi numer jest, niestety, na kartę — uzupełniła po chwili.

Dobrze wiedzieli, że w takim wypadku poznanie tożsamości rozmówcy będzie niemożliwe. Przypominało to szukanie igły w stogu siana.

We wtorek Gwadera po raz drugi spróbował umówić się z prezesem EEI. Przeżył *déjà vu*. Ta sama sekretarka tak samo grzecznie powiedziała dokładnie to samo co dzień wcześniej: „Prezes będzie jutro”. Joanna Bartczak była niewzruszona.

W środę, kiedy zadzwonił do firmy przed dziewiątą, asystentka oznajmiła, że prezes jest, co prawda, w Warszawie, ale raczej nie znajdzie czasu, aby spotkać się z policją.

Gwadera, którego zaczynały męczyć te wymijające odpowiedzi, stracił cierpliwość.

— To bardzo ważne — głos komisarza był zdecydowany. — Dla dobra śledztwa muszę jak najszybciej porozmawiać z panem Kondrackim

— Przekażę pana słowa — zapewniła.

Nie był pewien, czy tak rzeczywiście zrobi.

Postanowił użyć innych argumentów.

— Proszę także dodać, że jeżeli spotkanie dzisiaj nie dojdzie do skutku, będę musiał prezesa zaprosić do pałacu Mostowskich — za tymi słowami kryła się groźba, którą miał zamiar spełnić, gdyby Kondracki nadal unikał spotkania.

— Oczywiście.

Po pięciu minutach oddzwoniła.

— Pan Kondracki oczekuje pana o czwartej.

Gwadera nie wierzył, aby Kondracki przestraszył się jego słów. Co zatem nim kierowało? Może sam doszedł do wniosku, że dalsza ucieczka przed rozmową nie ma najmniejszego sensu? Odpowiedź mogła być zupełnie inna.

Gwadera miał nadzieję, że spotkanie z Kondrackim wyjaśni wiele narosłych w ostatnich dniach wątpliwości.

Na Duninowską Gwadera pojechał sam. Był w połowie drogi, gdy zaczął wiać silny wiatr, który przyniósł nad Warszawę ołowiane chmury. Komisarz przypomniał sobie zasłyszane w radiu, niezbyt optymistyczne prognozy pogody. Przyspieszył.

Kwadrans później zaparkował przed biurowcem, na miejscu zarezerwowanym dla innego samochodu, o czym świadczyła dobitnie tabliczka z wypisanym numerem rejestracyjnym.

Wysiadł. Spojrzał za siebie. W jego stronę szybkim krokiem podążał ochroniarz. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że nieznany mu samochód wjechał na strzeżoną część parkingu. Spojrzał w stronę uniesionego szlabanu. Wszystko było już jasne.

— Kartka parkingowa — rzucił nieco zasapany.

Komisarz wyciągnął legitymację.

— Proszę bardzo.

Ochroniarz w pierwszej chwili nie wiedział, co ma powiedzieć. W drugiej, gdy zaskoczenie minęło, nie miał już z kim rozmawiać. Gwadera pozostawił ochroniarza z jego myślami.

Kiedy wchodził do budynku, lunął deszcz.

Nie skorzystał z windy. Była zepsuta. Na drugie piętro musiał wejść po schodach. Złośliwość przedmiotów martwych. Nawet w tak nowoczesnych budynkach jak ten technika czasami odmawiała posłuszeństwa.

Dochodziła czwarta, gdy wkroczył do sekretariatu. Joanna Bartczak ledwo zaszczyliła go spojrzeniem.

Gwaderze wydawało się, że oczy kobiety były jeszcze bardziej smutne.

Asystentka bez słowa zaprosiła gestem komisarza do gabinetu.

Kondracki stał pod oknem. Patrzył na skąpaną w deszczu ulicę. Kiedy drzwi otworzyły się, nawet nie drgnął. Tego dnia mężczyzna ubrany był w ciemną koszulę w drobną kratkę i o ton jaśniejszy garnitur.

Bartczak zatrzymała się niezdecydowana.

— Panie prezesie — powiedziała cicho. W jej głosie wyczuwalna była obawa.

Nic. Żadnej reakcji.

Asystentka postąpiła krok naprzód.

— Panie prezesie — powtórzyła.

Mężczyzna wolno odwrócił się. Spojrzał na komisarza nieobecny wzrokiem. Minęło kilka chwil, zanim otrząsnął się z zamyślenia.

Zerknął na zegarek.

— Cóż za punktualność, panie komisarzu...

Przywitał się ze swym gościem mocnym uściskiem dłoni. Wskazał krzesło.

Gwadera poczuł od prezesa słabą woń alkoholu. Świat biznesu rządził się swoimi prawami. Codzienne spotkania nie mogły odbyć się bez czegoś mocniejszego.

— Napije się pan czegoś? Kawa? Herbata?

— Dziękuję.

Gwadera nie spodziewał się, że to proste słowo może nieść ze sobą jakiegokolwiek komplikacje. Kondracki, który po mistrzowsku wychwytał nieprecyzyjność jego odpowiedzi, nie omieszkał zwrócić na to uwagi.

— Dziękuję tak czy dziękuję nie?

— Poproszę herbatę... — Gwadera jak najszybciej chciał mieć już za sobą te grzeczności.

Kondracki zerknął wymownie na swoją asystentkę.

Była już przy drzwiach, gdy przypomniał sobie o czymś.

— Chwileczkę.

Sięgnął do stojącej przy biurku aktówki i wyjął z niej plik dokumentów. Spośród nich wyleciała pojedyncza kartka, która upadła tuż przy nogach Gwadery.

Komisarz schylił się i podniósł ją z podłogi. Było to kolorowe zdjęcie. Patrzyła na niego roześmiana twarz może trzyletniej dziewczynki. Przez chwilę szukał podobieństwa pomiędzy nią a stojącym naprzeciw niego mężczyzną.

— Córnka? — spytał, podając zdjęcie Kondrackiemu.

— Tak — odpowiedział krótko i schował je do szuflady.

Usiedli.

Bartczak wniosła filiżanki. Stawiała je na biurku, gdy w sekretariacie zadzwonił telefon.

Przeprosiła i szybko wyszła.

Przez uchylone drzwi usłyszeli wypowiedaną przez Bartczak formułkę:

— EEI, słucham. Czym mogę służyć?

Cisza i znów jej głos, tym razem niewyraźny. Nie minęło nawet pół minuty, gdy Bartczak weszła do gabinetu.

Zawahała się.

— Tak? — spytał Kondracki, obdarzając kobietę uważnym spojrzeniem.

— Dzwoni pan Ropejko — oznajmiła. Ponieważ nic nie powiedział, spytała: — Czy mam połączyć?

— Nie teraz — odpowiedział szybko.

— Pan Ropejko powiedział, że to ważne... — zamilkła w połowie zdania.

Kondracki patrzył na nią długo i przenikliwie.

— Powiedziałem nie teraz — w jego głosie zabrzmiała irytacja.

— Ale...

Joanna Bartczak zrozumiała swój błąd o sekundę za późno.

W oczach Kondrackiego pojawił się ponury błysk.

— Wyraziłem się jasno. Tak trudno to pani zrozumieć? — powiało chłodem.

Gdzieś zniknęła jego układność.

Twarz kobiety lekko pobladła, kąciki ust zadrżały nerwowo.

Bartczak nie poruszyła się.

— To wszystko — rzucił.

Nawet na nią nie spojrzał.

— Może pani iść do domu.

— Czy kierowca ma czekać? — Bartczak za wszelką cenę starała się zachować spokój.

— Nie.

Wszystko wskazywało na to, że tego dnia Kondracki miał zamiar dłużej zostać w biurze.

Bartczak bez słowa opuściła gabinet.

Kondracki odprowadził ją wzrokiem. Począł, aż zamknęła za sobą drzwi. Wstał i skierował się do barku. Przyrządził sobie duże martini i popijając je, wrócił na swoje miejsce.

— Pan oczywiście na służbie, więc nie proponuję.

— Ostatnio jest pan rzadkim gościem w biurze — zaczął Gwadera od niepozornej uwagi. — Trudno pana złapać...

— Musiałem wyjechać — powiedział Kondracki. — Byłem w Londynie — dodał wyprzedzając następne pytanie.

— U żony i córki? — rzucił komisarz, obserwując twarz rozmówcy. Podczas pierwszego ich spotkania zorientował się, że tematu rodziny Kondracki najchętniej by nie poruszał. Już wówczas takie pytanie zburzyło jego spokój. Nie inaczej było i tym razem.

— Czy teraz przedmiotem śledztwa stało się moje prywatne życie? — głos Kondrackiego był tak samo zimny jak spojrzenie.

Gwadera wiedział, że rozmowa nie będzie łatwa. Nie mógł pozwolić, aby potoczyła się według narzuconego przez Kondrackiego scenariusza.

Prezes westchnął. W końcu zdecydował się mówić.

— Przez ostatnie dwa dni, kiedy tak usilnie chciał się pan ze mną skontaktować, rzeczywiście byłem u nich. Ponad rok jestem z żoną w separacji. To stare zdjęcie. Córka ma teraz siedem lat. Co chce pan jeszcze wiedzieć o mojej

rodzinie?

W zasadzie te informacje wystarczyły komisarzowi, dlatego nie było sensu ciągnąć tego tematu. Były ważniejsze rzeczy do wyjaśnienia, oczywiście pod warunkiem, że Kondracki zechce udzielić jakichkolwiek wyjaśnień.

— Nie był pan na pogrzebie — zaczął od suchego stwierdzenia faktów.

— Posłałem kwiaty. — Kondracki upił łyk.

— Tak. I opłacił pan wszystkie rachunki. To bardzo szlachetny gest z pana strony — zawiesił głos. — Nie wydaje się panu, że to za mało, jak na kogoś, kto był przyjacielem zmarłego... — nie mógł powstrzymać się od złośliwej uwagi.

— Nie określiłbym tak naszej znajomości.

— Nie? — spytał. — Matka Babicza jest innego zdania — dodał.

— Rozmawiał pan z nią?

— Oczywiście.

Kondracki nie wyglądał na zmartwionego tym, że został przyłapany na kłamstwie.

— Dlaczego nie powiedział pan, że dobrze znał Babicza?

— Nie pytał pan o to — zauważył spokojnie.

— Pytałem.

Cisza.

— Zatem?

Kondracki w milczeniu bawił się szklaneczką.

— Uznałem, że to nieważne.

„Wszystko jest tutaj ważne szanowny panie prezesie, nawet rzeczy pozornie nic nieznaczące”.

Gwaderę interesowała jedna rzecz. Kondracki zapewniał, że zależy mu na wykryciu sprawców. Swoim postępowaniem, uciekając przed odpowiedziami, zaprzeczał tym słowom.

— Chce pan teraz coś dodać na temat waszej znajomości?

Kondracki zawahał się.

— Ma pan rację, komisarzu — powiedział ugodowym tonem. — Rzeczywiście powinienem wspomnieć, że znałem Andrzeja od dawna. Sam nie wiem, dlaczego tego panu nie powiedziałem.

Komisarz zachęcił go gestem ręki, aby mówił dalej.

— Poznaliśmy się na studiach, ale o tym już zapewne pan wie. — Nie czekał na potwierdzenie. — Przez kilka lat współpracowaliśmy w banku w Anglii, potem nasz kontakt urwał się. Każdy poszedł swoją drogą. Ponownie spotkaliśmy się trzy lata temu. Andrzej był mi bliską osobą.

Zabrzmiało to dwuznacznie. Kondrackiemu było najwidoczniej wszystko jedno, co myśli na ten temat komisarz, gdyż nie skorygował swojej wypowiedzi.

Komisarz zastanawiał się, w jaki sposób ma dalej prowadzić rozmowę. Nie

mógł pozwolić sobie na żaden błąd.

Wolno dopił herbatę, a potem spytał:

— Skoro byliście przyjaciółmi, to dlaczego pan go zwolnił? — Miał cichą nadzieję, że w końcu dowie się, jak było naprawdę z Babiczem.

Mawiają, że nadzieja jest matką głupców. Z drugiej strony nadzieja umiera ostatnia. W oczekiwaniu na odpowiedź przypomniał sobie różne powiedzenia związane z tym słowem.

— Nie zwolniłem Andrzeja — powiedział Kondracki spokojnym głosem. — Pan oczywiście może uważać inaczej, ale proszę mi wierzyć, że tak właśnie było.

Gwadera zrozumiał.

— Ale miał pan taki zamiar?

— Tak. Rozważałem taką ewentualność, ale dopiero po jego powrocie — przyznał.

— Przypuśćmy, że panu wierzę — rzucił.

— Nie interesują mnie pana przypuszczenia... — odparował.

Gwadera rozmawiał z Kondrackim już przeszło pół godziny. Przez ten czas nie posunął się do przodu nawet o mały krok.

— Z tego, co wiem, Andrzej Babicz miał jakieś problemy w pracy — Gwadera strzelał.

— Co pan przez to rozumie?

Pytanie za pytanie.

Gwadera podzielił się z mężczyzną informacjami uzyskanymi od Szmajtera.

Kondracki przez kilka chwil patrzył w milczeniu na komisarza, ale nic nie powiedział. Jeżeli był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać. Kiedy się odezwał, nie były to słowa, które komisarz chciał usłyszeć.

— Tematyka działalności firmy objęta jest tajemnicą handlową — suchym głosem wypowiedział formułkę, która zamykała wszelkie dyskusje. Słowa-klucze. Jasno zakreślił obszar współpracy. Poza nim był temat firmy i spraw związanych z jej funkcjonowaniem.

Komisarz pokiwał głową, ale nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić.

— Babicz mógł być szantażowany? — ubrał w słowa swoje myśli.

Tym razem reakcja była szybka.

— To absurd.

— Jest pan pewien? — naciskał.

— Znam ludzi, z którymi pracuję...

— A może to pan spotkał się z naciskami ze strony klientów? — rzucił.

— Jakimi naciskami? — znów uciekał przed odpowiedzią.

Gwaderę przestała bawić ta gra w kotka i myszkę.

— To ja tu zadaję pytania — powiedział ostrym tonem.

Może nawet za ostrym.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się, jak to się stało, że w pewnym momencie swojego życia zamiast ciepłej posadki gdzieś w biurze wybrał zawód policjanta. Znał odpowiedź, ale starannie ukrywał ją nawet sam przed sobą. Przez te wszystkie lata starał się wyrzucić z pamięci tych kilka zdarzeń, które zmieniły jego nastawienie do świata i ludzi.

Na Kondrackim jego wybuch nie zrobił żadnego wrażenia. Mężczyzna uśmiechnął się lekko kącikiem ust.

— To proszę je zadawać odpowiednim osobom, komisarzu — powiedział tym swoim spokojnym, podszytym ironią głosem, który niejednego wytrącał z równowagi.

Wstał. Znów podszedł do barku i w milczeniu przygotowywał sobie drinka. Gwadera czekał, aż prezes wróci na swoje miejsce.

— Wiem, że w dniu śmierci Babicz dzwonił do pana kilka razy — stwierdzał fakty. — Zgadza się?

— Tak.

— Pan odebrał tylko raz.

— Tak.

— O czym rozmawialiście?

— Nie sądzi pan chyba, że pamiętam każdą rozmowę, jaką przeprowadzam z moimi współpracownikami?

— Odnoszę wrażenie, że było to coś ważnego. Aż do tego dnia raczej rzadko rozmawialiście przez telefon, nie mówiąc o ostatnich dwóch miesiącach. A tu nagle jednego popołudnia wzięło Babicza na telefoniczne pogawędki? Jak to pan wytłumaczy?

Zastanowił się.

— Chciałbym panu pomóc, ale naprawdę w tej chwili nie pamiętam tego.

„Pamiętasz, i to bardzo dobrze” — pomyślał Gwadera.

Narastało w nim zniecierpliwienie. Miał dosyć układności prezesa, jego półsłówek i niedopowiedzeń.

— Gdyby pan sobie przypomniał...

— Oczywiście skontaktuję się z panem.

— Tak jak ostatnio? — komisarz nie krył ironii w głosie.

Kondracki milczał.

Jego wzrok powędrował w stronę komórki. Czekał na telefon?

Gwadera tknięty nagłą myślą spytał:

— Ma pan broń?

— Dobrze pan wie, że tak.

Gwadera nie chciał wyprowadzać Kondrackiego z błędu. Pytanie narodziło się tutaj i teraz, w trakcie prowadzonej rozmowy.

Komisarz nie sprawdził tego, tak naprawdę nie było takiej potrzeby. Teraz był za to na siebie trochę zły.

Kondracki spojrział na Gwaderę zaskoczony.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Pan się czegoś boi?

Kondracki swoim zwyczajem nie odpowiedział od razu.

Tego dnia nie miał najmniejszego zamiaru ułatwiać komisarzowi życia.

— Dwóch rzeczy. Śmierci i podatków.

— Odłożmy żarty na bok. Gdzie pan przechowuje pistolet?

— Nie noszę przy sobie, jeżeli o to panu chodzi. Pistolet trzymam w domu.

Chce go pan sprawdzić?

— Mam rozumieć, że kupił go pan tak na wszelki wypadek?

— Tak.

— Odnoszę wrażenie, że nie jest pan wobec mnie szczery.

Mężczyzna zaśmiał się gorzko, nieprzyjemnie.

— Proszę mi wierzyć, jestem szczery na tyle, na ile pozwala mi sytuacja.

— Prowadzi pan bardzo niebezpieczną grę. Ukrywanie istotnych dla śledztwa informacji także w pana kraju jest karalne.

Kondracki dopił drinka. Energicznie odstawił szklaneczkę. Słowa komisarza zburzyły jego spokój. A może spowodował to alkohol. Tego dnia nie był to przecież jego pierwszy drink.

Oczywiście to, że pił, nie przesądzało o tym, że miał jakieś problemy z alkoholem. Gwadera nie wyciągał zbyt pochopnych wniosków. Uznał, że trafił akurat na zły dzień prezesa, o czym świadczył także sposób, w jaki Kondracki potraktował swoją asystentkę.

„Z drugiej strony — pomyślał — szukanie spokoju w kolejnych szklaneczkach wódki nie jest akurat dobrym rozwiązaniem”.

— Straszy mnie pan? — spytał Kondracki przez zaciśnięte zęby.

— Nie. Próbuję uświadomić powagę sytuacji, w jakiej się pan znalazł — odpowiedział Gwadera spokojnie.

Kondracki obdarzył komisarza nieprzyjemnym spojrzeniem. Jego wzrok zdawał się mówić: „Idź pan do diabła”.

Mężczyzna poluzował krawat. Przez kilka długich chwil patrzył w milczeniu na policjanta.

— Panie komisarzu, nie jestem pewien, czy powinniśmy kontynuować tę rozmowę. Widzi pan, w mojej branży ludzie mocno stąpają po ziemi. Nigdy zbyt nie interesowałem się historyjkami typu science-fiction. Powiedziałem panu wszystko, co mogłem powiedzieć w obecnej sytuacji — jego głos był zimny jak stal. — Czy jest jeszcze coś, o co chce pan spytać? Jeżeli nie, to... — Wskazał znacząco na rozłożone na biurku dokumenty. — Niestety, nie mam czasu na dalsze

jałowe dyskusje.

— Oczywiście, przecież czas to pieniądz — komisarz pozwolił sobie na uszczypliwą uwagę.

Kondracki uśmiechnął się grzecznie.

— Pan wybaczy, ale naprawdę mam sporo pracy...

Myślami był już gdzieś daleko. Jego wzrok znów powędrował w stronę komórki.

Gwadera nie poruszył się. Nie wszystko zostało jeszcze wyjaśnione. Byli dopiero na początku drogi.

— Gdzie pan był dziesiątego maja pomiędzy godziną ósmą a dziesiątą?

Krzysztof Kondracki drgnął. Wolno przeniósł wzrok na komisarza.

— Nie rozumiem, dlaczego pan mnie o to pyta...

„Wielu rzeczy dzisiaj nie rozumiesz” — komisarz podsumował go w myślach.

— To rutynowe pytanie. Zadajemy je wszystkim — wyjaśnił. Nie zabrzmiało to przekonująco.

— Oczywiście — w głosie Kondrackiego zabrzmiało powątpiewanie.

Mężczyzna zamilkł na kilka chwil.

— Jeżeli dobrze pamiętam, byłem wówczas w domu.

Spojrzał na komisarza.

— Sam — dodał, zamykając drogę do następnych pytań.

Gwadera skinął głową na znak, że przyjął te słowa do wiadomości.

— To wszystko, komisarzu? — Kondracki wstał.

Tak samo jak podczas pierwszego spotkania dawał w ten sposób znak, że czas przeznaczony na rozmowę z policjantem dobiegł właśnie końca.

Gwadera uśmiechnął się pod nosem. Spodziewał się tego. „Źle to rozgrywam” — pomyślał ze złością. Wystarczy nacisnąć tylko na właściwy przycisk, by otworzyła się zaczarowana skrzynia.

Po chwili zastanowienia doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu przedłużać rozmowy. W tej chwili i tak nie dowie się niczego więcej. Zadał wszystkie pytania, jakie chciał zadać. Oczywiście odpowiedzi, które padły, pozostawiały wiele do życzenia.

Postanowił odpuścić. Nie naciskał. Zrobił właśnie krok do tyłu, ale był przekonany, że w ostatecznym rozrachunku przyniesie to korzyści.

Kondracki równie dobrze jak on musiał zdawać sobie sprawę, że następna rozmowa odbędzie się zupełnie w innym miejscu, na pewno nie w przytulnym gabinecie na Duninowskiej, lecz w komendzie.

— Wrócimy jeszcze do tej rozmowy — powiedział na odchodnym.

— Nie wątpię.

Gwadera nie miał wątpliwości. Kondracki mówił mniej, niż wiedział.

Ukrywał jakieś ważne informacje, być może związane ze śmiercią Andrzeja Babicza.

Komisarz analizował w myślach przebieg rozmowy. Szukał punktu zaczepienia. Szczególną uwagę zwrócił na zdanie, które padło pod koniec spotkania. Jak ono brzmiało? „Powiedziałem panu wszystko, co mogłem powiedzieć w obecnej sytuacji”.

Zastanawiał się nad sensem tej wypowiedzi. Kluczowe wydawało się słowo „mogłem”. Czuł, że Kondracki nie użył tego stwierdzenia przypadkowo. Mogłem? Sugerował, że ktoś nie pozwala mówić mu wszystkiego?

Gwadera był zmęczony. Dosyć miał jak na jeden dzień ścian, o które odbijały się wszystkie pytania.

Włączył radio. Z głośników popłynęła pełną agresji muzyka. Dwóch mężczyzn przerzucało się słowami. Przez chwilę szukał stacji, która nadawałaby spokojniejsze dźwięki.

Na dłużej zatrzymał się na jedyńce. Dziennikarz przeprowadzał wywiad z wybitnym specjalistą prawa bankowego. Spokojny głos przekonywał, że Polska jest w stosunku do innych krajów w komfortowej sytuacji i nie grożą jej żadne zawirowania gospodarcze. Kryzys, który siał panikę za oceanem, ledwo muśnie polską gospodarkę. Oczywiście nie obędzie się bez wzrostu bezrobocia, zawirowań na giełdzie i spadku wartości złotówki. Wszystko to odwieczne prawa rynku i cyklu koniunkturalnego, o którym zapomniano, a który był, jest i będzie. Tak jest skonstruowany świat.

Otworzył skrytkę, gdzie zawsze trzymał kilka płytek. Miał tam niezły bałagan. Nie znalazł niczego odpowiedniego. Zły przekręcił kluczyk w stacyjce.

Zerknął w lusterko, sprawdzając, czy ma wolną drogę. Prawie już ruszał z miejsca, gdy w obrotowych drzwiach biurowca dostrzegł Kondrackiego. Gwadera spojrział na zegarek. Od chwili, gdy opuścił gabinet prezesa, minęło nie więcej niż dziesięć minut.

Kondracki skierował się w stronę czarnego saaba, który parkował w pierwszej linii.

Gwadera czekał na rozwój wypadków. Kondracki wypił przy nim trzy drinki, pił także przed ich rozmową. Niemożliwe, aby mężczyzna chciał w tym stanie prowadzić. Wydawało mu się to mało prawdopodobne. Prezes EEI miał we krwi co najmniej półtora promila alkoholu. Wystarczająco dużo, by zatracić tak potrzebny w deszczową pogodę refleks.

Podobno Kondracki był dobrym kierowcą. Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Gwadera uważnie obserwował mężczyznę. Postanowił, że w przypadku, gdy Kondracki siądzie za kierownicą, nie pozwoli mu wyjechać z parkingu. Kondracki otworzył drzwi samochodu, ale nie wsiadł do środka, otworzył tylko skrytkę

i wyjął stamtąd jakiś przedmiot.

Gwadera odetchnął z ulgą.

Prezes stanął przed budynkiem. Czekał na kogoś. Po chwili zatrzymała się przed nim taksówka jednej z warszawskich korporacji.

Gwadera ruszył za czarnym fordem. Zanim włączył się do ruchu na Wołoskiej, przepuścił kilka samochodów. Jechał w bezpiecznej odległości, tak aby nie stracić taksówki z oczu, jednocześnie nie będąc zauważonym.

Jechali ulicą Odyńca, potem Puławską. Na wysokości Europlexu, tętniącego życiem biurowo-handlowego centrum, taksówka zwolniła przed przejściem dla pieszych. Komisarz pamiętał czasy, kiedy było tu kino Moskwa. Teraz przed fasadą centrum ulokował się pełen uroku niewielki pałacyk z kafejkami i restauracjami.

Z lewej strony mignęła Mozaika, w latach siedemdziesiątych najpopularniejszy lokal na Mokotowie. Gwadera zawsze, kiedy był w okolicy, obiecywał sobie, że wypije tu lampkę dobrego wina.

Nieoczekiwanie, gdy myślał, że spokojnie pojedą prosto Puławską, taksówka skręciła w Willową i zatrzymała się przed Restauracją Polską Różana. Kondracki wszedł do środka, nie zabawił tu długo, mniej więcej po pięciu minutach był z powrotem.

Zbliżali się do placu Trzech Krzyży. Komisarz przypuszczał, że kierują się na Książęcą, ale znów się pomylił. Kondracki nie miał zamiaru wracać do domu. Dojechali do Nowego Światu, skręcili w prawo, w Foksał, ulicę, na której przysiadły liczne kawiarnie i restauracje. Przed jedną z nich taksówka zatrzymała się i Kondracki wysiadł.

Gwadera wolno przejechał obok. We wstecznym lusterku widział, jak mężczyzna wchodzi do Galerii Nasza, jak głosiła umieszczona nad wejściem tabliczka.

Komisarz zaparkował kilka metrów dalej. Czekał.

Minęło dziesięć minut, a Kondracki nie wracał. Gwadera, zapatrzony w drzwi galerii, nie zauważył strażników miejskich, którzy szybkim krokiem zmierzali w jego stronę. Przystanęli przed samochodem. Wyższy z nich dał komisarzowi znak, aby opuścił szybę.

— O co chodzi? — spytał lekko poirytowany, patrząc na ich młode twarze.

„Świeży narybek” — pomyślał o nich.

— Parkuje pan w niedozwolonym miejscu — odpowiedział strażnik i wskazał na znak.

Gwadera dopiero teraz zrozumiał swój błąd. Zatrzymał się na miejscu przeznaczonym dla inwalidów.

— Pan na kogoś czeka?

Można i tak to było nazwać. Skinął głową.

— Będzie musiał pan stąd odjechać — oznajmił mundurowy.

W odpowiedzi Gwadera sięgnął do kieszeni i wyjął legitymację.

Po minach strażników było widać, że nie wiedzą, jak w takiej sytuacji postąpić.

— Prowadzę czynności operacyjne — wyjaśnił.

Spodziewał się pytania rodzaju „w jaki sposób możemy pomóc?”. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, zaniepokoił się. Tego brakowało, aby zapłacił mandat.

— Co dalej, panowie? — spytał wprost. Nie był zadowolony, że na tak długo zatrzymali się przy jego samochodzie. Kilku przechodniów spojrzęło z zaciekawieniem w ich stronę. Wzbudzał niepotrzebną sensację.

Strażnicy wahali się.

— Może każdy z nas zajmie się swoimi sprawami — podsunął. Chciał w ten sposób dać im do zrozumienia, że przeszkadzają mu wypełniać służbowe obowiązki. Jak to często w takich przypadkach bywa, jego słowa odniosły odwrotny skutek.

— Niech nam pan tu nie mówi, co mamy robić — zaproponował drugi ze strażników.

Gwadera pomyślał, że musi jeszcze popracować nad kontaktami interpersonalnymi.

— Tak właściwie to powinniśmy wlepić panu mandat...

— To wlepcie.

Słowa Gwadera zaskoczyły ich.

Strażnicy wymienili szybkie spojrzenia. W końcu podjęli decyzję. Zasalutowali i odeszli w swoją stronę.

Komisarz był zły. Rozmowa ze strażnikami zajęła mu dokładnie dziesięć minut. Przez ten czas Kondracki mógł wyjść niezauważony z galerii. Nie mając pewności, czy mężczyzna jest jeszcze w środku, Gwadera postanowił, że zostanie tu do siódmej. Potem, jeżeli nic się nie zmieni, pojedzie do domu.

Oczywiście nie wytrwał w tym postanowieniu. Krótco po siódmej przed galerię podjechała taksówka, komisarz rozpoznał numery rejestracyjne. Był to ten sam czarny ford, który przywiózł tutaj Kondrackiego przed niespełną godziną.

Komisarz przypuszczał, że mężczyzna umówił się z taksówkarzem na określoną porę.

Przez następnych dziesięć minut nic szczególnego się nie działo. Gwadera domyślał się, że Kondracki płacił kierowcy za okres oczekiwania. Każda kolejna minuta była dla niego czystym zarobkiem.

Kwadrans po siódmej z galerii zaczęli wychodzić pojedynczo i grupkami ludzie. Wypatrywał wśród nich Kondrackiego. Mężczyzna pojawił się jako jeden z ostatnich. Sam. Wsiadł do zamówionej taksówki i odjechał.

Gwadera poczekał, aż taksówka zniknęła z pola widzenia, i wysiadł

z samochodu.

16.

W galerii było już pusto.

Komisarz wiedział, że tego typu miejsca były rzadko odwiedzane przez zwykłych ludzi, tutaj trafiali tylko naprawdę prawdziwi miłośnicy sztuki lub... snobi, którzy za wszelką cenę chcieli udowodnić, że nadążają za modą.

Gwadera sam nie rozumiał współczesnych artystów i ich wyszukanych dzieł. Nie przemawiały do niego nowoczesne formy przekazu. W obrazach młodych twórców przeważała czerń, było w tym wszystkim zbyt dużo umowności. Dla zrozumienia tego potrzebny był przewodnik, ktoś, kto poprowadziłby przez głębinę artystycznej wyobraźni.

Gwadera był mile zaskoczony prezentowaną w galerii sztuką. Przeważały tradycyjne obrazy i rzeźby.

Zatrzymał się przy obrazie, który przedstawiał wiejski krajobraz.

— Spóźnił się pan — usłyszał z tyłu.

Odwrócił się.

— Wernisaż był o osiemnastej — niebieskooka blondynka, widząc jego zdziwioną minę, pospieszyła z wyjaśnieniem. — Oczywiście, jeżeli interesuje pana coś z naszej kolekcji...

— Nie przepadam za współczesnymi bohomazami — odpowiedział, patrząc na nią z uwagą. Twarz kobiety wydawała mu się znajoma. Ulotna pamięć płatała figle w najmniej odpowiednim momencie.

— W takim razie dobrze pan trafił. — Kobieta zdawała się nie dostrzegać zainteresowania swoją osobą. Być może była przyzwyczajona do przenikliwych spojrzeń płci przeciwnej. — Co pana konkretnie interesuje? — spytała.

— Postaci z krwi i kości — odpowiedział wolno.

— Tak? — nie zrozumiała.

Przedstawił się i pokazał legitymację.

— Pani jest właścicielką tej galerii?

Skinęła głową.

— Anna Karlsson.

Poznał jej imię i nazwisko. Jedno i drugie nic mu nie mówiło.

— W czym mogę panu pomóc? — spytała rzeczowo. — Chodzi o ten wypadek dwa dni temu?

— Nie.

— Zatem? — w jej głosie pojawiła się nutka zniecierpliwienia.

— Chciałbym zadać pani kilka pytań w sprawie — zawiesił głos — w sprawie zabójstwa Andrzeja Babicza.

W oczach kobiety dostrzegł niepokój.

— Słucham. — Żadnych zbędnych słów.

Gwadera w jednej chwili przypomniał sobie, gdzie widział Annę Karlsson.

— Była pani na jego pogrzebie — stwierdził.

Twarz Anny Karlsson stężała w napięciu.

— Pomylił mnie pan z kimś. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek była we Włocławku...

Tu cię mam.

— Nie powiedziałem, że pogrzeb odbył się akurat tam — zauważył cicho.

Anna Karlsson patrzyła na komisarza dłuższą chwilę.

— Przejdźmy do biura — zaproponowała, rozglądając się po sali, czy ktoś ich nie obserwuje.

Oprócz nich w galerii nie było nikogo.

Zanim poprowadziła komisarza do części biurowej, powiesiła na drzwiach kartkę z napisem „zamknięte” i przekręciła klucz w zamku.

Gwadera miał do Karlsson dwa pytania. Oba dotyczyły mężczyzn.

— Kim był dla pani Andrzej Babicz? — spytał, gdy zagłębili się w wygodnych fotelach.

Czekał trochę dłużej niż chwilę.

— Andrzej był moim pierwszym mężem.

Zaskoczyła go. Długo porządkował myśli. Wszystko się zgadzało. Matka Babicza wspominała, że jego żona po rozstaniu wyjechała z Polski. Uciekła daleko. Do Norwegii czy Szwecji?

— Karlsson to nazwisko...

— Norweskie — ubiegła go. — Mój mąż jest prezesem zarządu firmy Petrole Nordic...

Nazwa firmy nie była Gwaderze zupełnie obca. Kojarzył ją z platformami wiertniczymi na Morzu Północnym.

Skupił się na następnym pytaniu. Dotyczyło ono Kondrackiego. Nigdy nie wierzył w zwykłe zbiegi okoliczności. Tak samo było i tym razem. To nie mógł być przypadek, że mężczyzna wyszedł z galerii jako ostatni.

Gwadera czuł, że jest blisko czegoś, co mogło mieć istotny wpływ na dalszy przebieg śledztwa.

— Dobrze pani zna Krzysztofa Kondrackiego?

Na dźwięk nazwiska drgnęła.

— Z Kondrackim łączą mnie interesy — powiedziała wolno, dobitnie.
— Prezes kupuje u mnie obrazy do swojej firmy.

„Proszę, proszę, jaki wielki znawca sztuki” — pomyślał zgryźliwie Gwadera.

— Był na wernisażu — zauważył.

— Przychodzi tu wiele osób.

Słuszna uwaga.

— Ale nie wszyscy zostają do końca — odbił piłeczkę.

Musiał to wyjaśnić.

— Galeria ma wielu przyjaciół i darczyńców, jednym z nich jest Kondracki — powiedziała spokojnym głosem.

Gwadera zauważył, że zachowanie tego spokoju przychodziło jej z wielkim trudem.

Patrzył w niebieskie oczy Anny Karlsson. Była dobrą aktorką, ale nie aż tak dobrą. Wyczuł, że coś przed nim ukrywa.

— Od dawna państwo się znacie? — spytał ostrożnie.

— Mniej więcej od roku — padła szybka odpowiedź. Zbyt szybka, tak jakby w ten sposób chciała zakończyć ten dopiero rozpoczęty wątek.

Gwadera pochylił się lekko w stronę Anny Karlsson. Poczł delikatny zapach kwiatowych perfum.

— Wasza znajomość nie ogranicza się do sfery zawodowej... — nie dopowiedział zdania do końca, pozostawiając miejsce na domysły.

Słowa zawisły w powietrzu.

„Strzał w dziesiątkę, komisarzu” — pochwalił się w myślach.

Anna Karlsson była ładną kobietą. Nie miał wątpliwości, że podobała się mężczyznom.

Próbował wyobrazić sobie, jak się czuła, gdy cała prawda o Babczu i jego inności wyszła na jaw. W jednej chwili zawałił się cały jej świat.

Po tym wszystkim wyjechała z kraju, chcąc zapewne wymazać z pamięci bolesne chwile. Wyszła za męża, tym razem za Norwega. Prowadzone przez jej męża interesy zmusiły ich do przeniesienia się do Polski.

Mąż, poważny biznesmen, zajęty pomnażaniem kapitału, nie miał zbyt dużo czasu dla swej młodej żony.

Komisarz przypuszczał, że galeria była dla Anny Karlsson odskocznią od samotnych nie tylko dni, ale i wieczorów. Samotne dni można wypełnić pracą w galerii. Co zrobić z samotnymi wieczorami?

Krzysztof Kondracki, o czym zdążył się już przekonać, nie pozostawał obojętny na kobiece wdzięki.

W pokoju długo panowała cisza. Gwadera czekał, aż pierwszy krok zrobi Anna Karlsson.

Kobieta patrzyła smutnym wzrokiem na komisarza, jakby zastanawiała się, czy warto z nim dalej rozmawiać. Zaciśnęła mocno usta. W końcu zdecydowała się mówić:

— Rozstałam się z mężem dwa lata temu z pewnych powodów, o których nie chciałabym w tej chwili rozmawiać. Mam nadzieję, że pan to uszanuje. Pojechałam na pogrzeb, bo uważałam, że tak należało postąpić. To wszystko, co

mam do powiedzenia — przerwała. — Rozumiem, że chce pan wykryć zabójcę mojego byłego męża, ale wydaje mi się, że są pewne granice, których nie powinien pan przekraczać.

Gwałtownie wstała.

— Nie mam zamiaru ani ochoty dłużej rozmawiać z panem na temat mojego prywatnego życia.

Gwadera uśmiechnął się przepaszająco. Usłyszał tego wieczoru wystarczająco dużo. Znał prawdę.

Na dzisiaj było to wszystko. Nie miał więcej pytań.

Wrócił do domu po dziesiątej. W skrzynce na listy czekały na niego dwa rachunki, za gaz i prąd. Odsłuchiwał sekretarkę. Żadnych nieodebranych połączeń.

Gdzieś zza ściany dochodziła przytłumiona muzyka. Usłyszał śmiech. „Szczęśliwa, kochająca się rodzina” — pomyślał o sąsiadach. Mama, tata i ośmioletnia dziewczynka. Spotkał ich może kilka razy. Uśmiechnięci i zadowoleni z życia.

17.

Gwadera skręcał na parking przed komendą, kiedy odezwała się komórka. Odebrał po trzecim sygnale, dopiero wtedy, gdy zaparkował na swoim stałym miejscu.

— Komisarz Gwadera — rzucił.

— Musimy porozmawiać — głos w słuchawce wydawał się Gwaderze znajomy, lecz w tej chwili nie mógł dopasować go do osoby. „Do dobrych obyczajów należy najpierw się przedstawić” — pomyślał komisarz. Chyba że ktoś chce ukryć swoją tożsamość.

— Słucham?

Kilka chwil trwała cisza. Potem padły słowa:

— Piotr Szmajter...

Tak, teraz wszystko było jasne.

— Coś się stało, panie Piotrze?

Znów cisza.

— Musimy porozmawiać — powtórzył z naciskiem.

To już wiedział.

Gwadera zerknął na zegarek.

Chciał najpierw wstąpić do biura.

— Będę u pana za godzinę... — powiedział ostrożnie.

— Nie...

Lęk w głosie Szmajtera zaskoczył komisarza.

— Dobrze. Będę u pana jak najszybciej.

Szmajter milczał.

— Jest pan tam? — spytał Gwadera zaniepokojony.

— Jasne. Spotkamy się w Łazienkach... — zawahał się — ...za pół godziny...

Po raz drugi w stosunkowo krótkim czasie zaskoczył komisarza.

— Łazienki?

— Tak. Królewskie. Mam nadzieję, że wie pan, gdzie to jest — Szmajter zakpił.

Dlaczego wybrał akurat to miejsce?

— A dokładnie gdzie? — Łazienki były rozległe, mogli się tam szukać cały dzień.

— Przy pomniku Poniatowskiego.

Gwadera wyobraził sobie mapę Łazienek, ale nie potrafił umiejscowić wskazanego przez Szmajtera pomnika.

— Wie pan, gdzie to jest?

Nie wiedział. Przyznał się.

Szmajter przez chwilę zastanawiał się nad alternatywnym rozwiązaniem.

— Co z pana za warszawiak — powiedział w końcu.

— Z krwi i kości — odparował coraz bardziej poirytowany tą dziwną rozmową.

— Jasne, każdy tak mówi. A pomnik Sobieskiego?

Gwadera coś kojarzył.

— Przy Agrykoli? — spytał ostrożnie.

— Tak. Bingo, panie komisarzu. Tam jest taki mały mostek, z którego widać Pałac Na Wodzie.

— W porządku.

Na miejsce dotarł w dwadzieścia minut. Jechał zbyt szybko, lecz nie zważał na to. Nawet gdyby zatrzymali go koledzy z drogówki, miał wytłumaczenie. W ostateczności mógł włączyć koguta.

Szmajter stał oparty o balustradę mostka i patrzył na pałac.

— Nie spieszył się pan — mruknął na widok Gwadery.

— Żartuje pan — komisarz zachnął się.

— Dobrze, dobrze... — Szmajter rozejrzał się wokół. — Przejdźmy się — zaproponował nagle.

Komisarz przez chwilę poczuł się jak w szpiegowskim filmie. Chciał zaprotestować, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Szmajter wyglądał na zdenerwowanego.

Z Agrykoli skręcili w jedną z bocznych alejek. O tak wczesnej porze było tu cicho i spokojnie. Po pięciu minutach Gwadera, który miał już dosyć tego spaceru, zatrzymał się.

— Słucham, co chciał mi pan powiedzieć? — spojrzał uważnie na Szmajtera.

Ten sięgnął po papierosa. Zapalił i mocno zaciągnął się.

— Mieliśmy taką niepisaną umowę — powiedział cicho.

„Człowieku, jaśniej” — pomyślał Gwadera, wznosząc wzrok ku niebu, tak jakby tam szukał pomocy. Z każdą chwilą był coraz bardziej zirytowany.

— Mieliśmy?

— Andrzej i ja... — zamilkł.

Gwadera zachęcił go gestem ręki, aby mówił dalej.

— Andrzej trafił na żyłę złota — podjął mężczyzna.

Zerknął na komisarza.

Już wyjaśniam — dodał szybko. — Na początku roku pojawił się w naszej firmie pewien prawnik, który w imieniu swojego mocodawcy chciał zainwestować duże pieniądze...

— Jak się nazywa ten prawnik? — spytał szybko Gwadera. Nie chciał, aby ten wątek mu uciekł.

Szmajter rozłożył bezradnie dłonie.

— Nigdy nie miałem pamięci do nazwisk.

„Bardzo wygodne tłumaczenie” — pomyślał komisarz, nie kryjąc rozczarowania.

Gwadera patrzył badawczo na swego rozmówcę.

— Pojawił się i...?

— Niestety, firma nie podpisała z nim umowy pomimo wstępnej, bardzo obiecującej rozmowy.

— Nie?

Szmajter pokręcił niezadowolony głową.

— Chodziło o kilkadziesiąt milionów złotych plus ogromna prowizja i nic... Pracuję w tej branży od wielu lat i przyznam, że sam byłem zaskoczony. Po raz pierwszy spotkałem się z taką sytuacją.

— Kto podjął taką decyzję?

— Prezes.

— Kondracki?

Skinął tylko głową.

— Tłumaczył to w jakiś sposób?

— Tak. Powiedział, że klient sam się wycofał.

— Ale pan w to nie wierzył?

— Nie.

Szmajter w milczeniu wpatrywał się w pływające po stawie kaczkę. Spojrzał na komisarza tak jakby zastanawiał się, czy warto z nim dalej rozmawiać. Może kalkulował, jakie korzyści przyniesie ta rozmowa. Analizował wszystko w kategoriach zysk—strata. Wynik tych rozważań musiał być korzystny, gdyż mówił dalej:

— Mniej więcej miesiąc później Andrzej zlecił mi opracowanie analizy rynku finansowego i strategii inwestowania na najbliższy rok. Sam był zajęty czymś innym. Nie od razu zorientowałem się, że pracuje nad tym, odrzuconym wcześniej zleceniem.

Komisarz posłał mu uważne spojrzenie.

— Chwileczkę, mówił pan, że nie podpisaliście umowy?

— Zgadza się.

Gwadera powoli zaczął się gubić w tym wszystkim.

— To jak? Była umowa czy nie?

— Prezes nie podpisał żadnej umowy, ale... — uśmiechnął się chytrze — zrobił to Andrzej. On jako wiceprezes miał dużą swobodę plus pełne zaufanie Krzysztofa. Poważniejszymi zleceniami zajmował się sam prezes, nic nie mogło odbyć się bez jego autoryzacji. Zgodnie z podziałem obowiązków te mniejsze trafiały do Andrzeja, to on podejmował decyzje — przerwał na krótką chwilę. — Andrzej bardzo sprytnie to wykombinował. Teraz to nie była jedna umowa, lecz kilka, podpisanych z tą samą osobą, lecz na mniejsze kwoty.

Gwadera zamyślił się.

— Dlaczego Babicz to zrobił? — zadał pytanie, które nurtowało go od dłuższej chwili.

— Proszę jego o to spytać — Szmajter pozwolił sobie na istic angielski humor.

Komisarz posłał mu chmurne spojrzenie.

— A jak pan myśli?

Gwadera nie miał żadnych pomysłów.

— O czym nie rozmawiają mężczyźni? — rzucił Szmajter.

— Chodziło o pieniądze?

Szmajter skinął głową.

— Babicz nieźle przecież zarabiał — zauważył Gwadera cicho.

— Widocznie jak dla niego za mało. Chciał się usamodzielnić. Ale, jak pokazuje historia, nic nie trwa wiecznie. Wszystko funkcjonowało jak w szwajcarskim zegarku do pewnego czasu. Andrzej zrobił to sprytnie, skupił się na kilku, wydawałoby się, bezpiecznych inwestycjach, zgodnie z zasadą małych kroków. Wszystkie strony miały na tym zyskać. Andrzej na wysokiej prowizji, klient na dużej stopie wzrostu... Gdyby nie kryzys, którego oczywiście wcześniej były symptomy, ale... kto mógł przewidzieć, że nastąpi to tak szybko. — Zamilkł. — Potem było jak z dominem, upada jeden klocek i trach... Mniej więcej w tym samym czasie Kondracki odkrył te nasze machinacje i w konsekwencji delikatnie pozbył się Andrzeja. Zrobił to w białych rękawiczkach.

Gwadera złożył poszczególne elementy w całość.

— Andrzej pociągnął pana za sobą?

Szmajter skinął prawie niezauważalnie głową.

— Tak, kiedy zorientowałem się, w co Andrzej gra, powiedziałem mu o tym, że wiem. I Andrzej...

— Włączył pana do układu? — komisarz dokończył za Szmajter.

— Potem... no cóż, wszystko się popsuło. Dalszy ciąg pan zna. Musiałem odejść...

Gwadera pomyślał, że Kondracki, który dobrze znał słabości swojego pracownika, wykorzystał tę wiedzę w wygodnym dla siebie momencie.

Narkotyki? Wspaniałały powód, aby podziękować za pracę niewygodnemu pracownikowi.

— Zna pan nazwisko tego klienta? — Gwadera spytał szybko.

Szmajter spojrział na komisarza zdziwiony.

— Uważa mnie pan za głupca?

„Nie” — odpowiedział komisarz w myślach.

— Już panu mówiłem, że nie mam pamięci do nazwisk...

Szmajter po raz kolejny rozejrzał się nerwowo. Ścieżką od strony Pałacu Na Wodzie zmierzała w ich stronę para młodych ludzi. Byli to najprawdopodobniej licealiści, którzy urwali się z lekcji, aby spędzić ze sobą kilka chwil na pieśczołach.

Para na widok chmurnego spojrzenia Szmajtera przyspieszyła kroku i już po chwili zniknęła im z oczu.

Szmajter uśmiechnął się.

— Pamięta pan, co mówiłem podczas naszej pierwszej rozmowy?

Gwadera skinął głową.

— Wspominał pan o laptopie i książce transakcji.

— I?

— Jedno i drugie sprawdzają nasi specjaliści.

Pliki, które odczytali informatycy, zawierały tabele, analizy, opracowania, wszystko napisane hermetycznym językiem finansów, zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych. Gwadera przekazał dokumenty kolegom z wydziału gospodarczego, ci obiecali wnikliwie im się przyjrzeć.

— Trochę to potrwa — mruknął Szmajter z powątpiewaniem. — Chce pan znać nazwisko?

„Tak, do jasnej cholery, o to dokładnie pytałem kilka minut temu” — pomyślał Gwadera.

— Nie wiem, kim był zleceniodawca, nie wiem też, jak nazywał się pośrednik, ale... — Szmajter jeszcze przez kilka chwil trzymał komisarza w niepewności, upajając się swoją przewagą.

Gwadera przymknął oczy. „Cierpliwości, człowieku, cierpliwości” — powtórzył kilka razy w myślach.

— Ale... Andrzej miał taki mały notes, w którym zapisywał przebieg tej transakcji, prowizje, kwoty i dane klienta.

— Którego oczywiście pan nie ma? — spytał mocno już rozeźlony Gwadera.

— Nie mam, ale postaram się czegoś dowiedzieć.

Umówili się, że Szmajter zadzwoni, kiedy tylko zdobędzie interesujące komisarza informacje.

Pół godziny później Gwadera spotkał się ze swoimi współpracownikami. Zgodnie doszli do wniosku, że Krzysztof Kondracki jest osobą, której warto poświęcić więcej uwagi.

Dotychczasowe przeprowadzone czynności operacyjne nie posunęły śledztwa do przodu. Nie mieli nic. Żadnego tropu, a przede wszystkim żadnych pomysłów. Informacje, jakie komisarz uzyskał od Szmajtera, wymagały, co prawda, jeszcze weryfikacji, ale mogły nadać śledztwu nowy kierunek.

Po długim okresie ciemności nareszcie w tunelu pojawiło się światło.

Gwadera skłaniał się do tego, aby prezesa EEI objąć dyskretną obserwacją.

Kiedy zastanawiali się nad podziałem zadań, na biurku komisarza odezwał się telefon.

— Tak — rzucił Gwadera, mając nadzieję, że zniechęci rozmówcę.

— Witam, panie komisarzu — rozpoznał prokuratora Czapskiego.

Gwadera czekał na dalsze słowa.

— Musimy się spotkać.

Gwadera, który dotąd wysłał Czapskiemu jedynie krótki, lakoniczny w treści raport, wiedział, że do takiego spotkania wcześniej czy później dojdzie.

— Będę u pana jutro...

— Dzisiaj panie komisarzu... Za godzinę?

Gwadera nie był zadowolony z tej propozycji. Nie chciał przedstawiać swojej wizji śledztwa, zanim sam wcześniej nie przemyśli wszystkiego do końca, ale w obecnej sytuacji nie miał innego wyjścia. Czapski nadzorował śledztwo, bez względu na to, czy podobało się to Gwaderze czy nie. Nie mógł odmówić.

Pokój, w którym urzędował Czapski, znajdował się na końcu długiego korytarza, na pierwszym piętrze budynku prokuratury.

Gwadera szedł wolnym krokiem i układał w głowie plan rozmowy. Postanowił, że wprowadzi Czapskiego w śledztwo z uwzględnieniem wszystkich jego aspektów.

Przystanął przed obitymi skórą drzwiami. Domyślał się, że rozmowa nie będzie należała, ani do przyjemnych, ani do łatwych.

Na widok komisarza Czapski zdjął okulary i przetarł oczy. Zmęczonym wzrokiem spojrzął na komisarza.

— Nie wydaje się panu, że szwankuje przepływ informacji między nami? — spytał z lekką naganą w głosie.

Wstał i zamknął okno.

Gwadera milczał. Nie chciał dyskutować o jakości przesłanego materiału. Prokurator miał rację. Raport, który mu przesłał, pozostawiał wiele do życzenia.

— Ile razy, panie komisarzu, mieliśmy okazję współpracować?
— W przeciwieństwie do komisarza Czapski nie miał zamiaru kończyć tematu.

Gwadera zastanowił się.

— Trzy, może cztery... — nie pamiętał dokładnie.

— Trzy — sprecyzował Czapski. — Pamiętam, że wówczas współpraca między nami układała się bardzo dobrze.

Gwadera był dokładnie tego samego zdania.

— Teraz jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że śledztwo kuleje, a pan za bardzo nie wie, co dalej robić.

Delikatnie powiedziane.

— Ma pan jakiś pomysł?

Komisarz spokojnie zapoznał prokuratora z poczynionymi dotąd ustaleniami, opowiedział o Nowaku i jego tajemniczej śmierci, wspomniał o Podedwornym.

Czapski słuchał komisarza w milczeniu, czasami tylko notował pojedyncze zdania. Wstrzymał się od komentarzy.

Gwadera ostrożnie przeszedł do tematu, który był dla niego najważniejszy. Opowiedział o spotkaniu ze Szmajterem, chwilę później zdał relację ze swoich spotkań z Krzysztofem Kondrackim, wspominając także o utrudnionym z nim kontakcie i o nieścisłościach w jego wypowiedziach, nie zeznaniach. Gwadera celowo użył takiego sformułowania, bowiem dotąd nie było jeszcze oficjalnego przesłuchania z całą należną temu pompą. Kondracki był obywatelem obcego państwa, w tym przypadku wymagało to zachowania odpowiednich procedur, rozmowa powinna odbywać się w obecności przedstawiciela ambasady lub konsulatu oraz tłumacza.

Czapski posłał komisarzowi ciężkie spojrzenie.

— Krzysztof Kondracki — powtórzył w zamyśleniu.

W głosie prokuratora zabrzmiała nutka zdziwienia.

— Odnoszę wrażenie, że mówi mniej niż wie... — powiedział komisarz.

— Nie ma pan nic, co wskazałoby na bezpośredni lub pośredni związek Kondrackiego z morderstwem Babicza, oprócz oczywiście własnych domysłów — ciągnął prokurator, tak jakby nie słyszał uwagi komisarza. — Nie może pan opierać się tylko na kilku rozmowach z Piotrem Szmajterem, człowiekiem, który nie jest wiarygodny. Uważam, że to za mało.

Gwadera nie miał zamiaru tak łatwo się poddać.

— Zapomina pan o zatajaniu istotnych dla śledztwa informacji — przypomniał spokojnym głosem.

— Istotnych?

Czapski uderzył w leżące przed nim akta sprawy. Powstrzymał komisarza gestem dłoni.

— Krzysztof Kondracki nie mówił prawdy, okłamał pana dwa lub trzy razy? Nie wspomniał o swojej wcześniejszej znajomości z denatem. Spytałem — i co z tego wynika? Odpowiedź brzmi — nic. Dobrze pan wie, że nie możemy opierać się na intuicji. Dowody, komisarzu. Potrzebuję dowodów. Przypuszczenia to zdecydowanie za mało.

Czapski miał rację.

Komisarz wiedział o tym, jednak brnął dalej.

— Szmajter wspominał...

— Do diabła ze Szmajterem, jest niewiarygodny. To narkoman.

— Były.

— Jest pan tego pewien?

Nie był.

Przez kilka chwil milczeli.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie chcę tutaj żadnego międzynarodowego nieporozumienia. Krzysztof Kondracki jest obywatelem Wielkiej Brytanii. Zdaje pan sobie sprawę, co... — zamilkł.

Gwadera spojrzał na mężczyznę uważnie.

„A więc tu cię boli” — pomyślał.

— Co pan proponuje? — spytał prokuratora.

Czapski znów wstał. Podeszedł do okna, które przed kilkoma minutami zamknął, odgradzając ich w ten sposób od dźwięków miasta. Przez kilka długich minut obserwował uliczny ruch, tak jakby tam szukał natchnienia.

Gwadera czekał cierpliwie, aż prokurator uporządkuje swoje myśli.

— Dobrze. — Czapski odwrócił się w stronę komisarza. — Niech pan działa, ale w białych rękawiczkach.

— Mam wolną rękę?

— W rozsądnych granicach, panie Romanie.

Wstał. Był zadowolony.

— Proszę mnie o wszystkim na bieżąco informować — Czapski sprawę postawił jasno.

Gwadera w komendzie był dopiero przed drugą. Po drodze wstąpił na obiad. W małej osiedlowej pizzerii zamówił pizzę z szynką i ananasem. Ser był kleisty, a sos zimny, mimo to zjadł wszystko. Był zbyt głodny, by marudzić.

Z restauracji wyszedł z niezbyt wesołą myślą, że sposób, w jaki się odżywia, kiedyś odbije się na jego zdrowiu.

Kiedy wrócił do siebie, w pokoju zastał tylko Wejner. Na pytanie, gdzie jest Osmałek, wzruszyła ramionami, a po chwili, gdy wyłapała spojrzenie Gwadery, dodała, że mężczyzna wyszedł chwilę wcześniej, nie informując, dokąd idzie i po

co.

Gwaderze przypomniały się słowa naczelnika wydziału. To praca zespołowa. Pomyślał, że będzie musiał przypomnieć o tym Osmałkowi.

Nie czekając, aż mężczyzna wróci, streścił Wejner rozmowę z prokuratorem. Przechodził do tej części, która dotyczyła Kondrackiego, kiedy na biurku Wejner zadzwonił telefon.

— Tak? — przez kilka chwil w milczeniu słuchała swego rozmówcy.

Spojrzała na komisarza, zasłaniając dłonią słuchawkę.

— Wzywaliśmy kogoś na przesłuchanie?

Gwadera pokręcił głową.

— Na dole czeka świadek — oznajmiła Wejner.

— Jak się nazywa? — rzucił Gwadera.

Wejner to samo pytanie zadała dyżurnemu. Poczekała chwilę na odpowiedź.

— Paweł Podedworny — powtórzyła.

Gwadera drgnął.

Paweł Podedworny okazał się eleganckim mężczyzną przed trzydziestką, o rudych włosach. Pachniał drogą wodą toaletową i miał na sobie ciuchy z najdroższych butików Warszawy. Nie pasował do tego miejsca.

Gwadera długo i uważnie patrzył na jego spokojną twarz. Mężczyzna sprawiał wrażenie pewnego siebie. Nie czekając na zaproszenie, usiadł na krześle dla gości i splatając przed sobą zadbane dłonie, oznajmił:

— To mnie szukacie...

Gwadera wymusił na twarzy uśmiech.

— Byłem partnerem Andrzeja Babicza — oznajmił Podedworny i spojrzał Gwaderze prosto w oczy, tak jakby sprawdzał jego stopień tolerancji na kochających inaczej, jak należało określać w czasach poprawności politycznej tych, których jeszcze niedawno nazwano po prostu pedałami.

— Nie było mnie w Warszawie. Od czwartku organizowałem w Krakowie pokaz mody. Jestem projektantem kobiecej bielizny.

„Ciekawe zajęcie dla mężczyzny” — pomyślał Gwadera.

— Słucham pana... — zachęcił Podedwornego.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

— Chcę wam pomóc... dlatego tu jestem... To mój obywatelski obowiązek.

Zamilkł.

Po tej deklaracji, co do szczerości której Gwadera miał wątpliwości, ruch należał do policjantów.

Na początek Gwadera zadał standardowe pytanie:

— Czy ostatnio zauważył pan w zachowaniu Babicza jakieś zmiany?

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Padła chwilę po tym, jak przebrzmiały jego słowa:

— Wie pan, dziwne już było samo to, że Andrzej wyszedł z propozycją, abyśmy zamieszkali razem, oczywiście u mnie.

— Co było w tym dziwnego?

Podedworny zakasłał.

— Wiele razy namawiałem go do tego, zawsze odmawiał. Przyznam, że wówczas zaskoczył mnie.

— Kiedy przeprowadził się do pana?

— Krótco przed moim wyjazdem do Krakowa, może dwa tygodnie temu...

Na kilka chwil zapadła cisza.

— Kiedy wyjechałem, zostawiłem Andrzejowi klucze, umówiliśmy się, że podczas mojej nieobecności przeniesie swoje rzeczy. Nie ukrywam, że odpowiadał mi ten układ. Byłem chociaż spokojny, miał kto podlewać moje kwiatki i karmić rybki.

Gwadera nie wiedział, czy Podedworny w tej chwili żartuje czy mówi to poważnie...

— Wiedział pan coś o jego problemach w pracy?

— A miał jakieś problemy? — w głosie Podedwornego zabrzmiało szczere zdziwienie.

Niestety, miał. Dziwne było to, że nie poinformował o tym swojego życiowego partnera.

— Nigdy nie rozmawialiśmy o jego pracy — dodał Podedworny cicho.

— Andrzej był bardzo skryty i nie chciał mnie obarczać swoimi sprawami, o których i tak nie miałem najmniejszego pojęcia. Wie pan — machnął ręką — finanse i te inne, ekonomiczne pierdoły to dla mnie czarna magia...

Zamilkł.

Gwadera zadał jeszcze kilka pytań. Mężczyzna nie potrafił dokładnie wyjaśnić, czym zajmował się jego partner. O ile to było jeszcze zrozumiałe, o tyle dziwniejsze było to, że mężczyzna tak naprawdę o samym Babiczu wiedział niewiele. Nie znał jego poprzednich partnerów. Nie wiedział nawet, że Babicz stosunkowo niedawno był związany z kobietą.

— Czy mówi panu coś nazwisko Marian Ropejko?

— Nie.

— A Krzysztof Kondracki?

Przy tym nazwisku zastanawiał się dłużej.

— Nie.

— Jest pan pewien? — spytał Gwadera, widząc jego wahanie.

— Chwileczkę — sięgnął głębiej do swej pamięci.

Potarł w zamyśleniu skronie.

— Pierwszy raz słyszę te nazwiska.

Komisarz zapisał parę zdań w notesie. Zeznania mężczyzny podsumował

kilkoma słowami: „Nic nie wie”. Po chwili zastanowienia przy tym krótkim zdaniu postawił znak zapytania.

— Cierpiał? — Podedworny spytał cicho.

Gwadera czuł, że odpowiedź na to pytanie jest dla niego bardzo ważna.

— Nie. — Posłał mężczyźnie blady uśmiech.

Miał nadzieję, że tak właśnie było. Sekcja wykazała, że już pierwszy strzał był śmiertelny. Wszystko trwało ułamki sekund.

— Bogu dzięki.

Na twarzy Podedwornego pojawił się wyraz ulgi.

— Wie pan, on bał się bólu. Zawsze mówił, że gdyby zachorował na raka, szybciej popełniłby samobójstwo, niż podał się leczeniu, którego skutki nie są pewne.

Gwadera nie miał czasu ani ochoty wysłuchiwać zwierzeń. W ostatniej chwili ugryzł się w język, chciał powiedzieć Podedwornemu, aby ze swoimi problemami zgłosił się do psychologa.

— Dziękuję panu. To wszystko. Gdyby pan sobie o czymś przypomniał...

— Komisarz podał mężczyźnie wizytówkę.

Podedworny wstał.

— Bardzo mi go brakuje — powiedział cicho, przepełnionym bólem głosem, i ruszył do wyjścia.

— Chwileczkę — głos Wejner zatrzymał go w miejscu.

Młoda policjantka dotąd nie wtrącała się do rozmowy. Gwadera wiedział, że analizowała każde słowo, które padło w trakcie przesłuchania.

Spojrzała na nią uważnie. Wejner podeszła bliżej.

— Mam jedno pytanie — zwróciła się do Podedwornego.

— Tak? — Mężczyzna był lekko zdziwiony.

Wejner spojrzała na komisarza, a gdy ten skinął przyzwalająco głową, spytała:

— Czy Babicz miał skrytkę bankową?

Komisarz pochwalił Wejner w myślach. Sam całkowicie o tym zapomniał.

— Skrytkę? — powtórzył bezwiednie.

— Proszę się dobrze zastanowić.

Pytania kobiety obudziły jego pamięć.

— Chyba tak...

— Wie pan może, w jakim banku?

Wejner konsekwentnie zmierzała do celu.

— Andrzej miał konta w trzech bankach, możliwe, że w jednym z nich. Kiedyś wspomniał, że zabezpieczył się na wypadek, gdyby coś mu się stało. Potraktowałem to jako żart... — zamilkł. — Może gdybym wówczas próbował dociekać, co miał na myśli...

Przetarł oczy dłonią.

— Może — powtórzył. — Niestety, czasu nie da się cofnąć...

Gwadera przypomniał sobie znalezione w portfelu karty kredytowe i do bankomatów. Był to jakiś trop, którym powinni podążać.

— Domyśla się pan, co miał na myśli? — Gwadera włączył się do rozmowy. Zbliżali się do czegoś istotnego. Podedworny rozłożył bezradnie ręce.

— Niestety, nie.

Komisarz spojrział na młodszą koleżankę. Wejner nie miała więcej pytań.

Gwadera sięgnął po akta sprawy. Szukał sporządzonej przed kilkoma dniami notatki na temat znalezionych w samochodzie Babcicza rzeczy. Interesowały go nazwy banków, w których denat miał konta. Przebiegł wzrokiem: Millennium, Citibank MasterCard i PKO Bank Polski.

Zastanawiał się, od którego zacząć. Sam miał konto w PKO, dlatego postanowił, że jako pierwszy sprawdzą ten bank. Wiedział, że rozmowy z dyrektorami nie będą łatwe — ci twardo stąpający po ziemi finansiści strzegli tajemnic banku lepiej niż oka w głowie. Miał nadzieję, że w wypadku, kiedy tak naprawdę interesowała go odpowiedź tylko na jedno pytanie, nie będą robić trudności.

Oczywiście, gdyby którykolwiek z nich udzielił twierdzącej odpowiedzi, następnym krokiem będzie zdobycie nakazu sądowego, bez którego żaden porządny bank nie wyda im zgody na przeszukanie skrytek.

Na razie nie zaprzętał sobie tym głowy.

Gwadera zerknął na Wejner.

— Ma pani ochotę na małą wycieczkę? — spytał.

Zanim padła odpowiedź, na biurku komisarza zabrzmiał dzwonek telefonu. Komisarz z ociąganiem sięgnął po słuchawkę.

— Witam, panie komisarzu — rozpoznał głos sierżanta Terleckiego, policjanta, który jako pierwszy przybył na miejsce przestępstwa.

Zastanawiał się, co może od niego chcieć Terlecki. Mężczyzna ubiegł jego pytanie.

— Nie chciałbym pana niepokoić, ale... — zawahał się.

— Tak, sierzancie? — ponaglił go.

— Ma pan teraz czas?

— Tak. — Nie miał go, co prawda, zbyt dużo, ale czuł, że policjant ma mu do przekazania coś ważnego, tylko nie wie, jak ma to zrobić.

— Godzinę temu zatrzymaliśmy chłopaka, który mówi, że jest pana siostrzeńcem...

Długo milczał.

— Co? — spytał z niedowierzaniem.

„To absurd — pomyślał. Radek tutaj? To niemożliwe, chłopak powinien być

w szkole”.

— Chłopak nazywa się Radosław Skotnicki...

Gwadera odetchnął głęboko kilka razy.

— Będę u pana za pięć minut.

Odłożył słuchawkę.

Miał nadzieję, że to jakieś nieporozumienie.

Wstał ciężko z krzesła. Przetarł oczy dłonią.

— Coś się stało, komisarzu? — spytała Wejner.

Uśmiechnął się smutno. Nie krył przed nią tego, co przed chwilą usłyszał.

— Mam nadzieję, że to jakaś pomyłka — powiedział, sam nie bardzo w to wierząc.

Rzucił na biurko Wejner teczkę sprawy.

— Umówi mnie pani z dyrektorami banków. Nie powinno zająć mi to dużo czasu, ale...

Wejner skinęła głową ze zrozumieniem.

— Proszę się o nic nie martwić, zajmę się tym.

Podziękował jej wzrokiem.

Dochodziła jedenasta, gdy Gwadera wyszedł z pokoju.

18.

— Gdzie on jest? — spytał sierżanta Terleckiego.

Policjant wskazał na pokój przesłuchań.

— Kto go zatrzymał?

Terlecki westchnął.

— Ja...

„To dobrze” — pomyślał Gwadera. Wiedział, że Terlecki nie będzie niczego ukrywał. Powie mu wszystko, co wie, ze szczegółami.

Nie pomylił się.

Trzech nastoletników godzinę wcześniej odwiedziło mały sklep osiedlowy na Powiślu. Ekspedientka nie chciała im sprzedać alkoholu. Wtedy najstarszy z nich wszczął awanturę. Nie przebierał w słowach. Chwilę później sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Pracownica sklepu wykazała się odwagą, w ostatniej chwili nacisnęła alarm. Firma ochroniarska przyjechała kilka minut za późno. Ekspedientka leżała nieprzytomna na podłodze, obok wały się rozbite butelki i opróżniona kasa.

Kwadrans po tym wydarzeniu całą grupę wyłapał policyjny patrol.

Gwadera wysłuchał uważnie Terleckiego. Z uzyskanych od sierżanta informacji wynikało, że rola chłopaka w całym tym zdarzeniu była niewielka. Radek zapewniał, że kiedy jego koledzy wchodzili do sklepu, on poszedł do znajdującej się kilkanaście metrów dalej kawiarenki internetowej, która, jak się

chwilę później okazało, była zamknięta. Znajomych spotkał przed sklepem, dołączył do nich, nie zdając sobie tak naprawdę sprawy z tego, co się tam wydarzyło.

— Jacyś świadkowie? — rzucił Gwadera.

Sierżant rozłożył bezradnie dłonie.

— Szukamy.

Zeznania chłopaka mogła potwierdzić jedynie poturbowana ekspedientka. Niestety, stan kobiety był na tyle poważny, że lekarz prowadzący nie pozwolił jej przesłuchać.

— Jeżeli ekspedientka nie potwierdzi słów pana siostrzeńca, będzie prawdopodobnie odpowiadał z artykułu dwieście osiemdziesiątego pierwszego, kradzież rozbójnicza — podsumował Terlecki.

Gwadera skinął głową.

— Zawiadomił pan matkę?

— Nie. Jeszcze nie.

— Sam to zrobię.

Sierżant nie miał nic przeciwko temu. Przeciwnie, sprawiał wrażenie zadowolonego, że ktoś go w tym wyręczy.

— Najpierw chciałbym jednak z nim porozmawiać — oznajmił Gwadera.

I na to Terlecki wyraził zgodę.

Radek siedział przy stoliku ze spuszczoną głową. Kiedy drzwi otworzyły się, spojrzał na wchodzącego, lecz nie odezwał się. Gwadera usiadł naprzeciw siostrzeńca.

— W coś ty się wpakował — powiedział.

Przez kilka długich chwil milczeli.

Gwadera patrzył ciężko na swojego siostrzeńca. Poprosił go, aby opowiedział wszystko ze szczegółami.

— Ile jeszcze razy mam o tym mówić?! — Radek był zdenerwowany.

— Tyle, ile będzie trzeba. — Gwadera powoli tracił cierpliwość.

— Nie zrobiłem nic złego...

— To się dopiero okaże — mruknął.

Gwadera odniósł wrażenie, że Radek nie zdawał sobie sprawy z powagi całej sytuacji.

Radek dłonią potarł czoło. Chwilę później zaczął mówić. Jego opowieść, krótka, ale treściwa, pokrywała się z tym, czego Gwadera wcześniej dowiedział się od Terleckiego.

— Mogę wracać do domu? — spytał Radek, kiedy powiedział już wszystko.

Gwadera zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie... Jeszcze nie teraz.

Zamilkł.

— Kiedy?

Gwadera zawahał się. Nie wiedział, czy ma powiedzieć chłopakowi prawdę. Wszystko zależało teraz od niego, a dokładnie od tego, jak szybko skontaktuje się z Magdą.

Zgodnie z prawem to ona musiała odebrać chłopca z komisariatu.

— Nie wiem.

Radek spojrzał przerażony na komisarza.

— Wujek, nie zostawiaj mnie — w jego głosie zabrzmiała błagalna nuta.

Gwadera nic nie powiedział.

Wyszedł.

Podświadomie czuł, że mógł temu wszystkiemu zapobiec.

„Co teraz?

Co mam powiedzieć jego matce?”

Myślał gorączkowo.

„Gdybym nie odebrał telefonu od Małgorzaty Wolańskiej, gdybym wówczas nie wyszedł z pokoju Radka, tylko porozmawiał z nim szczerze”.

Złość narastała w nim z każdą chwilą. Na świat, na ludzi, na wszystko, a przede wszystkim na siebie.

Uderzył pięścią w futrynę okna. Trzasnął drzwiami. Wrócił do swojego pokoju i usiadł za biurkiem.

Był sam. Na biurku czekała na niego wiadomość od Osmałka. „Obserwacja zorganizowana. Mam dyżur do ósmej, potem komisarz Marciniak, a nad ranem Kasia”.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta.

Sięgnął po telefon. Musiał zawiadomić siostrę.

Powstrzymał się. Znów pojawiły się pytania, na które nie znał odpowiedzi.

„Co jej powiem? Że Radek wpakował się w poważne kłopoty?”

Powstrzymał galopujące myśli. Chwilę później wyrzucał sobie, że zwątpił w siostrzeńca i w to, co mówił. „Dlaczego mu nie wierzę? Przecież kiedyś miałem z nim świetny kontakt”.

Kiedyś? Kiedy to było? Całe wieki temu.

Kilka lat, które w życiu młodego człowieka były najważniejsze.

„Zbyt mało czasu poświęcałem rodzinie” — powróciły wyrzuty sumienia. Zdawał sobie sprawę, że zajęty swoimi sprawami przeoczył ten moment, kiedy Radek zaczął się od niego oddalać. Chłopak dojrzywał, szukał swojego miejsca. W wielu sytuacjach nie umiał się odnaleźć, potrzebował kogoś, kto przeprowadzi go przez ten trudny dla niego okres. Był na rozstaju dróg, jeden fałszywy krok i mógł zbłądzić w uliczkę, która wiodła donikąd.

Nie mógł stłumić ponurych myśli, które atakowały jego umysł. „Nie było mnie w odpowiednim miejscu i czasie” — wyrzucał sobie.

Miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.
O drugiej opuścił komisariat i pojechał do siostry.

19.

W środę Gwadera pojawił się w biurze pierwszy.

Tę noc spędził w mieszkaniu na Kabatach.

Magda, która przyjechała do komendy najszybciej jak mogła, wiadomość o kłopotach Radka przyjęła z dziwnym spokojem. Taki sam spokój zachowała, kiedy odbierała syna.

Gwadera pomógł siostrze załatwić wszystkie formalności, do minimum skracając czas oczekiwania. Po godzinie byli w domu.

Radek, który nadal był rozkojarzony, kiedy tylko przekroczyli próg mieszkania, zniknął w swoim pokoju.

Gwadera postanowił, że tego dnia nie będzie z nim rozmawiał.

Potem bardzo długo siedzieli z Magdą i wspominali swoje dzieciństwo i młodzieńcze wybryki, które nigdy jednak nie przekraczały granic dobrego smaku.

Nadal było dla nich niezrozumiałe, dlaczego w zachowaniu Radka nie dostrzegli żadnych zmian. Magda twierdziła, że dotąd miała z synem świetny kontakt.

Gwadera zadał siostrze jeszcze kilka pytań, głównie o kolegów i znajomych. Szybko przekonał się, że Magda nie знаła syna tak dobrze, jak jej się wydawało.

To przypomniało mu o kimś innym. Zaledwie kilka dni temu inna kobieta zapewniała, że syn nie miał przed nią żadnych tajemnic. Myliła się.

Poszli spać kilka minut po dwunastej.

Noc spędzona w mieszkaniu siostry miała i swoje plusy. Rano czekało na Gwaderę porządne śniadanie.

— Rzeczywiście, nasz prezesik to bardzo zajęty człowiek — powiedział Osmalek, który po tym, jak poprzedniego dnia Gwadera podjął decyzję o objęciu Kondrackiego obserwacją, pierwszy pełnił dyżur.

— Mów.

Osmalek usiadł.

— Kilka minut po drugiej Kondracki wyszedł z takim grubym facetem, trochę przypominającym Kalisza.

— Mecenasek Stachura — podpowiedział Gwadera.

Osmalek zapisał nazwisko na kartce.

— Pojechali do Mariotta, gdzie spotkali się ze szczupłym mężczyzną o siwych włosach, szczebiotali po angielsku. Mniej więcej po godzinie panowie rozeszli się, każdy poszedł w swoją stronę. Kondracki wrócił do biura, ale znów nie gościł tam zbyt długo. Pojechał do Łazienek i łąził tam dobrą godzinę.

— Sam?

— Tak. Widocznie rozmowa była tak męcząca, że musiał pooddychać świeżym powietrzem — nie mógł powstrzymać się od kąśliwej uwagi. — Potem zgłodniał, bo zahaczył o Belvedere. Był sam. Wypił dwie lampki wina i zjadł polędwicę z duszonymi borowikami.

— Zglądałeś mu do talerza?

— Nie. Spytałem kelnera. Sam siedziałem nad zimną kawą. Jakoś nikt nie pomyślał o funduszu reprezentacyjnym dla policjantów.

Gwadera zrobił minę na temat. Sam nieraz na własnej skórze doświadczał tego samego.

— Na Duninowską wrócił po piątej. Pozostał tam dokładnie do szóstej.

Gwadera przypomniał sobie gdzieś zasłyszane słowa: „Brak czasu na przyjaźń, brak czasu na miłość, brak czasu na sen?”.

— Prosto z biura pojechał do domu — Osmalek mówił beznamiętnym tonem, jak uczeń deklamujący z trudem wyuczony wiersz. — Nigdzie nie wychodził, ani nikt go nie odwiedzał. Marciniak, który dyżurował do czwartej rano, przekazał mi, że o jedenastej pięć zgasło w jego mieszkaniu światło.

— To wszystko?

— Tak.

Gwadera zamyślił się.

— Kasia ustaliła coś na temat skrytki?

— Tylko tyle, że nie wykupił jej w żadnych z banków, w których ma konta. Oczywiście moglibyśmy sprawdzić inne, ale problem polega na tym, że jest ich w Warszawie około setki.

— Zajmij się tym.

Osmalek wpatrywał się w komisarza z niedowierzaniem.

— Tytaniczna praca — mruknął.

Gwadera spojrział na zegarek.

— Kto teraz obserwuje Kondrackiego?

— Kasia.

Komisarz skontaktował się z policjantką. Chciał wiedzieć tylko jedno: czy mężczyzna nadal jest w domu. Był.

Gwadera poprosił młodą policjantkę, aby odezwała się, kiedy prezes EEI opuści mieszkanie.

Przed jedenastą zadzwonił telefon.

— Panie komisarzu... — w głosie Wejner brzmiała panika. Kobieta była zdenerwowana.

Gwadera czuł, że nie będzie zadowolony z tego, co za chwilę usłyszy.

— Zgubiłam go.

Mocniej chwycił słuchawkę.

— Gdzie?

— W centrum handlowym.

— Jak pani to usprawiedliwi? — spytał nieprzyjemnym głosem.
— Wszystko pani spartoliła — dodał.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jedyną osobą, do której powinien mieć pretensje, był on sam. Popełnił błąd, włączając Wejner do akcji. Przypuszczał, że zawinił w tym wypadku brak doświadczenia.

Milczała.

— Ale... — policjantka próbowała się bronić. Nie miał ochoty na jakiegokolwiek z nią dyskusje.

— Nie interesuje mnie żadne ale...

— Szefie...

— Niech pani natychmiast wraca do biura. — Odłożył słuchawkę.

Wyłapał zaciekawione spojrzenie Osmałka. Powiedział, co się stało.

Wejner dotarła do biura po dwudziestu minutach. Była zgaszona.

Gwadera nawet na nią nie spojrział. Chociaż złość dawno mu minęła, postanowił jeszcze przez jakiś czas trzymać policjantkę w niepewności. Była to dla niej pierwsza lekcja pokory.

Gwadera przygotowywał szybką kolację, kiedy zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz. Dzwonił Piotr Szmajter.

— Tak? — rzucił.

— Mam dla pana pewne informacje...

— Gdzie się spotkamy? W Łazienkach Królewskich? — zakpił.

— Bez jaj, komisarzu. U mnie.

— Teraz?

— Tak, teraz. Niech pan ruszy łaskawie swoją dupę i jak najszybciej przyjedzie do mnie... — przerwał. — Mam to dla pana... — dorzucił.

— To?

— Notes, człowieku...

Gwadera nacisnął na dzwonek. Zabrzmiał pojedynczy gong. Odczekał chwilę i zapukał. Znów żadnej reakcji.

Szmajter miał czekać na niego w domu. Co prawda, od jego telefonu minęło trochę więcej niż godzina, ale mężczyzna zapewniał, że nie ma zamiaru nigdzie się ruszać. Komisarz powtórzył te same czynności. Dzwonek, chwilę później pukanie.

Kiedy i tym razem nie usłyszał grzecznościowego „proszę”, nacisnął kłamkę. Drzwi ustąpiły.

Ostrożnie wszedł do środka. Stał przy drzwiach, nasłuchując płynących z mieszkania dźwięków. Z prawej strony, tam, gdzie znajdował się salon, dochodziła cicha muzyka.

Wyczuł, że coś jest nie tak. Sięgnął po broń. Przeszedł do salonu. Nadepnął na kawałek szkła, pozostałości po zrzuconym ze stolika wazonie.

Nie miał wątpliwości, że przyjechał za późno. Na podłodze, obok wersalki leżał Szmajter. Z nosa sączyła mu się wąska strużka krwi.

Gwadera schował broń i przyklęknął przy mężczyźnie. Sprawdził puls.

Wzrok komisarza powędrował w stronę stolika, na którym leżało kilka białych tabletek.

Wstał. Próbował odtworzyć przebieg wydarzeń. Nie wierzył, że mężczyzna sam zaaplikował sobie zabójczą dawkę narkotyku.

Jednego był pewien, Szmajter bronił się. Świadczyły o tym zadrapania na jego dłoniach, rozbity wazon i leżące na podłodze książki z przewróconego regaliku.

Kiedy Gwadera przedstawił swój punkt widzenia, Osmalek pokręcił z powątpiewaniem głową. Rozmawiali w kuchni, jedynym pomieszczeniu w mieszkaniu Szmajtera, które technicy zdążyli do tej pory zbadać.

— Dlaczego sądzisz, że ktoś mu w tym pomógł? To przecież narkoman...

— Były — mruknął komisarz.

— Były, niebyły, widocznie cały czas to w nim tkwiło. Wziął i przesadził... Ta amfa, którą znalazłeś na biurku, miała odcisniętą literkę „B”. Co nieco ostatnio o tym słyszałem od kumpla z narkotyków. Podobno niezłe świństwo, daje nieziemskiego kopa, ale trzeba uważać...

— A ślady walki? — Gwadera przerwał mu bezceremonialnie.

Osmalek nie wiedział, jak odeprzeć argumenty komisarza, dlatego wybrał milczenie.

— Przestań pieprzyć, tylko weź się do roboty. — Komisarz miał dosyć tej jałowej dyskusji, zdziwiony, że Osmalek nie dostrzega pewnych oczywistych rzeczy.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Być może masz rację...

— Na pewno mam rację — po raz drugi przerwał swojemu koledze.

— Dobra, dobra — Osmalek mruknął pojednawczym tonem i zniknął w salonie, w którym krzatali się technicy.

Wejner spojrzała uważnie na komisarza.

— Na studiach — zaczęła — mieliśmy zajęcia o uzależnieniach. Narkotyki, alkohol, pracoholizm. Według mnie narkotyki to jednak największe świństwo. Kiedy ktoś zaczyna brać, wpada po uszy. — Uśmiechnęła się. — Nie zanudzam pana?

— Nie, nie, proszę mówić dalej.

Gwadera wolał to od ciszy.

— W średniej szkole miałam koleżankę. Zdolna dziewczyna, ale gdy poszła na studia, ubzdurzyła sobie, że nie zda egzaminu bez małego kopa. Początkowo były to tylko dopalacze... Potem amfa. Dobrze знаła skutki, jej ojciec był lekarzem.

Wiedziała, że na dłuższą metę organizm nie wytrzyma. Myślała, że panuje nad tym... — zamilkła.

— Wyszła z tego? — spytał Gwadera, czując że Wejner czeka na takie pytanie.

— Nie. Pochowali ją dwa lata temu... Na Powązkach.

Zastanawiał się, dlaczego mu o tym mówi.

Cóż, każdy człowiek ma czasami takie chwile, kiedy musi wyrzucić z siebie to, co w nim siedzi gdzieś głęboko zagrzebane. Widocznie zabójstwo Szmajtera wyzwoliło w Wejner wspomnienia.

Uśmiechnął się ciepło do młodej policjantki. W następnej chwili zrozumiał, do czego zmierzała. Jej opowieść nie była chęcią podzielenia się swoimi problemami ze starszym kolegą, lecz miała służyć zupełnie czemuś innemu.

Było to jasne przesłanie — komisarzu, nie jesteś winien śmierci Szmajtera.

— Wie pan, że dopalacze były stosowane już wieki temu? — przerwała jego myśli. — Korzystali z nich wielcy twórcy. U nas Witkacy. Zygmunt Freud początkowo, zanim odkrył antydepresyjne działanie kokainy, próbował jej jako środka znieczulającego. A na przykład taka Elizabeth Wurtzel. Słyszał pan o niej?

Gwadera pokręcił głową. Nazwisko było mu całkowicie obce.

— Autorka książki *Prozac Nation* rozgniałała i wdychała przez nos dziennie czterdzieści tabletek ritalinu, leku na ADHD, Graham Greene... — spojrzała wymownie na komisarza.

Gwadera uprzedził jej pytanie.

— Ten od *Tajnego agenta* — rzucił dawno gdzieś zasłyszany tytuł.

— Tak... Właśnie tę powieść napisał w rekordowym czasie sześciu tygodni. Oczywiście pomogły mu narkotyki. Przykłady można mnożyć...

Tak. Sam kiedyś czytał o tym, jak w czasie drugiej wojny światowej na pilotach testowano silny narkotyk o nie prostej nazwie dekstroamfetamine, która pomagała się skoncentrować i wykonać misję wymagającą dużego wysiłku intelektualnego. Podobno francuska Legia Cudzoziemska podawała lek swoim żołnierzom jeszcze podczas operacji „Pustynna Burza”.

Gwadera pomyślał jeszcze o młodych ludziach, którzy, tak jak koleżanka, o której opowiadała Wejner, brali codziennie nie tylko dopalacze, ale i napoje energetyzujące, izotoniczne oraz ich mieszanki.

Garściami łykali przy tym tabletki wzmacniające pamięć i koncentrację. Do tego alkohol jako podstawowe lekarstwo na stres. Wybuchowa mieszanka. Eksperymenty, które mogą zabić.

I zabijają. Dokończył swoje rozważania smutnym podsumowaniem.

Gwadera jechał wolno. Za boczną szybą migły brudne kamienice, kontrastujące ze światem przeszklonych domów, który wyrastał po drugiej stronie ulicy.

Warszawa w ostatnich latach przeszła wielkie przeobrażenia. Z ubogiego Kopciuszka powoli, ale nieubłaganie zamieniała się w księżniczkę. „Ciekawe gdzie będziemy za dwadzieścia lat?” — pomyślał.

Czy goniąc bogaty Zachód, nie zgubimy swojego ja, tej naszej odrębności kulturowej, dzięki której pokolenia rodaków przetrwały pod obcym panowaniem.

Nigdy nie ukrywał, że jest przeciwnikiem mozolnie budowanego przez rodaków konsumpcyjnego modelu świata. Oczywiście, tak jak i wiele innych osób, garściami czerpał z tego worka, ale w przeciwieństwie do młodego pokolenia mógł obyć się bez takich rzeczy jak komputery, internet, czaty, multipleksy czy centra handlowe. Coraz częściej przyłapywał się na myśli, że nie nadąża za postępującymi szybko zmianami. Zrozumienie nowinek technicznych przychodziło mu z coraz większym trudem.

Gwaderę przerażał wszechogarniający pośpiech i wyścig szczurów, którym przesiąkało młode pokolenie. Wyścig, w którym wyniesione z domu zasady traciły sens, a drugi człowiek stawał się tylko środkiem do osiągnięcia celu.

Co się z nami stało przez te wszystkie lata?

Miał wrażenie, że statek pod banderą Polska płynie nie w tym kierunku, nie na głęboką wodę, lecz w stronę skalistego brzegu, o który w każdej chwili może się rozbić.

Gwadera, skupiony na roztrząsaniu spraw, na które nie miał żadnego wpływu, przeoczył skręt w prawo. Zawrócił dopiero na następnym skrzyżowaniu.

Miał pecha. Wjechał prosto w korek.

Zaklął. Posłał Wejner ukradkowe spojrzenie.

— W takich wypadkach najczęściej mówię „w mordę jeżozwierza” — zażartowała.

Uśmiechnął się lekko kącikami ust. Podobało mu się to określenie.

20.

Przed Saturnem zaparkowali dokładnie pięć po dziesiątej. Ochroniarz, który powoli przyzwyczajał się do ich widoku, machnął tylko ręką i przepuścił ich przez bramkę. Na górę wjechali windą.

Joanna Bartczak w zamyśleniu patrzyła na stojących przed nią policjantów.

— Prezesa nie ma... — powiedziała szybko.

Gwadera posłał Bartczak zamyślane spojrzenie.

— Musiał wjechać — dodała.

Komisarz przez kilka chwil zastanawiał się. Bartczak była w grupie osób, które przesłuchiwali w związku ze śmiercią wiceprezesa. Wówczas pytania krążyły tylko wokół tej postaci. Nie było żadnych przesłanek, aby spytać ją bezpośrednio o Kondrackiego, a tym bardziej o Szmajtera.

Gwadera, który dokładnie zapoznał się ze spisnymi przez Wejner

protokołami, w zeznaniach asystentki Kondrackiego nie doszukał się niczego szczególnego.

Przez ostatni tydzień sytuacja na tyle się zmieniła, że szczerą rozmowę z Joanną Bartczak mogła wyjaśnić kilka istotnych dla przebiegu śledztwa spraw. Jej zeznania mogły być bardzo cenne, pod jednym warunkiem: że w ogóle zechce z nimi rozmawiać.

— Chciałbym zadać pani kilka pytań — zaczął.

Bartczak zawahała się i spojrzała wymownie na Wejner.

— Nie wiem, czy mam coś do dodania na temat Andrzeja Babicza. Wszystko powiedziałam kilka dni temu — zauważyła spokojnie. Miała nadzieję, że tych kilka słów zamknie całą sprawę.

— Zgadza się, ale tym razem chcieliśmy porozmawiać o kimś zupełnie innym.

— O co chodzi, panie komisarzu?

— Chciałem panią spytać o Krzysztofa Kondrackiego... — rzucił.

Bartczak zamarła w bezruchu.

— Nie rozumiem, dlaczego miałabym rozmawiać z panem o moim szefie... — zamilkła.

Gwadera obawiał się, że tym razem na dłużej. Zastanawiał się w jaki sposób ma pokierować rozmowę, aby skruszyć mur, którym się otoczyła.

„Jakich mam użyć argumentów, aby ją przekonać? Od czego zacząć?”. Szukał w myślach tego jednego, odpowiedniego słowa, które niczym kamyczek poruszy lawinę.

Postanowił zacząć od tego, co w tej chwili było najważniejsze.

— Pani nic nie wie? — spytał.

Bartczak spojrzała na młodą policjantkę. Wyglądało na to, że w Wejner znalazła bratnią duszę, która w pełni zrozumie jej rozterki.

— O czym? — spytała cicho.

Nie odpowiedział.

— Czy... — Bartczak zamilkła, tak jakby bała się pytania, które chciała zadać, a w konsekwencji odpowiedzi, która mogła paść.

Kobieta szybko opanowała się.

— Czy coś się stało prezesowi? — spytała.

Była spokojna, lecz zdradził ją głos, który zmienił się tylko nieznacznie, ale wystarczająco, aby komisarz wyłapał tę zmianę.

Przed kilkoma dniami Wejner stwierdziła, że asystentka jest zakochana w swoim szefie. Wszystko wskazywało na to, że jej przypuszczenia były słuszne. Gwadera wiedział, że w takiej sytuacji musi ostrożnie dobierać pytania.

Od czego zacząć?

Wejner spostrzegła jego wahanie.

— Martwi się pani o prezesa? — rzuciła.

— Dlaczego miałabym się martwić? — spytała Bartczak pozornie obojętnym tonem.

„Ponieważ zależy pani na Krzysztofie Kondrackim” — odpowiedział w myślach za Bartczak.

Niemożliwe, żeby Kondracki tego nie dostrzegął. Nie był ślepy. Z luźno rzucanych uwag przez pracowników wynikało, że był raczej wrażliwy na kobiece wdzięki. Musiał wiedzieć, że dla Joanny Bartczak jest kimś więcej niż szefem.

Gwadera przypuszczał, że przygoda z Małgorzatą Szafran nauczyła go jednak ostrożności, dlatego wobec asystentki nie pozwalał sobie na żadne pozazawodowe kontakty.

Joanna Bartczak mimo tej obojętności gotowa była skoczyć za prezesem w ogień.

A Kondracki? Zapewne wykorzystywał tę sytuację w wygodny dla siebie sposób. W osobie asystentki miał lojalnego pracownika, któremu mógł bezgranicznie ufać.

Gwadera zastanawiał się, dlaczego kobieta po prostu nie odeszła z firmy. Było to najprostsze rozwiązanie. Nie zrobiła tego, chociaż nie brakowało jej przecież rozsądku.

Teraz mógł tylko stwierdzić, że zdecydowanie źle ulokowała swoje uczucia.

Uważnie patrzył w oczy kobiecie i po chwili już wiedział, że jest gotowa odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Postanowił grać na jej emocjach. Miał świadomość, że być może jest to jedyna droga do uzyskania pewnych informacji, które popchną śledztwo do przodu.

Teraz albo nigdy. Odkryła się, było mu to na rękę.

— Kondrackiemu nic się nie stało — odpowiedział na jej pytanie. Przez chwilę zastanawiał się, ile może jej powiedzieć. — Piotr Szmajter nie żyje. Został zamordowany — uzupełnił.

Bartczak zakryła usta dłonią, jej twarz pobleadła.

— Mój Boże — szepnęła.

Sięgnęła po chusteczkę.

Przez kilka chwil w pokoju panowała cisza. Gwadera, który uważnie obserwował twarz kobiety, był pewien, że jej reakcja była naturalna.

— Nie wydaje się to pani dziwne? Najpierw ginie Babicz, teraz Szmajter... — zawiesił głos.

Joanna Bartczak powoli oswajała się z przekazaną przez komisarza informacją.

— Postaram się odpowiedzieć na wszystkie pana pytania. — Jej intencje były czyste.

Począł jeszcze kilka chwil.

— Kiedy byłem tutaj ostatnio, zauważyłem, że wybuch prezesa zaskoczył panią — zaczął.

— Każdy ma lepsze i gorsze dni — skwitowała jego słowa.

Sięgnął pamięcią wstecz, do tamtego spotkania z Krzysztofem Kondrackim. Po wymianie grzecznościowych formułek ktoś wtedy zadzwonił. Ktoś, z kim prezes EEI nie chciał rozmawiać. Odniósł wówczas wrażenie, że jest to osoba, której Kondracki stara się unikać.

Nagle wydało mu się to bardzo ważne. Postanowił pójść tym tropem. Usiłował przypomnieć sobie nazwisko mężczyzny. Był zły, że w takim momencie pamięć spletała mu figla.

Nazwisko, nazwisko, powtarzał niczym mnich swoją mantrę. Po chwili już wiedział. Odetchnął z ulgą.

— Kim jest Marian Ropejko? — rzucił.

— Marian Ropejko — powtórzyła wolno.

— Proszę się dobrze zastanowić...

Nie naciskał. Dał znak Wejner, aby też powstrzymała się od pytań. Zrozumiała.

Cierpliwie czekali.

Odpowiedź padła po dwóch minutach:

— Był tutaj dwa, może trzy razy.

Gwadera zachęcił Bartczak gestem, aby powiedziała na ten temat coś więcej.

— Reprezentuje kancelarię Derwisz i Spółka — dodała beznamiętnym tonem, jakby recytowała książkę telefoniczną.

— A kogo reprezentuje kancelaria?

Uśmiechnęła się.

— Przykro mi, ale tego nie wiem.

Wierzył jej. Pomimo że była oczami i uszami prezesa, ten nie wtajemniczał jej we wszystkie sprawy, co było zrozumiałe i logiczne.

Gwaderę najbardziej interesowało, czy Marian Ropejko nie jest tym samym prawnikiem, który pojawił się w firmie z intratną propozycją, odrzuconą później przez Kondrackiego. Nie miał żadnych podstaw, aby tak sądzić, mimo to drażył temat.

— Odniosłem wrażenie, że Krzysztof Kondracki nie lubi go?

— Sentymenty nie mają w biznesie żadnego znaczenia.

— Czy Andrzej Babicz miał jakiś kontakt z panem Ropejko? — postanowił spróbować z innej strony.

Wahała się dłużej niż chwilę. Rozłożyła bezradnie dłonie.

— Nie wiem. Wydaje mi się, że Marian Ropejko pojawił się u nas mniej więcej dwa miesiące temu, krótko przed tym dziwnym zdarzeniem z Andrzejem... — zamilkła jak rażona gromem. W jej oczach Gwadera wyłapał

przerażenie.

— O jakim zdarzeniu pani mówi? — komisarz podjął rękawicę.

Joanna Bartczak pobladła.

— Nie powinnam o tym mówić... — zamilkła.

Były granice jej szczerości.

— Pani Asiu — zaczął ostrożnie. — Wiem, że jest pani trudno...

Nie musiał kończyć.

— Szef dawniej taki nie był — powiedziała cicho.

Gwadera pozwolił, aby kontynuowała swoją wypowiedź.

— Mam wrażenie, że szef pogubił się — dodała jeszcze ciszej, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę gabinetu.

— Pogubił? — Zaczynało być ciekawie.

Skinęła głową.

— W ocenie pewnych zdarzeń i tego, po czyjej stronie ma stanąć. A także w ocenie pewnych ludzi.

— Na przykład Andrzeja Babicza — podsunął.

— Nie tylko jego... — zamilkła.

Z trudem ukrywała narastający niepokój.

Gwadera patrzył na nią badawczo.

— To zdarzenie, o którym pani wspomniała, dotyczy jakiegoś zachowania prezesa, z którym wcześniej nigdy nie miała pani do czynienia? — wtrąciła się Wejner. Tak jak i za pierwszym razem trafiła z pytaniem.

Gwadera pochwalił ją w myślach. Wejner po raz kolejny dawała dowód na to, że dobrze się czuje w skórze policjanta. Dużo musiała jeszcze się nauczyć. Sposób, w jaki zadawała pytania, częściowo rekompensował jej zupełnie nieudaną akcję śledzenia Kondrackiego.

Bartczak zawahała się.

— Tak — powiedziała cicho.

— Proszę nam o wszystkim opowiedzieć — podkomisarz uśmiechnęła się lekko.

Asystentka, zachęcona jej słowami, zaczęła mówić:

— To było w ostatni piątek kwietnia. W biurze nie było już nikogo, prezes puścił wszystkich wcześniej do domu. Drukowałam dokumenty dla szefa, kiedy przyszedł Andrzej Babicz. Pamiętam, że byłam zdziwiona, kilka godzin wcześniej miał wyjechać do Krakowa. Bez słowa wszedł do gabinetu. Dziesięć minut później usłyszałam taki dziwny odgłos przypominający upadek czegoś ciężkiego na podłogę. Zapukałam do gabinetu i... — zamilkła. — Andrzej Babicz opierał się o biurko i chusteczką ścierał krew z rozciętej wargi.

— Kondracki uderzył go?

Skinęła głową.

— Nie widziałam tego, ale sędzę, że tak właśnie było.

— Pokłócili się — Gwadera podsumował. — Domyśla się pani, o co poszło?

— Nie.

— O kobietę? — dotykał czulego punktu.

— Nie. Na pewno nie.

— Więc?

Napotkał na jej opór.

Wiedział, że wcześniej czy później taki moment nadejdzie. Powiedziała i tak bardzo dużo.

Nie chciał jej spłoszyć.

— Co było dalej?

— Szef stał przy oknie, pił drinka. Usłyszał widocznie, że weszłam, bo odwrócił się. Przez chwilę patrzył na mnie z zakłopotaniem. Prawdopodobnie nie chciał, abym była świadkiem tej sceny. Położyłam dokument na biurku i miałam już wyjść, gdy odezwał się Babicz.

— Co powiedział?

— On często nie przebierał w słowach. Mnie to nawet drażniło, szefa chyba też, nigdy nie słyszałam, żeby przeklinał.

— Co powiedział Babicz? — powtórzył pytanie.

Zakasłała nerwowo.

— „Wypierdalasz mnie?”. Tak właśnie powiedział. I spojrzał na prezesa takim dziwnym wzrokiem, aż przeszły mi po plecach ciarki.

— Jak zareagował na te słowa Kondracki?

— Podszedł do biurka i zajął miejsce w fotelu. Długo, bardzo długo patrzył gdzieś przed siebie, w przestrzeń, całkowicie ignorując obecność moją i Babicza. Potem posłał Babiczowi trochę nieprzytomne spojrzenie i zupełnie spokojnym głosem powiedział: „Wyjdź, po prostu wyjdź”.

Zamilkła.

— Tego dnia widziała pani Babicza po raz ostatni?

— Tak. Od poniedziałku Babicz poszedł na urlop.

— Pani nigdy nie pytała Krzysztofa Kondrackiego o to wydarzenie?

— Na pewno nie chciałby o tym rozmawiać. To właśnie po tym wszystkim prezes zmienił się...

Znów przerwała.

— Zmienił? — podchwycił.

Przez chwilę walczyła z myślami. Mogła po prostu odmówić odpowiedzi na dalsze pytania, ale nie zrobiła tego.

Gwadera odniósł wrażenie, że kobieta chce podzielić się z nimi wszystkimi swoimi obawami i w ten sposób zrzucić wielki ciężar, który dźwigała od dłuższego już czasu.

— Co ma pani myśli? — postanowił jej pomóc.

Milczała.

— Często jest rozdrażniony.

„I swoją złość wyładowuje na pani” — pomyślał Gwadera, ale nie wypowiedział tego na głos.

— Chodzi pani o jakąś konkretną sytuację?

— Tak.

Gwadera czekał na dalsze słowa.

— Jarek sporządził raport.

— Jarek? — chciał wiedzieć, kogo ma na myśli.

— Malicki. Nasz analityk rynków zachodnich. Po zapoznaniu się z raportem Krzysztofowi puściły nerwy i na zebraniu kierowników podniesionym głosem skrytykował wnioski zawarte w opracowaniu, stwierdzając, że stanowi on jeden wielki bełkot, a jego autor wykazał się wyjątkową niezajomością tematu. Ten wybuch prezesa wszystkich nas zaskoczył. Nigdy wcześniej taka sytuacja nie miała miejsca. Na ogół, jeżeli Krzysztof ma do kogoś uwagi, to zaprasza go do siebie i tam, w gabinecie przeprowadza rzeczową rozmowę w spokojnej atmosferze.

— Czy takie zachowanie wobec innych osób powtarzało się?

— Nie.

— Kiedy prezes będzie w Warszawie?

— Najwcześniej pojutrze...

21.

Kondracki wrócił do Warszawy w piątek.

Gwadera w towarzystwie Wejner pojechał do biura, mając nadzieję, że w końcu uda im się spotkać z Kondrackim. Mężczyzna był nieuchwytny.

Bartczak, na której twarzy malowało się zmęczenie, wyjaśniła, że zaledwie kwadrans wcześniej Kondracki opuścił biuro i pojechał na spotkanie do restauracji Belvedere.

Gwadera nie namyślał się długo.

Przystojny kelner o wybrylantowanych włosach podszedł do policjantów wolnym krokiem i obrzucił ich uważnym spojrzeniem. Gwadera zdawał sobie sprawę, że nie pasują do tego miejsca, gdzie spotykali się elegancy mężczyźni i kobiety, miejsca, gdzie na kilometr pachniało wielkimi pieniędzmi.

— Stolik? — spytał grzecznym tonem kelner, na dłużej zatrzymując wzrok na przyjemnej twarzy Katarzyny Wejner. Kobieta nie pozostała mu dłużna.

— Szukamy kogoś — rzuciła.

— Tak?

— Krzysztof Kondracki.

Założyła, że prezes EEI jako stały gość był osobą rozpoznawalną. Nie

pomyliła się.

— Proszę za mną.

Krzysztof Kondracki siedział w głębi sali, przy czteroosobowym stoliku i rozmawiał przez telefon. Na widok zbliżających się policjantów przerwał rozmowę i wstał.

Wskazał wolne miejsca.

Gwadera przypuszczał, że Bartczak zadzwoniła do swojego szefa.

— W czym tym razem mogę panu pomóc? — spytał.

— Chciałbym porozmawiać o Piotrze Szmajterze — Komisarz zakładał, że Bartczak poinformowała prezesa o śmierci analityka.

Nie pomylił się.

— Wiadomość o śmierci Piotrka bardzo mnie zmartwiła — powiedział.

Ciekawe czy bardziej niż informacja o zamordowaniu Babicza?

— Bardzo chciałbym panu pomóc... ale nie wiem, w jaki sposób mogę to zrobić...

„Jasne, twoją chęć do współpracy zdążyłem już dobrze poznać” — pomyślał komisarz.

— Zadam panu kilka pytań. Od razu powiem, że interesuje mnie tylko prawda.

Wszystko teraz zależało od samego Kondrackiego, od tego, jakich udzieli wyjaśnień. Mężczyzna musiał zdawać sobie sprawę, że z każdym następnym kłamstwem pograży się jeszcze bardziej.

Kondracki zerknął na zegarek.

— Macie dziesięć minut — powiedział z chłodną uprzejmością.

Gwadera lekko zdziwiony spojrzał na Wejner, która w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie.

— Zajmę panu tyle czasu, ile będę potrzebował — zauważył.

Kondracki przez chwilę patrzył na komisarza zmrużonymi oczyma. Jeszcze się wahał. Przywołał kelnera i zamówił drinka.

— Słucham — powiedział, gdy mężczyzna odszedł.

— Rozmawiałem ze Szmajterem dzień przed jego śmiercią. Domyśla się pan, jaki był temat rozmowy?

Kondracki pokiwał głową.

— Zapewne powiedział panu bardzo dużo ciekawych rzeczy o mnie i firmie, które jednak mają niewiele wspólnego z prawdą.

— Nie lubił pana i zdaje się, że była to wzajemna niechęć...

— Miał do tego prawo. Cóż, zwolniłem go tak właściwie z dnia na dzień... ale... nie miałem innego wyjścia...

— Okazał się wobec pana nielojalny...

— Można tak to określić...

Gwadera niezadowolony pokręcił głową. Kondracki unikał jednoznacznych odpowiedzi.

— Dzień przed tym, zanim zwolnił pan Babicza, doszło między wami do kłótni — szybko zmienił temat. Specjalnie powiedział „zwolnił”. Był ciekaw, w jaki sposób na tę małą prowokację zareaguje Kondracki. Jeszcze bardziej interesowała go odpowiedź na to pytanie.

— Drobne nieporozumienie... — próbował zbyć komisarza.

— O co poszło? — Gwadera drażył temat. Spojrzał uważnie na twarz swego rozmówcy. Dostrzegł na niej trudno skrywaną złość.

Nie dziwił się. Kondracki miał prawo być zły. Informacja o zdarzeniu sprzed ponad dwóch miesięcy wydostała się z jego biura. Oznaczało to, że powoli tracił kontrolę nad tym, co robili i mówili jego pracownicy.

Nie spytał, skąd komisarz o tym wie. Łatwo było to odgadnąć.

Gwadera pomyślał, że dni Joanny Bartczak w firmie są policzone. Nie miał wątpliwości — w takiej sytuacji Krzysztof Kondracki nie będzie bawił się w jakiegokolwiek sentymenty.

W tej chwili komisarzowi było wszystko jedno, co stanie się z sympatyczną asystentką.

— Mam rozumieć, że to, jak to pan pięknie ujął, drobne nieporozumienie nie miało żadnego wpływu na pana późniejszą decyzję — przerwał ciszę. — Ot, przypadek, że zwolnił pan Babicza akurat następnego dnia.

— Andrzej popełniał zbyt dużo błędów, dlatego musiałem wysłać go na urlop — powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowo. — Już o tym rozmawialiśmy. To wszystko?

Nie. To nie było wszystko. Do wyjaśnienia pozostało jeszcze kilka kwestii.

— Gdzie pan był we wtorek pomiędzy siódmą a ósmą wieczorem? — spytał.

Kondracki na kilka chwil zamarł w bezruchu.

Długo, bardzo długo milczał.

— Jestem o coś oskarżony?

„Na razie nie, ale jesteś na najlepszej drodze do tego, abym postawił ci zarzut utrudniania śledztwa” — pomyślał komisarz.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Gwadera pochylił się lekko w stronę mężczyzny.

— Mamy dwie możliwości. Odpowie pan na moje pytania tu i teraz albo — na chwilę zawiesił głos — albo dokończymy tę rozmowę w zupełnie innym miejscu, na przykład w przytulnym pokoju, gdzieś w Pałacu Mostowskich.

Gwadera nie naciskał dając Kondrackiemu czas do namysłu.

Mężczyzna potarł oczy dłonią, jakby chciał obudzić się z jakiegoś koszmarne snu. Pokręcił głową.

— Ten wieczór jak i dziesiątego maja spędziłem z Anną Karlsson... miał

pan okazję ją poznać — wyjaśnił niezmiernym faktem, że kilka dni wcześniej powiedział zupełnie coś innego.

— Ta pani zapewne potwierdzi pana słowa?

— Tak — przerwał.

Nadszedł kelner z zamówionym drinkiem, postawił przed Kondrackim szklaneczkę i szybko oddalił się.

Kondracki przez kilka chwil patrzył na przezroczysty napój.

— Mam nadzieję, że pana następne pytanie nie będzie brzmiało: co wtedy robiliśmy. Mogę pana zapewnić, że nie oglądaliśmy wówczas znaczków... — powiedział, wolno przenosząc wzrok na komisarza.

— Z żoną rozstał się pan rok temu? — Gwadera celowo drażył temat, który był dla Kondrackiego niewygodny.

Mężczyzna, który nie uważał za stosowne odpowiadać na to pytanie, skinął tylko głową.

Gwadera zastanawiał się, co było pierwsze: romans czy rozstanie z małżonką. Co było przyczyną, a co skutkiem? Trudno było z posiadanych informacji wyciągnąć odpowiednie wnioski. Tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Tylko do momentu jednak, gdy ten wątek nie łączył się w żaden sposób z prowadzonym przez komisarza śledztwem. Komisarz dostrzegał pomiędzy sferą prywatnego życia prezesa a tym, co się wydarzyło w ostatnich dniach, pewne punkty zaczepienia.

— Szybko znalazł pan pocieszenie w innych ramionach — zauważył komisarz cicho, nie mogąc powstrzymać się od kąśliwej uwagi.

— Przyszedł pan rozmawiać o moich dylematach moralnych?

Gwadera uśmiechnął się.

— Stwierdził pan, że Andrzej Babicz był panu bliską osobą — wydobył z pamięci słowa, które padły w trakcie jednej z rozmów. — Tak bliską, że dzieliliście się nawet kobietami?

Kondracki spojrział na komisarza zmęczonym wzrokiem.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Przecież dobrze pan wie, że Anna Karlsson była żoną Andrzeja Babicza — powiedział ostrzejszym tonem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego mężczyzna, kiedy go o to pytał, skłamał.

Kondracki drgnął. Wydawał się poruszony tą informacją. W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Trwało to tylko moment, ale wystarczająco długo, by Gwadera zrozumiał. Nie miał wątpliwości, tym razem Kondracki nic nie udawał. Przekazana przed chwilą wiadomość zaskoczyła go.

— Nie wiedziałem — powiedział po bardzo długiej chwili milczenia.

Wyszła na jaw prawda, której nie znał. Kobieta, którą kochał i z którą spędzał każdą wolną chwilę, od samego początku nie była wobec niego szczera.

Uśmiechnął się smutno, wbijając wzrok w trzymaną w dłoni szklaneczkę. Sprawiał wrażenie nieobecnego myślami. Minęło kilka minut, zanim powrócił do rzeczywistości.

— Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo interesuje pana moje prywatne życie — zauważył cierpko, używając prawie tych samych słów, którymi przed paroma dniami zbyła komisarza Karlsson.

Spojrzał na komisarza z namysłem.

— Wydaje mi się, że pan akurat nie powinien niczemu się dziwić — powiedział spokojnym głosem, po raz kolejny udowadniając, że po mistrzowsku umie zapanować nad emocjami.

W umyśle Gwadery zapaliła się ostrzegawcza lampka. Słowa zabrzmiały dziwnie. Zaskoczony patrzył przez chwilę w zimne, niebieskie oczy Krzysztofa Kondrackiego.

— Relatywizm moralny — rzucił Kondracki, dopijając drinka.

— Obawiam się, że nie rozumiem — Gwadera był ostro-żny.

— Ależ rozumie pan bardzo dobrze — zapewnił Kondracki.

— Charakteryzuje pana relatywizm moralny.

Na kilka chwil zapadła pełna oczekiwania cisza.

— Nie ma ludzi idealnych... — Kondracki podjął tym samym wyważonym tonem.

Wejner pochyliła się lekko do przodu. Zrozumiała, że rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku, a kontrolę nad nią powoli przejmuje Kondracki. Nic nie było tak jak ustalili w samochodzie.

Wejner spojrzała zaniepokojona na komisarza. Nie podobał jej się wyraz jego twarzy. Zdała sobie sprawę, że nie powinni ciągnąć tej rozmowy. Chciała włączyć się do tej wymiany zdań, lecz nie zdążyła.

— Pan to taki człowiek bez skazy? — spytał Kondracki. — Przecież i w pana życiorysie są jakieś plamy.

Gwadera zaniepokojony czekał na następne słowa.

— Pana żona nie odeszła bez przyczyny — zauważył cicho Kondracki.

Gwadera przymknął na chwilę oczy. Poczł się nieswojo, jak zawsze, gdy ktoś wspominał o jego zupełnie nieudanym związku.

— Zabrała ze sobą syna...

Rzucone od niechcienia słowa niczym drobne igiełki wbijały się w umysł Gwadery. Kondracki kilkoma celnymi uwagami wyprowadził komisarza z równowagi. Słowa-klucze otworzyły szufladę, w której Gwadera starannie ukrył bolesne wspomnienia.

Wejner nie zdążyła zareagować. Komisarz szybko chwycił Kondrackiego za klapy marynarki i przyciągnął do siebie.

— Skąd wiesz, skurwielu? — wysyczał.

— Informacja jest dzisiaj cennym towarem, komisarzu — powiedział cicho Kondracki. Nie bronił się. — Każdego można kupić. Zwłaszcza pana ludzi — rzucił, zerkając na Wejner.

Nieprzespana noc, zmęczenie, wydarzenia ostatnich dni, wszystkie te czynniki razem spowodowały, że Gwadera stracił kontrolę nad tym, co robi. Nie panował już nad sobą. Zanim pomyślał, było już za późno. Zamachnął się i uderzył Kondrackiego otwartą dłonią w twarz. Nie był to mocny cios.

— Szefie... — spokojny głos Wejner przywołał komisarza do rzeczywistości.

Kondracki dotknął rozciętej wargi. Popatrzył na krew.

— Jak się pan czuje, komisarzu, gdy ktoś grzebie w pana prywatnym życiu? — spytał zupełnie spokojnie.

„Paskudnie” — pomyślał Gwadera.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że mężczyzna od pewnego czasu dążył do takiej sytuacji, kiedy nie będzie musiał odpowiadać na żadne pytania. Zwłaszcza te, które były dla niego niewygodne. Osiągnął swój cel.

— Wszystko w porządku?

Kelner wyrósł jak spod ziemi. Patrzył na nich zaniepokojonym wzrokiem. Rozejrzał się nerwowo.

— Wzbudzacie panowie niepotrzebną sensację.

Słowa nie do końca odzwierciedlały prawdę. Oprócz nich na sali nie było nikogo.

— Myślę, komisarzu, że to byłoby na tyle... — Kondracki patrzył komisarzowi prosto w oczy. — Chciałem jeszcze tylko pana uprzedzić, że następnym razem będzie pan musiał przyjść z prokuratorem. Nie będę odpowiadał na żadne pytania bez jego obecności

Gwadera wstał. Przekroczył pewną granicę. Nie było odwrotu od tego, co się stało. Czuł, jak powoli zaciska się na jego szyi pętla.

Wyszedł bez słowa. Kondracki długo jeszcze patrzył za policjantami. Na jego twarzy błędził zagadkowy uśmiech.

Gwadera zastanawiał się, co dalej. Wystarczyło kilka słów, aby powróciły wspomnienia. Był na siebie zły, że tak łatwo dał się wyprowadzić z równowagi. Sądził, że już dawno ma to za sobą.

Wybuch, nad którym nie zapanował, niósł ze sobą określone konsekwencje. W najlepszym wypadku naczelnik wydziału mógł odsunąć go od śledztwa, w najgorszym...

Próbował odgonić ponure myśli. Bezskutecznie. „W najgorszym zawiesi mnie w obowiązkach i będzie miał całkowitą rację” — dokończył.

Sytuacja, w jakiej się znalazł, nie była do pozazdroszczenia. Wszystko zależało od jednego człowieka. Od tego, jak zachowa się Krzysztof Kondracki.

„Wszystko zależy od dwóch osób” — poprawił się w myślach, zerkając na Wejner. Od momentu, kiedy opuścili Belvedere, młoda policjantka nie odezwała się nawet słowem. Domyślał się, że, jak to było w jej zwyczaju, analizowała całe wydarzenie.

— Pani Kasiu — zaczął, odrywając wzrok od jezdni.

— Nic nie widziałam — powiedziała przez zaciśnięte usta.

Był pewien, że Wejner stanie po jego stronie, bez względu na to, jak postąpi Kondracki.

Nie mógł pozwolić, aby na początku swojej zawodowej drogi zamykała sobie drogę do kariery.

„To ja popełniłem błąd i tylko ja za to odpowiadam”.

Zatrzymali się na światłach. Wykorzystał tę chwilę i spojrzał na swoją koleżankę.

— Pani Kasiu, gdyby ktoś panią pytał o to zdarzenie, proszę mówić tylko prawdę. — Nie chciał pociągnąć jej za sobą.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wiedział, że nie posłucha jego rady.

Skąd Kondracki wiedział? Znał szczegóły z jego życia. Kupił te informacje jak towar na bazarze. Skoro jest towar musi być sprzedawca. Kto? Pytania nie dawały mu spokoju.

Kiedy rozstał się z Wejner, myślał tylko o jednym. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu i zamknąć w czterech ścianach, odgrodzić od świata i ludzi, chociaż na kilka godzin zapomnieć o wszystkim.

Chwilę później zmienił plany. Prawie godzinę jeździł bez celu po mieście. Dwukrotnie przejechał obok kamienicy na Smulikowskiego.

Korciło go, aby odwiedzić Małgorzatę Wolańską. Zatrzymał samochód przed bramą, ale nie wysiadł. W ostatniej chwili rozmyślił się. Nie chciał obarczać jej swoimi problemami.

W końcu pojechał do domu. Wyłączył telefon.

Głupcze, cholerny głupcze.

Nieuchronność pewnych zdarzeń. Kilka słów i koniec. Misternie budowany plan legł w gruzach.

Nie było już odwrotu. Teraz wiedział, jak mogli czuć się rzymscy gladiatorzy idący na śmierć.

„Co jest przede mną? Przepaść?” Zastanowił się, co w takim wypadku powiedziała by Kurski.

Bardzo potrzebował rozmowy z emerytowanym historykiem. Było to niemożliwe. Profesor wybrał się w jedną ze swoich licznych podróży. Tym razem pojechał do... Właśnie, dokąd? Na pewno o tym rozmawiali. W tej chwili nie mógł sobie tego przypomnieć. Nie było to ważne, ale denerwowało go, że zawodzi go pamięć.

„Co w takiej chwili powiedziała by Kurski?” — powtórzył pytanie.

„Musisz się wyciszyć. Jeszcze raz obejrzeć ten film...”.

W tym stwierdzeniu było dużo prawdy.

Myśli komisarza galopowały wokół spotkania z Kondrackim. Gorączkowo szukał wyjścia z tej niezbyt korzystnej dla siebie sytuacji. Świadomość, że przez własne nieprzemyślane działanie wszystko spała, nie była budująca.

Wiedział, że będzie szukał odpowiedzi na pytania, które go nurtowały, tak długo, dopóki sam nie stwierdzi, że nie można już nic więcej zrobić. Będzie je zadawał, ale nie teraz. Nie w tej chwili.

Wyjął z lodówki butelkę wódki. Nalał sobie kieliszek. Upił łyk i wykrzywił się z niesmakiem.

Przeszedł do pokoju. Włączył telewizor.

Przez kilka minut szukał czegoś ciekawego. Wszędzie to samo, gadające głowy, ogłupiające seriale, programy rozrywkowe, które miały przyciągnąć widzów gwiazdami. W rzeczywistości te gwiazdy były tylko gwiazdeczkami jednego sezonu, których nazwiska tak naprawdę przeciętnemu Kowalskiemu nic nie mówiły. Za kilka lat wszyscy o nich zapomną.

W końcu zmęczony zasnął.

Obudził go natarczywy dźwięk telefonu. W pierwszym odruchu sięgnął po komórkę. Przypomniał sobie, że przecież wyłączył ją jeszcze w samochodzie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma.

Wstał i przeszedł do przedpokoju. Podniósł słuchawkę.

— Tak? — rzucił tonem, który miał zniechęcić rozmówcę.

— Przeszkadzam? — spytała Katarzyna Wejner.

— Nie.

— Nie odbierał pan komórki — powiedziała z przyganą w głosie.

— Coś ważnego? — spytał.

— Nie wiem — odpowiedziała szczerze.

Chciał powiedzieć „To po co zawracasz mi głowę”, ale nie zrobił tego. Odnosił wrażenie, że policjantka ma do przekazania jakieś ważne informacje.

— O co chodzi, pani Kasiu? — spytał łagodniejszym tonem.

— Przed chwilą na komisariat zadzwonił Podedworny.

Na brzmienie nazwiska drgnął.

— Wcześniej próbował dodzwonić się do pana na komórkę. Chce się z panem zobaczyć. Ma do przekazania jakąś ważną informację.

— Mówił, o co chodzi?

— Nie. Chce rozmawiać tylko z panem. Wydaje mi się, że on... on się czegoś boi.

Gwadera na krótką chwilę zamarł w bezruchu.

Nie wiedział, na jakiej podstawie Wejner wysnuła taki wniosek, ale był

przekonany, że kobieta ma rację. Dotąd trafnie oceniała sytuacje.

Słowa zaniepokoiły go.

Spytał o Osmalka. Chciał, aby to on pojechał z nim na Smulikowskiego.

Kilka chwil później musiał skorygować swoje plany. Policjant zaledwie parę minut wcześniej wyszedł z komisariatu. Całe popołudnie spędził na wędrówce od banku do banku w poszukiwaniu tego, w którym Andrzej Babicz mógł mieć skrytkę. Był zniechęcony. Wszędzie otrzymywał taką samą negatywną odpowiedź.

Gwadera doszedł do wniosku, że nie będzie ścigał Osmalka z powrotem do pracy. Postanowił, że pojedzie tam sam.

— Jest pan tam? — usłyszał pytanie.

Wejner brutalnie wtargnęła w świat jego myśli.

— To wszystko?

— Tak.

— Gdzie pani teraz jest?

— W pracy...

Zastanowił się. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu ciągnąć ją na Smulikowskiego, z Powiśla miał bliżej.

— Proszę wracać do domu...

— Jadę z panem — głos kobiety był stanowczy.

Na chwilę Gwadera zamilkł. Nie miał ochoty przekomarzać się z młodą policjantką.

— Nie potrzebuję niańki, pani Kasiu — powiedział oschle.

— Oczywiście, jest pan przecież dużym chłopcem, ale proszę pamiętać, że pracujemy w jednym zespole, panie komisarzu.

Gwadera uśmiechnął się. Kilka dni wcześniej podobne słowa padły z ust naczelnika wydziału. Zarówno Kawecki, jak i młoda policjantka mieli rację.

— Dobrze. W takim razie przyjedzie pani po mnie na Powiśle i dopiero stąd pojedziemy na Smulikowskiego.

Wejner w milczeniu wysłuchiwała komisarza.

— Nie jedziemy na Smulikowskiego — szybko wyprowadziła go z błędu.

Nie zrozumiał.

— Podedworny będzie czekał na pana w domu matki. Na Płatniczej — rzuciła nazwę ulicy.

Płatnicza, Płatnicza? Nic mu to nie mówiło.

Gdzie, u licha, jest ta ulica?

— Na Płatniczej — powtórzył. — To znaczy gdzie?

— Stare Bielany — odpowiedziała. — W bok od Żeromskiego. Taka kolonia domków jednorodzinnych. To jedna z tych urokliwych uliczek, gdzie do dzisiaj zachowały się gazowe latarnie.

Przypomniał sobie, że był tam kiedyś, jeszcze w liceum.

Całe wieki temu.

Postanowił, że pojedą tam osobno, każde swoim samochodem. Wejner prosto z komisariatu, on od siebie, z Powiśla. Wiedział, że Wejner dotrze tam przed nim, z komisariatu miała bliżej, dlatego polecił jej, aby cierpliwie czekała na niego. Miała obserwować dom.

Od chwili, kiedy odebrał telefon, do momentu, kiedy skręcał z Żeromskiego w Płatniczą, minęła prawie godzina.

Kiedy próbował ominąć zakorkowany Plac Wilsona, zagubił się w wąskich, ciągle remontowanych uliczkach Żoliborza. Klucząc, znalazł się przy Hali Marymonckiej. Dopiero stąd prosto samą Marymoncką dojechał do Żeromskiego.

Jechał za szybko. Kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie Żeromskiego z jednej strony spotykała się z aleją Zjednoczenia, z drugiej zaś z ulicą Adama Jarzębskiego, zatrzymał go patrol drogówki.

Byli to młodzi policjanci, których nie znał. Opuścił boczną szybę i przekonany, że zaraz go puszczą, pokazał im legitymację. Policjanci spojrzeli na komisarza czujnie, chwilę później kazali mu wysiąść.

Wyższy uśmiechnął się i stwierdził, że podrabiano nie takie rzeczy. Gwadera nieźle już zdenerwowany poradził im, aby jak najszybciej skontaktowali się z dyżurnym, który potwierdzi jego tożsamość. Pięć minut później, kiedy wszystko już się wyjaśniło, Gwadera w niezbyt delikatnych słowach powiedział, co o tym myśli.

Ostre wystąpienie komisarza skwitowali stwierdzeniem: — My tylko wypełniamy swoje obowiązki. — W duchu przyznał im rację. Był przekonany, że gdyby znalazł się na ich miejscu, postąpiłby dokładnie tak samo.

Gwadera, skręcając z Żeromskiego w Płatniczą, uświadomił sobie, że nie wie, jakim samochodem jeździ Wejner. „Co z ciebie za policjant, komisarzu, skoro nie wiesz takich podstawowych rzeczy?” — powiedział do siebie.

Płatnicza była wąską uliczką zabudowaną jednorodzinnymi domkami o ciekawej architekturze. Niektóre, jak na przykład ten, w którym znajdował się Klub Pod Podłogą z Jadłem, przypominały swym wyglądem stare dworki.

Kilkadziesiąt metrów za klubem wyrosły jednopiętrowe bliźniaki. Przed jednym z nich, pomiędzy latarniami parkował czerwony ford Ka, za kierownicą którego siedziała Wejner.

Kobieta musiała dostrzec w lusterku nadjeżdżający samochód komisarza, gdyż na krótką chwilę zapaliła światła.

Gwadera zatrzymał się tuż za fordem. Katarzyna Wejner wysiadła z samochodu i podeszła do komisarza.

— To tamten dom — wskazała na segmentowiec w piaskowym kolorze.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak. Przez ten czas, jak tu jestem — przerwała — to znaczy mniej więcej

od kwadransa — jak zwykle była dokładna — nikt nie wchodził ani nie wychodził.

— Dobrze. Chodźmy.

Przeszli na drugą stronę ulicy.

Dostępu do willi broniło metalowe ogrodzenie i solidna furtka. Gwadera nacisnął na klamkę. Furtka ustąpiła. Wydawało mu się to dziwne, ale nic nie powiedział.

Weszli na teren posesji. Do niewielkiego tarasu przed domem prowadziła żwirowa ścieżka. Po obu jej stronach rosły krzaki róż.

Gwadera zamykał za sobą furtkę, kiedy przypomniał sobie, że zostawił w samochodzie komórkę. Czekał na telefon od Magdy, dlatego, nie zastanawiając się długo, zawrócił.

— Proszę tu na mnie poczekać — mruknął niezadowolony do Wejner.

Kobieta skinęła głową na znak, że oczywiście będzie czekać.

Komórka leżała na przednim siedzeniu. Gwadera zerknął na wyświetlacz. Żadnych połączeń. Odetchnął z ulgą. Zamknął samochód i ruszył szybkim krokiem w stronę piaskowego segmentowca.

Przystanął przy furtce. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało. Dlaczego kiedy wchodzili na teren posesji, była otwarta? Nie sądził, aby nawet w takiej dzielnicy jak ta, gdzie wszyscy się znali, ludzie zapominali o ostrożności. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy pozostawiano otwarte drzwi.

Gwadera przyjrzał się zamkowi. Po chwili nie miał już żadnych wątpliwości. Ktoś zablokował mechanizm, tak aby uniemożliwić jego zamknięcie. Komisarz poczuł niepokój. Wzrokiem odszukał Wejner. Policjantka czekała na niego przy drzwiach.

— Pani Kasiu! — krzyknął.

Obejrzała się przez ramię.

— Niech pani poczeka...

Katarzyna Wejner nacisnęła dzwonek. Chwilę później rozpętało się piekło.

Siła wybuchu odrzuciła Gwaderę do tyłu jak szmacianą lalkę. Na minutę, a może tylko na parę sekund stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, w pierwszym przebłysku świadomości nie wiedział, gdzie jest. Nic nie słyszał, nic nie czuł. Trwał w stanie zawieszenia, obojętny na upływ czasu.

Powoli zaczęły powracać do niego dźwięki i zapachy. Gdzieś z daleka dochodził odgłos syreny. Słyszał pojedyncze głosy. Krzyk.

Wokół śmierdziało spalenizną.

Próbował wstać. Zalała go przyprawiająca o mdłości fala bólu. Ostrożnie przewrócił się na plecy i w tej pozycji odczekał kilka sekund. Wstał, podpierając się dłońmi.

Spojrzał przed siebie. Tam, gdzie przed kilkoma minutami stał dom, były teraz ruiny, z których buchały języki ognia. W jednej chwili czyjś świat legł

w gruzach.

— Kasia — szepnął komisarz, kiedy jego skołatany umysł złożył wszystko w całość.

Na drżących nogach ruszył w stronę palącego się domu, nad którym unosił się gryzący dym.

Katarzyna Wejner leżała dwa metry od ścieżki, przysypana białym pyłem.

Gwadera nie zastanawiał się nawet przez chwilę. Wziął kobietę na ręce i przeniósł dalej, w bezpieczniejsze miejsce. Dopiero teraz sprawdził puls. Wejner żyła, ale z trudem walczyła o każdy oddech. Klęknął przy niej i ujął wyciągniętą w jego stronę dłoń.

— Będzie dobrze — powiedział cicho, odgarniając z jej zakrwawionego czoła niesforne kosmyki włosów. — Będzie dobrze.

Pierwsza przyjechała straż, zaraz potem karetka pogotowia i radiowóz.

Ktoś delikatnie położył dłoń na ramieniu Gwadery. Komisarz uniósł głowę i napotkał na pełne troski spojrzenie ciemnoskórego lekarza.

— Pozwoli pan, że teraz my się nią zajmiemy... — mężczyzna mówił czystą polszczyzną.

Gwadera ciężko wstał. Patrzył, jak ratownicy delikatnie kładą Wejner na noszach. Patrzył, jak wnoszą ją do karetki. Nie poruszył się. Był jak sparaliżowany. Miał wrażenie, że ogląda w zwolnionym tempie jakiś film. Klatka po klatce. Wszystko to, co się wokół działo, nie dotyczyło jego. Był tylko widzem, jak w kinie.

— Jest pan ranny? — usłyszał z bardzo daleka. Nie od razu zrozumiał, że słowa są skierowane do niego.

— Nie — odpowiedział bardzo wolno

Mężczyzna w białym kitlu przyglądał się komisarzowi uważnie.

— To nie moja krew... — zapewnił Gwadera, patrząc z pewnym niedowierzaniem na swoje zakrwawione dłonie i ubranie.

— Jedzie pan z nami — powiedział lekarz zdecydowanym głosem.

Gwadera zaprotestował ostro. Musi tu zostać i wyjaśnić wszystko od początku do końca. Wyjął legitymację.

Mężczyzna spojrzał na niego twardo.

— Są tu pana koledzy. Jestem przekonany, że poradzą sobie bez pana — mówił do Gwadery spokojnie, prawie jak do krnąbrnego dziecka. — Niech pan wsiada.

Gwadera potrząsnął głową. W tym samym momencie ziemia uciekła mu spod nóg.

W szpitalu Gwaderą zajął się młody lekarz, który był jeszcze na stażu. Mężczyzna dokładnie zbadał komisarza, nie pomijając tych badań, które miały wykluczyć uraz głowy. W milczeniu wypisał kartę pacjenta. Zapisał wskazania.

Środki przeciwbólowe i na wszelki wypadek zastrzyk przeciwțęczowy.

Potem stwierdził z uśmiechem, że komisarz miał bardzo duŝo szczęścia, wychodząc z całego tego zdarzenia prawie bez szwanku. Zakończyło się na kilku zadrapaniach, ogólnym potłuczeniu, siniakach i zdartym naskórku na kostkach dłoni.

— Co z Kasią? — spytał Gwadera, kiedy badania dobiegły końca.

— Pyta pan o tę młodą kobietę, którą przywieziono z panem?

— Pracujemy razem.

Lekarz bez słowa wyszedł z ambulatorium, obiecując, że zorientuje się w sytuacji. Kiedy wrócił po kilku minutach, nie miał zbyt pewnej miny.

— Jest w tej chwili operowana.

Gwadera spojrział na męczyznę zniecierpliwiony. To już wiedział.

„Całe nasze życie to mniejsze lub większe kłamstwa” — pomyślał i chwycił lekarza za ramię. Chciał znać prawdę, nawet jeŝeli była bolesna.

— A dokładnie? — Komisarz domagał się wyjaśnień.

— Musi pan uzbroić się w cierpliwość.

Ta wykrętna odpowiedź nie zadowolila komisarza. Gwadera mocniej zacisnął dłoń na ramieniu lekarza. Ten odwzajemnił mu się wymownym spojrzeniem.

— Przepraszam — mruknął Gwadera.

— Wiem tylko, że jej obrażenia są bardzo poważne...

Gwadera postanowił, że zaczeka w szpitalu do czasu, aż operacja dobiegnie końca. Usiadł na ławce jak najbliŝej sali. W ciszy, jaka panowała na szpitalnym korytarzu, analizował przebieg całego zdarzenia. Rozwaŝył kilka moŝliwości. Najprawdopodobniejsza wydawała mu się ta, że wybuch, który zmiotł wille i uszkodził znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie domy, nie był przypadkowy.

Komuś zależało na tym, aby Podedworny nie spotkał się z komisarzem. Czyżby wiedział o czymś, co miało bezpośredni związek ze śmiercią Babicza?

Gwadera myślami cofnął się do tamtego dnia, kiedy Podedworny pojawił się w komendzie. Męczyzna sprawiał wrażenie przybitego, śmierć Babicza była dla niego ciosem. Chciał pomóc, ale tak samo jak w przypadku innych osób, z którymi komisarz wcześniej rozmawiał, okazało się, że nie miał nic waŝnego do powiedzenia.

Pomimo że spędzał z nim duŝo czasu, prawie go nie znał.

Gwadera zacisnął dłonie w pięści. Rzeczywistość pokazała, że źle ocenił sytuację. „Aŝ tak się pomyliłem w jego ocenie?” — pomyślał.

— Roman — z bardzo daleka dotarł do niego męski głos.

Gwadera zamyślony spojrział na stojącego przed nim komisarza Marciniaka.

— Jak się czujesz? — padło pytanie. W głosie Marciniaka zabrzmiała troska.

Świetnie, chciał krzyknąć, dając upust swojej złości. W ostatniej chwili powstrzymał się.

— Powinieneś raczej spytać, jak czuje się Kasia... — powiedział tylko zmęczonym głosem.

Marciniak usiadł obok. Kiedy automatycznie sięgnął do kieszeni, w której trzymał papierosy, Gwadera zauważył, że mężczyźni drżą ze zdenerwowania dłonie. Marciniak wyjął papierosa z paczki i dopiero wkładając do ust zorientował się, że na terenie szpitala obowiązuje całkowity zakaz palenia. Jak było to w jego zwyczaju, zaklął.

— Jeszcze trochę, a nie będzie można palić we własnym domu — skomentował. — Przyczepią nam jakieś cholerne czipy i będą sprawdzać, czy przestrzegamy zakazu — wybiegł myślami daleko w przyszłość.

Westchnął.

— Co się tam właściwie stało? — spytał Gwaderę, mnąc papierosa w dłoniach.

— Myślałem, że ty mi to powiesz...

Marciniak westchnął.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem — przerwał, szukając odpowiednich słów. — Widok jak po przejściu trąby powietrznej. Dwa sąsiadujące domy są w połowie zniszczone, nie licząc wybitych szyb w parkujących na ulicy samochodach.

Zerknął na Gwaderę.

— Cud, że wyszedłeś z tego cało.

Gwadera nie rozpatrywał tego w takich kategoriach, bardziej odpowiadało mu określenie użyte przez młodego lekarza. Szczęście. „Miałem po prostu cholerne szczęście” — pomyślał. O czym nie mogła powiedzieć Katarzyna Wejner.

Katarzyna Wejner.

Uśmiechnął się smutno. Znów przez jego umysł galopowały ponure myśli. Powoli pogrążał się w poczuciu winy. „Gdybym miał włączoną komórkę, gdybym nie uciekał w samotność, gdybym... To ja powinienem być na jej miejscu”.

— Mógł to być zwykły zbieg okoliczności — powiedział Marciniak bez przekonania. Sam w to nie wierzył.

— Co z lokatorami? — spytał Gwadera.

W tym wypadku odpowiedź mogła być jedna.

— Znaleźliśmy tylko ciało mężczyzny.

Gwadera odetchnął z ulgą.

— Właścicielka domu wyjechała dwa dni temu do krewnych. Na razie nie wiemy, kim był mężczyzna, który tam zginął.

— To jej syn... — powiedział Gwadera i wyprzedzając następne pytania Marciniaka, zapoznał go z tym wątkiem śledztwa, który wiązał się z całym

wydarzeniem. Kiedy skończył, na kilka chwil zapadła cisza.

— Przepytałem sąsiadów. Nie zauważyli nic szczególnego. Normalne popołudnie w warszawskiej dzielnicy.

— Czyli nic nie wiemy? — podsumował Gwadera.

Marciniak przyznał mu rację.

Wstał. Zaproponował komisarzowi, że podwiezie go do domu. Gwadera podziękował.

Został sam. O tej porze w szpitalu było pusto i cicho. Chorzy spali twardym snem, ukołysani bólem. Czas mijał bardzo wolno. Dopiero teraz Gwadera poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Oparł się o ścianę i przymknął oczy. Zapadł w stan półsnu, półjawy.

— Komisarz Gwadera?

Otworzył oczy i napotkał zatroskany wzrok młodej, zielonookiej pielęgniarki.

— Tak? — Gwadera wystraszył się, że przyniosła złe wieści. Zrobiło mu się gorąco.

— Jeszcze nie skończyli jej operować — powiedziała tylko.

— Która godzina?

— Dziewiąta.

— Strasznie długo to trwa.

— Proszę mi wierzyć, lekarze robią wszystko, co w ich mocy...

Milczał. Od początku nie miał co do tego wątpliwości.

— Niech pan idzie do domu — poradziła.

— Poczekam.

Wzruszyła ramionami. Spełniła swoje zadanie. Nie mogła Gwadery do niczego zmusić.

— Jak pan chce.

Kwadrans później na korytarzu pojawił się lekarz.

— Doktor Jan Muszalik — przedstawił się. — Pana koleżanka wyjdzie z tego — powiedział zmęczonym głosem.

Dla Gwadery była to najlepsza wiadomość, jaką usłyszał od paru dni.

— Jest młoda, ma silny organizm. Wszystko będzie dobrze.

— Mogę ją zobaczyć?

— Nie dzisiaj. Musieliśmy wprowadzić ją w śpiączkę farmakologiczną. Niech pan wraca do domu.

Gwadera skinął głową. Doszedł do wniosku, że w obecnej sytuacji jest to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Katarzyna Wejner była pod dobrą opieką.

— Gdyby coś się działo, zadzwoni pan do mnie — powiedział, podając lekarzowi wizytówkę. Chwilę później uświadomił sobie, że są tam wypisane dwa telefony — komórkowy i stacjonarny do komisariatu. Ten pierwszy telefon został

zniszczony podczas wybuchu, pod drugim aż do następnego dnia będzie nieosiągalny.

Gwadera poprosił o długopis i dopisał swój domowy numer.

— Proszę dzwonić o każdej porze.

Doktor Muszalik odprowadził komisarza do drzwi i zamówił dla niego taksówkę.

Na pożegnanie panowie uścisnęli sobie dłonie.

— Dziękuję panu — powiedział komisarz, kiedy otwierał drzwi samochodu.

W odpowiedzi Muszalik uśmiechnął się.

— To moja praca, komisarzu.

22.

Gwadera zatracił poczucie czasu. Nie wiedział, jak i kiedy dojechał na Powiśle.

Na ziemię sprowadził go cichy, ale stanowczy głos taksówkarza dopominającego się o zapłatę. Gwadera wysiadł przekonany, że zapłacił za dużo. Nie miał siły ani ochoty wyklócać się o rachunek. Machnął na to ręką. Były rzeczy ważniejsze.

Powiał wiatr. Komisarz zadrżał z zimna. Wolno, jak stary, zmęczony życiem człowiek wszedł do bramy. Poczul znajomy zapach moczu.

Mieszkanie przywitało go absolutną ciszą. Nawet za ścianą, skąd na ogół dochodziły głośnie i burzliwe rozmowy, panował spokój.

Gwadera długo brał na przemian zimny i gorący prysznic, zmywając z siebie przeżycia dnia. Potem ubrany w szlafrok siedział po ciemku w pokoju i słuchał muzyki. Tego wieczora robił wszystko, aby wyciszyć niespokojne myśli i emocje. Kiedy muzyka nie pomogła, sięgnął po napoczętą butelkę wódki. Dopijał drugi kieliszek, kiedy w przedpokoju odezwał się telefon.

Zawahał się, nie był pewien, czy chce teraz z kimkolwiek rozmawiać. Dźwięk powtórzył się.

— Słucham?

— Roman... — rozpoznał głos Małgorzaty Wolańskiej.

Przypomniał sobie, że po raz kolejny nie dotrzymał słowa. Przed kilkoma dniami zapewnił, że w tygodniu odezwie się do niej. Milczał, nie bardzo wiedząc, co w takiej sytuacji ma powiedzieć. Wiedział jedno — bardzo mu na niej zależało.

— Wszystko w porządku? — spytała, wyczuwając jego zły nastrój.

Milczał.

— A może... przyjedziesz do mnie? — zaproponowała nagle.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.

— Pamiętasz, co mówiłam kilka dni temu?

Nie wiedział, co miała na myśli. Poruszali wówczas wiele tematów.

— Powiedziałam wówczas, że gdybyś musiał z kimś pogadać, to po prostu zadzwoń lub wpadnij.

Tak. Pamiętał te słowa.

Gwadera w stosunkowo krótkim czasie po raz kolejny skorzystał z taksówki. Kiedy dzwonił do jednej z wielu warszawskich korporacji, pomyślał, że w ostatnim tygodniu mocno nadwerżył domowy budżet.

Nie miał innego wyjścia.

Samochód zostawił na Starych Bielanych. Przypuszczał, że podczas wybuchu został uszkodzony, tak jak inne parkujące na ulicy samochody. Miał cichą nadzieję, że któryś z kolegów wpadł na pomysł, aby odstawić go na policyjny parking.

Kierowca usiłował wciągnąć swego pasażera w rozmowę. Kiedy zorientował się, że ten nie ma ochoty na pogaduszki o wszystkim i niczym, zamilkł.

Gwadera nie był pewien, czy dobrze zrobił, przyjmując zaproszenie Małgorzaty Wolańskiej. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to dobry pomysł, dopiero kiedy wsiadał do taksówki, pojawiły się wątpliwości, które szybko zdławił. Wątpliwości powróciły ze zdwojoną siłą w chwili, gdy taksówka odjechała, a on pozostał sam na cichej i uśpionej ulicy.

Nie czuł się dobrze, powoli dawał o sobie znać wstrząs, jakiego doznał jego organizm.

Kilka długich minut stał niezdecydowany przed bramą.

Małgorzata Wolańska otworzyła drzwi po pierwszym dzwonku. Na jej twarzy gościł nieśmiały uśmiech. Bez słowa zaprowadziła Gwaderę do pokoju. Ze starego kredensu, na który komisarz już poprzednio zwrócił uwagę, wyjęła karafkę z alkoholem.

Gwadera z wdzięcznością przyjął z jej drobnych dłoni kieliszek aromatycznego trunku, choć nigdy nie przepadał za kolorowymi wódkami.

— To nalewka cioci — wyjaśniła, zachęcając, aby spróbował.

Upił łyk. Nalewka miała lekko gorzki smak i, co musiał przyznać, była mocniejsza, niż przypuszczał. Wypił do dna, chwilę później poczuł, jak po ciele rozchodzi się przyjemne ciepło. Spod w półprzymkniętych powiek patrzył na siedzącą naprzeciw niego kobietę.

Pochylił się lekko w jej stronę. Miał wątpliwości, czy jest to odpowiednia chwila, aby mógł posunąć się w ich znajomości następny krok do przodu. Małgorzata Wolańska była delikatną i wrażliwą kobietą. Nie chciał jej urazić.

To ona zrobiła pierwszy ruch. Dłonią dotknęła jego policzka. Ten drobny gest był jak zaproszenie. Gwadera nie był w stanie dłużej panować nad sobą. Odstawił pusty kieliszek, który bez sensu trzymał w dłoni. Przesiadł się na wersalkę. Położył ręce na szczupłych ramionach kobiety i przyciągnął ją do siebie.

— Jesteś pewna, że tego chcesz? — spytał cicho, całując ją w usta.

Skinęła głową.

Gwadera zabijał wyrzuty sumienia myślami, że od momentu, kiedy przekroczył próg mieszkania, oboje dążyli do takiej sytuacji

Delikatnie pieścił jej ciało.

A potem kochali się długo i namiętnie.

Obudził się przed szóstą. Po raz pierwszy od wielu dni nie był w łóżku sam. Z czułością patrzył na leżącą obok kobietę, na jej spokojną twarz i unoszące się w lekkim oddechu piersi.

Małgorzata Wolańska otworzyła oczy.

— Która godzina? — spytała zaspanym głosem.

— Bardzo wcześnie.

Pocałował ją w gołe ramię.

— Jeżeli cię uraziłem...

— Nie. Było wspaniale... — zapewniła, rozwiewając jego wątpliwości.

— Dawno nie czułam się tak bezpieczna — dodała szybko.

Narzuciła na siebie szlafrok.

— Zostaniesz na śniadaniu? — spytała już w drzwiach. Było to zupełnie naturalne.

Chętnie przystał na tę propozycję. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny. Poprzedniego dnia, którego tak wiele się wydarzyło, kompletnie zapomniał o jedzeniu.

Pół godziny później siedzieli przy kawie, prowadząc leniwą, spokojną rozmowę.

— Dziękuję — szepnął w pewnym momencie i pochylił się w stronę kobiety.

W odpowiedzi na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Gwadera przez kilka chwil walczył z myślami.

— Wczoraj, kiedy do mnie zadzwoniłaś, byłem... — szukał odpowiednich słów.

— Jeżeli nie chcesz o tym mówić, po prostu nie mów — położyła palec na ustach.

Chciał, bardzo chciał wyrzucić z siebie to wszystko, co narastało w nim od kilku dni, ale w ostatniej chwili zreflektował się. Nie miał prawa mieszać jej do swoich spraw, zwłaszcza kiedy dotyczyły one brudnej strony życia.

Gwadera położył głowę na kolanach Małgosi. Zagłębiła dłonie w jego włosach.

Do komendy Gwadera dotarł przed dziewiątą. Dawno nie korzystał z miejskiej komunikacji, dlatego podróż na Nowolipie zajęła mu więcej czasu, niż przypuszczał. Wysiadł nie na tym przystanku. Lekko rozbawiony tą sytuacją, szybkim krokiem ruszył przed siebie. Kwadrans później był na miejscu.

Zajrzał do oficera dyżurnego i spytał o swój samochód. Chwilę później

okazało się, że nikomu nie wpadło do głowy, aby ściągnąć go na policyjny parking. Dyżurny, lekko strapiiony tą sytuacją, obiecał, że załatwi wszystko w ciągu godziny. Gwadera zostawił mu kluczyki.

Otwierał drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Sekretarka naczelnika suchym tonem zaprosiła go do gabinetu szefa.

Przy konferencyjnym stole siedzieli Osmałek i Marciniak, który został przydzielony do prowadzonej sprawy w miejsce Wejner. Naczelnik wydziału stał przy oknie, odwrócony tyłem do wejścia. Rozmawiał przez telefon.

Gwadera posłał kolegom pytające spojrzenie.

— Co z Kasią? — rzucił, zajmując miejsce na krześle.

— Bez zmian — odpowiedział Marciniak. Spojrzał na zegarek. — Dzwoniłem pół godziny temu. Lekarze są dobrej myśli.

Marciniak przesunął w jego stronę zapisaną kartkę. Gwadera przebiegł wzrokiem tekst. Był to sporządzony przez strażaków wstępny raport, który potwierdzał to, czego obaj policjanci domyślali się już poprzedniego dnia.

Strażacy pracowali do rana, dokładnie badając ślady. Bezpośrednią przyczyną wybuchu była duża ilość nagromadzonego gazu, ilość, która nie pozostawiała wątpliwości, że ktoś specjalnie odkręcił na maksimum kurki gazu. Wystarczyła mała iskra, w tym wypadku dzwonek, i bum...

Marciniak odczekał, aż Gwadera doczyta raport do końca.

— Próba samobójcza czy zwykły wypadek? — spytał.

— Godzinę wcześniej Kasia rozmawiała z Podedwornym — zauważył. Według niego był to wystarczający powód, aby odrzucić pierwszą możliwość.

— Sugerujesz czyjeś celowe działanie? — Marciniak podążał za jego tokiem myślenia.

— Tak. On się czegoś bał.

Gwadera nie powiedział, że w tym wypadku kierował się tylko i wyłącznie przeczuciami Katarzyny Wejner.

— Przypuszczam, że jego obawy nie były bezpodstawne. Ktoś odwiedził go krótko po rozmowie z Kasią i... — wykonał nieokreślony ruch dłonią — ogłuszył, potem odkręcił gaz. Może kiedy nastąpił wybuch, mężczyzna już nie żył.

— Mógł go po prostu zabić — Marciniak szukał w toku rozumowania swojego kolegi słabych punktów. — Po co ta cała szopka?

Gwadera zadawał sobie dokładnie takie samo pytanie.

— Dlaczego zadzwonił akurat do Wejner, a nie do ciebie? — do rozmowy włączył się Kawecki. Posłał swojemu podwładnemu ciężkie spojrzenie, domagając się natychmiastowej odpowiedzi.

Gwadera zawahał się. Nie wiedział, z kim ani o czym przed chwilą tak długo rozmawiał naczelnik, po wyrazie jego twarzy mógł domyślać się, że nie była to łatwa rozmowa.

— Miałem wyłączony telefon — wyjaśnił.

Kawecki popukał nerwowo o blat stołu.

— A pan gdzie wówczas był? — przeniósł wzrok na Osmąka, który dotąd milczał.

— Jechałem do domu... — odpowiedział zgodnie z prawdą.

— Komisarz nie zadzwonił do pana?

— Nie — powiedział Osmąk cicho.

— Ale pan w przeciwieństwie do swego kolegi miał włączoną komórkę? Osmąk skinął głową.

Kawecki znów spojrzał na Gwaderę.

— Dlaczego nie ściągnąłeś podkomisarza?

— Gdybym wiedział, że... — zamilkł.

Nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stało.

Kawecki zrezygnowany machnął ręką.

— Nie czas i miejsce na gdybanie — skwitował słowa Gwadery.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł prokurator Czapski. Mężczyzna przywitał się ze wszystkimi po kolei i zajął miejsce na drugim końcu stołu, dystansując się od policjantów, tak jakby w ten sposób chciał podkreślić, że to on rozdaje w tej grze karty.

Czapski przez kilka chwil uważnie obserwował twarz komisarza.

— Chciałbym poznać pana wersję wydarzeń — rzucił cichym głosem.

Gwadera skinął głową. Swoją relację rozpoczął od momentu, kiedy zadzwoniła do niego Katarzyna Wejner. Pomiął wszystko to, co miało miejsce wcześniej, słowem nie wspominając o spotkaniu z Kondrackim.

Kiedy skończył, na kilka chwil zapadło milczenie.

— Świetnie — powiedział Czapski z sarkazmem.

Przez następne pół godziny poszukiwali odpowiedzi na postawione wcześniej przez Marciniaka pytanie, czy ktoś stał za śmiercią Podedwornego czy był to zwykły wypadek.

Szybko odrzucili tę drugą ewentualność, zgadzając się z Gwaderą.

Błądzili we mgle. Każdą podrzuconą myśl roztrząsali na wszystkie możliwe sposoby. Zgodnie doszli do wniosku, że muszą uzbroić się w cierpliwość i czekać na dokładny raport straży pożarnej.

W tej chwili było za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków.

Po dwóch godzinach Czapski spojrzał na zegarek. Zmarszczył brwi, przez co jego twarz stała się jeszcze bardziej ponura. Niezadowolony stwierdził, że jest mocno spóźniony na ważne spotkanie.

Wstał.

— Informujcie mnie o wszystkim — rzucił, będąc już przy drzwiach.

Chwilę po prokuratorze pokój opuścili Osmąk i Marciniak.

Gwadera przez chwilę bił się z myślami. W końcu podjął decyzję. Odetchnął kilka razy głęboko niczym nurek, który za chwilę ma się zanurzyć w głęboką wodę. Przekonywał siebie samego, że w obecnej sytuacji jest to najlepsze rozwiązanie.

— Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć — zaczął.

Kawecki spojrzał na niego zaintrygowany.

— Mów.

Gwadera spokojnym głosem opowiedział o spotkaniu z Kondrackim.

Zamilkł. Poczul jak spadł mu z ramion wielki ciężar.

Kiedy skończył, na kilka chwil, które ciągnęły się w nieskończoność, w pokoju zapanowała cisza. Teraz ruch należał do naczelnika wydziału.

— To, co zrobiłeś, było głupie i... niepotrzebne... ale... — Kawecki był zdenerwowany — ...ale dobrze, że mi o tym powiedziałaś.

Zamilkł.

— Chciałbym dorwać tego skurwiela, który sprzedaje swoich kolegów — nie przebierał w słowach.

Zbyt często zdarzały się sytuacje, kiedy informacje wyciekały z komendy.

— Masz jakieś podejrzenia?

— Nie.

— Nie chcę, abyś szukał tej osoby na własną rękę.

Skinął głową.

— Zajmiemy się tym razem.

Gwadera wrócił do pokoju. Chciał być sam. Bardzo łatwo pozbył się Osmalka, zlecając mu dalsze poszukiwanie banku, w którym Babicz mógł mieć skrytkę.

Postanowił jeszcze raz przejrzeć cały zgromadzony do tej pory materiał. Otworzył akta sprawy na pierwszej stronie. Próbował skupić się na pracy, ale jego myśli uparcie krążyły wokół wydarzeń poprzedniego dnia.

W ciszę, która panowała w pokoju, wtargnął dźwięk telefonu. Gwadera z wahaniem podniósł słuchawkę. Dzwonił sierżant Terlecki. Miał do przekazania ważne informacje na temat zdarzenia, w którym brał udział Radek.

Gwadera wysłuchał go uważnie. Kiedy odkładał słuchawkę, poczuł wielką ulgę. Ekspedientka odzyskała przytomność i złożyła zeznania, które potwierdzały przedstawioną przez Radka wersję wydarzeń.

Długo siedział przy biurku, nie mogąc zebrać się do wyjścia, chociaż wiedział, że powinien jak najszybciej odwiedzić siostrę i podzielić się z nią tą dobrą wiadomością.

Pół godziny później siedział w samochodzie w drodze na Kabaty.

Radek zaprowadził Gwaderę do kuchni i bez pytania przygotował mu kawę.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu przy stole. Gwadera wiedział, że to on powinien wykonać ten pierwszy krok. Długo szukał w myślach odpowiednich

słów.

— Chciałem z tobą porozmawiać o tym, co było — zaczął, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to sztucznie.

Radek wzruszył tylko ramionami, tak jakby tym prostym gestem chciał powiedzieć: „Nie potrzebuję kazania”.

— Dużo o tym myślałem i... — zamilkł.

Radek przyglądał mu się bacznie.

— I?

Gwadera uśmiechnął się.

— Od samego początku wierzyłem w to, co mówiłeś — powiedział. Skłamał, nie mógł przecież powiedzieć siostrzeńcowi, że miał chwile wątplenia.

— Dzięki, fajnie, że ktoś mi ufa... — mruknął Radek. — Mama mówiła dokładnie to samo... — Pochylił się lekko w stronę Gwadery. — Mogę tylko powiedzieć, że strasznie mi głupio, że tak wyszło... Mam określone plany i boję się, że wszystko spieprzyłem... — zamilkł. Splótł przed sobą dłonie. — Chciałem iść do szkoły policyjnej...

Gwadera spojrzał na niego uważnie, zaskoczony tym wyznaniem.

— Nigdy o tym nie mówiłeś...

— Nigdy nie pytałeś...

„Fakt” — pomyślał gorzko.

Potem siedzieli i długo rozmawiali. Gwadera niepotrzebnie obawiał się, że utkną w morzu milczenia. Wyznanie Radka skruszyło mur, który wyrósł między nimi przez ostatnie lata. Nagle zupełnie nieoczekiwanie okazało się, że mają sobie wiele do powiedzenia. Próbowali nadrobić stracony czas.

Gwadera opuszczał mieszkanie siostry przekonany, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Radek odebrał od życia bolesną, lecz jakże potrzebną lekcję.

Do komendy Gwadera wrócił przed trzecią.

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer szpitala. Pielęgniarka, która odebrała telefon, nie potrafiła mu pomóc. Sam był winien tej sytuacji. Zapomniał nazwiska lekarza prowadzącego, a tylko on mógł udzielić informacji o stanie pacjentki. Zły rzucił do słuchawki kilka ostrych słów, chociaż dobrze wiedział, że nie ma racji. W odpowiedzi, co było naturalną reakcją, pielęgniarka przerwała rozmowę.

Gwadera zamyślony wpatrywał się w aparat.

Sięgnął po kartkę papieru. Na środku narysował kółko, w które wpisał nazwisko Babicz. Od kółka poprowadził strzałki, na końcu których znalazły się nazwiska: Nowak, Szmajter, Podedworny. Każda z tych osób zmarła w mniej lub bardziej tajemniczych okolicznościach. Każda w mniejszym lub większym stopniu związana była z postacią Babicza.

Gwadera najwięcej wątpliwości miał w przypadku Nowaka. Przeprowadzona

sekcja wykazała, że przyczyną zgonu było skręcenie karku. Nie wierzył, że był to tylko wypadek.

„Ktoś zacierał ślady” — pomyślał, rysując na dole kartki małego ludzika, przy którym postawił znak zapytania.

„Drepczemy w miejscu” — pomyślał.

Siedział i zastanawiał się nad dalszymi posunięciami, kiedy zadzwonił telefon.

— Komisarz Gwadera — rzucił.

— Doktor Muszalik — w głosie lekarza wyczuł smutek.

— Tak? — spytał Gwadera pełen najgorszych obaw.

Lekarz zwlekał.

— Przykro mi, ale... — przerwał. — Pana koleżanka zmarła przed kwadransem — dokończył suchym tonem.

Gwadera mocniej zacisnął dłoń na słuchawce.

— Powiedział pan, że jej stan jest stabilny... — Jego umysł bronił się przed prawdą.

— Niestety, obrażenia były poważniejsze, niż przypuszczaliśmy na początku. — Zamilkł. — Nic nie mogłem zrobić...

23.

Gwadera otworzył drzwi i załała go cisza.

Kilka razy przeszedł się bez celu po pokoju. Narastała w nim złość na samego siebie, że nie potrafił uchronić Katarzyny Wejner.

Nie opuszczało go poczucie dominującej beznadziejności. Pierwsza myśl — „Upiję się do nieprzytomności, tak aby zapomnieć o tym całym brudnym świecie”. Druga też nie była przyjemna. „Powinienem palnąć sobie w łeb. To moja wina i wyłącznie moja wina”.

W końcu sięgnął po napoczętą poprzedniego dnia butelkę wódki i nalał sobie solidną porcję. Pił wolno, a gdy szklaneczka był już pusta, ponownie ją nappełnił. Alkohol, który miał go uspokoić, wzbudził w nim jeszcze większe poczucie winy i bezsilności.

Z butelką w jednej dłoni i szklanką w drugiej podszedł do biurka i usiadł w fotelu. Chciał zapomnieć o wszystkim chociaż na kilka chwil. Nie potrafił. Kiedy zamykał oczy, widział przed sobą naznaczoną bólem twarz Wejner. Jeden cios i życie pięknej kobiety zostało przerwane. To niesprawiedliwe. Dlaczego akurat ona? Była na początku swojej drogi.

Wiedział, że nie powinien winić siebie za to, co się stało. Pomimo to dalej brnął z dziwnym uporem w te dywagacje, które tak naprawdę do niczego sensownego nie prowadziły.

Dolał wódki do szklaneczki.

Przysunął fotel do okna. Patrzył na swoje odbicie w ciemnej szybie.

Nikt więcej nie zginie. Nikt.

Znów sięgnął po butelkę, mglście zdając sobie sprawę, że w ten sposób pograża się jeszcze bardziej.

Pomimo dużej ilości wypitego alkoholu długo nie mógł zasnąć.

Zastanawiał się, jaki sens ma jego praca. Całe swoje zawodowe życie szukał prawdy. Wyciągał na światło dzienne brudy, które inni za wszelką cenę chcieli ukryć. Wsadzał do więzienia maluczkich, którzy próbowali przechytrzyć stróżów prawa.

Utniemy jedną głowę, wyrasta nowych sto — przypomniał sobie słowa starego szlagieru.

„Może powinienem machnąć na to wszystko ręką i tak jak wiele innych osób schować się jak żółw w skorupie, udając, że świat jest w porządku?”

Przyzwolenie na zalewające nas gówna. Komfort psychiczny.

— Do cholery, nic nie jest w porządku! — chciał krzyknąć.

„Dlaczego tego nie rzucę? Dopóki nie jest jeszcze za późno”

Znał kilka osób, które zrezygnowały z pracy w policji. Z kilkoma rozmawiał. Byli zadowoleni, ale czuł, że gdzieś tam, w głębi duszy brakuje im tego, co do tej pory robili. W ich przypadku w podjęciu decyzji pomogły żony, które miały dość niepokoju i lęków o to, czy nagle, z dnia na dzień nie zostaną same, gdy jakiś niezrównoważony zbir pociągnie za spust lub dając upust swojej złości wyciągnie nóż, by zadać kilka śmiertelnych ciosów.

„A kto mi pomoże? Dlaczego to robię?” Dla tej starej kobiety, Alicji Babicz, która nagle straciła syna, a której zupełnie bez sensu obiecał, że winny zostanie ukarany?

Na pewno nie dla niej. Może dla uspokojenia własnego sumienia, że jeszcze na coś się przydaje i nie wypadł z tej gry, która nazywa się życiem?

A może dla Katarzyny Wejner, która nie powinna zginąć tak głupio.

„Miotam się jak lew w klatce” — pomyślał gorzko.

Może o decyzji, aby dalej toczyć te nierówną walkę, zdecydowały wszystkie te powody po trochu? Może... Może.

Za dużo tych wątpliwości i pytań.

Sen zmorzył go dopiero przed pierwszą. Śnił, że ktoś zakopał go żywego w trumnie.

Obudził się gwałtownie kilka minut po czwartej, zaniepokojony dźwiękami, które wpadły do mieszkania przez otwarte balkonowe okno.

Usiadł. Czuł się fatalnie. Było mu zimno, a narastający z każdą chwilą ból głowy przyprawiał o mdłości.

Komisarz wyszedł na balkon i zadrżał, owiany zimnym wiatrem. Majowa noc była wyjątkowo chłodna.

Wrócił do mieszkania, nadaremnie próbował złapać resztki snu.

Wstał po godzinie rozdrażniony i zły na siebie.

Poranna kawa nie smakowała tak jak zawsze. Czuł w ustach niesmak, którego nie złagodziło lekkie śniadanie w postaci kukurydzianych płatków i mleka.

Zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie wytrzeźwiał.

Kawecki przez kilka chwil patrzył na swego podwładnego.

— Kiepsko wyglądasz — mruknął.

Gwadera nie silił się nawet na uśmiech.

— Powinieneś dzisiaj zostać w domu.

Komisarz pokręcił głową.

— Jeden dzień w tej chwili nie ma żadnego znaczenia. Jeżeli jest coś ważnego, zajmie się tym Osmalek.

— Dla dobra śledztwa... — zaczął Gwadera.

Kawecki nie pozwolił mu skończyć.

— Dla dobra śledztwa, komisarzu, będzie najlepiej, jak wrócisz do domu i ... odeśpisz nieprzespaną noc.

Gwadera milczał.

— Czy ty słyszysz w ogóle, co do ciebie mówię? — Kawecki był coraz bardziej poirytowany. Zrezygnowany machnął ręką. — Nie zachowuj się jak chłopczyk, któremu zabrano zabawki. Wracaj do domu — powiedział. — Dzisiaj nie będzie z ciebie żadnego pożytku.

Gwadera, wychodząc od naczelnika, trzasnął drzwiami. W tej chwili nie obchodziło go, co sobie o nim pomyśli. Nic go nie obchodziło.

Prosto z komendy pojechał do Małgorzaty Wolańskiej.

Stojąc przed drzwiami, wyrzucał sobie, że wcześniej nie zadzwonił.

Było dosyć wcześnie, o tej porze mogła przecież wyjść. Nic nie trzymało jej w domu. Sama wspomniała, że przyjechała do Warszawy, aby pozatławić sprawy związane ze sprzedażą mieszkania i przy okazji zwiedzić stolicę, w której nie była od ładnych paru lat.

Pomimo tych wątpliwości nacisnął dzwonek.

Otworzyła po pierwszym dźwięku.

Długo w milczeniu patrzyła na komisarza. Sytuacja zaczynała być niezręczna.

— Wpuścisz mnie czy będziemy rozmawiać na korytarzu? — nie wytrzymał.

— Herbata? Kawa? — spytała oficjalnym tonem, wprowadzając Gwaderę do pokoju.

— Chętnie...

Zachowywali się jak dwójka zupełnie obcych sobie ludzi, których nic nie łączy.

Gwadera wiedział, że jest to jego wina. Kiedy rozstawał się z Małgosią

poprzedniego dnia, po bardzo udanej nocy, obiecywał, że przyjdzie wieczorem. Nie zrobił tego, zajęty swoimi zawodowymi sprawami.

Wolańska zniknęła w kuchni.

Chwilę później dobiegł stamtąd dźwięk telefonu. Małgorzata odebrała po drugim sygnale. Usłyszał jej śmiech. Rozmowa przedłużała się.

Po pięciu minutach Gwadera wstał. Zajrzał do kuchni i dał znak, że wychodzi.

— Poczekaj — w miejscu zatrzymał komisarza jej stanowczy głos.
— Zadzwoń później — rzuciła do słuchawki.

Gwadera zawahał się.

— Nie chciałbym zawracać ci głowy. — Wskazał na telefon, który trzymała w dłoni.

— Chodź tutaj... — Pierwsza zrobiła w jego stronę krok.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

— Miałem naprawdę ciężki dzień — powiedział i zamilkł, zdając sobie sprawę, że nie ma prawa obarczać jej swoimi problemami.

— Zostań — szepnęła, jeszcze mocniej przytulając się do komisarza.

Dzień zbliżał się do końca. Majowa noc niosła ze sobą zapach lata. Gwadera stał na balkonie i obserwował spokojne podwórko, kiedy w mieszkaniu zadzwonił telefon. Wszedł do środka i kierując się natarczywym dźwiękiem, znalazł aparat w przedpokoju, na szafce.

— Tak? — rzucił.

— Krzysztof Kondracki miał wypadek — rozpoznał głos Osmalka.

Gwadera wolno schował telefon do kieszeni. Przeszedł do kuchni, skąd dochodził zapach orientalnych potraw.

Patrzył na Małgosię, dopóki nie odwróciła się w jego stronę. Zamarła z łyżką w dłoni.

— Musisz iść? — spytała domyślnie.

Skinął tylko głową. Słowa były niepotrzebne.

— Właśnie takich sytuacji najbardziej się obawiam — powiedziała z lekkim uśmiechem. Nie wiedział, czy żartuje czy mówi poważnie.

Popatrzył na nią ciepło. Delikatnie dotknął palcami policzka.

— Przepraszam...

— Nie przepraszaj. Idź.

Na pożegnanie mocno przytuliła się do niego.

— Będę czekać — szepnęła mu do ucha.

24.

— Jechał z dużą szybkością i stracił panowanie nad kierownicą. — Osmalek wprowadzał komisarza w temat. — To wersja jego, nie moja. Zjechał na pobocze,

a właściwie taki mały parking, i uderzył w fotel...

— Co? — Gwadera nie był pewien czy się nie przesłyszał.

— Fotel. Najprawdopodobniej ktoś robił porządki w domu i pozbywał się mebli. Wiesz, jak to jest. A teraz posłuchaj uważnie. Koledzy z drogówki po wstępnych oględzinach mają wątpliwości. Ślady na szosie i samochodzie pozwalają określić, że to nie był wypadek. Ktoś zepchnął go, a potem już wszystko potoczyło się samo.

— Jesteś pewien?

— Tak. Jak dwa razy dwa cztery.

— Nie zawsze — mruknął raczej do siebie, przypominając sobie spot reklamowy z jakiejś kampanii wyborczej. — Co na to Kondracki?

— Twierdzi, że to wypadek.

Można się było tego spodziewać.

— Chciałbym go przesłuchać.

— Jest teraz w szpitalu — Osmalek spojrzął na zegarek. — W każdym razie był jeszcze pół godziny temu.

— Był trzeźwy?

— Czyściutki, zero procent, chłopaki od razu zrobili badania.

Doktor Banasik, który przyjął Kondrackiego do szpitala, patrzył na komisarza zmęczonym wzrokiem.

— Krzysztof Kondracki opuścił szpital — powiedział.

— Nie zatrzymał go pan?

— Wypisał się na własne życzenie.

— Pan jako lekarz...

— W takich wypadkach nie mogę nic zrobić.

— Nawet gdyby pana pacjent zszedł z tego świata zaraz po przekroczeniu tych drzwi? — wskazał na wejście.

— Za tymi drzwiami przestaje być moim pacjentem.

Zabrzmiało to cynicznie, ale taka była prawda. Kulejąca służba zdrowia, reformowana po raz nie wiadomo który, broniła się jak tylko mogła przed niechcianymi pacjentami. Zwykły papierek wystarczał, aby w prosty sposób przerzucić całą odpowiedzialność na kogoś innego.

— Ale...

— Do jasnej cholery, czego pan ode mnie chce? — lekarz był poirytowany.

— Miałem go zatrzymać siłą? W Polsce nie ma przymusu leczenia.

— W jakim był stanie?

Lekarz zerknął do karty.

— Dwa złamane żebra i powierzchowne rany. Przez najbliższe dni na pewno będzie odczuwał ból, był to solidny wstrząs dla całego organizmu. Przepisałem mu leki przeciwbólowe, dosyć mocne ale w tej sytuacji całkowicie uzasadnione.

Ketonal. A, jeszcze jedno, przyjechała po niego jakaś kobieta. Nawet ładna. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale wtedy wydawało mi się, że to ważne. Zapisałem numery samochodu. — Podał kartkę.

— Dziękuję panu.

— Cała przyjemność po mojej stronie — mruknął lekarz.

Gwadera łatwo ustalił, do kogo należał samochód. Zapisał wszystkie dane, łącznie z adresem.

Potwierdziły się jego przypuszczenia.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

Nie było aż tak późno, dlatego postanowił, że złoży jeszcze wizytę u Anny Karlsson. Moment nie był odpowiedni, ale komisarz nie mógł czekać z pytaniami do następnego dnia.

Był w połowie drogi na aleję Szucha, gdzie Anna Karlsson wynajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze zaledwie przed rokiem wybudowanego apartamentowca, gdy zadzwonił telefon.

Włączył tryb głośnomówiący.

— Co jest?

— Mamy świadka. Przed chwilą zgłosił się do nas niejaki Paweł Żmudny. Mężczyzna twierdzi, że widział wypadek.

— Z przesłuchaniem poczekaj na mnie... — Spojrzał na godzinę. — Będę za pięć minut.

— Gdzie teraz jesteś?

Zerknął przez okno.

— Dojeżdżam do alei Szucha.

— Twój samochód musiałby dostać skrzydeł — skomentował.

Gwadera udał, że tego nie słyszał.

— Poczekaj na mnie — powtórzył. — Zrozumiałeś?

— Tak jest.

Żmudny okazał się szczupłym jak patyk studentem medycyny. Siedział w pokoju przesłuchań i nerwowo stukał palcami o blat.

Gwadera, który przez chwilę obserwował mężczyznę przez weneckie lustro, spojrzał gniewnie na Osmalka.

— Dlaczego zostawiłeś go tam samego i dlaczego akurat tam? — spytał nieprzyjemnym tonem.

— A co, miałem poczęstować go kawą? — odpowiedział szybko na jego zaczepkę.

Gwadera zreflektował się.

„Nie tędy droga, panie komisarzu” — uspokoił myśli.

— Zabierz go stamtąd. Porozmawiam z nim u siebie.

— Myślałem, że chcecie przetrzymać mnie tutaj całą noc — powiedział

student, zajmując miejsce na wskazanym przez Gwaderę krześle.

— Dlaczego?

— Nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

— Przepraszam za utrudnienia. To na moją prośbę.

— To pan prowadzi śledztwo?

— Tak. Pali pan?

— Rzuciłem, ale jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to z chęcią...

Gwadera wyjął z szuflady paczkę marlboro. Położył przed Żmudnym. Mężczyzna przysunął paczkę do siebie.

Komisarz zauważył, że drżą mu dłonie. Cierpliwie czekał, aż Żmudny zapali.

W pokoju uniósł się zapach dymu.

Żmudny zaciągał się raz za razem, szybko. To go uspokoiło.

— Możemy zaczynać? — spytał Gwadera. — Proszę się skupić i odpowiedzieć dokładnie wszystko po kolei.

— Zawsze o tej samej porze robię sobie przejażdżkę rowerową.

— Zapowiadało się na długą rozmowę. — Takie głupie przyzwyczajenie, którego nie mogę się pozbyć. Dla zdrowia i dla ducha...

Komisarz przerwał mu:

— Kawy?

— Tak, poproszę.

Dał znak ręką Osmalkowi.

Podkomisarz nie był zadowolony z nowej roli, jaką przypisał mu Gwadera. Wyszedł z pokoju. W ostatniej chwili opanował się, by nie trzasnąć drzwiami.

Po chwili przed mężczyznami stały kubki z kawą.

— Proszę mówić dalej... — Upił łyk. Kawa była w sam raz, ani za ciepła, ani za gorąca. Taka, jaką lubił.

— Jechałem dawnym nasypem wąskotorówki, no i spadł mi łańcuch. Próbowałem jechać dalej, ale gdzie tam... Dałem sobie spokój. Zatrzymałem się przy dawnej transformatorowni, przy takim wysypanym żuźłówką parkingu. Namęczyłem się nieziemsko, zanim łańcuch wskoczył na swoje miejsce. Już miałem odjechać, kiedy zobaczyłem ten samochód. To był czarny saab. — Przerwał. Przez chwilę zbierał myśli, przełknął ślinę. — To wszystko odbyło się tak szybko... Najpierw niesamowity pisk opon. Saab wjechał na parking, kilka razy obrócił się. — Pokiwał z uznaniem głową. — To musiał być niezły kierowca. Prawie zapanował nad wozem, pewnie wyszedłby z tego cało, ale... — Wzruszył ramionami. — Niech pan sobie wyobrazi, że jakiś głupek pozostawił na samym środku stary fotel. Saab uderzył w niego, zmienił tor i wałnął z całej siły w metalową barierkę. Huk tłuczonej szyby. Niesamowite...

Gwadera musiał przyznać, że Żmudny miał dar opowiadania.

— Mężczyzna chyba na kilka chwil stracił przytomność. Otworzył drzwi,

wtedy zauważyłem, że ma zakrwawioną całą prawą stronę twarzy i prawą rękę. Chciałem zejść i pomóc, kiedy nadjechał ten drugi samochód.

— Jakiej marki?

— Ford...

— Numery rejestracyjne?

Chłopak uśmiechnął się triumfalnie.

— Na pewno nie warszawskie.

— A dokładniej...

Żmudny zastanowił się.

— WLC, pierwsza na pewno 3, ostatnia 7... reszty nie pamiętam, byłem zdenerwowany.

— Proszę mówić dalej.

— Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn, był jeszcze trzeci, ale ten pozostał w wozie. Podeszli szybko do saaba i wyciągnęli kierowcę. Nie bronił się. Popchnęli go na maskę samochodu. Wszystko odbywało się bez słów. Ten grubszy uderzył go w żebra. Mężczyzna osunął się na ziemię. Kiedy leżał, kopnęli go kilka razy. Wtedy usłyszałem, jak do niego mówią.

— Co powiedzieli?

— Aby pilnował swoich spraw... coś w tym rodzaju.

— Tylko tyle?

— Tak.

— Co było potem?

— Zostawili go i odjechali. Mężczyzna powoli, z wielkim trudem wstał. Trzymał się za żebra. Wsiadł do samochodu, próbował odpalić, nie wiem, jak wyobrażał sobie jazdę w takim stanie. Na szczęście samochód nie zapalił, po czymś takim nawet saaby wysiadają. Nie wiem, czy chciał zadzwonić na pogotowie. Uprzedziłem go, a potem — wykonał nieokreślony ruch dłonią.

— Potem pan zniknął.

— Tak.

— Dlaczego?

— Bałem się. To wszystko wyglądało jak porachunki gangsterów. Pruszków czy Wołomin.

— Ich już nie ma. Zostali rozbici — zauważył.

Żmudny uśmiechnął się.

— Dobrze pan wie, że nie ma ich, ale są inni.

— Dlaczego postanowił pan jednak zeznawać?

— Wie pan... wróciłem do domu, opowiedziałem wszystko żonie...

— Wyłapał zdziwione spojrzenie komisarza. — Ustaliliśmy, że najlepiej będzie, jak o wszystkim opowiem policji... Ale... nie zgodzę się zeznawać w sądzie...

— Rozpoznałby pan napastników?

— Nie widziałem ich twarzy. Byli za daleko.

— Ale widział pan krew na twarzy kierowcy... — zauważył komisarz spokojnym głosem. — Zgadza się?

— Tak — student odpowiedział szybko, zbyt szybko. Mężczyzna w jednej chwili zrozumiał swój błąd, pojął, że w prosty sposób został przyłapany na kłamstwie.

— Mam żonę, dziecko — usprawiedliwił się.

Komisarz rozumiał Żmudnego.

Identyfikację napastników zostawił na później.

— Bardzo pan nam pomógł.

Gwadera dowiedział się od niego wystarczająco dużo, by wyrobić sobie zdanie na temat całego zdarzenia.

Komisarza interesowało, kim byli napastnicy i dlaczego Kondracki przesłuchującym go policjantom przedstawił zupełnie inną wersję.

Po wyjściu Żmudnego komisarz spojrział na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Wizytę u Karlsson odłożył na następny dzień.

25.

Rano miał zamiar pojechać na Szucha prosto z domu. Wsiadał do samochodu, kiedy zadzwonił Osmałek. Mężczyzna nie chciał rozmawiać przez telefon, powiedział tylko tajemniczym głosem, że znalazł coś, co powinno komisarza zainteresować.

W komendzie Gwadera zjawił się dokładnie po dwudziestu minutach.

Osmałek siedział przy biurku i w skupieniu oglądał rozłożone przed nim zdjęcia. Gwadera podszedł bliżej i zerknął swojemu współpracownikowi przez ramię.

— Co tam masz?

— Prezesik lubi szybką jazdę — powiedział Osmałek, pukając palcem w fotkę wykonaną przez policyjny radar. — Przez dwa lata trzykrotnie zdjął go fotoradar. Ostatni raz — zawiesił głos — dziesiątego maja.

Spojrzał na komisarza ciekawy, jakie wrażenie wywarły na nim jego słowa.

— O dwudziestej trzydzieści pięć — dodał szybko. — Bardzo gdzieś się spieszył. W dwóch pierwszych wypadkach tylko nieznacznie przekroczył szybkość o dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów. Tym razem jechał sto dwadzieścia. I to w terenie zabudowanym.

— Gdzie zrobiono to zdjęcie?

— Na Tamce, przed Dobrą.

Komisarz milczał. Wyczuł, że Osmałek nie powiedział mu wszystkiego.

— Przez jakieś niedopatrzenie chłopaki z drogówki nie wysłali jeszcze Kondrackiemu fotki.

— Czyli nie wie, że my wiemy — podsumował komisarz.

Kondracki kłamał od samego początku. Twierdził, że wieczór i całą noc dziesiątego maja spędził z Anną Karlsson. Prawda była zupełnie inna.

Gdzie się tak spieszył?

Komisarz skontaktował się z drogówką. Zadał kilka pytań.

Radar ustawiony był dokładnie sto metrów od miejsca, gdzie Tamka łączyła się ze Smulikowskiego. Kondracki tego krytycznego wieczora był niedaleko miejsca, w którym zginął Babicz. Gwadera nie wierzył, że był to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Anna Karlsson obdarzyła Gwaderę uważnym spojrzeniem. Komisarz nie pozostał dłużny.

Tego dnia kobieta ubrana była w stylu sportowym, miała na sobie niebieską bluzkę polo i idealnie dopasowane do sylwetki, czarne dżinsy.

— Słucham? — w głosie Karlsson brzmiało rozdrażnienie.

— Chciałbym porozmawiać z Krzysztofem Kondrackim — nie krył celu wizyty.

Zawahała się tylko chwilę.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— Tak? — spytał.

Odpowiedź znał na długo przed tym, zanim padła.

— Z bardzo prostej przyczyny: Krzysztofa nie ma tutaj.

— Możemy wejść? — słowa, które zabrzmiały jak prośba, w rzeczywistości nią nie były.

Anna Karlsson z wahaniem wpuściła policjantów do środka.

Gwadera po chwili stwierdził, że ten, kto urządzał mieszkanie, wykazał się dobrym gustem. Starannie dobrane elementy wystroju współgrały z pastelowymi barwami ścian i sufitu. Każdy, nawet najmniejszy dodatek był przemyślany.

Całości dopełniały wygodne i eleganckie meble.

— Wczoraj przyjechała pani po niego do szpitala? — spytał, skupiając uwagę na swojej rozmówczyni.

— Tak. Zadzwoił do mnie. Odwiozłam go do domu.

— Rozmawiał z panią o tym, co się stało?

— Nie. Nie był w nastroju do rozmowy, tym bardziej do zwierzeń. Chciał zostać sam.

— Gdzie mogę go znaleźć?

— Chyba w mieszkaniu u siebie. Wybierał się, co prawda, do biura, ale nie wiem, czy tam pojechał, zważywszy na... pewne okoliczności — szukała odpowiednich słów — na swój stan. Wczoraj wypił dwa, może trzy kieliszki. Nie wiem, czy po moim wyjściu kontynuował spotkanie z butelką.

— Często mu się to zdarza?

Tym razem nie odpowiedziała. Nie musiała.

— Ma problemy z alkoholem?

— Nie nazwałabym tak tego. Jak każdy, ma gorsze chwile. Zdarza mu się wypić za dużo.

Nie mówiła prawdy.

— Tylko chwile?

Milczała.

— Pije codziennie?

— W zasadzie tak. Kieliszek, czasami więcej, ale nie tyle, aby się upić.

— Ale wystarczająco dużo, by poczuć odprężenie — podsunął.

— Wie pan to z własnego doświadczenia? — odbiła piłeczkę. Miała dosyć rozmowy na ten temat.

Przemilczał jej uwagę.

— Problemy w pracy?

— Każdy potrzebuje w jakiś sposób odreagować stres. Przyzna pan, że sytuacja w gospodarce zbytnio nas nie rozpieszcza — próbowała go usprawiedliwiać.

— Rozmawiała pani z nim o tym?

— Krzysztof całkowicie panuje nad sytuacją.

— Tak?

Zasiał w niej ziarno niepewności.

— Kiedy wypije za dużo, jest jeszcze bardziej milczący niż zwykle i taki nieobecny myślami. Zamyka się w sobie — tymi słowami przyznała, że to, co mówiła przed chwilą, nie do końca było prawdą.

— Kiedy to się zaczęło?

— Dwa miesiące przed śmiercią Andrzeja. — Po raz pierwszy wymieniła imię swego byłego męża. — Może trochę wcześniej.

— Nie martwi się pani o niego?

— Jest dorosłym człowiekiem. Wie, co robi.

Zadawał pytania szybko, jedno za drugim, nie dając Karlsson zbyt dużo czasu do namysłu.

Wniosek, jaki nasunął się komisarzowi po tej szybkiej wymianie zdań, był tylko jeden. W życiu Krzysztofa Kondrackiego, zarówno zawodowym, jak i osobistym nie działało się najlepiej.

Gwadera patrzył na Karlsson badawczo. Kobieta z trudem ukrywała narastający niepokój.

— Czy Babicz wiedział, że spotyka się pani z Krzysztofem Kondrackim?

— Mogę tylko powiedzieć, że nasze małżeństwo było wielką pomyłką. Wkrótce po rozwodzie wyjechałam do Norwegii. Odpowiedź brzmi nie, nie wiedział, a nawet gdyby wiedział, nie miałyby to znaczenia.

— To tylko przypuszczenia.

— Może pan to nazwać jak chce.

— A pani obecny mąż?

— Co mój mąż?

— Zanedbuje panią?

Wzruszyła ramionami.

— Większość czasu spędza za granicą.

— To też była pomyłka? — nie mógł powstrzymać się od tej podszytej ironią uwagi.

Milczała.

Wyszła na chwilę do kuchni, wróciła stamtąd z papierosem w dłoni.

— Zastanawia się pan pewnie dlaczego mając kochającego męża zdecydowałam się prowadzić tę niebezpieczną grę? Dlaczego wdałam się w romans, który tak naprawdę nie miał perspektyw?

Od dłuższego czasu zadawał sobie to pytanie.

— Krzysztofa poznałam zupełnie przypadkowo. Sprawiał wrażenie takiego nieosiągalnego, skupionego tylko na pracy. Zamknął się w kokonie, najważniejsza dla niego stała się praca. Nic więcej się nie liczyło.

— Potem pojawiła się pani.

Skinęła głową.

— Zaczął inaczej patrzeć na pewne sprawy. Czasami myślę, że obudziłam go z jakiegoś letargu, w który zapadł po niezbyt udanym związku z żoną.

— Pomimo tego nie była pani wobec niego szczerą. Dlaczego?

— Chodzi panu o moje małżeństwo z Andrzejem Babiczem?

Dokładnie to miał na myśli.

Zamilkła.

— Gdybym... mogła cofnąć czas...

Nagle wstała.

— Napije się pan czegoś?

Podziękował.

— Od jak dawna się spotykacie?

— Jesteśmy ze sobą od ośmiu miesięcy.

„Wystarczająco dużo czasu, aby poznać drugą osobę” — pomyślał. Z drugiej strony, jak mówiło stare porzekadło, można zjeść z kimś beczkę soli i nie wiedzieć, jakim jest naprawdę człowiekiem.

Zastanawiał się, jak było w tym przypadku. Co łączyło tych dwoje? Wzajemna fascynacja czy może jednak było to coś więcej? Chęć ułożenia sobie życia na nowo?

Z przebiegu rozmowy wywnioskował, że Anna Karlsson daleka była od wprowadzania w swoim życiu radykalnych zmian. Układ, który stworzyła,

odpowiadał jej. Miała męża, który zapewniał jej życie na odpowiednim poziomie, to dzięki jego pieniądzom mogła realizować swoją pasję, jaką była sztuka. Był przekonany, że pan Karlsson dokładał do tego interesu niemałe pieniądze.

— Widujecie się państwo codziennie?

— Tak. Oczywiście z wyjątkiem tych dni, gdy Krzysztof jest poza Warszawą.

„I tych, kiedy pani mąż jest w Warszawie” — dodał w myślach.

Krok po kroku zmierzał do celu.

— Krzysztof Kondracki powiedział, że wieczór dziesiątego maja spędził u pani. Zanim zadam następne pytanie, proszę się dobrze zastanowić nad odpowiedzią.

Na kilka chwil zamilkł.

— Czy potwierdza pani, że tego wieczora był tutaj?

— Tak — odpowiedziała bez chwili wahania. — Przyszedł po szóstej i został do rana.

Komisarz skinął głową.

— Dlaczego pani kłamie? — Lekko pochylił się w jej stronę. Zadrzała jej lekko prawa powieka.

— Komisarzu, pan mnie... — zamilkła jak rażona gromem. — Czego pan chce ode mnie? — spytała. Odniósł wrażenie, że w pierwszym odruchu chciała dalej brnąć w kłamstwo, lecz kobieca intuicja lub inteligencja, a może jedno i drugie, podpowiadały jej, że w ten sposób pogrzy nie tylko siebie, ale i Kondrackiego.

— Prawdy. Tylko prawdy. Wiem, że Kondracki wyszedł od pani przed dziewiątą.

Przerwał.

Uparcie milczała.

— Pani Anno, proszę nie pogarszać swojej sytuacji — użył jednego z utartych zwrotów, które sprawdzały się w takich sytuacjach.

Anna Karlsson twardo stąpała po ziemi. Bardzo dobrze zdawała sobie sprawę, że zbyt dużo ma do stracenia.

Czy nadal będzie chronić Kondrackiego? Miał nadzieję, że nie.

— Proszę pytać...

Gwadera odetchnął.

— Powiedział, dokąd wychodzi?

— Nie. Odebrał telefon. Był zdenerwowany... — przerwała — ...to nieodpowiednie słowo, raczej poirytowany.

— Wie pani, kto dzwonił?

Odpowiedź, którą po chwili usłyszał, zaskoczyła go.

— Andrzej Babicz.

— Jest pani pewna?

— Tak. Krzysztof wyszedł bardzo szybko, ale zostawił komórkę. Zanim wrócił po nią, zdążyłam zobaczyć ostatnie połączenie.

Nie zgadzało mu się to. Według billingu mężczyźni ostatni raz rozmawiali o siedemnastej. Chyba że...

Myśl, która wpadła mu do głowy, była nadzwyczaj prosta. W swoich wcześniejszych rozważaniach nie wziął pod uwagę jednej rzeczy.

— Czy Kondracki miał telefon na kartę?

— Miał dwa telefony, możliwe, że jeden był na kartę.

Babicz ostatni raz dzwonił o dwudziestej trzydziści, pod numer, którego dotąd nie udało im się ustalić, oczywiście z wyjątkiem tego, że był to telefon na kartę.

— Pani zna numery jego telefonów?

— Chwileczkę.

Sięgnęła po swoją komórkę i przeczytała.

Strzał w dziesiątkę.

Ostatnią osobą, z którą przed śmiercią rozmawiał Babicz, był Kondracki.

— Podsumowując, Kondracki wyszedł od pani przed dziewiątą.

— Tak.

— Nie powiedział, dokąd idzie.

— Wspomniał tylko, że ma ważną sprawę do załatwienia.

— Co to za sprawa?

— Nigdy nie rozmawialiśmy o jego pracy. Była między nami taka niepisana umowa. Mój dom był dla niego azylem, ucieczką przed zimnym światem finansów.

— Pięknie pani to powiedziała. Nie zdziwiło panią, że dzwonił Babicz?

— Babicz był przecież wiceprezesem firmy.

Logiczna, jasna odpowiedź.

— Panowie byli skłóceni.

— Nic o tym nie wiem.

— O której wrócił Kondracki?

— Przed dziesiątą.

— Czy w jego zachowaniu było coś, na co zwróciła pani uwagę?

— Nie. Chociaż tak. Miał na sobie inną marynarkę. Spytałam go o to. Wspomniał, że zachlapał go przejeżdżający obok samochód, rano miał zamiar od razu jechać do biura, dlatego wstąpił jeszcze do swojego domu po czyste ubranie.

— Uwierzyła mu pani?

— Dlaczego miałabym nie wierzyć? Widzi pan, Krzysztof to człowiek z pewnymi zasadami, to trochę takie niedzisiejsze. On nie lubi kłamać.

„Widocznie, droga pani, ostatnio jego zasady uległy deprecjacji, używając ekonomicznego języka”.

— Przecież jego praca w dużym stopniu polega na kłamstwie.

— Źle pan zrozumiał charakter pracy, którą wykonuje.

— Wydaje mi się, że zrozumiałem bardzo dobrze. Ludzie inwestują swoje niemałe pieniądze w bliżej nieokreślone przyrzeczone korzyści, na przykład instrumenty pochodne, by po jakimś czasie przekonać się, że wszystko stracili.

Wzruszyła ramionami.

— Wszystko pan pomieszał. To kwestia ryzyka, które Krzysztof sprowadza do minimum.

— Przed chwilą mówiła pani, że nie rozmawialiście o jego pracy?

Przemilczała.

Czy cokolwiek z tego, co wcześniej od niej usłyszał, było prawdą?

— Sugeruje pan, że Krzysztof ma coś wspólnego ze śmiercią Babicza? — zupełnie nieoczekiwanie, w momencie, w którym najmniej się tego spodziewał, wybuchła gniewem.

Zauważył, że za każdym razem, kiedy mówiła o swoim byłym mężu, używała tylko nazwiska. Miała wielki dystans do osoby, z którą przez kilka lat dzieliła małżeńskie łóżce.

— To absurd. Rozumie pan.

— Proszę się uspokoić.

Z psychologicznego punktu widzenia takie słowa na ogół odnosiły przeciwny skutek.

— To najgłupsza rzecz, jaką dotąd w życiu usłyszałam.

Siedzieli kilka minut w milczeniu.

Nie było sensu dalej tego przedłużać.

— Pojedzie pani na komendę, gdzie spisujemy zeznania.

— Mam prawo do telefonu? — wyczuł w jej głosie niepewność.

— Adwokat nie będzie pani potrzebny, nie występuje pani jako oskarżona, tylko świadek.

Wszystko to, co przed chwilą usłyszał, stawiało Kondrackiego w nie najlepszym świetle. W tej historii poszczególne elementy zaczęły układać się w logiczną całość.

Ta część Warszawy, w której mieszkał Kondracki, uchodziła za najbardziej prestiżową. Stąd było blisko do Placu Trzech Krzyży i siedziby Giełdy.

Apartamentowiec otaczała oaza zieleni, nieopodal rozciągał się Park Łazienkowski.

Było wpół do ósmej.

Wymienił szybkie spojrzenie z Marciniakiem, od tego dnia oficjalnie przydzielonym do sprawy. Mężczyzna nacisnął na dzwonek.

Kondracki był schludny i czysty, ale na jego twarzy widniały ślady przeżyć poprzedniego dnia. Pod oczami miał ciemne kręgi, znak, że nie przespał tej nocy

dobrze. Możliwe, że w ogóle nie zasnął. Trochę nieobecny wzrokiem patrzył na policjantów.

— Słucham — rzucił lekko zachrypniętym głosem, zwracając się bezpośrednio do Gwadery.

— Mamy do pana kilka pytań — oznajmił.

— Jeżeli dobrze pamiętam, mówiłem, że na wszelkie pytania będę odpowiadał tylko w obecności prokuratora — zauważył cicho.

— Dzisiaj musimy poradzić sobie bez prawników.

Gospodarz nic nie powiedział, tylko odwrócił się, pozostawiając uchylone drzwi. Komisarz odebrał to jako zaproszenie.

W mieszkaniu panował półmrok. Starannie zaciągnięte zasłony chroniły pokój przed światłem. Kondracki wskazał policjantom fotele, sam zajął miejsce na wersalce.

Gwadera zerknął na stolik i porozrzucane na nim dokumenty, wydruki zapisanych gęsto liczbami tabel. Pomiędzy papierami dostrzegł opakowanie tabletek. — Ketanol — przeczytał. Silny lek przeciwbólowy.

Spojrzał na Kondrackiego.

— Chciałbym porozmawiać o wczorajszym wydarzeniu — rozpoczął ostrożnie.

Cisza.

Kondracki zabandażowaną dłonią sięgnął po tabletki, połknął dwie, nie popijając ich wodą.

— Pan wybaczy — zawiesił głos — nie najlepiej się czuję.

„Co widać, słyszeć i czuć” — pomyślał Gwadera.

— Czy możemy tę rozmowę odłożyć na później? — zaproponował nieoczekiwanie.

Gwadera posłał prezesowi krzywy uśmiech.

— Nie możemy — powiedział krótko.

Kondracki przez chwilę zbierał myśli.

— To był po prostu wypadek — zaczął. — Wszystko powiedziałem pana kolegom z drogówki. Chwila nieuwagi... — dłużej niż zwykle zastanawiał się nad doborem słów.

Mogło być to spowodowane zbyt dużą ilością zażytych tabletek lub połączeniem leku z alkoholem. Komisarz skłaniał się do tej drugiej wersji. Anna Karlsson wspomniała, że Kondracki poprzedniego wieczora wypił kilka drinków.

Nie mógł stwierdzić, czy tego ranka kontynuował spotkanie z butelką. Co prawda, nigdzie nie dostrzegł śladu alkoholu, ale to o niczym nie przesądzało.

— Ktoś chce pana zastraszyć?

Kondracki nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie.

— Będzie się pan upierał przy tej wersji? — naciskał.

— Tak.

— Nie chce pan nic dodać?

Zeznania świadków jasno wskazywały, że nie obyło się bez interwencji osób trzecich.

— Gdzie pan był dziesiątego maja, pomiędzy godziną dwudziestą a dwudziestą drugą? — Gwadera przeszedł do głównego tematu.

— Udzieliłem już odpowiedzi na to pytanie.

Komisarz skinął głową.

— Tak. Powiedział pan, że spędził tę noc u pani Karlsson. Czy chciałby pan coś dodać?

Dał mu czas do namysłu. Ostatnią szansę.

— Więc?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

Jak długo miał zamiar trwać w swoim uporze? Kłamał, wiedząc, że z każdym następnym kłamstwem pograża się coraz bardziej.

Od samego początku Kondracki karmił policję półprawdami. Był na pewno jakiś określony powód takiego, a nie innego postępowania.

Gwadera zastanowił się.

„Czego się spodziewałem, przychodząc tutaj? Że uderzy się w piersi i weźmie na siebie winy całego świata?

Czym właściwie dysponuję oprócz niepopartego żadnymi dowodami przypuszczenia, że Kondracki jest w jakiś sposób wplątany w zabójstwo Andrzeja Babicza?”

Gdyby tak spróbować z innej strony?

Mężczyzna zatajał istotne dla przebiegu śledztwa informacje. Na tej podstawie mógł postawić Kondrackiemu zarzut utrudniania śledztwa. To wystarczyło, aby zatrzymać go w areszcie na czterdzieści osiem godzin. Nie wątpił, że jest to ostatnie miejsce, w którym Kondracki chciałby się znaleźć.

Gwadera obawiał się jednego, że mężczyzna wyjdzie z aresztu jeszcze szybciej, niż się tam pojawi.

Miał przeciwko sobie prokuratora, który sprawę postawił jasno. Czapskiego interesowały tylko dowody, które jednoznacznie wskazywałyby na jakikolwiek związek Kondrackiego z morderstwem.

Gwadera pomimo tych licznych wątpliwości podjął decyzję.

— Pójdzie pan z nami.

— Jestem aresztowany?

— Nie. Zatrzymany do wyjaśnienia.

Kondracki przyjął te słowa z kamiennym spokojem.

Domyślał się? Jeżeli odpowiedź brzmiała tak, to dlaczego nie zrobił nic, aby temu zapobiec? Dlaczego po prostu nie wyjechał? Nie opuścił kraju, póki mógł to

jeszcze zrobić. Może po miał dosyć, może było tak jak powiedziała Joanna Bartczak, nie miał już siły walczyć. Pozostawało pytanie — z kim?

Z samym sobą i świadomością tego, co zrobił?

26.

Kondracki milczał, gdy jechali przez miasto. Patrzył obojętnym wzrokiem na mijane domy. Milczał, gdy zaprowadzili go do pokoju przesłuchań.

Gwadera dał mu wystarczająco dużo czasu, aby jeszcze raz, na nowo dokładnie sobie wszystko przemyślał. Przez następne pół godziny Kondracki siedział w pokoju sam.

Był spokojny, nad wyraz spokojny, jak ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazł.

— Muszę zająć panu trochę cennego czasu. Od odpowiedzi na moje pytania zależy, jak wiele tego czasu pan straci — rozpoczął.

Czekał na jakąkolwiek reakcję. Kondracki nawet na niego nie spojrział.

— Co pan robił w sobotę dziesiątego maja pomiędzy ósmą a dziesiątą wieczór? — spytał, przyłapując się na tym, że niczym mantrę po raz kolejny powtarza te same słowa.

Jego pytanie zatoneło w ciszy. Kondracki postanowił milczeć. To była jego obrona. Ucieczka. Ścieżka, która prowadziła donikąd.

Komisarz pochylił się i oparł dłonie o stół. Długo, przenikliwie patrzył na mężczyznę. Ten nawet nie drgnął.

— Pogarsza pan swoją sytuację. — stwierdził sucho komisarz.

Nic. Cisza.

— Utrudnianie pracy policji, fałszywe zeznania, wprowadzanie w błąd organów ścigania — wyliczał beznamiętnym tonem. — Mam mówić dalej?

Ta obojętność Kondrackiego wyprowadzała Gwaderę z równowagi. Powoli tracił cierpliwość.

„Ciekawe, czy tak samo zareagowałby na wiadomość, że następnego dnia będzie koniec świata” — pomyślał z goryczą.

Usiadł naprzeciw niego i bębniąc palcami o blat stołu czekał. Minęło kilka minut.

— Za utrudnianie pracy policji może pan dostać parę lat — nie dokończył. Kondracki w końcu przemówił, ale nie były to słowa, które Gwadera chciał usłyszeć.

— Jestem obywatelem Wielkiej Brytanii. Nie będę odpowiadał na pana absurdalne pytania bez obecności adwokata i kogoś z ambasady — powiedział spokojnym głosem nie pozostawiając wątpliwości.

Uniósł głowę. Komisarz zrozumiał. Niczego się od niego nie dowie.

— Taka jest pana prośba?

— Nie, takie jest moje prawo — spojrzał komisarzowi prosto w oczy.

Gwadera patrzył przez lustro na Kondrackiego. Obok komisarza stał Osmalek.

— Myślisz, że to on zabił? — samo pytanie, a także ton głosu, jakim je wypowiedziano, świadczyły o tym, że Osmalek sam nie wierzy w to, co mówi.

Gwadera pokręcił głową.

— Nie. Ale wie, kto w tej grze pociąga za sznurki.

Zamyślił się.

Od samego początku, kiedy otrzymał zdjęcia, był przekonany, że Kondracki nieprzypadkowo znalazł się w okolicy Smulikowskiego mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zastrzelono tam Babcza.

— Słuchasz mnie? — w świat jego myśli wtargnął zniecierpliwiony głos Osmalka.

— Co mówiłeś?

— Nic nie powie — powtórzył Osmalek i popatrzył na Gwaderę uważnie.

— Powinniśmy go puścić.

Gwadera wiedział o tym i bez jego słów.

— I zawiadomić ambasadę.

— Nie.

— Co nie?

— Nie wypuścimy go, w każdym razie nie teraz.

— Chcesz go przesłuchać?

— Później. Przetrzymamy go dwie, trzy godziny, to może będzie bardziej rozmowny.

— A ambasada? — Osmalek nie ukrywał, że to wszystko mu się nie podoba.

Gwadera nie odpowiedział, tylko spojrzał na Osmalka z namysłem.

— Pał sześć ambasadę.

Ruszył do wyjścia.

— A ty dokąd? — dogoniło go pytanie.

— Na obiad — mruknął.

Potrzebował kilku minut spokoju, aby poukładać myśli.

Nie zdążył wyjść. Na korytarzu szybkim krokiem szedł w jego stronę naczelnik.

— Co ty, kurwa, wyprawiasz? — powiedział podniesionym głosem.

— Zatrzymałem podejrzanego — odpowiedział spokojnym głosem.

— Dosyc — Kawecki był zdenerwowany. — A przy okazji złamałeś tuzin przepisów — dodał już spokojniejszym tonem. — Za pół godziny będzie tu Czapski. Masz z przesłuchaniem poczekać na niego.

Czapski nie był zadowolony z poczynań komisarza. Po wejściu do pokoju długo milczał.

— Bezzasadny areszt tymczasowy — mruknął.

— Został tylko zatrzymany — Osmałek pospieszył z wyjaśnieniem.

Prokurator zgasił mężczyznę wzrokiem.

— Od początku nie ukrywałem, że nie chcę tutaj żadnego skandalu. Rozmawialiśmy o tym wcześniej, komisarzu. Kondracki to cudzoziemiec i w przypadku zatrzymania obowiązują określone procedury, które... — poprawił okulary — ...które pan właśnie złamał.

— Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

— Pana czy państwa polskiego?

Czapski usiadł.

— Ma pan coś na niego? — spytał nieco łagodniej.

Gwadera podzielił się swoimi podejrzeniami.

Czapski długo patrzył na komisarza. Skinął głową z przyzwoleniem.

— Dobrze. Będę przy tym, ale to pan będzie prowadził przesłuchanie.

„Czasami wtrącając swoje przysłowiowe trzy grosze” — pomyślał Gwadera.

Zgodnie wkroczyli do pokoju przesłuchań, gdzie czekało na nich dwóch mężczyzn: wychudzony okularnik, który okazał się pracownikiem ambasady, i będący jego przeciwieństwem, znany już komisarzowi mecenas Stachura.

Gwadera przedstawił prokuratora.

— Czy teraz będzie pan odpowiadał na moje pytania? — zwrócił się do Kondrackiego.

Mężczyzna nie zdążył nic powiedzieć. Ubiegł go suchy okularnik.

— Czy pan Kondracki jest o coś oskarżony? — spytał rzeczowo.

Gwadera nie odpowiedział.

— Mój klient nie musi odpowiadać na żadne pytania, dopóki nie zostaną postawione konkretne zarzuty — do rozmowy włączył się Stachura.

Gwadera powiedział o utrudnianiu śledztwa i zatajaniu ważnych informacji.

— A konkretnie, panie komisarzu?

— Słucham? — myślał, że się przesłyszał.

— Dowody, komisarzu — Stachura od swojego mocodawcy przejął sposób zwracania się do Gwadery.

— Wiemy, że tego dnia, który nas interesuje pan Kondracki pomiędzy godziną ósmą a dziesiątą wieczorem przebywał w zupełnie innym miejscu, niż zeznał.

— Kto tak zeznał?

Gwadera miał tego dosyć. Postanowił wyłożyć karty na stół.

— Mamy nagranie z policyjnego fotoradaru... — przerwał.

Stachura i Kondracki wymienili szybkie spojrzenia. Okularnik rzucił po angielsku kilka słów. W odpowiedzi usłyszał proste, niepozostawiające wątpliwości „yes”.

— Co chce pan wiedzieć, komisarzu? — spytał Kondracki spokojnym głosem

— Wszystko.

— To bardzo pojemne słowo.

— Zacznijmy w takim razie od początku. Jeszcze raz proszę powiedzieć, gdzie pan był pomiędzy ósmą a dziesiątą wieczorem dwunastego maja?

Twarz Kondrackiego pozostała nieodgadniona.

— Miałem spotkanie biznesowe — powiedział wolno, analizując każde słowo.

— Gdzie?

— Na Foksal.

— Z kim?

— Z klientem.

Komisarz pochylił się nad nim.

— Nazwisko tego klienta — powiedział ostrym tonem. Spojrzał na Kondrackiego twardym wzrokiem.

— Muszę je podać?

— Raczej tak. To dla pana dobra.

W pokoju zapadła cisza.

— Nie poda pan nazwiska nawet za cenę swej wolności? — spytał Gwadera, który miał już dosyć tej słownej przepychanki.

— Wykracza pan poza swoje kompetencje. To sąd albo prokurator decyduje o aresztowaniu — wtrącił się prawnik i zerknął na Czapskiego — w każdym razie w cywilizowanym kraju.

— Cywilizowanym kraju — powtórzył komisarz bezwiednie.

Stachura chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Kondracki powstrzymał go gestem dłoni.

— W porządku...

— Jesteś pewien?

Kondracki skinął głową.

— Jarosław Tomski — rzucił nazwisko, które nie było policjantom obce.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Tomski był znanym biznesmenem, który swój majątek zdobył w czasach, kiedy państwo z wielką chęcią pozbywało się upadających zakładów, sprzedając je za przysłowiowy grosz. Wiedział, jak inwestować pieniądze, od lat z powodzeniem grał na giełdzie. Przez ostatnie dwa lata często gościł w mediach, gazety szeroko rozpisywały się o jego rozwodzie z trzecią żoną. Jak widać, pieniądze nie szły w parze ze szczęściem rodzinnym.

— Ma pan jeszcze do mojego klienta jakieś pytania? — ciszę przerwał głos Stachury.

Gwadera zastanowił się. Od pewnego czasu narastało w nim przekonanie, że

umknęło mu coś ważnego, jakiś szczegół, na który zwrócił uwagę tamtego krytycznego wieczora. Próbował odtworzyć wydarzenia z dziesiątego maja.

Stał przed kamienicą, patrzył na ciemne okna i...

Krok po kroku zbliżał się do celu.

To było kilka minut po rozmowie z sierżantem Terleckim, kiedy czekał na techników. Obok przejechał samochód, którego kierowca na widok policyjnego radiowozu przyspieszył. Gwadera wyteżył pamięć, chcąc sobie przypomnieć, jakiej marki był to samochód. Nagle wydało mu się to bardzo ważne.

Spojrzał uważnie na Kondrackiego.

— Pan tam był... — powiedział wolno, nie spuszczać wzroku z mężczyzny.

Twarz Kondrackiego stężała w napięciu, w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Stachura zerknął zaniepokojony na swego mocodawcę.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — zauważył.

— Był pan na Smulikowskiego mniej więcej o dziewiątej — Gwadera zwrócił się bezpośrednio do Kondrackiego, ignorując całkowicie prawnika.

— Nie wiem, do czego pan zmierza i na jakiej podstawie tak sądzi... — powiedział zupełnie spokojnym głosem Kondracki. — Nie mogłem być jednocześnie w dwóch miejscach...

Gwadera patrzył Kondrackiemu prosto w oczy. Wiedział, że mężczyzna kłamie.

— Jeszcze coś? — wtrącił się Stachura.

Czapski zerknął wymownie na komisarza.

— Dziękuję, to wszystko, panowie. Nie mamy żadnych dodatkowych pytań... prawda, komisarzu?

Przeniósł wzrok na Kondrackiego.

— Może pan wracać do domu, ale proszę nie opuszczać miasta.

Gwadera z pokoju wyszedł zły. Nie rozumiał, dlaczego Czapski tak szybko zakończył przesłuchanie.

Pięć minut później spotkali się w gabinecie naczelnika wydziału. Czapski długo patrzył na komisarza, zanim zdecydował się rozpocząć rozmowę.

— Niech pan mi powie, skąd nagle wzięło się u pana takie przypuszczenie, że Kondracki był na Smulikowskiego? — spytał, starając się zachować spokój.

Gwadera podzielił się swoimi spostrzeżeniami. Kiedy skończył, na kilka chwil w pokoju zapanowała cisza. Prokurator, który wysłuchał go uważnie, pokiwał z powątpiewaniem głową.

— Było ciemno, wspomniał pan, że nie widział twarzy kierowcy. Mógł to być taki sam samochód, jakim jeździ Kondracki, ale to o niczym nie przesądza. Kondracki zeznał, że dziesiątego maja, w interesującym nas czasie był na spotkaniu z Jarosławem Tomskim. To poważna osoba, z której zdaniem powinniśmy się

liczyć...

— Do jasnej cholery, dlaczego nie pozwolił pan mocniej go przycisnąć?

— Gwadera przerwał prokuratorowi.

— Czego pan jeszcze chce? Powiedział to, co chcieliśmy usłyszeć... — Czapski ze spokojem szachisty odpowiedział na atak komisarza.

Gwadera zaśmiał się nerwowo.

— Powiedział to, co chciał, abyśmy usłyszeli...

W pokoju czekał na Gwaderę komisarz Marciniak, który przez ostatnią godzinę przesłuchiwał Annę Karlsson. Mężczyzna siedział przy biurku do niedawna zajmowanym przez Wejner i czytał protokół.

Spojrzał na kolegę i uśmiechnął się tajemniczo.

— W zasadzie Anna Karlsson powtórzyła to wszystko, co usłyszeliśmy od niej wcześniej. Z małym wyjątkiem — zawiesił głos. — Nie powiedziała tego wprost, ale z jej słów wynika, że za wypadkiem Kondrackiego stał jej mąż.

Gwadera przez kilka chwil patrzył zaskoczony na Marciniaka.

Państwo Karlsson mieli dom w Konstancinie-Jeziornie, przy Batorego. Anna Karlsson w czasie nieobecności swojego męża większość czasu spędzała w Warszawie, w wynajętym na swoje nazwisko mieszkaniu.

Zatrzymali samochód przed willą, która przypomniała pałacyk z loggią.

Drzwi otworzyła im gruba gosposia. Marciniak pokazał jej legitymację i spytał grzecznie, czy gospodarz jest w domu.

— Mój Boże, co się stało?

Ponieważ Marciniak nic nie powiedział, wolno przeniosła wzrok na Gwaderę, potem na Czapskiego, przelotnie zerkając na młodego tłumacza.

— Możemy wejść?

— Proszę poczekać — zamknęła im drzwi przed nosem.

— Nie ma to jak polska gościnność — mruknął Marciniak.

Po pięciu minutach zaczęli się niepokoić.

Marciniak uniósł dłoń w stronę dzwonka. W tym samym momencie drzwi otworzyły się. Gosposia zaprowadziła ich do przestronnego salonu z kominkiem.

Kristian Karlsson był wysokim mężczyzną o szczupłej, wręcz wychudzonej twarzy.

— Słucham? — rzucił, nawet nie zapraszając ich, aby usiedli.

Przesłuchanie rozpoczął Czapski, który jeszcze na komendzie zapowiedział, że to on będzie zadawał pytania. Porozumiewali się przez tłumacza, który szybko i sprawnie, prawie bez zastanowienia przekładał wypowiedane przez obie strony słowa.

— Gdzie pan był przedwczoraj po ósmej?

— Rano czy wieczorem? — Norweg wytknął prokuratorowi brak precyzji.

— Wieczorem...

— Tutaj...

— Czy zna pan Krzysztofa Kondrackiego?

Na brzmienie nazwiska coś w mężczyźnie pękło. Karlsson zacisnął dłonie w pięści.

— Tak.

— Wie pan, że Kondracki miał wypadek?

Znów ta sama odpowiedź.

— Pan wie, kto to zrobił?

Skinął tylko głową.

— Zasłużył na to... — mruknął.

— Proszę opowiedzieć wszystko po kolei...

Karlsson, ku zdziwieniu policjantów, którzy spodziewali się, że będzie kluczył, opowiedział wszystko ze szczegółami. Wynajął ochroniarzy z firmy, aby, jak to pięknie określił, „porachowali angolowi kości”.

— Dlaczego pan to zrobił? — po raz pierwszy pytanie zadał Gwadera.

— Pan mnie jeszcze śmie o to pytać? Miałem spokojnie pozwolić, jak zabiera mi żonę? Nie mogłem jej za to ukarać. Oszukała mnie, ale za bardzo ją kocham... Więc... — zamilkł.

Komisarz skinął głową.

— Wierzy pan w wieczną miłość? — spytał.

Tłumacz spojrzał na komisarza niepewnie.

— Dokładnie tak mam spytać?

— Tak...

Karlsson w skupieniu wysłuchał słów, których tłumaczenie tym razem przyszło z pewnym trudem.

— Tak. Wierzę w miłość do grobowej deski... — odpowiedział z powagą.

Gwadera zawahał się. Postanowił zadać jeszcze tylko jedno pytanie.

— Wiedział pan, że pana żona była wcześniej mężatką?

Norweg zdziwiony patrzył na Gwaderę.

Anna Karlsson nie miała zwyczaju dzielić się z partnerami szczegółami ze swojej przeszłości, tak jakby ta nie istniała.

27.

Przesłuchanie, a właściwie rozmowa z Tomskim odbyła się w apartamencie biznesmena w Mariotcie. Pomiędzy jednym a drugim telefonem potwierdził wersję Kondrackiego.

Tak, rzeczywiście spotkali się dziesiątego maja wieczorem. Gdzie? W małej restauracji przy Foksal. Czy ktoś może to potwierdzić? Kelner, który ich obsługiwał. Która była godzina? Kwadrans przed dziewiątą, zapamiętał dokładnie, gdyż akurat jak wszedł Kondracki, zadzwoniła do niego żona.

Kondracki jak zwykle był opanowany i spokojny, bardzo rzeczowy. Przekonał go do zaangażowania pieniędzy w pewną operację, za co do dzisiaj jest mu bardzo wdzięczny. Przedstawił argumenty nie do zbiccia.

Na koniec Gwadera zadał pytanie niezwiązane ze śledztwem.

— Jest pan wolnym człowiekiem.

— Wolnym?

— Ma pan pieniądze, a co za tym idzie — władzę.

— Pieniądze, komisarzu, to złudna siła.

Teoretycznie Krzysztof Kondracki był czysty. Tomski zapewnił mu alibi na tamten wieczór.

Gwadera nie miał pomysłu, jak dalej poprowadzić śledztwo.

Tłumaczenia Kondrackiego były logiczne. Chronił zarówno Annę Karlsson, jak i ważnego klienta. Mogło oczywiście być tak jak mówił Tomski, ale nie musiało.

Gwadera postanowił przesłuchać wskazane przez biznesmena osoby. Czy to cokolwiek zmieni? Na pewno nie.

Kiedy tak siedział w biurze wpatrzony w puste biurko, które jeszcze niedawno zajmowała Katarzyna Wejner, powoli dotarło do niego, że nigdy nie dowiedzą się, kto stał za zabójstwem Babicza.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Wszyscy, którzy mogli cokolwiek na ten temat powiedzieć, zginęli w mniej lub bardziej tajemniczych okolicznościach.

Napisał krótkie podsumowanie i dołączył je do akt sprawy. Nie interesowało go, co stanie się ze zgromadzonym materiałem. Następny ruch należał do prokuratora, który nie miał zbyt dużego manewru.

Gwadera sięgnął po telefon i zadzwonił do Wolańskiej. Po wymianie zdawkowych słów spytał, czy może ją odwiedzić.

— Wyjeżdżam — jak z oddali usłyszał jej głos.

Przez dłuższy milczał czas zaskoczony. Wcześniej nic nie wskazywało na to, że załatwianie spraw związanych ze sprzedażą mieszkania zbliża się do końca. Przeciwnie, Wolańska wyraźnie dawała do zrozumienia, że chce pozostać w Warszawie jak najdłużej.

Musiało coś się wydarzyć, skoro nagle zmieniła decyzję.

— Słucham?

— Wracam do siebie, do Lublina — zawahała się.

— Kiedy?

— Wieczorem mam pociąg.

— Coś się stało? — spytał.

— Nie — odpowiedziała szybko, zbyt szybko. Wyczuł w jej głosie fałsz.

Zaproponował, że podwiezie ją na dworzec. Umówili się przed ósmą.

Wolno odłożył telefon. Zastanawiał się, czy wyjazd Wolańskiej oznacza

koniec ich znajomości. Decyzja Małgosi o powrocie do Lublina mocno komplikowała relacje między nimi.

Dzieliły ich kilometry, lecz odległość w dzisiejszych czasach, przy zaangażowaniu obu stron, nie stanowiła żadnego problemu. Nie chciał, aby Małgosia tak po prostu zniknęła z jego życia. Powiedział jej to na peronie, kiedy czekali na przyjazd pociągu. Dodał jeszcze, że bardzo mu na niej zależy.

Długo milczała. Czuł, że pomiędzy nimi wyrósł jakiś niewidzialny mur.

— Daj mi trochę czasu. Muszę wszystko przemyśleć... — słowa zagłuszył wjeżdżający na peron pociąg.

Następnego dnia wypisał wniosek urlopowy i zostawił w sekretariacie. Tak jak się spodziewał, po kilku minutach zadzwoniła sekretarka z informacją, że natychmiast ma stawić się u naczelnika.

— Nie wiem, co mam o tym myśleć — zaczął Kawecki i spojrzał na swego podwładnego tak jakby chciał poznać jego myśli.

— Potrzebuję trochę czasu, aby wszystko przemyśleć...

— Mam nadzieję, że nie chcesz od nas odejść? — Kawecki przerwał komisarzowi.

Nie przyszło mu to nawet do głowy. Był zaskoczony, że naczelnik odebrał to w ten sposób.

Uśmiechnął się. Zastanawiające, jakimi drogami podążają myśli innych.

— Nie... Mam do załatwienia pewną sprawę... — zawahał się — ...osobistą.

28.

Jeszcze tego samego wieczora, kiedy siedział w domu przed telewizorem, zadzwonił Kondracki. Mężczyzna nagle zaproponował spotkanie.

— Nie wiem, czy będę miał czas — powiedział wymijająco.

— Ależ ma go pan bardzo dużo. Przecież jest pan na urlopie...

Kondracki dał do zrozumienia, że jest dobrze zorientowany w tym, co dzieje się w komendzie. Po raz kolejny udowodnił, że ma tam informatora.

Gwadera jeszcze się wahał.

— Gdzie pan jest?

— W takiej małej kawiarni. Będę tu na pana czekał.

Zawahał się.

— Dobrze. Gdzie to jest? — spytał.

— Przy Chmielnej, Piano Bar.

Kondracki siedział przy barze i patrzył na ekran zawieszony na ścianie telewizora. Gwadera usiadł obok niego.

— Giełda? Mam nadzieję, że nie inwestuje pan swoich oszczędności w akcje? — spytał nieoczekiwanie.

Prawą dłonią sięgnął po szklaneczkę, przez chwilę patrzył na przezroczysty płyn. Na pewno nie była to woda mineralna. Zawahał się, a potem upił kilka łyków.

Wolno przeniósł wzrok na komisarza. Ten milczał. Kondracki uśmiechnął się.

— Jeden z dziennikarzy porównał naszą giełdę do łodzi, która nagle nabrała wody. Wniosek jest prosty: to nie żaden Dar Pomorza, lecz stara krypa, którą łatwo rozkołysać. Kołysanie bywa zabawne, ale nie w sytuacji, gdy siedzą w niej miliony osób, powiedzmy, pracowników i konsumentów. Psoty na łodzi wywołują reakcję obronną w postaci na przykład torsji albo skarcenia hartownika. Na giełdzie takie niekontrolowane rozkołysanie bywa niebezpieczne.

Czyżby znów szykował się wykład na tematy, które dla ogółu były niezrozumiałe, a w których Kondracki czuł się jak ryba w wodzie?

— Cała sztuka polega na tym, aby wiedzieć kiedy i co sprzedać...

— Chciał się pan ze mną spotkać? — Gwadera przerwał jego potok słów.

Odstawił pustą szklaneczkę.

— Tak. Dużo myślałem o naszej ostatniej rozmowie...

— Ma pan wysoko postawionych przyjaciół.

— Na tym polega dzisiaj biznes. To nieodłączny element całej tej gry.

— Napije się pan czegoś?

— A co pan pije?

— Właśnie, co piję? — zerknął na barmana.

— Brainstorm.

Spojrzał na barmana pytająco.

— Dokładnie to samo, co zamawiał pan trzy kolejki temu. Lód, whisky, Benedictine, wytrawny wermut, pomarańcza — wyjaśnił cierpliwie

— To jeszcze raz, dla tego pana i dla mnie.

Komisarz dokładnie przyjrzał się Kondrackiemu. Nie wyglądał na kogoś, kto wypił aż tak dużo. Pewnym krokiem zaprowadził go do stolika w głębi sali. Dopiero tutaj lekko, prawie niezauważalnie zachwiał się.

— Wie pan, rodzina jest jak kotwica — zaczął Kondracki. — Bez niej dryfujemy. Moje małżeństwo z Ewą od początku było fikcją. Pomyłką. Żyliśmy razem, ale osobno. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Nie oczekiwał odpowiedzi.

— Kiedy zacząłem piąć się w górę, musiałem brać udział w przyjęciach, na których w dobrym tonie było pojawić się z żoną — wypity alkohol wyraźnie rozwiązał mu język. — Głowa rodziny — to robi wrażenie na kontrahentach. Te rauty, spotkania z pozoru towarzyskie, nigdy takimi nie były, to nie sposób spędzenia wolnego czasu, ale przemyślana strategia, odpowiedni dobór gości, oczywiście tych z zasobnym portfelem. Mniej więcej w tym czasie pojawiła się Ewa, młoda zdolna analityczka, do tego piękna kobieta. Miała w sobie to coś, urok,

któremu wielu mężczyzn nie potrafi się oprzeć. Mniej więcej po roku byliśmy już małżeństwem. A potem zaczęła się szara rzeczywistość, coraz więcej czasu spędzałem w pracy, Ewa czuła się zaniedbana. Nie tak wyobrażała sobie nasz związek, z drugiej strony czego się spodziewała? — przerwał, uśmiechnął się do wspomnień. — Miała wszystko. Nie żałowałem pieniędzy ani na nią ani na dziecko, które wkrótce przyszło na świat. Dziecko — była to przemyślana decyzja, myśleliśmy, że w ten sposób uratujemy nasze małżeństwo.

Gwadera miał na końcu języka pytanie, czy uratowali, ale nie zadał go. Pozwolił, aby Kondracki ciągnął swoją opowieść. Odniósł wrażenie, że mężczyzna nie mówi mu tego wszystkiego przypadkowo.

Na co dzień żył takimi historiami. Niektórzy swoje brudy prali publicznie, w przypadku państwa Kondrackich stało się to kulturalnie, po cichu.

— Kiedy trzy lata temu przyjechałem tutaj, tak na dobrą sprawę niewiele nas już łączyło.

Kondracki przez chwilę bawił się szklaneczką.

— Wasz kraj daje wielkie możliwości... Ale... ta nostalgia i grzebanie się w przeszłości, rozdrapywanie ran, które dawno się zasklepiły... Może kiedyś uda wam się pozbyć tego ciężaru... wtedy... Przed wami przyszłość — mówił nieskładnie, rozpoczynał myśli, których nie kończył.

— Wracając do pana małżeństwa...

Kondracki machnął dłonią.

— To zamknięty etap mojego życia.

Znów przez kilka chwil milczeli.

— Wie pan, z nas dwojga to pan jest w tym kraju bardziej wyobcowany. — Zmrużył oczy tak jakby lepiej chciał widzieć swego rozmówcę.

— Słucham? Dlaczego pan tak sądzi?

— Pan ciągle zadaje pytania.

— Na tym polega moja praca.

— Na ogół pod górkę?

— Słucham?

— Ilu przestępców udaje się panu złapać? Wystarczająco dużo, by ludziom żyło się bezpieczniej? A ile z tych osób musi pan potem wypuścić? Nie ciąży panu świadomość, że ci, którzy powinni gnić w więzieniach, szczęśliwi przemierzają ulice?

„Cięży jak cholera”.

— Nigdy nie miał pan zamiaru tego rzucić?

— Myślę, że każdy ma takie chwile. A pan? Pan miał ochotę uciec przed tym wszystkim?

— Proszę sobie wyobrazić, że nigdy. Pomimo wszystko to jest mój świat.

— Ma pan wystarczająco dużo pieniędzy, by zacząć od nowa.

— Tak. W przeciwieństwie do pana. Ile pan zarabia?
Kondracki skinął na kelnera.
— Nie za dużo jak na jeden wieczór?
— Pan komisarz martwi się o mnie? Proszę mi powiedzieć, czy... Gdyby miał pan odpowiednią sumę pieniędzy rzuciłby pan to?
— Do czego pan zmierza?
— *Pecunia non olet...* żaden pieniądz nie śmierdzi.
— Jak mam rozumieć te słowa?
Wzruszył ramionami.
— To zależy od pana. — Spojrzał na komisarza zadziwiająco przytomnie jak na kogoś, kto wypił tak dużą ilość alkoholu.
— Pan proponuje mi łapówkę?
— Ależ skąd. To tylko dywagacje. Czysto teoretyczne rozważania. Na kilka chwil zamilkli.
— Jutro wyjeżdżam — pierwszy odezwał się Kondracki.
— Dokąd?
— Wracam do Londynu, muszę uporządkować parę spraw.
— Mógłbym pana zatrzymać.
— Nie sądzę, ale może pan oczywiście spróbować.
Zdawał sobie sprawę ze słabości policji.
Zmrużył oczy. Przez chwilę zastanawiał się, ile może powiedzieć.
— Mnie także zależy na ujęciu morderców Andrzeja.
Podał mu zapisaną rzędami cyfr kartkę papieru.
— I to ma mnie przekonać? — spytał z powątpiewaniem.
— Jest pan człowiekiem małej wiary — w jego głosie znów zabrzmiał ironiczny ton.
— Co to właściwie jest?
— Numer konta.
Tego sam się domyślał.
— Prywatnego konta Andrzeja Babicza w Nordic Bank, konta, o którym wiedział tylko Andrzej.
— I pan?
Skinął głową.
— Co mam niby z tym zrobić? Dlaczego mi pan to wszystko mówi?
— Przecież jest pan inteligentnym człowiekiem, panie komisarzu — rzucił i podniósł się.
— To wszystko, co chciał mi pan powiedzieć?
— Tak.
Komisarz także wstał.
Zatrzymali się przed wejściem.

Kondracki przez chwilę szukał czegoś w kieszeniach.

Gwadera z niedowierzaniem patrzył, jak kieruje się w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu.

Dogonił go.

— Kluczyki — rzucił.

Kondracki spojrział na niego zamyślony.

— Nie ma pan chyba zamiaru prowadzić w tym stanie?

— Zawsze może pan zawiadomić drogówkę.

— Kluczyki — powtórzył ostrzejszym tonem.

Kondracki uśmiechnął się i bez słowa sprzeciwu wykonał polecenie.

Dziesięć minut później Gwadera zaparkował przed Holland Park.

Kondracki przez całą drogę milczał. Wyglądał na zmęczonego, możliwe, że w końcu dał o sobie znać wybity w nadmiarze alkohol.

Gwadera odprowadził mężczyznę do samej klatki schodowej. Kondracki nacisnął na domofon i po chwili w drzwiach pojawił się portier.

Kondracki był już w środku, kiedy odwrócił się i spojrział na komisarza zamyślonym wzrokiem.

— Pan też powinien spróbować — rzucił.

Gwadera nie zrozumiał.

— Co?

— Poukładać na nowo swoje życie, komisarzu. Póki nie jest za późno...

29.

Środa minęła Gwaderze szybko. Wieczorem siedział do późna przed telewizorem i szukał czegoś ciekawego, co w natłoku stacji telewizyjnych nie było łatwym zadaniem.

Następnego dnia obudził się przed dziesiątą, zjadł szybkie śniadanie, potem wsiadał do samochodu i jeździł po okolicach Warszawy, w ten sposób zabijając czas. Kilkakrotnie próbował dodzwonić się do Małgorzaty. Od dnia, kiedy wyjechała z Warszawy, pomimo zapewnień, że odezwie się po dotarciu do Lublina, nie dała znaku życia. Gwadera próbował nawiązać z nią kontakt. Małgosia nie odbierała, dwa razy cierpliwie wysłuchał metalicznego głosu: „Abonent czasowo niedostępny”. Nagrał się też na sekretarce.

Ta sytuacja coraz bardziej go denerwowała. Miał do siebie pretensje, że nie potrafił zatrzymać Małgosi w Warszawie.

W czwartek trochę na przekór swoim zasadom wybrał się do centrum handlowego. Nie lubił panującego tam hałasu i tłoku, wylewających się ze sklepów dźwięków, wędrujących z piętra na piętro rodzin z rozbrykanymi dziećmi, które chciały, aby rodzice natychmiast kupili im obiecane zabawki. Dlatego też swój pobyt ograniczył do supersamu sieci Alma, gdzie mógł kupić wszystko, co

potrzebne.

Z dwoma pełnymi torbami, myśląc o zbliżających się urodzinach siostrzeńca, zahaczył jeszcze o salon EMPiK-u. Przeszło godzinę szukał czegoś wartościowego. Summa summarum nie kupił nic, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak da chłopakowi pieniądze.

Skierował się do wyjścia. Po drodze miał regał z gazetami. Przystanął, wziął do rąk Focus, kiedy jego uwagę przyciągnął tytuł artykułu umieszczonego na pierwszej stronie Gazety Wyborczej.

Gazeta atakowała czytelników dużymi czerwonymi literami: GIEŁDA SZUKA WINNYCH CUDÓW — CHYTRA MANIPULACJA RYNKIEM CZY ZWYKŁY PRZYPADEK? INDEKSY WCIAŻ SPADAJĄ.

Blisko trzygodzinna wędrówka po centrum handlowym zmęczyła go. Wrócił do domu i zaparzył sobie kawę.

Sięgnął po gazetę.

Szybko przebiegł wzrokiem treść artykułu o giełdzie:

Na giełdzie trwa poszukiwanie winnych środowego zamieszania. Rynek huczy od plotek. Atmosfera jest napięta, bo operacja przeprowadzona przez pojedynczego inwestora wzbudziła podejrzenia o próbę manipulacji ceną zamknięcia. KNF, która ją bada, nabrała wody w usta.

Wiemy, że transakcji dokonano z zagranicy, co nie wyklucza jednak, że zrobił to polski gracz. Możemy założyć trzy scenariusze. Mogła to być pomyłka, celowe podbicie wartości indeksu albo owoc bezmyślności inwestora.

Ze źródeł zbliżonych do giełdowych nasz reporter dowiedział się, że to nie był błąd. Podbicie indeksów prawdopodobnie spowodowane było pakietowym zleceniem złożonym przez zagraniczny podmiot za pośrednictwem jednego z polskich biur maklerskich. Zlecenie dotyczyło wszystkich spółek z indeksu WIG20. Do rozhuśtania GPW wystarczyło zaledwie 100 mln zł.

Z ust przedstawicieli giełdy nie pada jednak słowo „manipulacja”.

Analitycy nie są pewni, czy na środowym wahnięciu dało się zarobić. Jednakże część ekspertów przyznaje, że zarobić mogły na tym podmioty zaangażowane w instrumenty oparte o wycenę WIG20. Trudno będzie jednak to sprawdzić, bo takie produkty oferują banki na całym świecie.

Inwestorzy czekają na wyjaśnienia, nie zmieniając swojego negatywnego nastawienia do rynku.

Analizując zdarzenie, nie można pominąć rynku papierów pochodnych...

Nie doczytał do końca. Odłożył gazetę na kuchenny stolik z myślą, że opisywane problemy obchodzą go tyle co zeszłoroczny śnieg. Nie rozumiał mechanizmów rządzących giełdą, ale tak jak wiele osób zdawał sobie sprawę, że większe czy mniejsze wahania kursów mają duży wpływ na kondycję gospodarki. Przypomnił sobie, co na ten temat mówił Krzysztof Kondracki. Mężczyzna

niewiele pomylił się w ocenie polskiej giełdy. Łódź, która nagle nabrała wody. Trafne porównanie.

Gwadera zerknął w okno. Słońce, które początkowo nieśmiało przebijało się przez chmury, w końcu wygrało walkę. Zapowiadało się piękne popołudnie.

Komisarz zastanawiał się, co zrobić z resztą dnia. Miał pewne plany, których dotąd nie zrealizował.

Sięgnął po komórkę i wystukał numer Wolańskiej. Łudził się, że tym razem szczęście będzie mu sprzyjać. Znowu odpowiedziała sekretarka.

O czwartej komisarz opuścił mieszkanie.

Dopiero w samochodzie zorientował się, że nie ma przy sobie telefonu. W pierwszym odruchu chciał zawrócić, chwilę później zrezygnował. „Nie dajmy się zwariować” — mruknął i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Przez pół godziny jeździł bez celu po mieście, aż w końcu postanowił odwiedzić siostrę. Na Kabatach został do wieczora. Przez dwie godziny oglądał z siostrzeńcem jakiś zaległy mecz Legii, który zakończył się remisem. Radek stwierdził, że i tak jest to sukces, po kilku kiepskich spotkaniach Legia przełamała złą passę. Gwaderze nie pozostało nic innego, jak zgodzić się z chłopakiem. Rzadko oglądał mecze, nie specjalnie interesowała go piłka, zwłaszcza w wykonaniu polskich drużyn.

Była dziewiąta, kiedy zdecydował się wracać do siebie.

Telefon leżał na kuchennym stole, na gazecie. Gwadera sprawdził połączenia.

W czasie jego nieobecności dzwoniły dwie osoby. Pierwszy numer, który znał na pamięć, należał do Wolańskiej. Zerknął na godzinę. Kwadrans po czwartej, a więc krótko po tym, jak wyszedł z domu.

Oddzwonił. Cisza. Poczekał kilka minut i spróbował ponownie, z tym samym skutkiem.

Wziął gazetę, z lodówki wyjął kupione rano piwo i tak uzbrojony usiadł przed telewizorem. Piwo i gazetę położył na stoliku i sięgnął po pilota. Bezmyślnie przeskakiwał z programu na program, szukając czegoś, co zajęłoby galopujące myśli, kiedy zabrzmiał telefon.

Zerknął na wyświetlacz. „Nieznany numer”.

— Słucham — rzucił lekko poirytowanym głosem. Bał się, że kiedy będzie prowadził rozmowę z kimś nieznanym, zadzwoni Małgosia. Znowu ich drogi rozminą się.

— Witam, komisarzu...

O tak, pan Kondracki miał świetne wyczucie chwili.

— Wszystko w porządku?

— Uporałem się ze swoimi problemami. Jeżeli o to chciał pan spytać.

„Chociaż jednemu z nas się udało” — pomyślał Gwadera z goryczą.

— Dobrze się pan czuje? — chciał zabić w nim ten spokój.

— Z czym?

— Ze świadomością, że w jakimś stopniu przyczynił się pan do śmierci Andrzeja?

Udało mu się, długo trwała cisza. Myślał nawet, że Kondracki odłoży słuchawkę.

— Grzech zaniechania — usłyszał tylko. — Jak śledztwo? Czy złapano mordercę?

— Jeszcze nie.

— I pewnie nie złapiecie.

— Nie.

— Macie za krótkie ręce — zaśmiał się.

Gwadera nie skomentował.

Niedobrze mu się robiło od tych wytartych frazesów, którymi karmił go Kondracki. Tajemnica, interes firmy, kontrahenci, którzy nie życzą sobie, by wyjawiać ich nazwiska, zgodnie z prawem pozostają anonimowi, zgoda zarządu.

Gwadera zastanawiał się, po co mężczyzna dzwonił. Zanim podjął taką decyzję, na pewno wcześniej dokładnie wszystko przemyślał. Znów ta zimna kalkulacja, dogłębna analiza zdarzeń, szukanie możliwych rozwiązań i zagrożeń, jednym słowem przeniesienie zasad obowiązujących w świecie finansów do życia.

Wzrok komisarza powędrował w stronę gazety, która leżała na stoliku. Przypomniawszy sobie o zamieszczonym na pierwszej stronie artykule na temat giełdy.

— Miał pan rację — rozpoczął ostrożnie.

— Z czym?

— Że warszawska giełda nie jest najlepszym miejscem lokowania oszczędności.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

— Słyszał pan o ostatnich cudach na giełdzie? — spytał go wprost.

Odpowiedź nie padła od razu.

— Obiło mi się o uszy.

Gwadera był przekonany, że Kondracki kłamie. Na pewno śledził dokładnie doniesienia z Polski.

— I oczywiście nie wie pan, kto za tym stoi?

— Czyżby policja zmieniła zakres swoich obowiązków?

Teraz Gwadera nie zrozumiał.

— Z tego, co wiem, to tematem zajmuje się komisja giełdowa — podjął Kondracki. — Która zapewne nic nie ustali.

Gwadera nie skomentował tych słów.

— Słyszał pan o takim zjawisku jak zmowa kilku inwestorów w celu wywołania korzystnych dla nich zmian kursów? — spytał komisarz po dłuższej

chwili milczenia.

— Sugeruje pan manipulacje?

— Tak, na dużą skalę.

— To zjawisko trudne do udowodnienia — powiedział Kondracki pewnym głosem.

— Pan oczywiście nie ma z tym nic wspólnego? — komisarz nie krył ironii.

— Jestem tylko małym trybikiem w wielkiej maszynie... — odpowiedział Kondracki nieco filozoficznie. — Mogę spać spokojnie.

Długo milczeli.

— Przesyłka dotarła? — spytał Kondracki.

— Jaka przesyłka?

— Nagranie, które powinno pana zainteresować.

Znów cisza.

— Proszę na siebie uważać, komisarzu... I... niech pan nikomu nie ufa... zwłaszcza swoim kolegom...

— A pan?

— Rozmyję się we mgle. Mając pieniądze, łatwo jest zniknąć...

Gwadera pił poranną kawę, kiedy ktoś zapukał. Było to dziwne, na ogół wszyscy korzystali z dzwonka. Dźwięk powtórzył się.

Otworzył drzwi. Przed nim stał może piętnastoletni rudy chłopak z deskorolką pod pachą.

— Roman Gwadera? — spytał.

Gwadera wskazał na tabliczkę z nazwiskiem.

— Nie umiesz czytać?

Chłopak podał komisarzowi szarą paczuszkę.

— Miałem to panu przekazać...

Gwadera zerknął na kopertę, na której wypisane były tylko jego inicjały.

— Robisz za listonosza? — spytał.

Rudzielec nie poruszył się, czekał.

— Daj pan chociaż dziesiątkę... — powiedział.

Gwadera sięgnął do kieszeni spodni, w której zawsze miał jakieś drobne. Znalazł dwadzieścia złotych.

W oczach chłopaka pojawił się uśmiech.

Gwadera cofnął dłoń.

— Ten, który prosił, abym to panu przekazał, nie był tak chytry...

Gwadera nie zdążył nic powiedzieć, rudzielec odwrócił się i zbiegł po schodach.

Komisarz zdecydowanym ruchem rozerwał kopertę. W środku znajdowała się mała kartka, na której starannym charakterem pisma ktoś nakreślił słowa: „To taki mały bonus dla pana, polisa ubezpieczeniowa”.

Było tam jeszcze coś. Pendrive. Przez chwilę zamyślony obracał go w dłoniach.

Podłączył do komputera. Na zawartość nośnika składały się trzy pliki dźwiękowe oznaczone datami. Gwadera włączył pierwszy zgodnie z porządkiem chronologicznym.

12 marca

— *Wyjaśnij mi jedno, spółka, której obroty w ostatnich czterech latach nie przekroczyły w skali roku pół miliona złotych, nagle wpłaca sześć milionów złotych, które w wyniku skomplikowanych operacji generują kwotę piętnastu milionów.*

Gwadera nie miał nawet cienia wątpliwości — pierwszy głos należał do Krzysztofa Kondrackiego.

Pochylił się do przodu, aby jeszcze lepiej słyszeć nagranie.

— *Zadziałała dźwignia finansowa...*

Drugi głos nie był mu znany. Domyślił się, że należy do Andrzeja Babicza.

— *Nie pieprz mi o dźwigni. Nie rozmawiasz z początkującym analitykiem. W krótkim czasie nie jest możliwy tak duży zwrot. Najciekawszy jest dalszy ciąg. A dokładnie ostatnie dwa tygodnie. Nietrafione inwestycje i wniesionych sześć milionów stopniało zaledwie do miliona złotych.*

— *Od dawna obserwowałeś tę transakcję?*

— *Od momentu, kiedy pojawił się u mnie niejaki Marian Ropejko.*

Gwadera na moment zatrzymał nagranie.

„Marian Ropejko” — wyszeptał, przypominając sobie wszystkie te sytuacje, w których pojawiało się to nazwisko.

Marian Ropejko, zgodnie z wyjaśnieniami Joanny Bartczak pracował w kancelarii prawnej Derwisz i Spółka.

Słowa, które przed chwilą usłyszał, wskazywały, że rola mężczyzny nie ograniczała się tylko do udzielania porad prawnych.

Gwadera zaklął. Był zły na siebie, że nie prześwietlił dokładnie tej postaci, która przecież nieraz przewijała się w śledztwie.

Po chwili doszedł do wniosku, że dotąd nie było żadnych podstaw, aby zająć się Marianem Ropejko.

Wrócił do nagrania.

— *Marian Ropejko?*

— *Pan Ropejko bardzo chciał rozmawiać z tobą. Byłeś akurat w delegacji. Musiał zadowolić się moim towarzystwem. Możliwe, że nie zainteresowałbym się tą transakcją, a sprawy potoczyłyby się swoim biegiem, gdyby nie pewne sugestie z jego strony, właściwie kilka słów, które dały mi wiele do myślenia.*

Chcę wiedzieć wszystko o tej transakcji i ludziach, którzy ją zlecili.

— *Niewiele wiem. Skontaktowali się ze mną może pół roku temu... Pamiętasz rozmowy, jakie prowadziliśmy jesienią? To była bardzo obiecująca oferta, ale*

odrzuciłeś ją.

— Dobrze wiesz, jacy ludzie się za tym kryli.

— Od kiedy interesuje cię źródło pochodzenia pieniędzy, jakie inwestują nasi klienci?

Brak odpowiedzi.

— Żądają zwrotu wniesionej kwoty...

Dłuższe milczenie.

— Wdepnąłeś w niezłe gównno.

— Wdepnęliśmy. Jestem wiceprezesem firmy, którą ty zarządzasz. Musisz mi pomóc.

— Nic nie muszę. Działaleś bez mojego upoważnienia, za moimi plecami, dobrze wiedząc, że z mojej strony nigdy nie będzie zgody na podejrzane operacje finansowe, fikcyjne transakcje, które mają wygenerować określoną kwotę pieniędzy.

— Działalem w ramach zakresu obowiązków. Jest jedna istotna rzecz, o której powinieneś wiedzieć, oni sądzą, że wszystko odbyło się za twoją zgodą i przy twoim znacznym wsparciu. Dlatego nie możesz mówić, że to ciebie nie dotyczy.

— Chcesz pociągnąć mnie za sobą?

— To była taka moja polisa ubezpieczeniowa.

— Ile ci obiecali?

— Wystarczająco dużo, bym ustawił się do końca życia.

Znów milczenie.

— Jak widzisz, nie masz innego wyjścia. Musisz mi pomóc. Wiem, co należy zrobić, jest pewne wyjście z sytuacji. Jedna trafiona transakcja, ale akurat tego nie mogę zrobić bez twojej autoryzacji.

— Sądziysz, że ta, jak to nazwałeś, trafiona operacja rozwiąże twoje problemy?

— Nasze problemy. Tak.

— Nie.

— Co nie?

— Musisz uporać się z tym sam.

— To twoja ostateczna decyzja?

— Tak. A teraz wynoś się.

Nagranie skończyło się dźwiękiem z hukiem zamykanych drzwi.

Gwadera zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał.

Był przekonany, że jest to zapis rozmowy, którą Kondracki przeprowadził z Babiczem tuż przed tym, zanim wysłał go na urlop, a o której wspominała Joanna Bartczak.

Nacisnął na drugą ikonę, oznaczoną datą dziesiątego maja i podpisem: „Park

przy Wybrzeżu Kościuszkowskim, pomnik syrenki przy Moście Świętokrzyskim”.

10 maja

— *Zdziwiony?*

Zachrypnięty głos wydawał się Gwaderze dziwnie znajomy.

— *Spodziewałem się kogoś innego.*

Znów w rozmowie uczestniczył Kondracki.

— *Tak?*

— *Czego panowie chcecie?*

— *Dłonie na samochód. Pan wybaczy, ale ostatnio niektórzy nauczyli się nagrywać rozmowy. Przeszukaj pana...*

— *Czysty.*

— *Teraz możemy rozmawiać. O co pan pytał? Ach tak. Wyjaśnię to panu w paru słowach, właściwie jedno wystarczy. Jest pan inteligentnym człowiekiem. Pieniądze. Rozumie pan?*

Cisza.

— *Tak czy nie!* — krzyk.

Po chwili milczenia odezwał się Kondracki tym swoim cichym i spokojnym głosem, który niejednego mógłby wytrącić z równowagi.

— *Nie rozumiem i nawet nie będę próbował zrozumieć.*

Cisza, rozmówców zaskoczyły te słowa.

— *Teraz panowie wybaczą, ale...* — Kondracki kontynuował tym samym tonem, jakby nie zdawał sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazł. A może była to część gry, jaką prowadził z nimi?

— *Nie wybaczymy. Wie pan, jakie są nasze oczekiwania?*

Milczenie.

— *Zrozumiałeś?*

Odgłos uderzenia.

— *Po co ten upór, panie Krzysztofie? Ubranie pan sobie zachlapał. Zastanawia się pan zapewne, gdzie jest pana przyjaciel?*

Milczenie.

— *Która godzina?* — pytanie zostało rzucone do kogoś z tyłu.

— *Dwudziesta pierwsza pięć.*

— *Martwi się pan o Babicza? Proszę mi wierzyć, niepotrzebnie. Przyznam, że mieliśmy problem, aby go odnaleźć, gdzieś zniknął... Ale... pieniądze to potężna siła, pan wie o tym najlepiej... Za pieniądze można kupić wszystkich, nawet przyjaciół... Dałem znak tu i tam, że go szukam, i proszę... ptaszek się znalazł. Wie pan, gdzie był?*

Mężczyzna upajał się swoją przewagą.

— *Na Smulikowskiego. Sprzedał go ten jego partner, rudzielec... Chciałbym, aby dobrze mnie pan rozumiał. Kiedy tak sobie tutaj rozmawiamy, nasz wspólny*

znajomy właśnie żegna się z życiem.

Znów dłuższa chwila milczenia.

— *Interesuje pana, dlaczego podjąłem taką decyzję? Nie przyszło mi to łatwo, ale Babicz stał się niewygodny. Przez pana nie mógł wiele zdziałać. Mam nadzieję, że współpraca między nami będzie układała się lepiej. Spokojnie... Kajtek, przytrzymaj pana. Niepotrzebnie tak się pan denerwuje. Andrzej Babicz to śmieć. Przecież dobrze pan o tym wie, sam zbyt długo tolerował jego słabości. Proszę sobie wszystko dokładnie przemyśleć. Wkrótce się odezwiemy.*

15 maja

— *Czy rozmawiam z Krzysztofem Kondrackim?*

— *Przy telefonie.*

— *Pozdrowienia od Andrzeja Babicza.*

Cisza.

— *Słucham.*

— *To dobrze. Słuchaj uważnie, dwa razy nie będę powtarzać tego, co mam do powiedzenia.*

Słowa zostały wypowiedziane łagodnym głosem.

Komisarz nie miał jednak wątpliwości, że mężczyzna przywykł do wydawania poleceń, które inni wykonywali bez szemrania. Było jeszcze coś, na co komisarz zwrócił uwagę. Charakterystyczne gardłowe r.

— *Babicz zawiódł nas. Nie wywiązał się z zawartej umowy.*

— *To wasz problem. Nie mój. Nie mam z tym nic wspólnego.*

— *Tutaj akurat pan się myli. Babicz działał w imieniu firmy, której pan jest prezesem. Teraz, gdy nie żyje, to pan odzyska pieniądze.*

— *Nie dostaniecie ani grosza. Możecie mnie zabić.*

— *Wyeliminowanie pana to zbyt proste rozwiązanie, które do niczego nie prowadzi. Może swojego życia pan nie ceni, ale najpierw córka, potem kochanka. Proste. Kolejność dowolna.*

W głosie zabrzmiała subtelna groźba.

Gwadera był pewien, że ten człowiek jest do tego zdolny.

— *Panie Ropejko.*

— *Stul pysk. Bez nazwisk, skurwysynie. Jest jeszcze jeden element tej gry.*

Pamięta pan nasze spotkanie dziesiątego maja?

— *Tak.*

— *Pana problem polega na tym, że nikt nie dowie się, że wówczas, gdy zginął Babicz, był pan z nami. Przecież nie powie pan tego policji. Prawda? My natomiast, w razie czego znajdziemy odpowiednich świadków, którzy zeznają tak jak chcemy. Wydaje mi się, że nie ma pan zbyt dużego pola manewru. Proste? Czy warto aż tak komplikować sobie życie? Ma pan trzy miesiące na odzyskanie naszych pieniędzy, oczywiście z karnymi odsetkami. Będzie to jak najbardziej*

czysta operacja finansowa.

— *To niewykonalne...*

— *Proszę mnie nie śmieszyć. I nie gadać takich głupot. Przecież dobrze wiem, że jest pan, jak to mówią, najlepszy w te klocki. Trzy miesiące i ani jednego dnia dłużej. Gdyby pan miał wątpliwości, to... naszą polisą jest pana córka.*

Gwadera długo po tym, jak przebrzmiały ostatnie słowa, siedział i patrzył w ekran komputera. Nagrania stanowiły przełom w śledztwie, które od pewnego czasu zmierzało w ślepią uliczkę. Powoli nabierał przekonania, że Krzysztof Kondracki od samego początku miał związane ręce. Kartą przetargową w tej nierównej grze, rozpoczętej przez mężczyznę o na razie nieznanym komisarzowi tożsamości, było życie córki. Nieufność Kondrackiego wobec organów ścigania była zrozumiała, sam przecież z wielką łatwością zdobył informacje na temat komisarza.

Co dalej? Gwadera z każdą chwilą miał coraz więcej wątpliwości. Pamiętał słowa Kondrackiego: „Niech pan nikomu nie ufa”.

Wyjął pendrive i schował do koperty. Pięć minut później był już w drodze do komendy.

Sekretarka na widok komisarza uśmiechnęła się.

— Już po urlopie? — spytała.

— Tak jakby — odpowiedział wymijająco. Wskazał na drzwi do gabinetu naczelnika.

Kobieta dała mu znak, aby poczekał. Jej rozmowa z Kaweckim trwała zaledwie kilka sekund.

— Może pan wejść...

Kaweki stał przy biurku i szukał czegoś wśród bezładnie porozkładanych dokumentów.

— Dobrze, że jesteś... Miałem do ciebie dzwonić... — na jego twarzy pojawiła się ulga kiedy spod sterty papierów wyciągnął pojedynczą kartkę, na której szybko przystawił pieczętkę.

Dopiero teraz spojrzał na Gwaderę.

— Jak tam twoje sprawy? — wykazał zainteresowanie.

— W porządku — kłamstwo gładko przeszło mu przez usta. Nie miał zamiaru ani ochoty tłumaczyć się przed Kaweckim. Na urlopie był od kilku dni, wziął go z myślą, że pojedzie do Lublina i spróbuje naprawić to, co w relacjach z Małgorzatą Wolańską w stosunkowo krótkim czasie udało mu się popsuć. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego do tej pory tego nie zrobił.

— Ten numer konta, który przekazał ci Kondracki, badają nasi koledzy z Gospodarczego. Z tego, co wiem, na razie nic ciekawego nie ustalili, ponad to, że kilka większych przelewów dokonano z banku szwajcarskiego. Niestety ze Szwajcarami nie mamy podpisanej umowy o ... — zerknął do notatek — unikaniu

podwójnego opodatkowania.

Zabrzmiało to bardzo tajemniczo.

Naczelnik pokiwał głową.

— Mówiąc prosto, nie uzyskamy od nich żadnych informacji na temat operacji bankowych i kont... Tak naprawdę to miotamy się jak lwy w klatce...

Na kilka chwil zamyślił się.

— Wracasz w poniedziałek? — chciał się upewnić.

— Tak.

Kawecki westchnął głęboko.

— To dobrze, jest masę nowych spraw...

— Nowych?

— Tak...

— Wszystkie materiały przekażesz Marciniakowi, teraz on zajmuje się śledztwem w sprawie Babicza.

Gwadera był zdziwiony taką decyzją Kaweckiego.

— W porządku...

Naczelnik zerknął na niego niepewnie.

— Tylko tyle? — Na jego twarzy pojawiła się ulga. — Sądziłem, że będziesz walczył o to śledztwo... — dodał bez przekonania.

Gwadera przemilczał te słowa. W zachowaniu Kaweckiego wyczuwał fałsz. To pomogło komisarzowi podjąć decyzję. Postanowił, że nagranie przekaże bezpośrednio Czapskiemu. Pomimo że współpraca nie układała się między nimi, najlepiej wierzył w jego uczciwość.

Nie interesowało go, czy Kawecki ma coś jeszcze do powiedzenia. Wstał i po prostu wyszedł z gabinetu. Kawecki nie próbował go zatrzymać. Nie był w porządku wobec swojego podwładnego. Nie był też w porządku wobec samego siebie. Po raz pierwszy, od kiedy objął szefostwo wydziału, musiał złamać wypracowane przez lata zasady.

„Prokurator wyjechał na Mazury, wróci w poniedziałek” — słowa sekretarki długo brzmiały Gwaderze w uszach.

Po wyjściu z budynku prokuratury próbował dodzwonić się do Czapskiego, ale ten nie odbierał. Nagrał wiadomość, zaledwie kilka słów, wystarczająco dużo, aby wzbudzić ciekawość, pod warunkiem oczywiście, że prokurator odsłucha nagranie.

W przeciwnym wypadku komisarzowi nie pozostawało nic innego jak cierpliwie czekać do poniedziałku. Przed sobą miał dwa długie dni.

30.

W sobotę obudził się tuż przed siódmą. Przez kilka minut leżał i słuchał deszczu, który jednostajnie uderzał o szybę.

Na beczynności minął mu wolno czas do ósmej.

Wstał i z tego, co mu zostało w lodówce, przygotował byle jakie śniadanie. Pokręcił się po mieszkaniu, obejrzał jakiś przyrodniczy film.

Co chwilę jego wzrok wędrował w stronę okna, deszcz nie przestawał padać. Poprzedniego wieczora uważnie oglądał prognozę pogody, po raz kolejny synoptycy wykazali się całkowitą niezajomością tematu. Dobrze pamiętał, że zapowiadano tylko przelotne opady deszczu, prognoza daleko rozminęła się z rzeczywistością.

W południe deszcz ustał. Zza chmur nieśmiało przeświecało słońce. Ta nagła zmiana aury pomogła Gwaderze podjąć decyzję.

Było kwadrans po dwunastej, kiedy wszedł do samochodu i ruszył w stronę Lublina.

W połowie drogi rozpętało się piekło. Zaczęło się niewinnie, od lekkiego wiatru, który zaledwie w parę minut przerodził się w gwałtowną wichurę. W jednej chwili zapanowały ciemności, deszcz siekł o szybę, a wycieraczki nie nadążały zbierać strumieni wody.

Gwadera zjechał na pobocze, nie chciał ryzykować dalszej jazdy w tak niesprzyjających warunkach. Nie był osamotniony. Kierowcy, którzy mieli choć trochę rozsądku, zrobili dokładnie to samo.

Wiatr targał samochodem niczym żdźbłem trawy. Po kilku minutach wszystko ucichło.

Gwadera wysiadł i z niedowierzaniem patrzył na poczynione przez nawałnicę szkody. Szosa zasłana była drobnymi gałązkami, kilkadziesiąt metrów dalej na poboczu leżało powalone drzewo.

Zatrzymał się w przydrożnym barze. Pił kawę, która tylko z nazwy przypominała ten szlachetny napój, kiedy zadzwoniła Magda. Siostra zapraszała go na niedzielny obiad. Wyjaśnił, że przez najbliższe dwa dni nie będzie go w Warszawie. Była rozczarowana, chociaż starała się to ukryć. Obiecał, że wpadnie do niej zaraz po powrocie.

W Lublinie był dopiero przed piątą.

Zaparkował na rynku przed zamkiem.

Długo spacerował po Starym Mieście. Po jakimś czasie stwierdził, że przez te wszystkie lata starówka niewiele się zmieniła.

Uśmiechnął się do przykrych wspomnień związanych z tym miejscem. Z kilkudniowego pobytu mało co zapamiętał. Pił wtedy za dużo, próbując wyrwać się z zakłętą kręgą zazdrości. Uczucia, które zżerało go przez kilka miesięcy, zabijając powoli to, co było w nim dobre. Było, minęło.

Wędrówkę po starówce zakończył w jednej z licznych kafejek, które przykleiły się do rynku. Wybrał tę o nazwie Mandragora.

Usiadł w głębi sali, przy oknie. Natychmiast pojawiła się kelnerka, która na

przywitanie obdarzyła komisarza uśmiechem. Zamówił kawę. Miał ochotę na coś mocniejszego, ale zrezygnował.

Kiedy tak siedział zamyślony nad filiżanką, uświadomił sobie, że ta jego wyprawa miała w sobie coś z szaleństwa. Nie pamiętał adresu Małgorzaty, który zapisał w aktach sprawy tamtego dnia, kiedy ją przesłuchiwał. Potem nigdy o to nie spytał, nie było takiej potrzeby. Wyjazd Małgosi wydawał się tak odległą sprawą, że nie zaprzętał sobie tym głowy. Teraz pozostał na przysłowiowym lodzie, miał tylko numer jej telefonu.

Wzrok Gwadery powędrował w stronę leżącej na stoliku komórki, którą wyjął z kieszeni chwilę po tym, jak kelnerka zrealizowała jego zamówienie.

Dopił kawę i wystukał numer, który znał już na pamięć.

— Tak? — usłyszał znajomy głos.

Przez chwilę milczał przyjemnie zaskoczony.

— Jestem w Lublinie — rzucił.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Możemy się spotkać?

Tak naprawdę sam nie wiedział, na co liczy. Przyjechał do Lublina z pewnymi nadziejami. W tej chwili zwątpił, czy miało to jakikolwiek sens.

„Byłem w jej życiu tylko epizodem” — pomyślał gorzko.

Wyjeżdżając z Warszawy, zamknęła za sobą pewien rozdział.

Jego rozważania przerwał cichy głos:

— Tak... — podała adres. Chwilę później dokładnie wyjaśniła, jak ma tam dojechać.

Nie minęło nawet pół godziny, gdy dotarł na miejsce.

Małgorzata Wolańska mieszkała na szóstym piętrze wieżowca, który powstał w czasach, kiedy dominowało budownictwo wielkopłytowe.

Na windę czekał kilka minut, powoli tracąc cierpliwość. W środku było duszno i brudno.

Po kilkudziesięciu sekundach mozolnej wspinaczki winda zatrzymała się. Gwadera wyszedł na tonący w mroku korytarz. Przyświecając sobie komórką, odnalazł podany przez Małgosię numer mieszkania.

Zatrzymał się przed drzwiami, chciał nacisnąć na dzwonek, ale zawahał się. Z mieszkania dochodziły męskie głosy. Przez chwilę nasłuchiwał. Małgorzata przez telefon nie wspominała nic o tym, że ma gości. „Z drugiej strony — pomyślał — nie musiała się przed nim tłumaczyć”.

Zadzwoił. Głosy umilkły. Lekko zdziwiony zapukał. Usłyszał kroki i drzwi otworzyły się.

Kobieta wyglądała na zdenerwowaną. Chciał spytać, czy wszystko jest w porządku, ale nie zdążył. Kiedy zrozumiał, że coś jest nie tak, było już za późno.

Czyjeś mocne dłonie wciągnęły Gwaderę do środka. Towarzyszył temu

mocny cios w splot słoneczny. Komisarz zachwiał się i upadł.

Te same wielkie jak bochny chleba dłonie sprawnie przeszukały Gwaderę.

— Czysty — mruknął mężczyzna i pomógł Gwaderze wstać.

Popchnął go w stronę pokoju.

— Tam — wskazał krzesło.

Gwadera, który nadal odczuwał skutki ciosu, posłusznie zajął wskazane miejsce. Upłynęło kilka sekund, zanim odzyskał jasność umysłu.

— Długo kazałeś na siebie czekać...

Komisarz w milczeniu patrzył na mężczyznę, który stał przy oknie i palił papierosa, mocno się przy tym zaciągając, tak jakby był to jego ostatni papieros w życiu. Patrzył na tego korpulentnego mężczyznę o podwójnym podbródku i przerzedzonych włosach i zastanawiał się, co Marciniak robi w Lublinie w mieszkaniu Małgosi. Powoli docierało do niego, że odpowiedź na to pytanie na pewno nie będzie mu się podobać.

Wolno przeniósł wzrok na Małgorzatę. Kobieta siedziała na kanapie wpatrzona przerażonym wzrokiem w twarz Gwadery.

— Gdzie to masz? — rzucił Marciniak.

— Co?

Marciniak uśmiechnął się.

— Dobrze wiesz, o czym mówię... Przesyłka, którą dostałeś od Kondrackiego.

— Jaka przesyłka? — postanowił udawać, że nie wie, o co chodzi. Nie był to dobry sposób obrony, lecz dawał mu czas na uporządkowanie myśli.

Marciniak skinął nieznacznie głową. Mężczyzna, który stał przed komisarzem, zamachnął się i uderzył go w podbródek. Cios nie był mocny. Gwadera zdawał sobie sprawę, że było to tylko ostrzeżenie.

— Czy teraz sobie przypomniałeś? — Marciniak pochylił się nad komisarzem. — Ze względu na naszą długoletnią znajomość nie chciałbym zbytnio korzystać z pomocy tego pana — wskazał na osiłka, który stał spokojnie z założonymi do tyłu rękoma — ale sam mnie do tego zmuszasz... — zawiesił głos.

Gwadera spojrzał prosto w oczy mężczyźnie, który jeszcze niedawno był jego kolegą.

— Oddałem Czapskiemu — powiedział cicho.

— Akurat. — Marciniak podszedł szybko do Wolańskiej i uniósł dłoń do ciosu.

— Poczekaj! — Gwadera powstrzymał go w ostatniej chwili. Nie wiedział, czy Marciniak jest zdolny do tego, aby uderzyć kobietę. Wolał nie ryzykować. Mógł narażać siebie, ale nie Małgosię.

— Nabrałeś chęci do współpracy?

— Skrytka samochodowa... — powiedział szybko.

— Nic nie kombinujesz?

— Nie...

— Dawaj kluczyki.

— Skąd wiesz, czy nie zrobiłem kopii? — spytał Gwadera, patrząc na Marciniaka. Uśmiechnął się.

— Myślisz, że jesteś taki cwany? — Marciniak nie pozostał dłużny. Odpowiedział uśmiechem, lecz nie był to uśmiech w rodzaju tych, które mają przełamać między rozmówcami lody.

— Byłem u ciebie w domu. Tak na marginesie to zrobiliśmy ci tam niezły bałagan... Masz słabe zamki w drzwiach.

Gwadera pokiwał głową, mógł się tego spodziewać. Dokładnie wszystko przemyśleli.

— Kluczyki! — syknął Marciniak, przerywając rozważania komisarza.

Gwadera sięgnął do kieszeni i podał Marciniakowi kluczyki, które ten rzucił swemu kompanowi.

— Sprawdź. Wiesz, czego szukać?

Mężczyzna skinął głową.

— Ten koleś z Londynu mówił, że to pendrive... — powiedział, dziwnie wymawiając słowo. Był już przy drzwiach, kiedy zawahał się.

— A ty?

— Idź, poradzę sobie. — Marciniak poklepał kaburę z pistoletem.

Pomimo tego zapewnienia mężczyzna nadal stał w miejscu.

— Nie kombinuj, od myślenia jestem tutaj ja... — Marciniak był rozdrażniony.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem i wyszedł.

Marciniak stanął w drzwiach tak, aby mieć na oku zarówno Gwaderę, jak i Wolańską. Wyjął pistolet i trzymał go teraz w dłoni, w ten sposób podkreślał, po czyjej stronie jest przewaga. Ta demonstracja siły była niepotrzebna, Gwadera nie miał wątpliwości, kto w tej grze rozdaje karty. Przegrał już na starcie. „Zaskoczenie to najlepsza broń” — pomyślał gorzko.

Marciniak wolno przeniósł wzrok na kobietę. Pokiwał z uznaniem głową.

— Muszę przyznać, że masz świetny gust. Niezła z niej laska...

— Pies cię drapał — mruknął Gwadera.

— Szczekaj, szczekaj, póki jeszcze możesz — odparował i sięgnął po papierosa.

Milczeli przez chwilę.

— Jak mnie znalazłeś? — Gwadera zadał pytanie, które od dłuższego czasu, a właściwie od samego początku nie dawało mu spokoju.

— Zadzwoiłem do twojej siostry. Wiesz, telefon od zaniepokojonego kolegi

zawsze robi wrażenie. Powiedziała o Lublinie. Wspomniała coś o niedzielnym obiedzie... Była chyba zawiedziona, że do niej nie wpadniesz. — Zaciągnął się papierosem. — Długo zastanawiałem się, po jaką cholerę tutaj przyjechałeś, w końcu połączyłem fakty...

— Oj, Grzesiu, Grzesiu... — Gwadera przerwał mężczyźnie.

— No co? Dziwisz się, dlaczego to zrobiłem?

Komisarz skinął głową. Był przekonany, że każdy, będąc na jego miejscu, zadałby sobie takie samo pytanie.

Marciniak wahał się tylko chwilę. Wzruszył ramionami.

— Przejrzałem na oczy. Nie mam zamiaru żyć z głodowej emerytury. Mnie też należy się coś od życia. Nadarzyła się okazja, postanowiłem ją wykorzystać.

Gwadera uśmiechnął się.

— Od dawna dla nich pracujesz?

— Czy to ważne? — głos Marciniaka był nieprzyjemny. Mężczyzna żałował, że dał wciągnąć się w tę rozmowę.

— Ile ci zapłacili?

— Wierz mi, warto — przerwał. — Myślisz, żeś taki harcerzyk? Będąc na moim miejscu...

— Byłem kiedyś w podobnej sytuacji — wszedł mu w słowo.

— Co?

— Też próbowano mnie kupić...

— Głupiś.

— Ale za to przy goleniu mogę patrzeć sobie w oczy.

Marciniak obdarzył komisarza zimnym spojrzeniem.

— To podaj sobie rękę z tym pieprzonym angolem.

Miał na myśli Kondrackiego?

Na pewno. O kim innym mógłby mówić?

— Trudno go złamać. Ale na każdego znajdzie się sposób. Każdy ma kogoś bliskiego. Nie jest tak twardy, jak mu się wydaje.

Zamilkł.

Gwaderę nurtowało jedno: skąd zleceniodawcy Marciniaka wiedzieli o nagraniach. Nie sądził, aby Kondracki z kimkolwiek o tym rozmawiał. Wiedział, że sam do tego nie dojdzie, dlatego spytał o to wprost.

Skąd wiedział? Marciniak wzruszył w odpowiedzi ramionami, nie miał zamiaru wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje z komisarzem. Polecenie, jakie otrzymał, było jasne — miał odzyskać nagrania. Zleceniodawcy, którego znał tylko głos, nie interesowało, w jaki sposób to robi.

Pomysł, na który wpadł, wydawał mu się genialny. Sprawę miało rozwiązać włamanie do mieszkania Gwadery. Był rozczarowany, kiedy nic tam nie znalazł. Widziany oczyma wyobraźni wymarzony domek na Mazurach powoli zaczął się

oddalać.

Do tego wszystkiego Gwadera zniknął.

Marciniak wyszedł ze słusznego założenia, że kto jak kto, ale najbliższa osoba, za jaką uznawał siostrę komisarza, powinna coś wiedzieć, dlatego szybko do niej zadzwonił. Nie mógł trafić lepiej. Kobieta była zła, nie musiał jej nawet naciskać.

Był zawiedziony, nie dowiedział się od niej wiele, tylko tyle, że Gwadera wyjechał do Lublina.

Wyjazd komisarza jeszcze bardziej skomplikował sytuację.

Marciniak patrzył zamyślony na Gwaderę. Nie mógł już się wycofać. Odebrał zaliczkę, drugą większą część miał otrzymać po wykonaniu zadania. Jak powiedziało się a trzeba było powiedzieć b, nie było odwrotu.

Decyzja, jaką musiał teraz podjąć, była najtrudniejszą w jego życiu. Zacisnął mocno usta, jego oczy zabłyśły zimno.

Gwadera zrozumiał. Poczul, jak zasycha mu w gardle.

— Mały sprzedajny glina... — Gwadera zamilkł. Wiedział, że przesadził. Niepotrzebnie prowokował los.

Marciniak pomimo pewnej nadwagi był szybki. Doskoczył do komisarza i uderzył go w twarz na odlew. Komisarz poczuł w ustach słodki smak krwi. Na kilka chwil stracił kontakt z rzeczywistością.

Przez jakiś czas dochodził do siebie. Kiedy odzyskał jasność umysłu, spojrzał na Małgosię, która do tej pory trzymała się dzielnie. Teraz ręce drżały jej nerwowo, twarz była biała jak kreda.

Marciniaka nie było już przy nim, wrócił na swoje miejsce przy drzwiach i zaciągał się kolejnym papierosem. Beznamiętnym wzrokiem patrzył na Gwaderę.

Po kilku sekundach zerknął na zegar. Od momentu, kiedy drugi mężczyzna opuścił mieszkanie, minęło ponad dziesięć minut. Marciniak nie był w stanie ukryć zniecierpliwienia.

— Zapalisz? — Wyciągnął paczkę w stronę Gwadery.

— Ostatni papieros skazańca? — zakpił komisarz, dotykając rozciętej wargi.

Marciniak spojrzał na niego zamyślony.

— A, to już od ciebie zależy. Jeżeli Kamil nie znajdzie tego, czego szukamy... — w jego głosie zabrzmiała niewypowiedziana groźba.

— Co, Grzesiu, zabijesz mnie? — wszedł mu w słowo.

— Jestem tylko pośrednikiem...

— Nie mieszaj w to Małgosi... — powiedział Gwadera bardzo cicho.

— Za późno... — Marciniak uśmiechnął się zagadkowo. Chciał jeszcze coś dodać, lecz w tej samej chwili przez otwarte okno dobiegł dźwięk samochodowego alarmu. Marciniak, nie spuszczać wzroku z Gwadery, podszedł do okna. Zobaczył, jak w stronę Kamila, który mocował się z zamkiem, podąża szybkim

krokiem dwóch strażników miejskich. Strażnicy zatrzymali się. Kamil tłumaczył im coś wskazując na siebie i samochód. Strażnicy nie uwierzyli w to, co powiedział, bowiem wyższy z nich sięgnął po krótkofalówkę.

Marciniak odsunął się.

— Ty gnoju — syknął. — Wstawaj.

Gwadera, który nie widział tego, co działo się na zewnątrz, trwał w bezruchu.

— Nie pogarszaj swojej sytuacji — odczekał chwilę. — Wstawaj, kurwa! — krzyknął.

I tym razem komisarz nie wykonał polecenia, chociaż rozsądek podpowiadał mu, aby zrobił dokładnie to, co kazał Marciniak.

Grał na zwłokę, domyślał się, że coś poszło niezgodnie z planem.

Marciniak, który był coraz bardziej zdenerwowany, postąpił krok. Odbezpieczył pistolet i skierował lufę w stronę Gwadery.

— Wstawaj — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Gwadera znów nie zareagował. Lufa przesunęła się na Małgosię.

Gwadera, który tylko czekał na moment nieuwagi, rzucił się na swego kolegę, wytrącona z dłoni broń poleciała pod ścianę.

Marciniak był zaskoczony, ale nie stracił refleksu. Uderzył komisarza dokładnie w podbródek. Gwadera runął do tyłu, na przeszkloną gablotę, która pod naporem ciężaru rozpadła się na drobne kawałeczki.

Marciniak pochylił się nad komisarzem. Przyłożył do jego skroni broń.

— Zaczynij się modlić... — szepnął.

Gwadera uniósł głowę i spojrzał prosto w zimne oczy Marciniaka.

— Mam nadzieję, że będziesz mógł spać spokojnie... — wyszeptał. Chwilę później odpłynął. Mocny cios kolbą pistoletu pozbawił go przytomności.

Gwadera otworzył oczy. Ktoś się nad nim pochylał. Bezosobowa postać, która zamiast twarzy miała białą plamę.

— Obudził się — usłyszał już wyraźniej męski, zdecydowany głos.

Gwadera ostrożnie usiadł. Rozejrzał się.

Nadal był w domu Małgorzaty Wolańskiej. Po mieszkaniu kręciło się kilku umundurowanych mężczyzn. Jeden z nich patrzył na Gwaderę uważnie.

— Jak się pan czuje?

— Gdzie Marciniak? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Uciekł, ale złapiemy go — zapewnił.

— Małgosia — chciał wstać. Po chwili pożałował tego gwałtownego ruchu. Czuł się tak jakby ktoś chciał zgnieść mu głowę imadłem. — Chryste — jęknął.

— Co z Małgosią? — spytał ponownie.

— Ma pan na myśli tę kobietę, która była tutaj z panem?

— Tak.

— Jest w pokoju obok, wszystko w porządku...

Około północy w końcu zostali sami.

Małgosia spała twardym snem. Gwadera przysunął sobie krzesło do łóżka i patrzył na spokojną twarz kobiety. Sam nie mógł zasnąć. Bolała go głowa. Pomyślał, że zrobił błąd, po raz kolejny nie słuchając rady lekarza, który namawiał go na kilkudniowy pobyt w szpitalu.

Przeszedł do kuchni i połknął dwie przeciwbólowe tabletki. Kiedy i to nie pomogło, wziął następną porcję.

Komisarz nie wrócił do sypialni, usiadł w gościnnym pokoju na wersalce. Patrzył na przesuwane się wolno wskazówki ustawionego na kredensie zegara.

Gwadera dryfował między snem a jawą, próbował zachować w pamięci to, co w tej podróży było przyjemne, odrzucając to, co było koszmarem.

Obudził się o szóstej zmęczony i obolały.

Zajrzał do sypialni, Małgosia nadal spała. „Dobre i to — pomyślał. — Chociaż jedno z nas będzie wypoczęte”.

Przygotowywał w kuchni śniadanie, kiedy zadzwoniła komórka. Z trudem rozpoznał głos naczelnika wydziału.

— Jak się czujesz? — padło kłopotliwe pytanie.

Nic nie powiedział.

— Nie chciałem dzwonić wcześniej — Kawecki usprawiedliwił się zupełnie niepotrzebnie.

Gwadera poprosił go, aby powiedział mu o tych wszystkich wydarzeniach, które nastąpiły po tym, jak sam stracił przytomność.

Relacja Kaweckiego była powierzchowna, mówił tylko to, czego sam się dowiedział od innych.

Marciniak wyszedł niezauważony z bloku i nie oglądając się na skutego przez strażników miejskich Kamila, odjechał.

Zeznania Kamila nie wniosły do sprawy nic szczególnego. Po sprawdzeniu kartotek okazało się, że mężczyzna dotąd nie był notowany. Miał czystą kartę. Przyznał się, że do tej roboty wynajął go Marciniak trzy dni wcześniej.

— Złapali go? — spytał Gwadera cicho.

Kawecki długo milczał. To on zaraz po tym, jak otrzymał wiadomość od lubelskiej policji, przekonał tutejszego komendanta o zarządzeniu całkowitej blokady dróg dojazdowych do miasta.

Gwadera domyślał się, że naczelnik nie ma dobrych wieści.

— Marciniak nie żyje... — rzucił.

Komisarz milczał kilka sekund.

— Jak to się stało?

— Namierzyli go kilka kilometrów przed granicą, blisko przejścia w Hrubieszowie, mniej więcej dwie godziny temu. Próbował uciekać, samochód

wpadł w poślizg, najpierw uderzył w barierkę, potem dachował... — zamilkł.

Śledztwo od pewnego czasu tkwiło w martwym punkcie. Ostateczna decyzja co dalej należała do prokuratora, który, jeżeli nie pojawi się żaden przełom, wcześniej czy później umorzy postępowanie. Wraz ze śmiercią Marciniaka urwał się nowy trop.

Gwadera odczekał kilka sekund i powiedział o nagraniach, które otrzymał od Kondrackiego. Wspomniał też o Marianie Ropejko.

— Światelko w tunelu — mruknął Kawecki, próbując wydobyć tę postać z zakamarków pamięci.

Gwadera, który wyczuł, że naczelnik bije się z myślami, pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Facet kilkakrotnie pojawiał się w śledztwie, ale nic nie wskazywało na to, że ma jakikolwiek związek z prowadzoną sprawą.

Kawecki westchnął.

— Zajmę się tym — obiecał.

Milczeli przez kilka chwil.

— Przyśle po ciebie radiowóz — pierwszy odezwał się Kawecki. — Jesteś potrzebny tutaj w Warszawie...

Gwadera ważył w myślach słowa, które padły. Wynikało z nich, że wraca do gry.

— Daj mi trochę czasu... — powiedział.

— Dobrze. Masz dwa dni. — Kawecki łatwo ustąpił. — W czwartek chcę cię widzieć w Warszawie — dodał ostrzejszym tonem i przerwał rozmowę.

Komisarz zamyślony patrzył w okno, kiedy poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się. W drzwiach stała Małgosia, na jej twarzy błądził uśmiech.

Nie zdążył nic powiedzieć, zniknęła w łazience. Długo brała prysznic. Kiedy wyszła, pachniała lawendą. W milczeniu podeszła do Gwadery i wtuliła się w niego. Wiedział, że czeka, aż z jego strony padną słowa pocieszenia i otuchy. Nie umiał, nie potrafił.

31.

Następnego dnia zadzwonił Osmałek. Po kilku grzecznościowych pytaniach przeszedł do rzeczy. Miał dwie informacje. Obie złe.

W kancelarii Derwisz i Spółka nie pracował żaden Marian Ropejko. Współwłaścicielka, energiczna blondynka po czterdziestce, sprawdziła listę wszystkich pracowników, którzy przewinęli się przez kancelarię w ciągu piętnastu lat jej istnienia.

Przeszukanie policyjnych baz danych zakończyło się takim samym efektem. Marian Ropejko zapadł się pod ziemię.

Jedyną osobą, która mogła powiedzieć coś na jego temat, był Krzysztof

Kondracki. Osmalek próbował skontaktować się z prezesem, lecz szybko okazało się to niemożliwe. Kondracki zmienił numer telefonu.

Osmalek, który niezłe władał angielskim, zadzwonił do londyńskiej siedziby EEI. Sympatyczna asystentka nie potrafiła powiedzieć nic ponad to, że mężczyzna od kilku dni przebywa na urlopie. Po chwili dodała, że z tego, co jej wiadomo, wyjechał gdzieś zagranicę.

Gwadera pomyślał, że Kondracki zrobił dokładnie to, co zapowiadał. Rozpłynął się we mgle.

Obawiał się, że nigdy nie dowiedzą się, kto stał za zabójstwem Andrzeja Babicza.

Wiedział też, że nigdy nie powie o tym jego matce. Alicja Babicz musi żyć dalej w świadomości, że morderca jej syna zostanie złapany i ukarany.

Wolno schował telefon do kieszeni.

Małgosia, która od jakiegoś czasu przysłuchiwała się rozmowie, podeszła bliżej.

— Wyjeżdżasz? — spytała cicho głosem, w którym brzmiał niepokój.

Gwadera patrzył na nią w milczeniu. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli wyjedzie teraz, w momencie, w którym Wolańska potrzebowała jego wsparcia, straci ją bezpowrotnie.

Warszawa była tak odległa. I obca. Spędził tam wiele lat, broniąc normalnego życia i zwyczajnych ludzi, którzy mozolnie pchali swój wózek. Chronił ich przed brudami tego świata, przed rozpychającym się coraz bardziej złem, które niszczyło wszystko to, co napotykało na swej drodze.

Ktoś kogoś zabił, bo zazdrościł, bo chciał się zemścić za dawne urazy, ktoś kogoś pobił do nieprzytomności albo okradł, ktoś zdradził żonę, porzucił rodzinę, bo mówił, że ma prawo do szczęścia.

„Dlaczego to robię? Nawet z narażeniem życia” — dodał w myślach, przypominając sobie słowa złożonej przed laty przysięgi. Nie po raz pierwszy zadawał sobie to pytanie. Tak jak poprzednio nie umiał udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

„Nawet z narażeniem życia” — powtórzył.

Zastanawiał się, jaki sens ma dalsza walka, skoro nie jest w stanie naprawić świata.

Pomyślał, że niedługo wszyscy będą utopieni w błocie, a zasady, którymi kierują się ludzie, przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie. Przypomniał sobie gdzieś przeczytane słowa: „Dobro i zło muszą istnieć obok siebie, a człowiek musi dokonywać wyboru”.

Ludzkie życie to ciągły wybór pomiędzy kilkoma możliwościami. Sam wielokrotnie był w podobnej sytuacji. Czy decyzje, które wówczas podjął, były słuszne?

Gwadera pomyślał jeszcze, że oto los daje mu szansę, aby ułożył swoje życie na nowo, szansę, której nie może zmarnować.

Spojrzał ciepło na Małgosię i powiedział:

— Nigdzie się nie wybieram...